

Norbert Dudziński

Niepokój

Książkę dedykuję córce Joannie

Gdy ujrzała go pierwszy raz stał na skraju urwiska, wpatrywał się milczącym spojrzeniem na przerażoną twarz klęczącego przed nim mężczyzny. Nic nie mówił, tylko patrzył się na niego, obok niego, w głąb niego, jakby chciał zrozumieć czyn który zaraz popełni, który musi popełnić, choć wie, że ten czyn na zawsze zmieni w nim coś, zmieni nieodwracalnie.

Nad jego głową krążyły dwa czarne kruki, coś skrzeczały, jakąś przepowiednię, może melodię kończącą dzień, może noc, a może to tylko było złudzenie, jakieś echo dochodzące znad morza, które dzisiaj wyjątkowo było niespokojne.

Potem, jak na zwolnionym filmie podniósł pistolet, przyłożył go do czoła klęczącego wciąż przed nim mężczyzny i jak pojawił się w jego oczach błysk, taki zimny, głęboki, z wieloma skazami i pęknięciami, to właśnie wtedy, w tej dokładnie sekundzie nacisnął spust.

Rozległ się strzał, mężczyzna upadł na bok niczym kukła, jak jakaś lalka rzucona w kąt przez rozpieszczone dziecko z bogatego domu. Potem on ukłęknał obok niego, jego milczenie miało zapach obojętności, takiej obojętności która niszczy, nigdy nie leczy i wtedy mnie ujrzał, gdy schowana byłam pomiędzy drzewami, jak stałam sparaliżowana, i tylko patrzyłam, i tylko milczałam, chciałam być niewidoczna, nieobecna, niezauważalna.

Ale już było za późno. Niekiedy wciąż na pewne rzeczy jest za późno. Są one nieodwracalne, niezaprzeczalnie stałe.

Nasze spojrzenia spotkały się w pół drogi. Moje żółte, jego węglowe. W jego spojrzeniu było zaskoczenie, w moim niepewność i strach, co będzie dalej? co musi być dalej? choć to musi miało teraz smak rozsypania, jakiejś bliżej nieokreślonej niewidzialności.

Zaczęłam uciekać, krzaki ocierały się o moją twarz, ręce, nogi. A ja biegłam i biegłam. Do dzisiaj pamiętam ten strach, ten pęd powie-

trza, to silne napięcie w środku, takie głębokie, tak obco schowane w przerażeniu.

Następnego dnia z samego rana wyjechałam z mamą do domu. Wyjechałam bo i tak miałam wyjechać, wakacje się kończyły. Nie wyjechałam dlatego, że się bałam, choć bałam się, jednak to wszystko było zaplanowane przez los, przez czas, przez moją matkę.

Po dwóch dniach zadzwoniła do mnie babcia, właściwie zadzwoniła do mojej matki i spytała się o mnie. Jak się czuję? czy jestem jakaś dziwna? może obca? nieobecna? Powiedziała, że jacyś mężczyźni chodzili po wsi, pytali o małe dziecko, dziewczynkę. Babcia mieszkała na skraju lasu, sama, z daleka od innych, nikt nie wiedział, że tam byłam. Babcia skłamała, że wciąż mieszka sama. Uwierzyli. Stara, zniszczona kobieta, która otarła się o wojnę, o ból, o nienawiść człowieka do człowieka. Powiedziała, że mieli w oczach coś, co sprawia, że w innym człowieku coś umiera, coś znika, i potem to co znika już nigdy nie wraca. Są to zmiany nieodwracalne, nieuniknione, gdy ktoś przez przypadek, przez zły los otrze się o tych ludzi.

Teraz znów zobaczyła jego twarz, na plakatach w mieście. Po wielu latach, po zimach mroźnych, latach zbyt ciepłych, po deszczach, które wylewały w nieznanych jej obszarach ziemi, po nocach, które czasami były okrutne, zimne, pełne paraliżującego potu, pełne snów, które niszczyły, rzadko leczyły, uśmiechał się w granatowym garniturze, w białej koszuli, głowę miał lekko odwróconą w prawo, jakby prawa strona to był jego dalszy kierunek drogi, prawy, więc właściwy.

Kandydat na Prezydenta Miasta Krakowa, tak brzmiał napis na dole, kandydat niezależny.

Nie od razu go rozpoznałam, nie od razu dostrzegłam przeszłość, która tak dotkliwie otarła się o moje młode ciało. Dopiero gdy dostrzegłam obojętność w jego oczach, zrozumiałam, że to on, pomimo siwych włosów, pomimo zbyt owalnej twarzy, pomimo uśmiechu, który już nie był jego uśmiechem, to była jakaś naklejka na

twarz, żeby coś uśpić w ludziach, uśpić w nim. Uśpić tak, żeby zło nie wydostało się z niego zbyt wcześnie.

Tadeusz Chrowski, muszę zapamiętać to nazwisko, muszę jak najszybciej zapomnieć o tym nazwisku, pomyślałam wtedy.

Skończyłam studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Skończyłam je z wyróżnieniem. Potem były staże w kancelariach i praca. Szybko zrozumiałam, że sumienie w tym zawodzie to krzyż. Coś naginałam, coś dopasowywałam, coś omijałam. Liczyła się skuteczność i brak sumienia. Mogłam tak żyć kilka lat, ale nie całe życie.

Życie jest za krótkie na bezsensowną pracę, na bezsensowne myśli. Na czas, który ociera się o obojętność.

Zrezygnowałam. Zaczęłam projektować ogrody dla ludzi, którzy chcą coś zmienić w sobie, chcą coś zmienić koło siebie. Spełniałam marzenia ludzi, którzy traktują część swojego domu jak bajkę, jak baśń, która dopiero się zaczyna, która nigdy się nie skończy.

Wynajęłam mieszkanie tuż przy Plantach, koło Domu Turysty, przy szkole muzycznej, na poddaszu kamienicy. Miałam taras, może mały balkon z widokiem na Wawel, na Kościół Mariacki, na dachy kamienic. Wieczorami byłam Królową tego miasta. Królową dachów, kominów, chmur, które zatrzymywały się i wisiały tuż nad miastem.

Gdy czułam się zmęczona, gdy musiałam odejść choć na chwilę od komputera, zostawić projekt ogrodu, żeby odpoczął ode mnie, żebym ja odpoczęła od niego, wychodziłam na balkon, brałam ze sobą lampkę czerwonego wina do ręki, zawsze prawej, jakiś nawyk dziwny, niezmienny od lat, ale tak bliski i patrzyłam się w ciemność, w światła gwiazd, które niczym płomyki świec rozrzucone były na niebie.

Czasami ze szkoły muzycznej dochodziły jeszcze dźwięki, spóźnione nuty, zagubione melodie pomiędzy gwiazdami i wtedy je słuchałam, tak jak słucha się siebie, gdy nie ma się tak naprawdę dla siebie zbyt dużo czasu. I czułam się taka wolna, taka szczęśliwa sama ze sobą.

Niekiedy z Domu Turysty dochodziły jakieś śmiechy, wrzaski, śpiewy. Były to odgłosy szczęścia ludzi, którzy jeszcze nie dorośli, nie otarli się zbyt mocno o ból, o nieszczęście. Żyli w niepewności,

bardziej w nieświadomości, jeszcze nie wiedzieli, że życie to tylko krótkie ucieczki w radość. Radość schowaną w nieznanych dla nas miejscach.

Przez chwilę stałam przy tym plakacie, nie wiem dokładnie co wtedy czułam, co mogłam czuć, co się we mnie zmieniało, też tego do końca nie wiedziałam, lecz rozumiałam, że coś się zmienia, coś ociera się o moją przeszłość, o duszę. I ta zmiana jest nieodwracalna, ma swój określony horyzont, labirynt, z którym będę musiała się zmierzyć na nowo. Zmierzyć po raz kolejny, zmierzyć po raz ostatni.

Gdy był mały mieszkał w biednej ulicy, w biednej dzielnicy, w biednym mieście. Bardziej wsi niż mieście. Mało budynków, mało wiary. Więcej beznadziei, rozpacz.

Matka nie pracowała, tylko czasami pomagała tu, tam, niekiedy dłużej, częściej krócej. Ojciec pił, wszyscy tam pili. Bez umiaru, bez opamiętania, bez skarg, bez żalu na swój los. Los niepokładany, los zwichrowany przez puste dni, jeszcze bardziej puste noce.

Potem ojciec handlował narkotykami, łudził się, że może oszukać przeznaczenie – swoje, nasze. Gdy go złapali, nawet nie był zdziwiony. Wiedział, że to się kiedyś stanie – wcześniej, później. Dla niego później oznaczało lepiej. Później go nigdy nie widziałem. Zginął w więzieniu. Nie chciał być tacy jak oni, musiał zginąć. Ci, co nie chcą być tacy jak inni, zawsze giną. Niekiedy śmierć oznacza życie, niekiedy śmierć oznacza wolność.

Matka rozpaczała, czas nie potrafił zagłuszyć jej rozpacz. Aż do końca.

Wtedy wyjechał, gdy zrozumiał, że rozpacz może być zaraźliwa, może być nieustanna.

Tadeusz Chrowski jeszcze raz spojrzął w lustro. Zimne, węglowe oczy miały zapach wspomnień, przeszłości. Dlaczego to wciąż wraca? Dlaczego wtedy, gdy jestem słaby, nieobecny dla siebie, dla świata?

Na początku jeździł za granicę, coś przywoził, coś sprzedawał. Potem zaczął przywozić więcej niż mógł. Raz się udawało, raz nie.

Któregoś dnia, miesiąca, może to była wczesna wiosna, może późna jesień, tego już nie pamiętał, przyjechał pod granicę, do miasta prawie przylepionego do zarysów końca państwa, i tam przez kilka tygodni pił, zmieniał lokale i czekał.

Aż w końcu nadszedł ten dzień, zobaczył go jak siedział samotnie przy barze. Podeszedł do niego, postawił kolejkę, potem następną. Umówili się na następny dzień. Gdy przyszedł, gdy znów pili zbyt dużo, zbyt bez opamiętania, spytał:

- Lubisz swoją pracę?
- Dlaczego pytasz?
- Czy daje ci ona to, czego oczekujesz od życia?
- To, czego oczekuję od życia opiera się o pieniądze, duże pieniądze.
- A gdybyś mógł sobie trochę pomóc, zbliżyć się do tych marzeń odrobinę?
- Jak zbliżyć? Na jaką dokładnie odległość?
- Na tyle bliską, że uwierzysz, że czas gra na twoją korzyść, że czas nie robi ci już więcej krzywdy.

I wtedy się z nim dogadał. Potem, gdy przejeżdżał granicę, to zawsze, gdy on był na zmianie. Coraz więcej przywoził, coraz więcej rzeczy niebezpiecznych.

Znalazł dwóch wspólników. Jeździli razem z nim. Trzy samochody to nie jeden. Więcej możliwości, więcej pieniędzy. Zaczęli wykonywać kursy na zlecenie. Duże pieniądze, większe ryzyko.

Chrowski kupił lokal tuż przy rynku. Tam miało być jego biuro. Ludzie tam mieli tańczyć, słuchać muzyki, upijać się, zapominać, a on tam miał mieć na zapleczu biuro. Tam miał załatwiać swoje interesy, tam miał spotykać się ze wspólnikami.

On już nie jeździł. Jeździli za niego inni. Krępy, jego pierwszy wspólnik, o blond włosach, jasnych jak piasek na plaży, niski, lecz nie na tyle, że aż mały był zawsze z nim w kontakcie. Jąkał się, gdy mówili o pieniądzach, dużych pieniądzach, jąkał się, gdy mówili o kobietach, rozwiązłych kobietach, przeważnie złych, niecierpliwych, rozkapryszonych, jąkał się, gdy Chrowski coś mu tłumaczył, coś czego nie mógł zrozumieć – ich wspólnej, prawie legalnej przyszłości.

Kaplica, jego drugi wspólnik był wysoki, zbyt wysoki jak dla niego. Jego barczyste ciało przemieszczało się zbyt zachłannie przez światło dnia, przez mrok nocy. Męczył go tłum, męczyli go ludzie. Nigdy nie męczyły go pieniądze, kobiety. Pochodził ze Śląska, jego ojciec, górnik, zginął w kopalni, gdy był mały. To go najbardziej łączyło z Chrowskim. Wspólne nieszczęście z dzieciństwa. Mówił z akcentem, od razu było wiadomo, że nie jest z Krakowa. Jest stamtąd, a słowo stamtąd oznaczało w tym mieście znikąd. Jego łysa głowa kręciła się niespokojnie gdy ktoś patrzył krytycznie na słowa, które wydobywały się z jego ust. Słowa naznaczone obcym dla tego miejsca akcentem.

Kaplica i Krępy załatwiali dla Tadeusza Chrowskiego wszystko. On miał być czysty. Jego twarz miała być obca dla innych. Nieznajoma. Gdy już musiał w przyszłości z kimś porozmawiać zawsze nakładał idealnie dopasowaną maskę na twarz, maskę ciemnego Latynosa i takim go widzieli ludzie, którzy nie mogli nigdy zobaczyć jego twarzy. Był człowiekiem znikąd, był człowiekiem stąd.

Ktoś zapukał do drzwi, ostro, pewnie, a potem klamka się otworzyła, energicznie. Kaplica wszedł do pokoju, zamknął drzwi, usiadł naprzeciwko Tadeusza Chrowskiego.

- Wódki? – spytał Chrowski.

- Tak. Muszę się napić. Ta pogoda, ten deszcz, te zmęczone ulice, to upodlone miasto i ten hałas. Nienawidzę hałasu w którym muszę nieustannie uczestniczyć.

- Hałas to życie, hałas to nadzieja, że wciąż jeszcze żyjemy – Chrowski nalał wódkę sobie i Kaplicy. – Zdrowie – powiedział.

- Zdrowie.

Wypili, chwilę milczeli, zegar tykał niespokojnie na ścianie, w knajpie Tadeusza Chrowskiego. Jego wskazówki szły do przodu, uparcie, z jakąś dziwną obojętnością na czas, na światło, które załamywało się na jego złotej tarczy.

- Jak interesy? – spytał niedbale Chrowski.

- Dobrze. Ludzie przyzwyczaili się do płacenia za spokój w mieście. Nieduże sumy dla nich, duże w skali miasta.

- Pomysł, żeby zrobić kilka awantur w pubach, restauracjach sprawdził się. Nasza pomoc upewniła ich, że płacenie ma jakiś sens.

- Podobalo mi się to, sprawilo mi to przyjemność. Patrzenie, jak podstawieni ludzie niszcza lokal, a potem ja niszcze ich, pozornie – uśmiechnął się Kaplica. – Biłem ich, może za mocno, ale właściciele uwierzyli, że jesteśmy dla nich niezbędni jak powietrze, jak wiatr.

- Jak ogień – dodał Chrowski.

- Zatrudniłem kilku nowych. Tak jak chciałeś. Nie wiedzą o tobie za dużo. Czują, że gdzieś jesteś. To ich uspokaja, daje nadzieję, że ktoś nad nimi czuwa.

- Nadzieja – zamyślił się Chrowski. – Dlaczego nie miałem jej za dużo na początku. Gdybym ją zobaczył wcześniej byłbym innym człowiekiem. Teraz jest za późno.

- Na pewne rzeczy w życiu wciąż jest za późno.

- Jeden z tych ludzi chce cię poznać, chce z tobą porozmawiać.

- Z nikim nie będę rozmawiał. Od rozmów jesteś ty i Krępy.

- Mówi, że to ważne dla ciebie, dla niego. Upiera się.

- Co o tym myślisz?

- Jego upór jest zastanawiający. Znam się na tym. Spotkaj się z nim. Założysz maskę, wysłuchasz go, najwyżej go zwolnimy.

- Zastanowię się.

Znów napili się wódki. Była zimna, chłodna, czysta. Baczewski, tylko taką wódkę pił Chrowski. Nie dla nazwy, nie dla smaku, była wspomnieniem z przeszłości, wspomnieniem dobrym, może jedynym.

- Mam nowy pomysł. Krąży mi po głowie od jakiegoś czasu. Potrzebuję ludzi, którzy mi pomogą. Ludzi w urzędzie, prawników, notariuszy.

- Pomóc ci?

- Na razie nie. Sam to załatwię. Gdy będą trudności, powiem ci.

Wypili kilka kolejnych kolejek. Rozluźnili się. Włączyli muzykę. Wspominali wspólne przejazdy przez granicę, te nerwy, ten strach, to coś, co sprawia, że człowiek żyje, choć wie, że życie okupione jest złem, które wyrządza się innym.

Kaplica wyszedł, Chrowski został sam. Był pijany. Wstał, rozłożył ręce na bok, wyglądał jak ukrzyżowany. Często tak robił gdy był sam, gdy był pijany. Z jego ust wydobywał się jakiś lęk, rana złamana przez czas.

Obok siebie zauważył dwa cienie, też miały ręce rozłożone na bok, też były ukrzyżowane życiem, czasem, jakimś strachem, nie-
możnością złamania tego strachu kiedyś, teraz. Jeden cień, gdy go
oświeciły resztki światła w pokoju to był jego ojciec, twarz miał
zmęczoną, zniszczoną. Płakał, łzy samotnie spływały po jego twa-
rzy. Drugi cień, druga twarz, jasne oczy to był ktoś znajomy, daleki,
lecz jednak bliski. Miał brodę, długie włosy, jakieś dobro w oczach,
nadzieję. Taką nadzieję, że ból jest nieważny, strach jest nieważny,
cierpienie jest nieważne. Człowiek jest ważny i to co jest w czło-
wieku też jest ważne. Może najważniejsze.

Ojciec upadł, potem wstał, drugi cień tylko się patrzył, jego oczy
miały w sobie coś głębokiego, coś pewnego, ostatecznego.

- Za chwilę będziemy wolni, czysti – wyszeptał znajomy cień. –
Bezpieczni...

Potem jego głowa opadła na dół. Ojciec coś krzyknął a jego gło-
wa też popłynęła na dół, niczym rzeka, która szuka swojego źródła.
Zastygły jego oczy, twarz, ręce wciąż rozłożone na bok.

- Tato – jęknął Chrowski. – Dlaczego mnie zostawiłeś? Dlaczego
nie dałeś mi żadnej szansy już na starcie?

Chrowski upadł. Zasnął. Gdy się obudził jego usta były suche,
spragnione wody, spragnione czegoś, co by mu pomogło iść dalej do
przodu.

Chrowski naciągnął maskę na twarz. Chwilę ją układał, pieścił
rękami jak kobietę a następnie krzyknął:

- Można wejść!

Do hotelowego pokoju wszedł Kaplica, obok niego stał niski
mężczyzna o ciemnej karnacji skóry.

- Słucham. Tylko szybko, nie mam za dużo czasu.

- Pochodzę z rodziny żydowskiej. Mój dziadek był kolekcjone-
rem szlachetnych kamieni. Jego kolekcja była duża, cenna. Zbierał
je całe życie – mężczyzna się jęknął, jego głos był niepozszywany,
pourywany na małe frazy językowe. – Każdy się łudził, że jak
umrze, to się wzbogaci. Jednak gdy umarł kamienie zniknęły. Ro-
dzina przeszukała cały dom, przeczytała jego pamiętnik, kamienie
zniknęły bez żadnego śladu.

- Do rzeczy – zaciekawił się Chrowski.

- Mam w domu jego biurko. Tylko tyle moi rodzice wzięli do siebie, na pamiątkę. Resztę rozszarpała rodzina.

- Spadek. Najgorsze słowo tych, którzy przeżyli kogoś bliskiego. Spadek wydobywa z ludzi to, co sami bali się wydobyć z siebie. Spadek jest usprawiedliwieniem zła, które bliscy wyrządzają sobie wzajemnie.

- Ostatnio postanowiłem odnowić to biurko. Gdy nacisnąłem boczną ozdobę wysunęła się szuflada, skrytka. Był w niej projekt trumny. Trumny, którą sam sobie przed śmiercią zaprojektował dziadek.

- Co jest w tym dziwnego?

Za oknem hotelu słychać było szum samolotu. Leciał zbyt nisko, jakby chciał zagłuszyć tajemnicę, która za chwilę ujrzy światło dzienne.

- Na projekcie widać dziwne puste przestrzenie, po bokach trumny. Wyglądają jak puste skrytki.

- Pokaż mi projekt – twardo powiedział Chrowski.

Mężczyzna wyjął projekt z kieszeni. Papier był żółty, pomarszczony, nierówny. Gdy Chrowski go rozłożył na stole, gdy wygładził go prawą, poniszczone już trochę dłonią zamyślił się. Trwało kilka minut zanim obudził się z letargu, zanim z rzeźby przeniósł się w żywe ciało.

- To ciekawe. Gdzie on leży?

- Na cmentarzu żydowskim. Koło Hali Targowej.

- Co chcesz w zamian?

- Dziesięć procent z tego co znajdziemy.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś sam?

- Trzeba zająć się ochroną cmentarza, trzeba w nocy wyjąć trumnę, trzeba zostawić pomnik tak, żeby wydawał się nienaruszony. I transport. To musi zrobić ktoś, kto ma władzę, determinację, znajomości.

- Ktoś, kto ma charakter – dodał Chrowski. – Zgoda – szybko przeanalizował zyski Chrowski. – Jednak jak nic tam nie będzie, to co z tobą zrobię?

- Będę dla pana pracował za darmo przez jakiś czas.

- To uczciwa oferta w tym nieuczciwym świecie.

Podali sobie ręce. Dłoń Chrowskiego była mocna, szorstka, miała smak i zapach władzy, takiej władzy, która nie znosi sprzeciwu, takiej władzy, która jest okrutna.

- Szczegóły omów z Kaplicą.

Gdy opuścili pokój Chrowski podszedł do okna. Spojrzał na Wawel, na jego mury, baszty, na kościół.

- Będę królem tego miasta. Za kilka lat – powiedział do siebie, z taką pewnością, która sama go zaskoczyła.

Krępy nalał kolejny kieliszek wódki do musztardowych kancianych szklanek. Ochroniarz w okrągłej czapce na głowie z długimi pejsami, z oczami załzawionymi podniósł szklankę do góry:

- Za twoją rodzinę. Rodzina jest najważniejsza, nawet ta z przeszłości.

- Rodzina z przeszłości może więcej znaczyć niż rodzina z teraźniejszości – stwierdził Krępy, wypił wódkę i skrzywił się nieznacznie.

- Najważniejsze, że ją znalazłeś. Przychodzisz do mnie tutaj od kilku dni. Dlaczego dzisiaj przyszedłeś wieczorem?

- Poczulem się taki samotny. Wspomnienia z rodzinnej księgi. Te emocje, ta walka o naszą tożsamość, często walka przegrana. To przytłacza człowieka, naciska duszę tak mocno, że człowiek nie może oddychać.

- Rozumiem. Każdy ma takie momenty, gdy wydaje mu się, że nikt nie jest w stanie go zrozumieć.

- Ile lat pilnujesz tego cmentarza?

- Siedem lat. Siedem długich lat. To nie jest praca, to powołanie. Przychodzą tutaj wycieczki w ciągu dnia, w nocy gdy cmentarz jest zamknięty, czuję, że dusze umarłych dobijają się do synagogi w której czuwam. Starają się przez szczeliny wejść do środka. Wiem, że nie robią mi krzywdy, ale się boją.

- Jutro ktoś cię zmieni?

- Tak. Jest nas czterech. Zmieniamy się. Jednak ja tutaj najdłużej pracuję.

- Zdrowie duchów, które są naszymi przodkami!

- Zdrowie!

Na cmentarzu żydowskim, w samym kącie, tuż przy płocie, w okolicy ulicy Siedleckiego, przy blasku czerwonego księżyca było słyszeć metaliczne odgłosy łopaty.

Kilka cieni podniosło i przerzuciło marmurową płytę na bok. Przymglone światła oświetliły trumnę. Kilka minut i była już na górze.

- Otworzyć ją – cicho szepnął Kaplica.

- Tutaj?

- A gdzie? Ciało musi zostać w środku, należy mu się szacunek. Co z nim potem zrobimy, wrzucimy do rzeki?

Otworzyli trumnę. Zobaczyli kości, resztki materiału, może ubrania, może garnitur, który teraz był niczym, był pustką i przerzucili to wszystko do lnianego worka. Potem delikatnie wrzucili to do dołu, do grobu, który tylko milczał, posępnie patrzył na przestraszone twarze.

Zamknęli grób. Przez chwilę znieruchomieli. Usłyszeli sygnał policji z oddali. Kilka minut trwali w bezruchu, niczym pomniki na cmentarzu, a potem gdy sygnał rozpląnął się w ciemności wzięli trumnę i ruszyli w kierunku ogrodzenia.

- Ostrożnie – powiedział z lękiem Kaplica.

Doszli do muru. Kaplica zagwizdał. Usłyszał gwizd z drugiej strony.

- Przerzucamy – powiedział Kaplica.

Trumna uniosła się do góry, znikła z drugiej strony muru.

- Przeskakujemy.

Kilka cieni przeskoczyło mur. Wsiedli do samochodów zaparkowanych na ulicy Siedleckiego i ruszyli powoli w mroku nocy.

- Krępy, jak upije ochroniarza, przyjedzie do nas.

- Od ilu dni do niego zaglądał?

- Od tygodnia. Musiał się z nim zaprzyjaźnić. Dowiedzieć się, kiedy ma zmianę nocną.

- Z tą jego pochowaną rodziną to był dobry pomysł.

- Grób wygląda jak nienaruszony. A, że w środku czegoś brakuje, to szczegół.

- Szczegóły określają niewidzialność życia. Nieokreśloność schowaną za niewidzialną przeszłością.

Rozkładali trumnę na małe fragmenty. Robili to ostrożnie, z jakąś niepewnością. Czuli się, jakby dotykali małych odcieni śmierci, które teraz schowane, za chwilę uciekną do świata żywych. I dotkną pierwszą napotkaną osobę na swojej drodze.

- Coś jest – Kaplica mocniej wcisnął rękę w środek brzegu trumny. Wyciągnął lniany brązowy worek.

- Otwórz go – rzekł Chrowski, jak zwykle schowany za swoją maską.

Na drewnianym, popękanym od sęków stole rozsypali kamienie. Było ich dużo. Małe, duże, średnie o różnych barwach, o różnych kształtach.

- Jest jeszcze jeden, drugi i następny – zaśmiał się Kaplica. – Czuję, że będziemy bogaci.

Rozsypali kolejne kamienie na stół. Przed ich oczami, w blasku żółtego światła ukazała się łąka barw, kolorów, jasności jakiej jeszcze nikt z nich wcześniej nie widział.

Smaragdy swoim zielonym blaskiem oświeślały ich oczy. Ich kontury, gęstość, połysk, taki szklisty, nasycony onieśmiał ich. Zaniemówili. Pomiędzy nimi były różowe, krwisto-czerwone rubiny. Kilka topazów bezbarwnych, niektóre niebieskie, inne brązowe, jeden żółty toczyły walkę ze sobą, walkę z przymglonymi skrawkami światła.

Na samych krańcach stołu, tuż koło siebie leżały niebieskie rubiny, wyglądały jak niebo, które tylko z oddali może patrzeć na świat, zerkać ukradkiem na życie.

Chrowski podniósł ze stołu największy kamień, spojrzał w jego krystaliczną niebieską barwę i powiedział:

- Szafiry to święte kamienie prawdy i sprawiedliwości. Szafir oznacza pokój, przyjaźń, stałość. A my stałości potrzebujemy wciąż, nieustannie.

Chrowski był oszołomiony. Tyle kamieni, duże, czyste, zarazem niebezpieczne. Niektóre tylko znał, większość była dla niego obca, tajemnicza.

- Bliskość kamieni oznacza niebezpieczeństwo, oznacza zatrącenie. Schowamy je do skrzynki. Kończymy. Trumnę spalić w piecu, żeby nie było żadnych dowodów. A ty – spojrzał na nowego członka ich grupy – obłowisz się, dziesięć procent to będzie bardzo dużo.

Chrowski wyszedł, Kaplica wydał kilka krótkich rozkazów, dopilnował ich wykonania i uśmiechnął się. Instynkt go nie zawiódł. Wyczuwał pieniądze na odległość. Dobrze, że zaufał nowemu.

- A teraz zapraszam do mnie. Należy wam się nagroda. Trochę wypijemy, trochę posłuchamy muzyki, trochę pomarzemy o przyszłości. Lepszej przyszłości dla nas wszystkich.

Chrowski siedział w fotelu. Telewizor coś pokazywał, coś krzyczał, coś nienawidził – dużo obrazów, mało treści. Ktoś zapukał do drzwi.

W drzwiach stał Kaplica, coś trzymał w ręce. Podeszedł do Chrowskiego, podał mu starą, zniszczoną kartkę.

- Przeczytaj.
- Domu strzegą piwnice. W nocy zawsze błyszczą złotym blaskiem. Co to jest?
- Znalazłem to w jednym z worków.
- To ma jakiś sens?
- Myślę, że tak. Czarny powiedział, że dziadek w ostatnim okresie, tuż przed śmiercią, często schodził do piwnicy.
- Rodzina przeszukała dom, piwnice, nic nie znaleźli.
- Nie mieli tej wskazówki.
- Co oznacza to zdanie? Może wszystko, może nic.
- Kamienica mieści się przy ulicy Wawrzyńca, tuż koło starej zajezdni tramwajowej. Teraz mieszka tam ktoś inny.
- Jak się tam dostaniemy?
- Ekipa remontowa. Gaz wymieniamy, może prąd, zobaczymy co tam szwankuje. Zrobimy to w ciągu dnia, na pewniaka.
- Warto? Złotym blaskiem, co to może być?
- Zobaczymy. Zrobię rozpoznanie. Załatwię to.
- Zajmij się tym. Ja pracuję nad czymś innym.

Kaplica wyszedł z pokoju. Chrowski podeszedł do okna. Spojrzał na miasto z góry. Bloki, kamienice, ulice – dużo betonu, mało wiary. Hałas, szum, brak ciszy – dużo krzyków, mało skupienia, zauważalności. Powietrze gęste, często suche, trudne do zaakceptowania – ludzie się duszą, prawie nie istnieją. Tysiące rozmów, mało słów, zrozumienia. I ten pośpiech, niepotrzebny, nieistotny, paraliżujący. Pośpiech bez żadnych oznak życia. Istnienia.

- Muszę się zakochać. Znaleźć kobietę, która będzie ze mną bez względu na wszystko. Która będzie mnie rozumieć. Wy tłumaczy mi, dlaczego jestem taki, jaki jestem. Dlaczego wydaje mi się, że żyję, choć tak naprawdę nie żyję wcale. Nie żyję od dłuższego czasu.

Piwnica była brudna, zakurzona, śmierdząca. Śmierdziała jak całe miasto, jak jego ulice, skrzyżowania, powietrze. Jak ludzie śmierdzący swoim strachem, niemożnością pokonania tego strachu resztkami odwagi, która w nich jeszcze została.

Kaplica patrzył na ściany, czerwone, z cegieł, z kamienia, z nierówno poukładanych głazów na wysokości jego twarzy.

- Gdzie to może być?

- Co? – spytał Krępy.

- Nie wiem co. Wiem, że to tu jest, czuję to. Szukajcie po ścianach, po ziemi.

Byli tam od trzech godzin. Nic nie znaleźli do tej pory. Byli zmęczeni, przykurzeni czasem, który tutaj kiedyś zastygł na zawsze, zniechęceni. Nie było w nich wiary, nadziei.

Usiedli na ziemi. Ciężko dyszeli. Ich oddechy były nierówne, niespójne, brak w nich było harmonii, stabilizacji.

- Otwórzcie okno – powiedział Kaplica. – Dusznio tu.

Czarny próbował otworzyć okno. Siłował się z nim jakiś czas, jednak nie udało mu się go otworzyć.

- Pomogę ci – Krępy chwycił z nim żelazne okno za kratę. – Ale ciężkie, dawno tego nie otwierano.

Po chwili w piwnicy rozległ się głuchy, metaliczny zgrzyt. Okno powoli się otwierało.

- Ciężkie te okiennice. Kiedyś liczyła się jakość, bezpieczeństwo. Nie to co dzisiaj.

Słońce wdarło się do ciemnej przestrzeni. Oświeciło stare kształty, otarło się o ich niewymiarowe kontury i uciekło poza piwnicę, na korytarz.

Kaplica wstał, chciał podejść do okna, potknął się o jakiś kształt. Upadając zahaczył ręką o kratę. Jego duży sygnet otarł się o metalową przeszkodę.

Wstał, zaklął, jego oczy miały w sobie gniew, zapach nienawiści do przedmiotów martwych. Spojrzał na okno. Coś mu rozjaśniło

wzrok. Podeszedł do okna, zobaczył coś złotego, jasnego, w miejscu gdzie sygnet otarł się o kratę.

Wyciągnął scyzoryk, zaczął drapać metalowe okiennice. Złota barwa coraz mocniej ocierała się o promienie słońca.

- Złoto – jego oczy nabierały coraz mocniejszej barwy. – Kraty ze złota.

Łomami, młotkami wyłamali trzy okna z metalowymi kratami, z okiennicami ciężkimi, solidnymi. Załadowali to do dużej skrzyni i wyszli na ulicę. Ich zielone nakrycia na ubraniach, seledynowe nie wzbudzały żadnych podejrzeń. Wyglądali jak ekipa remontowa. Wsiedli do dostawczego samochodu, odjechali brukową drogą. Skręcili w prawo, w kierunku Podgórza. Minał ich jeden tramwaj, potem biała dorożka. Kierowali się w kierunku domu Kaplicy.

Chrowski nie mógł uwierzyć. Oczyszczone złoto leżało na dużym stole. Część na podłodze.

- Dużo tego. Mamy ostatnio zbyt dużo szczęścia. To niebezpieczne.

- Dlaczego?

- Niebezpieczeństwo tkwi w łatwości ocierania się o szczęście. Gdy ono mija, a musi kiedyś minąć, zostają złudzenia, rozgoryczenie. Jeszcze nie jesteśmy gotowi na brak szczęścia.

- Co z tym zrobimy?

- Sprzedamy. Mam zaprzyjaźnionego złotnika. Da dobrą cenę.

- Weźmie wszystko?

- Tak. Jeśli będzie dobra cena. Sam zarobi, coś sprzeda innym, resztę przerobi na łańcuszki, pierścionki, obrączki.

- Mamy kapitał. Co z nim zrobimy?

- Mam kilka pomysłów. Daj mi czas.

- Oswajamy miasto coraz bardziej. Ludzie, miejsca są z nami coraz bardziej bezpieczne.

- Bezpieczne w swoim niebezpieczeństwie.

Kolacja w Hotelu Starym, na samym dachu, pośród kominów, dachówek, okien błyszczących małymi światłami, pośród świec rozłożonych przy każdym ze stolików, przy muzyce grającej cicho,

prawie niezauważalnie, płynącej niczym ptak w kierunku gniazda, zapowiadała się ciekawie.

Chrowski patrzył na Ilonę z zachwytem, była jak anioł z innego świata. Jej długie blond włosy, mocne czerwone usta, zawsze spięte, uszy przylegające niezauważalnie do skóry, długie dłonie zakończone miękkimi palcami, szafirowymi paznokciami i te granatowe oczy, przeważnie milczące, często niespokojne, niespójne, czasami czujne. Była z nim tutaj, teraz, łączyła ich wspólna chwila, wspólny czas, wzajemne kształtowanie rzeczywistości w niezależny sposób.

- Jak ci się podoba to miejsce?

- Jest tutaj inaczej. Wyżej oznacza lepiej – Ilona spojrzała na dachy kamienic mieniające się zaciemnionym światłem księżyca.

- Zawsze chciałem przyprowadzić tutaj kogoś, kto wiele dla mnie znaczy.

- Wiele oznacza jakąś zależność, uzależnienie. Nie wiem, czy jestem gotowa na uzależnienie od kogoś innego.

- Uzależnienie to nie jest niewola, to wolność jaką daje nam inny człowiek. Wolność bez żadnych ograniczeń, gdy kogoś mocno kochamy.

- Nigdy nie kochałam tak mocno, żeby się od kogoś uzależnić.

- Miłość bez ograniczeń, to ci oferuję. Już teraz wiem, że cię kocham. Pewne rzeczy wie się od razu. Nie potrzeba dużo czasu, żeby pewne rzeczy zrozumieć właściwie.

- Jesteś interesujący – stwierdziła Ilona pijąc czerwone wino, jego konsystencja odbijała się od złotego blasku świecy, lekko drgającej w rytmie wiatru.

- Tylko interesujący?

- Masz tajemnicę, zresztą jak każdy. Świat składa się z tajemnic ukrytych w ludziach. Niekiedy te tajemnice ukryte są w oczach, gestach, twarzach, często w duszy. A czasami są niewidoczne, niezauważalne, i te są najbardziej niebezpieczne.

- Ty nie masz żadnej tajemnicy?

- Wyczuwam kłamstwo w ludziach. Od razu. Mam to od urodzenia. Wiem, kiedy ludzie kłamią. Nie wiem dlaczego, czego nie chcą powiedzieć, ale to wiem. Nigdy się nie mylę. Więc – Ilona się uśmiechnęła – jeśli chcesz ze mną być, nigdy mnie nie okłamuj. Lepiej nic nie mów, jeśli miałbyś kłamać.

- Nie mogłabyś być politykiem – uśmiechnął się węglowymi oczami Chrowski.

- Adwokatem, sędzią, prokuratorem, dziennikarzem. Nie mogłabym być wieloma osobami, więc jestem sobą.

- To ci wystarcza? Bycie sobą?

- Na razie tak. Choć z wiekiem rozumiem, że coraz ciężiej być sobą w dorosłym życiu.

- W dzieciństwie jest łatwiej?

- O wiele łatwiej. Dzieci mogą więcej niż dorośli, choć tak dużo się od nich wymaga już na początku.

- Miałaś szczęśliwe dzieciństwo?

- Lepsze niż ty – Ilona spojrzała mu z jakimś napięciem w oczy.

- Skąd wiesz, że miałem złe dzieciństwo?

- Gdybyś miał dobre, nie pytałbyś mnie o moje. Szukasz usprawiedliwienia tego, co ci się wydarzyło kiedyś w przeszłości.

- Znajdę odpowiedź?

- Nie znajdziesz. Na niektóre rzeczy nie ma dobrych pytań, dobrych odpowiedzi. Odpowiedzią jest życie, które dla niektórych zawsze będzie niesprawiedliwe, niezrozumiałe.

Ogień unosił się coraz wyżej, prawie dotykał chmur, nieba. Silny wiatr od łądu spychał go coraz bliżej morza. Ludzie uciekali w panice, szary pył rozmazywał wszystko wokół. Świat stawał się niewidzialny, przykurzony.

Kobiety coś krzyczały w ciemności, dzieci płakały, mężczyźni niecierpliwie szukali bliskich, żon, dzieci, kochanek. Panował chaos, zniecierpliwienie, prawie histeria.

Chrowski biegł w kierunku plaży. Za sobą słyszał krzyki.

- Uciekać w kierunku morza! Tam są łodzie! Tylko morze może nas ocalić! Musi ocalić!

Za sobą zobaczył detektywa hotelowego. Biegł za jakimś innym mężczyzną. Coś krzyczał do niego.

- Nie unikniesz kary! – tak to brzmiało, tak to musiało brzmieć.

Łódziej popatrzył się za siebie i biegł dalej. Czuł, że tłum go ocali, ogień go ocali.

Chrowski zobaczył, że domy, hotele zaczynają płonąć tuż za nim. Dym dusił go coraz bardziej. Obok niego wybuchały samochody od ognia. Jakiś samolot zaczął spadać w kierunku morza.

Piekło, pomyślał, tak musi wyglądać piekło. Piekło to strach, że życie zawsze już będzie wyglądać, tak jak wygląda teraz.

Dobiegł do plaży. Zobaczył duży ponton. Wraz z kilkoma osobami wsiadł do niego. Zaczęli płynąć w kierunku morza. Nic nie widzieli, tylko szara mgła, tylko pustka i ciemność za dnia. Ludzie, którzy nie dostali się do łodzi wchodzili do wody. Zanurzali się, żeby nie spłonąć żywcem na plaży. Tuż obok łódź się przewraca, ktoś zaczął krzyczeć, tonąć. Nikt nie mógł pomóc, nikt nie chciał pomóc. Świat się walił, umierał na oczach ludzi.

W łodzi panowała cisza. Śmiertelna ucieczka, śmiertelny film wciąż rozdawał złe karty ludziom.

I tak tkwili całą noc. W oddali widzieli ogień który pożera na plaży ludzi, zabiera hotele, baseny, drzewa, domy, samochody pod swoje panowanie. Ogień był królem, ogień był śmiercią.

Nad ranem wszystko się uspokoiło. Wiatr rozwiał szarą powłokę, ogień został ugaszony przez ludzi, przez lekki deszcz, który pojawił się tuż nad ranem.

Dopłynęli do plaży. W morzu, tuż przy brzegu pływały trupy. Na plaży niczym posągi tkwiły martwe zwęglone ciała. Niektóre były wtulone w siebie, objęte, schowane, skurczone, jakby chroniły się przed bólem, przed sobą.

Chrowski prawie nie oddychał. Chodził pośród tych ciał, posągów i czuł, że oddech mu zamiera, truchleje w środku.

Zobaczył dwa ciała złączone ze sobą. Objęte z taką rozpaczą razem. Na szyi jednego z mężczyzn ujrzał łańcuszek z krzyżem, teraz zwęglony, przyciemniały. Rozpoznał detektywa, a mężczyzna, którego tak rozpaczliwie obejmował to był złodziej.

- To śmierć ustala granice, to śmierć niszczy granice jakie łączą ludzi z ludźmi.

Chrowski obudził się. Koszmar, zły sen, złe przeczucie, które kiedyś może go spotkać w przyszłości.

Obok spała Ilona. Jej długie blond włosy w nieładzie spały wraz z nią. Tak spokojnie oddychała w atlasowej pościeli.

Była aniołem, który pojawił się w jego życiu, żeby go uratować. Aniołem, który stracił pamięć. Jedyne co wiedziała, co mogła wiedzieć, pamiętać, to mały fragment wspomnień, że trzeba komuś pomóc na ziemi. Właśnie jemu, Tadeuszowi Chrowskiemu.

Pocałował ją w szyję. Ona uśmiechnęła się poprzez sen. Jej skóra miała zapach lawendy, zapach nadziei. Dotknął jej włosów. Były takie miękkie, takie ciepłe, puszyste. Rozpływały się pomiędzy jego palcami.

- Kocham cię – powiedział do niej. – Kochałem cię, zanim cię spotkałem. Kochałem twoją nieobecność, twoją niezauważalność w moim świecie, kochałem to co musi się kiedyś zdarzyć, gdy już pojawisz się w moim życiu. Czasami kocha się to, co kiedyś ma nadejść, musi nadejść. Kocha się nadzieję, która pojawia się w nas wraz z miłością.

- Jak działają lombardy? – spytał Chrowski Kaplicę.

- Doskonale. Ludzie wciąż nie mają pieniędzy. Przynoszą dosłownie wszystko, a potem nie mają pieniędzy żeby to wykupić. Sprzedajemy to z zyskiem. Znacznym zyskiem.

- Budujemy twierdzę na nieszczęściu – zamyślił się Chrowski. – Wszystko co robimy budujemy na nieszczęściu. Każda rzecz której się dotykam ociera się o nieszczęście innych ludzi.

- Robimy to dla pieniędzy, żeby lepiej żyć. Żeby zapomnieć o życiu z wczoraj.

- Tak – Chrowski wciąż był zakłopotany. – Niektórzy ludzie zawsze idą drogą, która ociera się o nieszczęście innych ludzi. Nic tego nie zmieni. Ani inni ludzie, ani miłość.

- Nie jesteśmy źli – Kaplica popatrzył się za okno, na niebo, w oddali było widać stado czarnych kruków. – Jesteśmy tacy jak świat, tylko bardziej zdecydowani niż inni. Posiadamy więcej motywacji niż inni.

- Trudno – stwierdził Chrowski, gdy usiadł przy swoim dębowym biurku. – Ktoś musi iść do piekła, nie każdy ma szansę zostać aniołem – i wtedy Chrowski przypomniał sobie dzieciństwo.

W radio zaczął lecieć znajomy kawałek, z gitarową solówką. Chrowski się zamyślił. Przypomniał sobie ojca, czasami, gdy był mniej pijany brał rakietę do tenisa ziemnego, drugą dawał jemu i

udawali, że grają na gitarach, że są zespołem rockowym na scenie, grają na stadionie dla tysięcy ludzi. Był wtedy taki szczęśliwy, on, ojciec i czas, który razem spędzali. Czas szalony. Czas za krótki, czas chwilowy. Potem ojciec wychodził i szedł dalej pić. Rakietki leżały znów w szafie, umierały w szafie. Powoli uchodziło z nich życie.

Plan miasta leżał na stole. Chrowski go gładził pieszczotliwie, z troską, z obawą, że coś mu z niego zniknie, rozmaże się na wieczność.

- To tutaj – pokazał prawą ręką, dużym palcem od lewej.

- Jesteś pewny? – spytał Kaplica.

- Tak. Osoba zaufana, z urzędu, powiedziała, że tam będzie biegła autostrada.

- To nieużytki. Dzikie pola. Jeśli urzędnik się myli nigdy tego później nie sprzedamy.

- Ludzi przybywa, miast przybywa, a ziemia wciąż jest ta sama. Stała. Nie powiększa się, nie rozrasta. Na ziemi nigdy się nie straci.

- Więc kupujemy.

- Wszystko. O, tutaj. Jeśli ktoś nie będzie chciał jej sprzedać, wiesz co masz robić.

- Pomóc mu w decyzji. Nasze decyzje są ich decyzjami.

- A tutaj – Chrowski wskazał palcem kolejny punkt na mapie – zbudujemy halę. Jak najtańszym kosztem. Znajomy wyceni ją wysoko, tak też ją ubezpieczymy. Później sprzedamy ją wraz z ziemią, za zawyżoną cenę.

- Zapłacą?

- Będą musieli. Planów nie zmienią.

- Będzie stała pusta, tyle lat?

- Nie, wynajmiemy ją jakiejś firmie. Na jakiś czas. Niech zarabia na siebie.

- Dobrze. Zajmę się wszystkim. Nie za dużo tych interesów?

- Powiedziałem ci kiedyś, że to miasto będzie nasze. Na razie jest tylko częściowo nasze, poprzez siłę, determinację, upór.

- Poprzez niesprawiedliwość – uśmiechnął się Kaplica.

- Fortuny, zwycięstwa odnosi się tylko przez niesprawiedliwość.

- Przez skutki tej niesprawiedliwości w prawdziwym życiu.

Orkiestra grała ich wspólną melodię, tę, którą słyszeli gdy się poznali.

- Wyjdiesz za mnie? – spytał Chrowski, trzymając w ręce pierścionek z diamentem.

- Będiesz dla mnie dobry?

- To, że jestem zły dla innych, nie oznacza, że będę zły dla ciebie. Miłość zmienia w człowieku wszystko, nawet złe przyzwyczajenia.

- Dobrze – uśmiechnęła się Ilona do świec na stole, do lampek z czerwonym winem, do róż, które stały na białym, dużym obrusie. – Wyjdę za ciebie.

Chrowski uśmiechnął się. Przez chwilę zawiesił swoje mroczne spojrzenie na pierścionku, a potem rzekł:

- W końcu będę miał rodzinę, po tylu straconych latach.

- Stworzymy wyspę, do której nie będą przypływać żadne statki. Będziemy tam sami, sami ze sobą.

Chrowski pocałował ją w usta. Były ciepłe, wilgotne, wciąż nienasycone.

- Wyspa szczęścia. Wyspa zapomnienia. Wyspa pełna niepokoju – cicho szepnął jej do prawego ucha. – A tam tylko ty i ja. I ptaki, i drzewa, i plaża, i morze, i kwiaty, dużo kolorowych kwiatów.

- Łąka pełna kwiatów – rozmarzyła się Ilona. – To piękne, będziemy żyć na łące pełnej kwiatów.

A orkiestra wciąż grała i grała. Jakieś francuskie, potem włoskie piosenki, te znane, te osłuchane, te, które już przetrwały próbę czasu.

- Za dużo tych pustych kamienic, nie mogę na to patrzeć – Chrowski nerwowo chodził po pokoju. – Przecież mogę być właścicielem każdej z nich. Spadkobiercą.

- Potrzebne są dokumenty. Ktoś to musi potwierdzić. Ktoś musi podpisać te dokumenty. Potrzebny jest dobry notariusz, prawnik, prokurator, ktoś w urzędzie. Każdemu trzeba zapłacić.

- I zapłacimy. Przejmiemy wszystkie puste kamienice w mieście. I te, w których mieszkają ludzie, a właściciel nie jest do końca znany.

- Jak to zrobimy?

- Podniesiemy czynsze, gdy kupimy kamienicę, potem remont, brak wody, gazu, ogrzewania w zimie. I awantury, i nieustające kłótnie w mieszkaniach, gdzie zamieszkają nasi ludzie. To wykończy najbardziej upartych.

- Pomysł dobry. Zarobimy na tym ogromne pieniądze.

- Kiedyś... Kiedyś na tym zarobimy ogromne pieniądze. Na razie inwestujemy.

- Kamienica to miliony. Ktoś musi zaniżyć ich wartość.

- I zaniży, gdy na tym zarobi. Pieniądze zmieniają ludzi, gdy mogą o czymś decydować. Ci, co decydują, zarabiają. Ci, co decydują dużo, dużo zarabiają.

- No, to kupujemy – Kaplica podniósł szklankę whisky do góry.
– Za przyszłość tego miasta.

- Za miasto, którego jedyną przyszłością jesteśmy my! – Chrowski stuknął się swoją szklanką z Kaplicą.

- Jestem w ciąży – Ilona dotknęła delikatnie ręką swój brzuch. Poglaskała go pieszczotliwie. Tak z troską, tak z nadzieją.

- Jesteś pewna?

- Tak. Teraz tak. Zawsze chciałam mieć dziewczynkę. A ty?

- Chłopca – stwierdził Chrowski. – Ktoś musi przejąć to, co ja tak ciężko wydarłem życiu.

- Zobaczymy – Ilona znów poszła do lodówki. – Lubię mieszać smaki od pewnego czasu.

- Lubię mieszać w życiu od pewnego czasu – stwierdził Chrowski.

Podszedł do Ilony, objął ją od tyłu w pasie, przytulił mocno do siebie. Nie broniła się, kochała jego mocne dłonie, ciężkie palce, lekko uśpiony, prawie czujny oddech. Odwróciła się do niego. Poczula jego zapach perfum, który niczym płaszcz zaczął ją otulać do snu. Czula, że zaczyna drżeć. A gdy jej skóra zaczynała drżeć, zaczynała go pragnąć, mieć w sobie jak najdłużej. Wtedy czula, że jest tylko jej, tak do końca, tak na zawsze. Nie ucieka od niej, bo nie chce, bo nie może. Uzależnia go wtedy od siebie na jakiś czas, na zawsze.

- Chodźmy do łóżka – powiedziała niczym kotka. – Tam zapomnimy o wszystkim.

- O nas?

- Nie. O nas nigdy nie zapomnimy, bo nie chcemy, bo nie możemy, bo by nas to zniszczyło, zniewoliło, upodliło, przygniotało zbyt mocno do ziemi. A my tego nie chcemy, prawda?

- Nie chcemy leżeć zbyt mocno przytuleni do ziemi. Po pierwsze niewygodnie, po drugie niesprawiedliwie, po trzecie niewiele stamtąd widać.

- Więc nie zapomnijmy nigdy o sobie, a wtedy będziemy lepiej żyć, ostrzej dostrzegać miłość, która wciąż będzie dookoła nas.

- Dookoła nas – powtórzył Chrowski i wziął ją w ramiona, tak mocno jak nigdy dotąd nie brał w ramiona żadnej kobiety. Obcej kobiety. Nieoswojonej kobiety.

- Teraz mają papierosy, dwa tiry – cicho, prawie szeptem powiedział Kaplica.

- Kupiłeś? – spytał obojętnym tonem Chrowski, lecz za tym prawie zgaszonym tonem krył się jakiś niepokój, napięcie.

- Teraz przychodzą tylko do nas, taką mamy umowę. Cokolwiek będą mieli, nie ważne co, wszystko bierzemy w całości, lecz za odpowiednią cenę. Oni już nie muszą szukać odbiorców, my mamy zysk. Dwie strony są zadowolone.

- A jak poszło z whisky?

- Jack Daniels rozszedł się błyskawicznie. Po barach, wśród ludzi, przez naszych ludzi. Był jeden warunek, sprzedajemy kartonami.

- Na wszystko jest popyt za odpowiednią cenę – stwierdził lakonicznie Chrowski.

- Najważniejsze, że prawie nikt nic o tobie nie wie. Ludzie coś czują, że jesteś, że za tym wszystkim stoi jedna osoba, lecz nikt nie wie jaką, jaką ma twarz i czy naprawdę istniejesz. Może to jestem ja za inną maską. Może marionetka, która gra dobrze ułożoną rolę dla niej. A może nie ma nikogo. Jest tajemnica, która sprawia, że jesteśmy bardziej niebezpieczni.

- Nieprzewidywalni. Prawdziwa siła tkwi w nieprzewidywalności. Ten kto jest nieprzewidywalny, zawsze jest niebezpieczny.

Kaplica podszedł do barku, nalał sobie whisky. Brązowy płyn, zimne kostki lodu, cicha gra cieni, światła, które odbijało się w szkle

i ta ulga, która pojawiła się na twarzy Kaplicy. Ulga, która niszczyła w nim całe napięcie, cały niepokój.

- Skupiasz w sobie coraz więcej władzy. Co ważne, jako jedyny jesteś czysty. Boję się pomyśleć, co będzie dalej. Gdy masz pieniądze, władzę, kobiety, masz wszystko. Gdzie jest wtedy kres działań człowieka? Gdzie jest granica, gdzie znajduje się linia za którą może być wszystko, może być nic?

Chrowski stuknął się z nim szklanką. Uśmiechnął się tajemniczo.

- Mam jeden plan, szalony. Plan naszej przyszłości. Kiedyś ci o nim opowiem. Jak się uda, będziemy mogli robić wszystko w tym mieście. Wszystko w majestacie prawa.

- Nie jesteś szaleńcem? – zaśmiał się Kaplica.

- Jestem szaleńcem skazanym na sukces. Jestem szaleńcem skazanym na władzę. Jestem szaleńcem, który wszystko zmieni w tym mieście.

Dziecko leżało w łóżeczku. Spało. Jego głowa, ręce, małe nogi, lekko rozłożone na boki, jego uśpiony uśmiech lekko przygaszony światłem lampki, światłem żółtym, ciepłym, bezpiecznym, to wszystko, to nic, sprawiało, że twarz Tadeusza Chrowskiego była szczęśliwa. Ta twarz, ta ulga, która czaiła się w jego oczach, te wszystkie rzeczy naraz, te wszystkie rzeczy osobno mówiły, że złe dni, złe przeszłe czasy już dawno zniknęły z jego życia. Przetrwał je, przetrwał, zmiął jak starą gazetę i wrzucił do przypadkowego śmietnika a potem wrzucił tam zapalnik i patrzył jak wszystko płonie, jak ogień go na nowo wyzwala, rozświetla przed nim nowe horyzonty. Jego horyzonty.

- Mój syn – w oczach Chrowskiego pojawiły się łzy. – Jan. Sprawię, że kiedyś będziesz wielki, większy niż ja. Nie będziesz musiał robić złych rzeczy, żeby stanąć na szczycie.

- Spraw, żeby był szczęśliwy – cicho szepnęła Ilona.

- Może być szczęśliwy i wielki. Jedno nie wyklucza drugiego.

- Wielkość przeważnie nie oznacza szczęścia. Wielkość to samotność i brak wiary, że ludzie obok są przyjaciółmi.

- Jan będzie wyjątkowy, więc wyjątkowe będą jego cechy. Będzie miał duszę artysty a rozum władcy. Nauczę go, że serce może

być inne od rozumu, że różnica może pomagać życiu, nie musi niszczyć życia.

Jan obudził się, lekko otworzył swoje zielone oczy. Przeciągnął ręce w łódeczku. Uśmiechnął się.

Chrowski wziął go na ręce. Podniósł do góry.

- Moja krew, moje życie, moja dusza w innym ciele, moim ciele. Jesteś lepszą kopią mnie samego. Kopią niezniszczalną, kopią nie skończoną.

- Na pewno ma też coś ze mnie – stwierdziła mocnym tonem Ilo-na.

- Ma twoją urodę, twoje mocne usta, twoją determinację w dążeniu do szczęścia. I ma twój uśmiech.

- Daj mi go na ręce. Muszę go nakarmić.

Chrowski wyszedł z pokoju. Usiadł przy kominku. Rozpalił ogień. Patrzył się jak płomienie skaczą z drewna na drewno. Zamyślił się. Czuł się taki spokojny dzisiaj, taki bezpieczny.

- Jak cienka jest granica pomiędzy szczęściem a nieszczęściem? Jak cienka jest granica pomiędzy przeszłością a teraźniejszością? – powiedział do coraz mocniejszego ognia w kominku. Intensywniejszego niż światło księżyca za oknem.

Miał takie dni gdy czuł się nieswojo, miał takie dni gdy czuł się obco, źle. Czuł się tak nawet wtedy, gdy pozornie wszystko szło dobrze, wręcz doskonale. Nie wiedział dlaczego tak się dzieje, czy to zła przeszłość, złe wspomnienia, złe nawyki przeszłe, teraźniejsze, złe ulokowane pragnienia, w złych czasach, w złych momentach, niepotrzebne kobiety, które kiedyś chciał, choć wszystko mu mówiło, że nie powinien ich chcieć, to wszystko razem, to wszystko osobno, sprawiało, że wtedy musiał być sam.

Nie potrzebował wtedy nikogo koło siebie. Nie potrzebował powietrza, wody, jedzenia.

Siadał wtedy przy kominku (ten ogień, jak dobrze go znał, rozumiał), siadał wtedy przy ciepłe, które unosiło się po pokoju, nalewał sobie whisky i pił. Gdy czuł, że coś w końcu zaczyna w nim żyć, żyć tak naprawdę, bez brudów świata zewnętrznego, podchodził do windy i zaczynał puszczać muzykę. Tak bez żadnego określonego celu,

jaka to ma być muzyka, kto ma śpiewać, puszczał ją prawie po omacku, wręcz jak ślepiec szukający rozpaczliwie drogi do domu.

„Chciałbym być sobą...” usłyszał z wieży. Ile razy ja chciałem być sobą, myślał, ile razy próbowałem, aż w końcu poległem. Poddałem się, gdy zrozumiałem, że już nigdy nie będę sobą, w takim kształcie jakim chciałbym być. Będę tylko tym, kim mogę być. Jeszcze mogę być...

„Miałem kiedyś piękny dom...” zamyślił się Chrowski, a w jego oczach pojawiły się łzy. Ten dom, pierwszy, ważny, może najważniejszy, a było w nim tyle cierpienia, bólu. Kochałem go, pomimo nienawiści, która się we mnie w nim rodziła. Nienawiści do ojca, że nie chciał go zbudować inaczej, do matki, że w tym tkwiła, choć wiedział, że musiała tkwić – to była jej siła, to był jej bunt wobec niemożności pokonania tego cierpienia. A potem były inne domy, lepsze, gorsze, bardziej miejsca niż domy, miejsca gdzie jego ciało odpoczywało, uciekało od świata, chowało się w noc, gdy już potrafił normalnie zasypiać. I ten nowy dom, koło Krakowa, żona, syn. Czy znów kiedyś wszystko zniknie? Czy ktoś, kto nigdy nie miał domu, ma szansę otrzymać dom na dłuższy czas?

„Z tobą, albo bez ciebie mogę żyć...” Chrowski spojrzał na zdjęcie Ilony. Czy mógłbym ruszyć do przodu, gdybym ją nagle stracił? Może mógłbym, ale na jak długo, na jak odległy okres czasu. Teraz była wszystkim, myśl, że mogłaby stać się niczym paraliżowała go, niszczyła. Bał się, że rzecz nieodwracalna mu ją kiedyś zabierze. I wszystko będzie inne. I wszystko będzie odległe. Bolesne.

Znów zmienił płytę. Tak na pamięć. Zamknął oczy, wsadził ją do wieży i zaczął słuchać. Już był pijany, na tyle pijany, że słowa piosenek do niego wchodziły, przemieszczały się w nim, błdziły w labiryntach jego myśli. Były nim, on był nimi.

„Oni zaraz przyjdą tu...” to co robię może sprawić, że ludzie, którzy nigdy nie powinni przyjść, znajdą mnie i nagle pojawią się w moim życiu. I życie się wtedy zmieni. Zegar na ścianie zacznie rozpaczliwie kukać, a wskazówki zaczną coraz szybciej poruszać się naokoło swojej tarczy.

Nalał sobie whisky, trochę niezdarnie, brązowy płyn wylał się na prawie nowy dywan. Szybko wsiąkł, jakby razem coś więcej znaczyli, coś więcej mogli. Puścił muzykę.

„Wciąż jestem obcy tu, niczym wróg...” uśmiechnął się. Ja już zawsze będę czuł się obcy w każdym miejscu, w każdym czasie. Są ludzie skazani na wieczną obcość, na niezrozumienie. Nic tego nie zmieni, ani czas, ani ludzie. Czasami coś w człowieku jest. To coś dojrzewa powoli, systematycznie i kiedyś się budzi, zostaje w myślach na zawsze. I wtedy świat jest inny, ludzie są inni. A co ważne, my jesteśmy inni. I nic tego już nie zmieni. Ziarno dojrzało, wykiełkowało, urosło. Jesteśmy inni, będziemy inni.

„Jestem mężczyzną od tylnych drzwi...” zawirowało przy kominie. Chrowski zaczął tańczyć. Bardziej to przypominało próbę odbicia się od ziemi i odfrunięcia, niż taniec, ale Chrowski czuł, że tańczy. Zawsze wchodzi tylnymi drzwiami i osiągam cel. Osiągam to, co chcę osiągnąć, ale w ciemności, bez jasnych odbić światła. Tak myślał, tak czuł, być może do końca tak nie chciał, ale wiedział, że to wiele przyspiesza, wiele upraszcza. To co czuł sprawiało, że był kimś, kto słucha życia zza tylnych drzwi, skrada się za drzwiami, jest cieniem, który przemieszcza się zawsze w ciemności, w mroku. Pustymi ulicami, zakręconymi zakamarkami, zagubionymi piwnicami. Światła tam mało, życia jeszcze mniej.

Chrowski opadł bez sił na podłogę. Szklanka, teraz pusta, wypadła mu z ręki. Potoczyła się na bok. Zasnęła wraz z nim. Jeszcze przez chwilę Chrowski otworzył jedno oko, spojrzał na ogień, na jego czerwoną smugę odbijającą się na ścianach w ciemności, jeszcze pomyślał, jakoś może dojdę do łóżka, może wyłączę muzykę, niech zamilknie na zawsze, na wieczność, ale potem jego żrenica opadła na dół i zasnęła na dywanie. A ogień tlił się i tlił, a muzyka lekko sączyła się i sączyła, a ciemność coraz mocniej przykrywała ciało Chrowskiego, coraz mocniej...

Komisarz Rawicz patrzył coraz bardziej zmęczonym wzrokiem na Waldka, który siedział skulony niczym zranione zwierzę na drewnianym krześle. Lekko drgała mu prawa powieka, co było dla niego jakimś znakiem, że jest zdenerwowany, że musi kiedyś pójść do lekarza, choćby raz, dowiedzieć się czegoś o swoim ciele, dowiedzieć czegoś co zatrzyma w nim drętwienie prawej ręki, prawej powieki. Jego czarna skórzana kurtka na zamek, bez której nigdy się nie ruszał, nawet w zimie, kurtka wielosezonowa, kurtka zatrzymu-

jąca w sobie wszystkie jego lęki, kurtka, która tak wiele widziała, tak wiele czuła, zarówno ból, cierpienie, samotność, jak i radość, choć tej radości w życiu Komisarza Rawicza nie było za wiele, mocno przylegała do jego ciała. Jego praca zawsze ocierała się o rzeczy niezgłębione, o rzeczy, do których nie chce się wracać w normalnym życiu. Komisarz Rawicz się pocił, czuła to jego bawełniana brązowa koszula na guziki, czuły to jego lekko wytarte dżinsy i buty w czarne prążki.

- Za mało tu powietrza – powiedział suchym tonem, prawie niesłyszalnie, prawie niezauważalnie.

Prawą ręką dotknął złotego łańcuszka na szyi, łańcuszka z krzyżem, potem odgarnął swoje czarne włosy i spytał, już teraz spokojniej, już teraz bardziej opanowanym tonem:

- Chcesz, żebym ci już nie pomagał? Chcesz, żeby moje oczy uważniej przyglądały się twojemu życiu? Życiu, które ociera się bardziej o ulicę, niż dom, życiu, które ma więcej zła w sobie niż dobra.

- Nie – cicho jęknął Waldek i wtedy Komisarz Rawicz już wiedział, że za chwilę dostanie to, o co prosi.

- Więc mów. Czy ja się pytam czym handlujesz na ulicy? Nie. Czy ja się pytam skąd masz ten towar? Nie. Czy każę ci pokazywać jakieś pozwolenia? Nie. Czy, gdy miałeś kłopoty, pomagałem? Tak – i to tak zabrzmiało jakby coś nagle dla Waldka miało się skończyć, skończyć nieodwracalnie.

Komisarz Rawicz zbliżył swoją twarz do twarzy Waldka, ich oddechy prawie się spotkały w pół drogi.

- Ja nadal przysmykam oczy na twoje ciemne interesy, a ty mi mówisz co wiesz, co dzieje się w mieście.

Waldek poruszył się niespokojnie na krześle, lekko przetarł czoło zieloną bawełnianą chusteczką, wziął płytki oddech i powiedział:

- Usłyszałem to od kogoś, kto pił z pewnym potentatem budowlanym. Duża szycha na tym rynku. Dużo pieniędzy, duży stres i ciało, które kiedyś było inne, a teraz jest takie jakie jest.

- Mów co wiesz, ja tutaj wyciągam wnioski. Od pewnego czasu szukam kogoś, kto być może nie istnieje, ale wiem, że jest. Czuję to. Czuję bardziej jego niż siebie, czasami. Jest w tym mieście, żyje w tym mieście, ale na razie nie ma twarzy, żadnych rysów i zapachu,

nie ma niczego co go określa, co kształtuje jego pragnienia, jego nienawiść do świata, do tego miasta.

- Pili razem całą noc. W takim klubie, gdzie można pić do rana, gdzie można krzyczeć do woli, gdy się ma zbyt dużo pieniędzy, zbyt dużo władzy.

- I?! – ponaglił go Komisarz Rawicz. Był zniecierpliwiony, tracił czas, coraz bardziej tracił czas na kogoś, kto być może nie istnieje.

- Powiedział mi, że był w pewnym miejscu, ten jego kolega i że to miejsce jest tylko dla wybranych, dla tych co mają pieniądze, władzę, mają coś co może być potrzebne dla kogoś innego. To bardzo droga zabawa, tam nikt nie pyta o cenę, przykłada się kartę, płaci i spełnia się swoje marzenia.

- Jakie marzenia?

- Takie, do których chce się wciąż wracać. Takie, które sprawiają, że jesteśmy inni, jesteśmy sobą. Takie, że zapomina się o życiu tutaj, a żyje się pełnią życia tam. Na jakiś czas, na czas, o którym sami decydujemy, kiedy ma się skończyć.

- Miejsce dla wybranych – zamyślił się Komisarz Rawicz. – Dla elit, które być może nigdy nie powinny być elitami.

- Przeważnie ci, którzy są na szczycie, nie powinni nigdy znajdować się na szczycie – stwierdził Waldek.

- Jak tam można się dostać?

- Tylko przez kogoś. Ktoś cię musi tam wprowadzić. Nie ma tam przypadkowych osób, choćby nie wiem ile zapłaciły, jak duże miały pieniądze.

- Jego też ktoś wprowadził?

- Tak powiedział.

- Kto?

- Był pijany. Poznali się w klubie. Tamten powiedział, że coś buduje, dużo buduje, na wielką skalę. Gdy wytrzeźwiał, gdy obudził się rano, myślał, że to sen. Że to, co mu tamten powiedział to jakaś baśń, baśń tysiąca i jednej nocy. A tak naprawdę jednej, zbyt upojnej nocy. Rano już nie pamiętał twarzy tamtego mężczyzny, choć chciałby być na jego miejscu, chciałby uczestniczyć w tej baśni choćby jeden dzień.

- Chcesz kawy? – spytał Komisarz Rawicz. – Zapowiada się długa opowieść, musisz się czymś wzmocnić.

- Poproszę.

Gdy dwie kawy stały na drewnianym ciemnym stole, gdy ich ciepło powoli unosiło się do góry i prawie rozjaśniało mrok niedużej sali przesłuchań, Waldek zaczął opowiadać. Najpierw mówił powoli, z jakimś dziwnym lękiem, z obawą, że słowa też mogą ranić, krzywdzić tych, do których są skierowane, potem słowa się zazębiały, tworzyły koła zębate jak w zegarku, takim sprzed lat, zegarku starym, dobrze zrobionym, którego czas nigdy nie zniszczy, ludzie nie zniszczą, a na końcu Waldek mówił coraz płynniej, był jak rzeka, która płynie z gór i wraz z prądem nabiera coraz większej siły, coraz więcej odwagi. Władzy.

Mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze, takim na miarę, za kilka tysięcy czekał na ulicy Świętego Marka tuż przy Plantach, od strony ulicy Westerplatte. Niecierpliwie zerkał na zegarek dobrej firmy, taki zegarek, który ma przynosić prestiż, taki zegarek, który ma wzbudzać zazdrość i podziw u innych. Zaczynało się chmurzyć, niebo pokrywało się coraz mocniejszymi, twardszymi chmurami. Zaciekami na widnokręgu ciemności.

Ktoś dotknął go w ramię, tak nagle, tak niespodziewanie.

- Pan od Niziurskiego? – spytał niski, krępy mężczyzna w skórzanej kurtce, o oczach raczej wilka niż gołębia.

- Tak – uśmiechnął się sztywno mężczyzna.

- Idziemy. Proszę za mną.

Gdy weszli na dziedziniec starej kamienicy mężczyzna w skórzanej kurtce spytał:

- Zna pan zasady?

- Tak. Niziurski powiedział mi o wszystkim.

- Proszę założyć tę opaskę na oczy.

Mężczyzna założył ciemną opaskę na oczy, zawiązał ją dokładnie z tyłu.

- Proszę się niczego nie obawiać. Takie są zasady. Nikt nie może wiedzieć gdzie znajduje się dokładnie to miejsce.

Mężczyzna poczuł, że zostaje okręcony w prawą stronę kilka razy. Potem ruszyli przed siebie. Nie wiedział w jakim kierunku idzie. Poczuł lekką obawę, nawet strach, że to coś co ma być tajemnicą

może okazać się karą. Karą za chęć chwilowej ucieczki od życia, od siebie.

Weszli do jakiejś bramy, poczuł zimno bijące od starych murów, które pamiętały jeszcze wojny, bitwy, królów rządzących dawno temu na Wawelu. Potem były jakieś schody, zapewne piwnica i znów zimno, znów strach, znów niepewność. Skręć w prawo, kilka metrów na wprost, potem w lewo, zgrzyt zamka, metalowe drzwi charcząco się otworzyły, potem się zamknęły tuż za nim, znów wędrówka przed siebie, w ciemność. Teraz szli dłużej, w oddali słyszał piski myszy, jakiś ptak, być może nietoperz zerwał się nagle tuż za nim i odleciał. Kolejne drzwi, zamek, zgrzyt zamykania za sobą i długi korytarz, raz w lewo, raz w prawo, raz donikąd. Mężczyzna czuł, że jest pod ziemią, pod ulicami miasta.

Kraków to miasto tuneli, Kraków to miasto piwnic i lochów. Często nieznanych, często ocierających się o niebezpieczeństwo.

Kolejne drzwi i ktoś ściągnął mu opaskę. Zobaczył długi, jasny korytarz w kolorze żywej zieleni. Mężczyzna w popielatym garniturze uśmiechnął się do niego.

- Proszę za mną.

Skręcili w lewo. Duża, jasna, przestronna sala, dobrze oświetlona, długi bar, skórzane krzesła tuż przy nim, jakieś stoliki obok i ściany w różnych kolorach tęczy.

Podeszli do baru. Barman zbliżył się do niego z lekkim uśmiechem na twarzy. Takim uśmiechem, który sprawia, że człowiek ociera się o jakąś tajemnicę, taką tajemnicę, która nie ma żadnych granic, żadnych ograniczeń, barier.

- Poproszę o kartę kredytową.

Barman przyłożył ją do terminalu. Po chwili mu ją oddał.

- Zna pan zasady? Pan jest pierwszy raz u nas?

- Tak.

- Więc wytłumaczę. Zapłacił pan za wejście, nie za wyjście. Może pan być tutaj kilka dni, może pan być tutaj jeden dzień. Zależy to wyłącznie od pana. Podejdzie pan do baru, dostanie pan to, co pan zechce. Każda butelka to inny narkotyk, inne doznania. Wszystko jest z Ameryki Południowej. Sprawdzone, pewne, niedostępne na normalnym rynku. Potem pan idzie, gdzie pan chce. Różne pokoje, różne doznania. W każdym pokoju jest zielony przycisk. Gdy pan

czegoś chce, czegoś pan oczekuje, proszę go nacisnąć. Gdy pan kiedyś będzie chciał wyjść, proszę go też nacisnąć.

- Niziurski powiedział, że wychodząc stąd był innym człowiekiem. Nie myślał co jest złe w jego życiu, co jest niebezpieczne dla niego, dla jego bliskich. Co musi, czego nie musi już zrobić ze względu na pieniądze, na siebie, na złe obietnice dane złym ludziom, o tym wszystkim zapomniał, po raz pierwszy w życiu.

- Zapomnienie, to możemy panu zagwarantować. I marzenia, do których pan przez moment się zbliży, na odległość bliższą niż pan sobie teraz wyobraża.

Barman podał mu drinka, którego nalał z czerwonej butelki. Cały bar składał się z kolorowych butelek, które wiele wróżyły, wiele obiecywały.

- Proszę się napić – powiedział barman. – I proszę iść dalej prawym korytarzem. Gdy pan zapagnie znów czegoś się napić proszę nacisnąć zielony przycisk, w jakimkolwiek pokoju.

Mężczyzna wypił drinka i ruszył przed siebie. Dotykał ręką ściany, która teraz w swoich konturach, barwach, w swojej chropowatości wydawała mu się taka bliska. Była jego skórą, dotykiem, oddechem.

Narkotyk powoli zaczął przemieszczać się w ciele mężczyzny, zaczął docierać do jego myśli, wspomnień, cierpień ocierających się o przeszłość.

Mężczyzna skręcił w lewo, tak intuicyjnie, tak świadomie, jakby coś go tam przyciągało. Coś, co mu da odpowiedź na kilka zaległych pytań z przeszłości.

Zobaczył łąkę pełną kwiatów. Ich nasycenie, ich barwa, ciepło, które od nich biło, takie ciepło, które roztopia w środku wszystkie lęki, obawy, otoczyło lekko przygarbioną posturę mężczyzny.

Już po chwili był w środku. Podskakiwał, klaskał rękami, tańczył (kiedy ostatni raz tak beztrudnie tańczył?), obracał się wokół siebie, czuł się jak na karuzeli, która nagle przyspiesza i przyspiesza, a świat wiruje, rozmazuje się przed oczami. Gubi się.

Na końcu łąki był duży strumień a w nim pływały małe kolorowe ryby. Było ich mnóstwo, całe ławice. Z obawą wsadził rękę do strumienia, a ryby zamiast uciekać dotykały jego palców. Mężczyzna poczuł delikatne mrowienie w dłoniach. Było to przyjemne

uczucie. Coś obcego, nieznanego sprawiało, że nie rozumiał swojego ciała.

Wyszedł z pokoju. Kilka kroków szedł dalej i skręcił w prawo. Labirynt luster, dużych, małych, bezkształtnych, bez żadnych rys i pęknięć. Zagubił się w nim bez pamięci. Żółte światło odbijało się w lustrach. Widział swoją twarz w różnych zarysach, postaciach. Widział obrazy z przeszłości. Swój płacz, gdy umarł pierwszy jego pies, przyjaciel, jakiego nigdy później nie miał, widział swój pierwszy gniew, gdy ktoś uderzył kamieniem kota, który każdej nocy chodził po dachu ich śmietnika, widział śmierć matki, ten ból, który później z nim był zawsze, widział przyjaciela, jak go zdradza po raz pierwszy, potem drugi, a on mu daruje, niepotrzebnie, tak bezsensu, widział swoją pierwszą porażkę w biznesie, taką porażkę z której nie powinien się nigdy podnieść, ale się podniósł, na siłę, bez pomocy innych rąk i ruszył dalej, mocniejszy, silniejszy, z nauką na przyszłość, że na dole człowiek zawsze jest sam, i to sam oznacza wszystko, i to sam oznacza nic, widział miłości, te znaczące, te obce i bolesne, widział swoje uczucia podane jak na tacy. To wszystko widział jak na zwolnionym filmie, jak na zatrzymanym na chwilę, na kilka sekund kadrze.

Chodził niczym ślepiec wśród tych luster i błądził. Nie mógł znaleźć żadnego wyjścia. I to światło, takie niespokojne jak jego myśli, i te bezkształtne odbicia swojej twarzy, pełne dzikiego niepokoju, jakiegoś roztrząsanego napięcia na pół, dwie obce sobie połówki. Czuł się jak więzień, skazany na dożywocie swoich myśli.

Zobaczył wyjście. Doszedł z wysiłkiem na korytarz. Zatrzymał się, spojrzał na zegarek, minęły trzy godziny. Zrzucił marynarkę, było mu duszno, zbyt duszno i ruszył dalej.

Przed sobą zobaczył jasne światło. Doszedł do niego z trudem. Weisnął się w małe drzwi. Jasna sala i lasery, dużo kolorowych wiązek światła. Promienie o różnych barwach, fioletowe, różowe, seldynowe, turkusowe, amarantowe, czerwone, purpurowe i inne, których nazw nie mógł nawet wypowiedzieć. Jasne punkty otoczyły go, dotykały, pieściły jego skórę. I muzyka, taka niecierpliwa, wolna, wręcz niebezpieczna. Zobaczył kilka niewyraźnych postaci, tańczyły. Zaczął tańczyć wraz z nimi. Zamykał oczy i tańczył. Już o niczym nie myślał, nie chciał myśleć o niczym, i to bezmyślne mil-

czenie w jego głowie dało mu taką ulgę, taki spokój, jakiego spokoju nie miał od dłuższego czasu.

Po jakimś czasie, krótkim, długim, może ocierającym się o wieczność podszedł do baru. Młoda, ładna dziewczyna z uśmiechem, który pamięta się długo, bardzo długo, może całą wieczność dała mu coś do picia z pomarańczowej butelki. Wypił szybko, poczuł odprężenie na skórze. Skóra stała się miękka, gładka, ciepła, cieplejsza niż zazwyczaj. Znow zaczął tańczyć, a gdy się zmęczył podszedł do baru, ściągnął zegarek i pomyślał „Nie potrzebuję już czasu, który zabiera mi najpiękniejsze chwile. Gdyby nie czas, byłbym kimś innym, kimś lepszym”.

Wybiegł z pokoju. Znow korytarz. Wydawał się taki długi, taki ciemny. I te szorstkie ściany, takie nierówne, niepoukładane w swojej przestrzeni, i te ich oddalanie się i zbliżanie, miały w sobie coś ze zwierzęcia, które czeka w mroku na swoją ofiarę.

Skreślił w bok, raczej to jego ramię go tam zaprowadziło, ramię, którym ocierał się o ścianę i wszedł do środka.

Tyle łańcuchów, tyle lin metalowych w jednym miejscu. Nie widział tego nigdy wcześniej. Chwycił się pierwszego łańcucha i zaczął przedzierać się do przodu. Był jak galernik, chcący jakoś doczekać śmierci. Metalowe liny otaczały go, metalowe liny niszczyły go. Były jak jego życie, które nieustannie ociera się o metalową przeszłość. W chwilach zwątpienia jego policzki przytulały się do żeliwnych pierścieni i czuł wtedy lodową ulgę. A potem szedł dalej i dalej. Nie poddawał się. Jego serce było żeliwne, jego dusza była żeliwna, jego oddech był żeliwny. Cała jego poplątana przeszłość, pełna niedomówień i skarg też była żeliwna.

Wyszedł na zewnątrz. Jego oddech był niespokojny. Zobaczył zielony przycisk. Nacisnął go. Młoda, ładna kobieta, opalona, o kocich ruchach była jak duch, gdy się do niego zbliżała. Uklękła przy nim, uśmiechnęła się i podała mu granatowy kubek. Wypił go, potem tylko widział jak kobieta znika, oddala się, rozplywa się w zimnych konturach ciemności.

Chwilę siedział, skulony niczym gołąb w zimie, gdy temperatura spada gwałtownie na dół i zbliża się nieubłagane noc. Gdy poczuł nowe siły w sobie, takie siły, które sprawiają że coś niespodziewanie się w nas rodzi, i nic nie umiera, stanął na nogi. Chwilę się chwiał,

lecz po chwili poczuł barwy kolorowe, światła wielobarwne, jasne pręgi tęczy które się do niego zbliżały. Poczuł się dobrze, znów na nowo poczuł się dobrze. Może zbyt dobrze, zbyt doskonale.

Po łuku, po skosie, lekko w dół i był w kolejnej sali. Cała ze szkła, cała przepelniona szkłem, a w środku ryby, dużo ryb, różnych, kolorowych, wielobarwnych, o kształtach zrozumiałych dla oczu, niezrozumiałych dla duszy. Akwaria, duże, w kształcie labiryntu. Mężczyzna siedł w szklanym labiryncie przepelnionym rybami. Ryby przed nim, ryby za nim, ryby nad nim. Zaczął je dotykać i ten dotyk, to delikatne ocieranie się o szybę sprawiało mu przyjemność. Wszystko było jasne, przejrzyste, nie takie jak jego życie. Pomimo ciemności, mroku, zagubienia panowała tu przenikliwa jasność.

Przytulił się do szyby. Zamknął oczy.

Przypomnił sobie pierwszy wyjazd na Mazury pod namiot. Tyle niepewności, tyle lęku i ta wolność. Pływali po jeziorze, gonili się po jeziorze, później gitara, śpiewy, alkohol i kobiety. Wszystko było takie niepewne, świeże, bezbronne. Nic nie musiał, nic nie chciał, nic nie pragnął. Liczyło się życie w każdej sekundzie, w każdej chwili.

Przypomnił sobie kolejne wyjazdy w Bieszczady nad Solinę. Pociąg, za dużo alkoholu, ścisk w przedziałach, noc, potem poranek, mgła, sarny przy lesie, tuż przy torach i alkohol, wódka, pierwszy kieliszek zanim dzień obudził się na nowo. I znów pływanie, wieczory nasycone alkoholem, śpiewy, kobiety, zapach smażonych kiełbasek na ognisku, i te kace, poranne, niebezpieczne, czekanie przy piwie o poranku, aż wszystko znów będzie miało znaczenie, jakiegokolwiek znaczenie. Listy do domu, że jest dobrze, choć wiedział, że nie jest dobrze, nigdy nie będzie dobrze. I ten niepokój, że kiedyś będzie inaczej, musi być inaczej. Może być inaczej...

I pierwszy wyjazd za granicę. Dwa samochody. Zgubili się, znaleźli się gdzieś w nocy. I ta radość, że żyją, choć nie musieli żyć wcale. Wspólne ucieczki w niezdrowy tryb życia, wspólne wspinalenie się rano do góry, żeby odnaleźć siebie z wczoraj. Nic nie chciał wtedy mieć, a już na pewno nie chciał mieć za dużo rzeczy wokół siebie. Przedmiotów. Potem się to zmieniło. Więcej pragnął, niż mógł udźwignąć.

I kolejne wyjazdy za granicę. Liczyła się wtedy wolność, liczyli się wtedy ludzie. A potem coś się zmieniło. W nim, w ludziach wokół niego. Każdy coś chciał, każdy czegoś pragnął, więcej niż inni chcieli. I on też temu uległ. Był jednym z nich. Okazał się z nich najlepszy. Miał więcej niż inni, żył lepiej niż inni, cierpiał więcej niż inni. Przeważnie w nocy, gdy rozumiał poprzez sny, że coś stracił, gdy rozumiał poprzez sny, że już nie jest sobą, nie jest tym kim był kiedyś. Zrozumiał też, że miasto w którym żył, jakoś go dziwnie, niezauważalnie zmieniło, udręczyło. Że tak naprawdę, gdy uciekał z tego miasta, to chciał się z nim zaprzyjaźnić, poprzez te ucieczki.

Odsunął się od szyby. Ryby, spłoszone jego nagłym ruchem rozproszyły się. Wybiegł z pokoju. Znów długi korytarz, długa niepewność. Ile już jestem tutaj? Jaki jest dzień, może noc na zewnątrz? Czy czas tutaj jest taki jak czas tam, na górze?

Kolejny pokój, kolejna przestrzeń, a może to tylko jego myśli, a tak naprawdę nie ma tu nic. Jest tylko ciemność i te buteleczki, kolorowe, słodkie, niepewne i te panie, te przyciski zielone. To wszystko, to nic. To tylko jego myśli.

Zobaczył kilka osób. Ich rozbiegane spojrzenia, niepewne uśmiechy, zbyt rozjaśnione oczy i ręce łapczywie chwytające życie. Resztki życia w nich, w ciemności.

Z sufitów zwisały zielone pnącza winorośli, aż do samej podłogi. Było ich tak wiele, że ciężko było przemieszczać się pomiędzy ich łodygami i liśćmi, a na dole było dużo kotów, które łąsiły się do ich nóg, coś miały, mruczały, łapały pazurami wiszące pnącza.

- Ile pan spędził tutaj czasu? – spytał mężczyzna innego grubego mężczyznę.

- Czas – zamyślił się gruby mężczyzna. – Czas nie ma tutaj żadnego znaczenia. Liczą się cząstki, mikrocząstki czasu, może sekundy, na pewno nie minuty.

Gruby mężczyzna zniknął gdzieś w kącie sali, rozmył się w winoroślach, w liściach, w zieleni.

Ten zapach, ten zielony kolor, to nasycenie, ten niepokój w ruchach kotów. To jest coś, co nigdy nie będzie żyło w środku dnia, za dnia, w rytmie dnia, w codzienności, pomyślał mężczyzna.

Zaczął tańczyć. Ocierał się o liście, żył poprzez liście, czuł się lepiej poprzez ich kształty, ich zapach.

Wyszedł z sali. Usiadł na ziemi. Zobaczył zielony przycisk. Na czworakach zbliżył się do niego. Nacisnął go. Opadł bez sił, na ziemi. Zobaczył twarz kobiety.

- Nie chcę już nic pić. Chcę wracać do domu – powiedział i to do domu go jakoś dziwnie odprężyło, dało nadzieję, że jest jeszcze gdzieś jakiś jego dom, taki dom, który będzie z nim na zawsze, do końca.

Poczuł jak silne ręce go podnoszą. Niosą przez rozmazane pokoje do baru. Tam ubierają go w zagubioną marynarkę i wyprowadzają. Nakładają czarną przepaskę na oczy. Idą przez ciemność, żyją w ciemności, oddychają ciemnością.

Wychodzą na ulicę, jest dzień. Ściągają mu opaskę. Słońce razi go w oczy.

- Do zobaczenia – mówią mężczyźni i szybko znikają w bramie.

Mężczyzna patrzy na zegarek. Na jego datę, nie czas. Przeciera oczy ze zdumienia. Minęły dwa dni. Dwie noce, dwa dni. Idzie na postój taksówek. Wraca do domu.

Komisarz Rawicz popatrzył się uważniej w okno, jakby widział tam coś, czego nie może dostrzec nikt inny poza nim.

- Dziwne jest to, co mówisz. Dziwne miejsce, dziwni, bogaci ludzie tam przychodzą.

- Można znaleźć tego potentata budowlanego – cicho, prawie szeptem powiedział Waldek.

- Można – Komisarz Rawicz ciężko westchnął. – Ale po co? Nic nie powie. Kto się przyzna do bywania w takich miejscach.

- Mogę odejść?

- Jeszcze nie. Powiedz mi jedno Waldek, dlaczego żyjesz, tak jak żyjesz? Wiesz dobrze, że mogę cię w każdej chwili zamknąć. Dlaczego tego nie robię?

- Ponieważ udzielam panu informacji.

- Mylisz się. Informatorów mogę mieć wielu. To kwestia pieniędzy, szantażu, bolesnej przeszłości tych, co ci tych informacji udzielają.

- Więc dlaczego pan mnie nie zamyka?

- Ponieważ jesteś trochę taki jak ja.

- Nie rozumiem.

- Ja i ty pochodzimy z domu dziecka. Takim jak my jest zawsze trudno. Drogi zawsze są nierówne, ludzie są zawsze nieżyczliwi, praca nigdy nie jest sprawiedliwa. Zawsze oceniają nas gorzej, bo gorszy był nasz start. Inni mają większą przewagę niż my. We wszystkim. W marzeniach też.

- Panu się udało.

- Udało mi się nie stoczyć, jak ty. Mógłbyś żyć inaczej, gdybyś mocniej się postarał. Ale ty chcesz łatwiej, prościej. Kiedyś cię zamkną, nie zawsze będę tutaj tkwił, w tym miejscu, w tym czasie.

- Nie mam już sił próbować czegoś innego. Zresztą i tak patrzą na mnie inaczej, gdy się dowiadują skąd pochodzę. A prędzej czy później złe rzeczy zawsze wychodzą na światło dzienne.

- Prędzej czy później – zamyślił się Komisarz Rawicz. – Prędzej czy później dowiem się kto stoi w tym mieście na szczycie. Idź Waldek do domu. Coś spróbuj zmienić w sobie. Ze względu na przeszłość, ze względu na mnie, na moją dobrą wolę.

Waldek, lekko skrzywionym, popękanym, wręcz rozszarpanym krokiem wyszedł z pokoju.

Ręka Komisarza Rawicza zaczęła delikatnie drgać, wykonywać jakiś dziwny taniec. Usiadł na krześle. Zamyślił się.

Dom dziecka, obce, puste pokoje, zimne kolory ścian, twarze które się pamięta, a chce się za wszelką cenę o nich zapomnieć. Smutek, ból, strach i niepewność. Niepokój. Z domu dziecka najbardziej zapamiętał niepokój. To dziwne napięcie, że w każdej chwili coś może się zdarzyć, coś niedobrego, coś złego, coś nieprzewidywalnego, coś niepokojącego. Coś, co zmieni nasz strach w przerażenie. Niepokój. W oczach dziewczyn, w oczach chłopców, w oczach opiekunów. Każdy miał jakąś część niepokoju w sobie. Jeden mniejszą, drugi większą. Ci, co umieli sobie radzić lepiej z niepokojem mieli jakieś szanse, ci co poddawali się jego władzy tonęli. Tonęli na oczach ludzi. Fale powoli wciągały ich w swoje głębiny.

Komisarz Rawicz zapalił papierosa. Dym ocierał się o kontury pokoju, łamał się gdy dotykał zbyt ostrych krawędzi mebli.

- Jak to mogłem przeżyć? – powiedział do siebie, szeptem, z jakimś strachem, obawą, że słowa zawierają część dawnego niepo-

koju w sobie. – Co sprawiło, że wyrwałem się z tamtych ścian, z tamtych twarzy? Cieni. Niepokój wydobył ze mnie chęć ucieczki i uciekłem. I chyba wciąż uciekam, goniąc resztki niepokoju, które zostały we mnie.

Złotnik, tak na niego mówili od jakiegoś czasu, może od zawsze. Jego nieustępliwa chęć posiadania złota, przebywania w okolicach złota, dotykania złota była jego przekleństwem.

Gdy był mały, jedyne jego wspomnienie z czasów, gdy prawie nic nie mógł pamiętać to błysk złota na szyi matki, która go z taką troską obejmowała. Jej palce, nadgarstki, szyja, uszy to nieustający, wręcz niemożliwy do zrozumienia błysk złota w żrenicach młodego dziecka. I tak mu zostało do dzisiaj. Jeszcze później, zanim to do dzisiaj się pojawiło, później oznacza we wczesnej młodości, pojawił się w nim sen. Najpierw niewyraźny, rozmazany, zanikający w myślach sennych jak mgła. Potem ten sen, który miał być pojedynczą wypadkową jego niepamięci nocnej rozmnożył się w nim. Zaczął pojawiać się coraz częściej i coraz mocniej rozbudowywał swoje kształty w jego pamięci. Aż w końcu na stałe zagościł w jego głowie.

Szedł przez dżunglę z przewodnikami w kolorze brązu. Szedł za nimi. Oni wycinali drogę, znajdowali drogę, gubili drogę. Szukali zaginionego miasta, tuż przy rzece. Tak głosiła legenda. Legenda to część prawdy, część nadziei, część złudzeń. Do tego dochodzi ślepa wiara, że legenda może okazać się prawdą.

Spali w nocy, szli za dnia. Ciągły upał, komary, pot lejący się po twarzy. I ta droga, nieustająca, kręta, porośnięta coraz większymi liśćmi, pnączami.

W końcu zachorował. Może od wody, może od złudzeń, może od posiłku ugotowanego gdzieś nagle, gdzieś niespodziewanie. Musieli go nieść. Gdy się zorientowali, że umiera, odeszli. Z samego rana, tak, żeby go nie obudzić.

Był słaby, ale wstał. Ruszył do przodu. Zawsze starał się nie cofać w życiu, nawet wtedy gdy to życie tak konsekwentnie go zabijało. Powolne kroki, słabe ruchy rąk, nóg i wzrok, który już nie widział co widzi.

Upadł. Zasnął. Poddał się.

Obudził go ruch. Lecz to nie on szedł, to ktoś szedł wraz z nim. Nieśli go jacyś ludzie. Nic nie mówili. Stracił przytomność.

Obudził się w mieście. Dawali mu coś do picia. Czuł, że wracają mu siły. Aż po kilku dniach wyszedł z budynku na zewnątrz.

To, co zobaczył osłepiło go na chwilę. Zamroczyło.

Złote miasto, złote budynki, złote ulice. Ludzie mający skórę nasączoną złotym pyłem. Wszystko było jednym złotem. Nawet oczy tych ludzi miały błysk złota w sobie.

Kostka ulic była ze złotych sztab. Duże latarnie mieniły się złotą barwą. Ściany budynków miały kolor złota, dachy to czyste, wręcz olśniewające złoto.

Kobiety miały złote warkocze, złote uśmiechy w których odbijały się złote zęby. I ich skóra, która pociła się samym szczerym złotem. Krople ze złota, złudzenia ze złota.

Chodził pomiędzy tymi ulicami, pomiędzy tymi ludźmi i myślał, że jest w niebie. Jakimś złotym niebie, w złotej oprawie wiary umieszczonej w powietrzu, wśród chmur.

Gdy odbywała się ceremonia na cześć Bogów, ich Bogów, w ofierze składano złotego byka, a topór który zabierał mu życie miał ostrze ze złota. Potem była tylko krew wymieszana ze złotem.

I gdy miał się żenić z jedną z ich kobiet, ze złotego miasta, jedną z kapłanek, gdy złote łoże, złote prześcieradło czekało na noc poślubną, budził się.

I znów normalne życie, aż przychodziła noc, aż przychodziły złote sny.

Złotnik tak żył od jakiegoś czasu. Żył z żądzą ściągania złota za wszelką cenę, nawet w snach. A może w snach najbardziej, najmocniej.

Latarka świeciła w sklepie jubilerskim. Była noc. Dostał się już do środka, wyłączył alarm i teraz tylko zbierał zniwo, złote zniwo. Jego oddech upajał się bliskością kamieni, złota tuż koło niego. Wszystko ładowało w lnianym, czarnym worku. Złotnik czuł dreszcz w sobie, dreszcz, który dawał mu jakieś ukojenie, dawał mu odwagę i siłę.

Gdy worek był pełny, Złotnik wszedł do dziury zrobionej w ścianie. Planował to od jakiegoś czasu. Był profesjonalistą. Był dokładny, więc wszystko szło jak należy.

Gdy wyszedł na ulicę, gdy miał zniknąć w ciemności nocy, nagle poczuł czyjąś rękę na prawym ramieniu.

- Witaj, Złotnik – rozpoznał głos Komisarza Rawicza.

Odwrocił się zdumiony. Obok niego stało kilku policjantów. Tylko patrzyli się na niego.

- Znów się spotykamy – rzekł Komisarz Rawicz. – Nie masz do mnie szczęścia.

- Szczęście, że to pan – dodał smutno Złotnik. – Jeśli mam być zamykany, niech to będzie ktoś znajomy, ktoś taki jak pan.

- Chodźmy – rzekł sucho Komisarz Rawicz, a na rękach Złotnika pojawiły się kajdanki. – Porozmawiamy w miejscu, gdzie spędzisz więcej czasu. Więcej życia zostawisz tam, niż tutaj.

Wsiedli do cywilnego samochodu, który stał zaparkowany w ciemnej uliczce, tuż przy krawężniku, tuż przy żelaznej bramie.

Złotnik siedział skulony, zraniony niczym ptak bez skrzydła. Jego ramiona opuszczone były na dół. Dłonie, w zasadzie jego palce drżały, oczy miał niepewne, popękane jak łód na jeziorze gdy zbliża się odwilż.

- Kiedyś musiałeś wpaść – powiedział raczej smutno niż wesoło Komisarz Rawicz. – Wiedziałeś, że mamy cię na oku. To, że nic ci nie udowodniliśmy wcześniej, świadczy raczej o twoim szczęściu niż o twoim profesjonalizmie.

- Jak pan mnie namierzył?

- Przez przypadek. Szczęście kiedyś się kończy. Nic nie trwa wiecznie, szczęście też.

- Ale jak?

- Przechodziłem koło tego sklepu ostatnio. Stałeś w bramie. Nie zauważyłeś mnie, za to ja zauważyłem ciebie. Następnego dnia tam przyszedłem. Stałem tam, gdzie ty stałeś. Na co się patrzyłeś, pomyślałem. I wtedy zobaczyłem ten sklep jubilerski. I już wtedy wiedziałem gdzie, nie wiedziałem jednak kiedy. Jestem cierpliwy, więc czekałem. Obserwowaliśmy ten sklep. Masz pecha Złotnik. Przypa-

dek często sprawia, że w coś wierzymy, przypadek często sprawia, że upadamy. Niekiedy tylko sprawia, że uciekamy.

- Ile mi grozi?

- Dużo, jeśli ci udowodnimy rzeczy z przeszłości. Paserstwo złotem, handel kamieniami nieznanego pochodzenia na hali targowej. Oboje wiemy, że to ty je zdobyłeś, a nie kupiłeś, jak twierdziłeś od nieznajomego. I te twoje wieczne alibi, że byłeś nie tam, gdzie były włamania do sklepów jubilerskich. Ciężko ci coś udowodnić. Masz zawsze dobrego adwokata. Sprawdziłem go, to twój dawny kolega z podwórka. Nawet przyjaciel.

- To są tylko domysły. A domysły, jak pan wie, to często niesprawdzona do końca wyobraźnia.

- Teraz ci adwokat nie pomoże. Pomóc, choć trochę, mogę ci tylko ja.

- Jak? – zaciekał się Złotnik. Był bystry, zawsze wyczuwał niewidoczne drzwi w zbyt zaciemnionych pokojach.

- Mogę zapomnieć o tym pokątnym handlowaniu, mogę zapomnieć o tych nie do końca udowodnionych ci sklepach jubilerskich, mogę się nawet wstawić za tobą u sędziego, dostaniesz minimalny wyrok, a potem zawiasy za dobre sprawowanie, ale – tutaj Komisarz Rawicz zawiesił głos – musisz mi powiedzieć co wiesz, o rzeczach, które mnie interesują.

- Dobrze – po kilku sekundach odpowiedział Złotnik. – Ja pomogę panu, pan pomoże mnie.

- Papierosa? – uśmiechnął się Komisarz Rawicz. – Myślę, że się jakoś dogadamy. To dobrze, że ulica zostawiła ci rozum, a nie tylko dumę. Głupią dumę.

Gdy dym unosił się w przyciemnionej sali, gdy ich oddechy stały się spokojniejsze, zaspokojone Komisarz Rawicz zapytał:

- Wiesz, że ktoś rządzi tym miastem?

- Słyszałem, że tak.

- Wiesz, kto to jest?

- Wiem, kto to nie jest.

- A więc kto?

- Nie jest to na pewno Kaplica.

- Skąd ta pewność?

- Pracowałem przez tydzień dla niego. Chodziłem odbierać haracze od sklepikarzy, od knajp i restauracji. Potem mnie zwolnili, byłem zbyt nerwowy, a przez to nieprzewidywalny. Dziwne – zamyślił się Złotnik. – Podczas włamań jestem spokojny, opanowany, a tutaj wręcz na odwrót.

- Masz dwie twarze, dwie natury, często tak bywa u przestępców – dodał Komisarz Rawicz.

- Podczas jednego spotkania był z nami niski mężczyzna o ciemnej karnacji skóry. Nie pamiętam jak się nazywał. Strasznie zależało mu na spotkaniu z kimś wyższym. Rozmawiał o tym z Kaplicą, tuż koło mnie, po cichu. Wiem, że się spotkał z kimś, wyczułem to potem, dwa dni później. Nie chciał za bardzo nic mówić, ale coś napomknął o kamieniach i złocie, że wszystko się dla niego zmieni na lepsze.

- Co było dalej? – zaciekawił się Komisarz Rawicz, a jego oczy znów zaczęły nerwowo drżeć, zwłaszcza prawa powieka.

- Zwolnili mnie. Ale wiem, że potem na rynku pojawiły się ciekawe kamienie i trochę złota. Przecież pan wie, że ja wiem, co się dzieje w drugim obiegu, tym, o którym się nie mówi, tym, o którym się tylko coś wie.

- Skąd wypłynęły te kamienie?

- Na pewno od nich. Coś znaleźli, czuję to. Wiem też, że zamieszany w to jest złotnik z ulicy Floriańskiej, ten przy obrazach na murach obronnych. To człowiek Kaplicy, w zasadzie ktoś nad nim.

- Skąd to wiesz?

- To niestety moja tajemnica. Nawet gdybym powiedział skąd, to i tak wam nic nie pomoże.

- Masz rację – Komisarz Rawicz wstał z krzesła. – Czuję, że ktoś jest. Teraz to wiem na pewno.

- Dotrzyma pan umowy?

- Zawsze dotrzymuję umów, które zawieram prywatnie. Dzięki temu wiem, co się dzieje w mieście.

- Nie powie pan nikomu o naszej rozmowie?

- To tajemnica. Powiedz mi jeszcze jedno. Dlaczego zawsze działasz w pojedynkę? Nie byłoby ci łatwiej z kimś?

- Nie mam zaufania do ludzi. Tego nauczyła mnie ulica. Żli ludzie są nieprzewidywalni, zwłaszcza wtedy, gdy są w niebezpieczeństwie.

- Zwłaszcza wtedy, gdy waży się cały ich przyszły los – rzekł Komisarz Rawicz i wyszedł z sali przesłuchań.

Zaraz po zjedzeniu kolacji poszedł do łóżka. Rozebrał się, popatrzył przez chwilę na zieloną ścianę, na obraz gór, które poszarpane, popękane, rozchwiane dotykały prawie brunatnych chmur i zamknął oczy. Sen, pomyślał, czy znów będę miał ten sam sen, sen, który nie daje mi żadnego ukojenia, tylko domysły, źle zadane pytania, źle określone wykrzykniki i myślniki. Sen powtarzalny od lat, tak stary, że nawet nie pamiętał kiedy się zaczął.

Potem zaczął spokojnie oddychać, tak miarowo i płynnie, jakby to co złe zostało tutaj, w tym świecie, a tam było tylko samo dobro, tylko to co daje nadzieję, tylko to co daje złudzenia.

Gdy wpadał do kopalni, starej kopalni, gdy deski pękały pod jego ciężarem, trzaskały, łamały się, gdy czuł, że opada coraz niżej i niżej, gdy ciemność stawała się coraz gęstsza, coraz bardziej niewidoczna i niewidzialna, pomyślał – umieram.

Potem jego ciało się zatrzymało na workach wypełnionych czymś miękkim. Może puchem, może trocinami, a może czymś co jest nieistotne, nieważne dla jego snu. Ważne, że żył, że oddychał, że mógł poruszać, na razie powoli, rękami i nogami.

Wstał. Miał trzynaście lat. Sam nie wiedział, dlaczego chodził po tych deskach na górze. A teraz był na dole, w ciemności, w strachu, który powoli zaczął się w nim pojawiać.

Po kilku minutach jego oczy przyzwyczyły się do mroku. Zaczął rozpoznawać jakieś kształty, zobaczył korytarze i stare metalowe wózki na węgiel. Spojrzał w górę, ciemność, żadnych oznak światła, nieba.

Ruszył przed siebie. Czuł resztki węgla pod nogami. Resztki po-kruszone, resztki zapomniane. Echo tego zapomnienia głuchym jękiem roznosiło się w mroku po zakrzywionych korytarzach. Po niewidzialnych ścieżkach, po zapomnianych tunelach.

Usłyszał coś. Przestraszył się. A potem, jak uspokoił oddech, ruszył w kierunku hałasu.

Coś ewidentnie się poruszało. Może szczury, nietoperze, może duchy, świadkowie dawnych czasów, lepszych oddechów kopalni.

Zobaczył kształt. Zdeformowana przez ciemność, przez strach postać zaczęła zbliżać się w jego kierunku. Stał skamieniały, jego nogi nie potrafiły wykonać żadnego ruchu.

- Co tutaj robisz? – spytał cień. – To złe miejsce dla takich chłopów jak ty.

- Wpadłem do kopalni. Kim pan jest?

- Gdy kiedyś się tutaj schowałem byłem żołnierzem, uciekinierem, dezterem. Potem przez kilka lat wojny byłem wiecznym, niekończącym się strachem. Potem stałem się mnichem, filozofem gdy postanowiłem tutaj zostać na zawsze. A teraz, dla tych z góry, którzy przynoszą mi jedzenie co kilka dni jestem świętym.

- Od czasów wojny pan tutaj mieszka?

- Tak – zamyślił się starzec. – Za długo, może za krótko, może na wieczność.

- Nie chce pan stąd wyjść?

- Teraz już nie. To jest mój dom, choć cały skąpany jest w ciemności. Niekiedy dom składa się z ciemności, ze skrajności, ze złych uczuć i pragnień. Ale wciąż jest to nasz dom.

- Dla górników jest pan świętym?

- Tak mówią. Nie znają mnie, nie widzieli mnie nigdy, ale jestem dla nich świętym duchem tej kopalni. Przynoszą mi jedzenie, składają na talerzu kartki z prośbami i widzą, że jedzenie wciąż znika. Duch, mówią, tutaj mieszka święty duch kopalni.

- Ile tak można żyć, bez światła, bez nadziei, bez rozmowy z drugim człowiekiem?

- Człowiek to zło, które składa się ze złych pragnień, ze złych złudzeń, z chorych ambicji. Nie brakuje mi tamtego świata. Ciemność dla niektórych też może być domem, oddechem.

Ruszyli przez wąskie korytarze. Szli w milczeniu. Starzec miał siwe, zwęglone przez kurz włosy, jego skóra była czarna od pyłu węgla. Tylko oczy skupiały jasny blask w sobie.

Doszli do ściany z której wypływał mały strumień.

- Chcesz się napić?

- Nie, dziękuję. Niech pan coś jeszcze opowie o sobie. To takie niezwykle, że żyje pan w świecie, w którym nikt inny nie potrafiłby żyć.

- Nikt inny nie jest żadnym wyznacznikiem szczęścia, dla tych co szukają własnej drogi.

Usiedli na dużym głazie. Nad ich głowami przemknęły szare cienie.

- To nietoperze – rzekł starzec. – Prawowici właściciele tych ciemności.

- Nie obawia się ich pan?

- One boją się mnie, bo wiedzą, że ja wiem wszystko, czuję wszystko.

- Nie rozumiem.

- Na początku, gdy tutaj zamieszkałem, czułem paraliżujący strach, że mnie znajdą. Potem, gdy zrozumiałem, że jestem w tej ciemności bezpieczny, w tym zagubieniu, w tym nasyceniu mroku, zacząłem się modlić do Boga. To dawało mi ulgę. Czasami widziałem jego twarz na ścianach kopalni. Fragmenty jego twarzy. A potem zacząłem medytować i nagle zacząłem coś czuć w sobie. Długo nie wiedziałem co, dopiero teraz to wiem. Po długich latach i niekończącym się cierpieniu.

- Co pan czuje?

- Stałem się ziemią, częścią ziemi. Czuję wszystko co ociera się o życie, na ziemi, w ziemi, nad ziemią. Gdy są wojny czuję strach ludzi, czuję ból, gdy pociski wchodzą w moje ciało, ranią moje ciało, odczuwam zmęczenie ludzkich serc, które mają dość nienawiści na wojnie. Wielkie budowle mnie ranią, gdy powstają, gdy dotykają moich nerwów, moich snów. Czuję jak rozkwitają zboża, łąki, kwiaty, czuję jak ludzie chodzą po górach, dotykają mnie, prawie głaszczą swoim zmęczeniem, zmęczeniem naznaczonym szczęściem. Czuję strach ludzi, nienawiść ludzi, złe ambicje ludzi, które popychają ich zawsze w złych kierunkach. Czuję to, lecz nie znam odpowiedzi, jak pewne rzeczy się zakończą. Wiem, że się zakończą, ale nie wiem jak. Wiem kiedy, ale jaki będą miały koniec, mgła w głowie, w myślach.

- To wszystko daje medytacja?

- To wszystko daje bliskość z Bogiem. Gdy stajesz się niewidzialny dla ludzi, Bóg zawsze zauważa cię najdokładniej. Uważniej przygląda się twojemu życiu. Daje ci nowe możliwości, nowe ścieżki przed tobą wyznacza.

- Co będzie ze mną?

- Ty – starzec zamknął oczy. – Już zawsze będziesz błdził. Będziesz ślepcem wśród żywych ludzi. To, co przeżyłeś w młodości, sprawi, że młodość nigdy nie zniknie w twojej starości. Lata nigdy nie zmieniają wspomnień na gorsze. Rozmarzą je trochę, rozdziela na małe cząstki, drobne kawałeczki, ale już nigdy nie będziesz tym, kim mógłbyś być, gdyby inaczej potoczyło się twoje życie.

- Wydostanę się stąd kiedyś?

- Nie kiedyś. Dzisiaj – uśmiechnął się starzec i dotknął ręką jego czoła.

Komisarz Rawicz obudził się. Znów ten sen, pomyślał. Czy niektóre sny nigdy się nie kończą? Spojrzał za okno. Księżyc świecił dzisiaj jasno, zbyt jasno. Komisarz Rawicz szerzej otworzył oczy, nie mógł uwierzyć w to, co widział za oknem.

Księżyc miał kształt starca. Te oczy, ta broda, ta mądrość wydobywająca się z jego ust. To był on. Komisarz Rawicz zamknął oczy.

Starzec zniknął. I wtedy usłyszał głos w głowie. Nie kiedyś, dzisiaj. I zasnął natychmiast. Zasnął snem, który był jego najlepszym snem od kilku lat, może od zawsze.

Spojrzała w lustro, zobaczyła swoją twarz rozmazaną, zniekształconą, pełną złudzeń i niepewności. Zauważyła w oczach dziwny niepokój. Taki niepokój, który nagle się w niej pojawia i później już nie znika.

- Jestem zmęczona – powiedziała do lustra Iwona Zakrzewska. – Jestem zmęczona nauką, czasem, który przepływa mi za szybko między palcami, zmęczona ludźmi, ich nieustannymi wymówkami, mówieniem tylko o sobie, mówieniem w którym nie słyszy się drugiej osoby, liczą się tylko słowa, ich słowa, ich uczucia. Najbardziej jednak jestem zmęczona sobą i tym, że się na to wszystko godzę dobrowolnie.

Poszła ospałym, wolnym krokiem do łazienki, umyła zęby, lekko potrzasnęła swoimi gęstymi włosami i schowała się pod kołdrę.

Sen, pomyślała. Sen kojący, dający szansę na lepsze jutro. Zasnęła.

Zobaczyła go jak klęczał przy murze. Jego ręka szybko coś na nim malowała sprayem. Był taki nieobecny, zamyślony, skupiony na czymś co ma dla niego teraz kolosalne znaczenie. Przykładał szablon, zmieniał spraye i malował, tworzył nowy świat na lekko popękanym murze tuż przy rynku.

Podeszła do niego cicho, bezszelestnie jak motyl, który chce usiąść na najbardziej kolorowym kwiatku na łące.

Coś wyczuł, może napięcie widoczne w jej oczach, odwrócił się. Jego jasne oczy przez moment były skupione, potem się odprężyły i uśmiechnął się do niej delikatnie, prawie niezauważalnie, samym kąciakiem ust, nie całą twarzą.

- Podoba ci się to, co maluję?

Iwona podeszła bliżej. Klęknęła koło niego. Jej ręka chciała dotknąć rysunku na ścianie.

- Nie dotykaj – powstrzymał jej dłoń i był to ich pierwszy dotyk w śnie, w śnie, który zaczął się u niej pojawiać codziennie w nocy.

- Dlaczego? – spytała.

- Farba jest świeża. Pobrudzisz się.

Iwona wstała. Odsunęła się kilka kroków od muru, zmrużyła swoje kocie brwi, raczej żółte oczy niż brwi i powiedziała:

- Dobrze. Kolory ciemne, ale dobre.

Obóz koncentracyjny, drut kolczasty, za nim ludzie w czarnych garniturach. Nie chudzi, nie głodni, nie zabiedzeni, nawet nie smutni tak do końca, bardziej zamyśleni, nieobecni, zmęczeni. W rękach trzymali teczki, nesesery, walizki. Ich oczy, te oczy. Pełne napięcia, pośpiechu, oczy zakazane, na to co dobre, na to co dotyczy innego człowieka.

- Jaki będzie miał tytuł?

- Nieobecność.

Graficiarz zrobił jeszcze kilka ruchów sprayem, jeszcze przyłożył dwa szablony do ściany i wstał.

- Skończone. Idziemy na kawę?

- Idziemy – sama była zaskoczona, że się zgodziła.

Ale to sen, tylko sen. W snach nigdy nie jesteśmy sobą. Jesteśmy kimś innym. Jesteśmy bardziej czymś niż kimś. Jesteśmy bardziej wolą niż czynem. Sny to niepokój, nieustający niepokój, że świat stamtąd może stać się nagle światem stąd.

Mała kawiarenka, cicha, w stylu francuskim. Cicha, spokojna muzyka, ciepła. Ludzie prawie szeptali coś do siebie, prawie milczeli, jakby bali się coś powiedzieć na głos, żeby słowa nie nabrały nagle jakiegoś znaczenia, jakiejs treści, zbyt wyraźnej barwy.

Kawa była dobra, ze śmietanką, z cynamonem, z cukrem brązowym, prawie brązowym. Prawie z Kolumbii, prawie ze snu. Innego snu. Nie tego tutaj.

- Co robisz? – spytał Graficiarz.

- Studiuję prawo.

- Chcesz walczyć o innych? Przecież wiesz, że ludzie nigdy nie chcą walczyć o innych dobrowolnie. Wolą walczyć o siebie, zawsze za pomocą innych, przeważnie za pomocą innych.

- Chcę pomagać. Łudzę się, że mogę pomagać, że mogę coś zmienić. A ty? Co sprawia, że chcesz malować?

- Nie wiem co, wiem, że muszę. Najpierw było jedno graffiti przypadkowe, potem drugie, bardziej przemyślane i kolejne, żeby uwierzyć, że to pierwsze miało jakiś sens, jakieś znaczenie. A teraz muszę to robić, bez względu na konsekwencje. Graffiti mają większą siłę niż słowa. Zostają w pamięci, na zawsze, jeśli coś znaczą. A wierzę, że moje coś znaczą. Muszą coś znaczyć, bo jeśli nie, to już zmarnowałem swoje życie. Jeśli nie, to zniekształciłem swoją drogę i już nigdy nie znajdę właściwej.

Graficiarz dotknął jej ręki, wtedy kiedy była bezbronna, gdy piła, prawie nic nie pijąc, kawę z dużej filiżanki. Jej skóra drgnęła, ale nie cofnęła ręki.

- Wiesz, że to tylko sen? – spytała prawie nie pytając, nie oczekując od niego żadnej odpowiedzi. – Jutro o tobie zapomnę. Już nie spotkamy się nigdy. Nawet nie wiem, czy będę cię pamiętać. Nawet w rozmazanym kształcie.

- Dotyk zapamiętasz. Jest zbyt znaczący. Takie rzeczy zostają w człowieku na zawsze.

- Pragnienie, dobre pragnienie zawsze pamiętamy najmocniej, nawet pragnienie ze snów – powiedziała Iwona, potem przymknęła żółte oczy i obudziła się w swoim pokoju.

Szary cień powoli uciekał przez okno. Budził się nowy dzień. Dzień jasny, słoneczny, przepełniony zbyt intensywnym światłem z nieba.

Znów zamknęła oczy, znów zasnęła. Liczyła na spokój, na ciszę. Na bliżej nieokreśloną obojętność. Była za miastem, nie wiedziała jak się tam znalazła, czym tam dojechała, bo musiała przecież czymś dojechać. Autobusem, samochodem, może dorożką z rynku. Nie, dorożką nie, to nie ten sen. Nie zastanawiała się zbyt dociekliwie, przecież to tylko sen. A w śnie, jak wiadomo, nic nie jest pewne, nic nie jest prawdziwe. Rzeczy się rozmazują, czas tak w istocie nie istnieje, bo nie może istnieć. Czas w snach jest nieprawdziwy, nie ma minut, sekund, a nawet godzin. Czas w snach jest nieokreślony, a może jest określony, ale w inny sposób.

Szła przez łąkę, pełno tam było kwiatów. Ten zapach, te kolory, to nasycenie. I te pszczoły pracujące dla czegoś, czego człowiek nie może określić, nie może zrozumieć. Pracujące dla wieczności.

Zobaczyła stare forty austriackie, zobaczyła je z oddali. Gdy się do nich zbliżyła, gdy poczuła zapach starych murów, gdy poczuła czas dawny, przeszły, czas zapomniany, zobaczyła go znów. I to znów ją jakoś uszczęśliwiło, i to znów spowodowało lekkie podniecenie jej duszy, może bardziej ciała niż duszy. To ją zaskoczyło, zaniepokoiło. Nie spodziewała się, że jej ciało jest tak podatne na inne ciało. Obce jeszcze dla niej ciało.

Graficiarz coś malował. Znów ciemne, szare, stonowane kolory. Dużo szablonów koło niego. Dużo sprayów. Był jak w letargu. Jego wzrok był spokojny, ale ręce wciąż pracowały. Był jak robot, wykonujący ostatnie zadanie. Zanim zniknie, zanim bezruch zniszczy jego powłokę. Metalową powłokę.

Zobaczyła gruzy, zniszczone miasto, zaraz po nalocie z nieba. Budynki, strzępy budynków, martwe ulice, połamane latarnie, mosty ścięte na pół, i to dziecko, małe, z oczami utkwionymi w niebo. A w jego rękach pluszowy miś, bez jednej ręki, bez jednej nogi. W oddali widać odlatujące samoloty.

Graficiarz odwrócił się w kierunku jej spojrzenia. Wstał. Schował spraye do plecaka. Podszedł do niej.

- Odnalazłaś mnie. A mówiłaś, że się nigdy już nie spotkamy.

- Tak myślałam wtedy, tak myślę teraz. Nie mogę ci obiecać kolejnego spotkania, choć niepokoisz mnie wciąż, zaskakujesz mnie wciąż. Ale to tylko sen, a w śnie wszystko ma zapach złudzenia.

Wziął ją za rękę. Znów poczuła dreszcz swojej skóry, ale głębszy niż ten z wczoraj, bardziej wyrazisty, mający w sobie jakąś czułość, jakąś intensywną głębię.

Podeszli do skraju łąki. Tam leżał rozłożony koc, na nim butelka wina, białego, owoce morza, podsuszone wędliny z Hiszpanii, oliwki, i ser biały na przemian poukładany z żółtym, na małych zielonych talerzach.

- To dla ciebie, to dla nas – powiedział Graficiarz. – Dla tego co jest nieprawdziwe, ale tak wyraziste.

Usiadła na kocu, napiła się wina. Zaczęli jeść. Na niebie pojawiły się bociany, całe stado bocianów.

- Dlaczego tutaj malujesz? W oddali, na peryferiach miasta.

- Liczy się miejsce, liczy się czas, liczy się sztuka. Działam instynktownie. Miejsce wybrałam dawno. Czekałam na impuls, żeby tutaj coś namalować. Ty byłaś tym impulsem, choć wciąż jesteś dla mnie tajemnicą, niebezpieczeństwem. Nadzieją.

- Niebezpieczeństwem? – zdziwiła się Iwona.

- Niebezpieczeństwem. Boję się, że przestanę przez ciebie malować. Że miłość do ciebie, która za chwilę się pojawi, bo musi się pojawić, sprawi, że chęć bycia z tobą zagłuszy chęć bycia tym, kim jestem teraz.

- Nigdy bym ci nie pozwoliła robić rzeczy, których nie chcesz robić, w imię miłości.

- Miłość sprawia, że się zmieniamy. Miłość sprawia, że się zaczynamy gubić. Nie wiemy kim jesteśmy, bo stajemy się nagle jednością z kimś innym. I ta inność jednych wyzwala, innych niszczy.

- Ciebie niszczy? Nas niszczy?

- Niszczy to co jest w nas najgłębiej, co jest ukryte przed ludźmi, przed światem. A potem ciężko to odzyskać. Najciężiej jest odzyskać siebie samego po złych przejściach. Po złych czasach.

Pocałował ją, wtedy gdy się tego nie spodziewała. Oddała mu pocałunek. Nawet nie była zaskoczona. Wiedziała, że w snach zaskoczenie nie istnieje, nie może istnieć. W snach wszystko jest nieprawdziwe, wszystko jest nierzeczywiste.

Potem pocałował ją w szyję. Znów ten deszcz. Lecz inny, jakby nie z tego świata. Deszcz dający nadzieję, że świat jest inny, ludzie są inni. Deszcz niespokojny, nienasycony, bez żadnych szans na zaspokojenie.

Graficiarz spojrzał jej w oczy. Ręką odgarnął jej czarne włosy, prawie krucze.

- Dziwne, że spotykamy się tylko w snach, dziwne, że zakochuję się w tobie poprzez sny.

- Nasza miłość jest senna. Nasza miłość jest nierzeczywista. Dzięki temu jest taka wyjątkowa. Dzięki temu jest taka niedookreślenia.

Gdy pocałował ją znów w usta wszystko się rozmazało. Czarna mgła, czarna przepaść, czarna chmura.

Obudziła się i to obudzenie ją jakoś dziwnie zmartwiło. Zabolało.

Nie chcę żyć tutaj, chcę żyć tam, pomyślała, zanim wstała z łóżka. Tam jest lepsze niż tutaj, tam jest bardziej prawdziwe od nieprawdziwego tutaj.

Spojrzała za okno. Padał ciepły, mglisty deszcz. Deszcz, który budzi, deszcz, który zakrywa smutki i żale miasta za swoją wilgotną kotarą.

Cały dzień miała wykłady. Od sali do sali. Nudne przykłady, analizy rozpraw sądowych, nauka kodeksu karnego i ciągły bieg od sali do sali, aż do znudzenia. Gdy wracała do domu, gdy mijała ludzi na Plantach, gdy starała się sama siebie zrozumieć, dlaczego to robi, nagle zaczęło padać. Zaczęła uciekać do domu. Po chwili jednak stanęła, odwróciła twarz ku górze, w kierunku chmur i wtedy poczuła ulgę. Deszcz ją zaczął oczyszczać. Najpierw wyzwolił jej skórę, potem duszę. Poczula się lepiej. Powoli, sennym, ciężkim, a jednak już lżejszym krokiem wróciła do domu.

Prysznic, lekka kolacja, książka, muzyka w magnetofonie, pojedyncze chwile zadumy nad swoim losem i sen.

Zasnęła szybko, bez żadnych napięć i złudzeń, że jutrzejszy dzień będzie lepszy od tego dzisiaj.

Forty przy ulicy Kamiennej, stare, czerwone, u góry porośnięte zielenią. Za nimi park, w nim drzewa, alejki, mury. Obok dworzec towarowy, w nim tory, spedycja, stare pociągi na bocznicy, twarze w granatowych mundurach.

Zobaczyła go w parku. Malował znów coś. To znów ją jakoś ucieszyło. Znów w nim oznaczało wolność. Znów w innych oznaczało pustkę, obojętność.

Dzisiaj nie miał szablonów, malował z pamięci. Może miał to w głowie, może głowa miała to w nim, może nic nie miał w głowie i łudził się, że ma, a może tylko kopiował dobrze uporządkowane obrazy w duszy.

Zimne, ciemne niebo. Góra, wysoka, na niej krzyż, na nim człowiek. Twarz znajoma, bliska, ważna dla każdego. Na niej wyraz cierpienia. Łzy widać w kącikach oczu. Ręce przybite do krzyża, ciało przybite do krzyża. A w rękach, w jego dłoniach bomby. Nie wiadomo dlaczego Chrystus płacze. Nad sobą, nad ludźmi, nad cierpieniem, a może boi się, że bomby coś znaczą, za chwilę wybuchną i będzie ciemność, będzie noc. I już nic się nie zmieni, ani ludzie, ani świat. A przecież wie, że świat potrzebuje zmian, ludzie potrzebują w tych zmianach uczestniczyć, choćby na siłę, choćby przez jakiś czas. Czas krótki, czas przepełniony zapomnieniem.

Iwona podeszła do niego i stanęła tuż za nim.

- Dlaczego spotykamy się tylko w snach? – spytała.

- Bo tylko sny mają jakąś nadzieję. Bo tylko sny ocierają się czarami o szczęście.

Za sobą usłyszeli krzyki. To straż miejska krzyczała coś o wandalizmie, o nieprzystosowaniu, o karze.

Graficiarz chwycił ją za rękę, zaczęli uciekać. Najpierw park, potem pętla autobusowa, aleje, dużo samochodów, światła, ludzie, pośpiech, ich pośpiech, pośpiech ludzi obok, Kleparz, dotyk obcych ciał, dotyk nieświadomy, tam zawsze jest dużo ludzi, mało miejsca, ucieczka pomiędzy kamienice, cienie strażników wciąż za nimi, cienie zmęczone, przygaszone, cienie bez żadnej kondycji w sobie. Biegna ulicą Krowoderską, kamienice z prawej, kamienice z lewej.

Po prawej stronie długi mur, zniszczony przez czas, w nim popękane cegły i brama, bardziej drzwi z metalu niż brama. Iwona je nieświadomie dotyka, są otwarte, wchodzą, zasuwają metalowe zamknięcie.

Ich oddechy są nierówne, niespokojne. Ich ciała drżą. Iwona się uśmiecha. Graficiarz też czuje radość w sobie. Za murem, za drzwiami słyszą rozmowę.

- Gdzie oni są?

- Nie wiem.

- Już ich mieliśmy. Może uciekli w kierunku ulicy Długiej.

- Może – strażnik jest niezadowolony.

- Nie lubią nas, nie szanują nas, nie boją się przed nami uciekać.

- Czasami sam siebie nie lubię, za to co robię. Ale to praca, tylko praca, coś trzeba w życiu robić, jeśli nie potrafi się robić nic innego.

- Dobra. Idziemy w kierunku ulicy Długiej.

Rozmowa milknie. Cisza. Głęboka, spełniona, wyśniona cisza.

- Udało się – Iwona całuje go w usta, po raz pierwszy sama, tak nagle, bez zastanowienia.

- Tak. Udało się. Sztuka wymaga poświęceń, a sztuka uliczna wymaga wytrwałości i kondycji. Dużo kondycji.

Iwona rozgląda się. Jest zdumiona. Stary ogród, jakby z lat dwudziestych, może wcześniejszych. Łąka, dużo kwiatów, za nią grządki, stara szopa, jakby wyjęta z przeszłości, obok niej narzędzia, tylko z drewna, jakby metal nie istniał w tej przestrzeni.

- Jak tutaj jest cudownie. Jak tutaj jest inaczej – Iwona biegnie na łąkę.

Jej nogi tańczą, całe ciało tańczy, drży ze szczęścia. Iwona rozkłada ręce na boki, kręci się jak baletnica, szybciej, coraz szybciej. W końcu upada na ziemię, na łąkę, na kwiaty. Przygląda się niebu, chmurom, słońcu. Graficiarz kładzie się tuż koło niej.

- Nie wiedziałam, że jeszcze są takie miejsca, gdzie czas zastyga na chwilę, gdzie życie się kurczy, nigdy nie przyspiesza zbyt gwałtownie do przodu. Gdzie ludzie nie mają wstępu, bo mogą tylko zniszczyć ciszę, która tutaj jest wszechobecna.

- Kraków to miasto tajemnic, Kraków to miasto ogrodów.

- Ogródów ukrytych za murami.

Przez chwilę milczą. Ich dłonie zaplatają się nieświadomie ze sobą. I jest im dobrze, i jest im szczególnie.

Iwona patrzy się na chmury. Widzi ich kształty, zarysy, widzi ich potęgę. Gdy była mała często patrzyła się na chmury, na niebo. Gdy dorosła straciła ten dar, tą chęć bycia sam na sam z niebem, bycia sam na sam ze sobą, ze swoimi marzeniami.

Poczuła smutek. Wciąż nieświadomie tracę rzeczy, które są najpiękniejsze we mnie.

Iwona zamyka oczy. Kilka sekund jej serce nie pracuje, jej myśli zatrzymują się w środku, potem znów wszystko rusza do przodu, gdy gwałtownie otwiera oczy.

Chmury zaczynają się łączyć ze sobą. Przybierają jakieś kształty, tworzą obraz, jakąś historię, może niemy film bez dobrego zakończenia.

Widać urwisko, jakiś mężczyzna, pewny siebie, z bronią. Ktoś inny klęczy, słychać strzał, huk unosi się nad wodą, nad morzem. Dwa czarne kruki coś krzyczą do siebie z wysokości nieba. Potem odlatują w kierunku morza. Martwe ciało leży na boku. Mężczyzna coś zauważa. I to spojrzenie, jego oczy, najpierw zimne, potem zdumione, potem pełne wyroku.

Iwona wstaje z łąki. Obraz na niebie się załamuje, rozprasza. Jej serce bije coraz szybciej. Myślałam, że zapomniałam już o tym, a to co widziałam, tak naprawdę zawsze już będzie ze mną, i nic tego nie zmieni, ani czas, ani ludzie, ani ja sama.

Graficiarz stoi koło niej, chwyta ją za rękę. Całuje w szyję, potem w usta. Ona się nie broni, nie chce się bronić. Chce poczuć bliskość kogoś, koło siebie. Bliskość, która zabije resztki wspomnień z przeszłości.

Iwona budzi się w nocy. Księżyc prawie śpi u niej na pościeli. Noc jest jasna, żółta, księżycowa. Noc jest świetliście rozświetlona przez blask księżyca.

Kolacja i ta niepewność, czy sen znów do niej wróci. Sen powtarzalny, sen czuły, sen romantyczny, sen który uskrzydla, nie zabija w niej żadnej nadziei.

Książka przy lampce, litery się w końcu rozmazują, rozplývają, powieki opadają na dół, są ciężkie, zmęczone, zatracone niepotrzebnie w życiu, nie w nocy. Zasypia. W końcu zasypia...

Idą razem wzdłuż Wisły, tuż koło zamkniętego Hotelu Forum. Jeden statek, knajpa, drugi statek, hotel, tyle statków pojawiło się przy rzece od pewnego czasu. Idą dalej, mniej ludzi, po drugiej stronie widać Kazimierz, kładkę pełną przyczepionych kłódek i inne mosty, metalowe, mosiężne, pełne samochodów i tramwajów. I te zmęczone twarze i te zagonione kroki.

Przy brzegu, przy rozwidleniu małej odnogi, małej rzeczki, stoi samotna, opuszczona barka. Przywiązana, zniewolona jest przyrdzewiałym łańcuchem do brzegu.

- Coś ci pokażę – mówi Graficiarz.

Wchodzą na pokład. W oddali widać zachodzące słońce nad miastem. Z boku barki widać rysunek, tuż nad samą wodą.

- Popatrz, wczoraj to namalowałem.

- W życiu, czy w śnie? – pyta Iwona.

- Czy to ważne. Sen to życie, życie to sen. W śnie maluję wyraźniej, w życiu maluję intensywniej.

Koń, biały, z szarą grzywą roztarganą przez wiatr, na nim kobieta w prawie przeźroczystej sukience. Lecz nie jest to kobieta zwyczajna, pomimo tego co charakteryzuje każdą kobietę, ta kobieta to śmierć. Widać to w oczach, widać to w twarzy, widać to w szaleństwie, które widoczne jest w każdym jej ruchu.

Koń stoi na tylnych nogach. Jego pysk ryczy, syczy, coś krzyczy, jeśli konie mogą coś, choćby cokolwiek krzyczeć. Kobieta – śmierć, trzyma w rękach sztandar. Na nim czerwone płomienie, dużo płomieni. Może piekło, może rozpalone dusze, może nienawiść płynąca w kierunku życia, w kierunku ludzi, którzy już nie mogą spać normalnie od jakiegoś czasu w nocy. Z tyłu szare, metalowe tło. Pasemka czarne, nawet brunatne, nawet węglowe.

- Boisz się śmierci? – pyta Iwona.

- Boję się ludzi, którzy zadają śmierć innym każdego dnia. Zadają śmierć, nie zabijając ciała. Nie zabijając duszy.

Weszli do środka barki. A tam korytarze, ciemne, milczące. Za oknem pojawiła się noc. W barce noc, ciemność zatracona.

Graficiarz chwycił ją mocniej za rękę. Poczula się pewniej, strach gdzieś zniknął poprzez jego dotyk.

- Boisz się? – spytał Graficiarz.

- Przy tobie niczego się nie boję.

Weszli głębiej, przed nimi rysował się długi korytarz. Pokoje po prawej, pokoje po lewej. Nagle coś drgnęło, barka zaczęła płynąć.

- Co się dzieje? – spytała Iwona.

- Płyniemy.

Zaczęli biec w kierunku wyjścia. Pogubili się, a barka płynęła coraz szybciej. Zerwała się burza, rzeka zaczęła być coraz groźniejsza. Wypłynęli za miasto, widzieli ruchomy brzeg przez okna barki. Nie mogli znaleźć wyjścia. W śnie wszystko jest niemożliwe, w śnie wszystko jest możliwe. W śnie tak naprawdę nie ma żadnych wyjść, żadnych drzwi, żadnych okien. Są tylko kraty, zamknięte pomieszczenia, rozmazane pokoje. Sen to pojedyncze pokoje, schowane w jednym pokoju. Sen to pojedyncze lęki, schowane w jednym lęku.

Błyskawice były coraz wyraźniejsze. Łamały niebo na pojedyncze odłamy skalne.

Za oknem ciemne drzewa, pagórki, przydymione pola pełne zboża. Jakieś domy, ulice, pojedyncze samochody za horyzontem. Kolejne miasto, kolejny las, kolejne ruiny w oddali.

- Nigdy się stąd nie wydostaniemy – głos Iwony się łamie, kurczy.

- Jeśli mogłaś wejść do tego snu, możesz w każdej chwili z niego wyjść. Musisz się tylko wystarczająco postarać. Sen to złudzenia, które zawsze można rozproszyć nad ranem. Można od nich uciec, jeśli mamy jakieś szanse w prawdziwym życiu.

Płynęli przez las, w nim zwierzęta, ich dzikie oczy, czerwone, pełne nienawiści. Ich ryki, krzyki, nawoływania. Las to ciemność, ciemność schowana w niebezpieczeństwie.

W końcu zasnęli, razem, przytuleni do siebie.

- To tylko sen. Sen w śnie – pomyślała, a może powiedziała to Iwona, zanim zasnęła całkowicie.

Obudziło ich delikatne, płynne kołysanie. Wstali, jeszcze coś pamiętali, jakieś skrawki obrazów w nich jeszcze były, nieśmiało wyszli na pokład. Drzwi były otwarte, choć wczoraj były zamknięte.

Ale w snach nic nie jest logiczne, nic nie jest prawdziwe, rzeczywiste do końca.

Byli na morzu. Brzegu nie było widać. Tylko fale, dzisiaj spokojne, jakieś ptaki na horyzoncie i cisza. Ta cisza, ta głębia, to zagubienie, to ich urzekło, onieśmieliło na kilka sekund.

- Jak tu pięknie. Nie ma brzegu, nie ma kresu, nie ma nic. Jesteśmy my i morze. My i cisza. My i wielkie nic wokół nas.

- Czasami nic to wszystko co człowiek ma, co może mieć, czasami nic to tylko pustka, złudzenie, że za tym nic kryje się coś niezwykłego.

Oślepiło ich słońce, takie słońce co parzy, co niszczy wzrok od razu.

Obudziła się. Potem przez kilka dni oczy ją bolały. Nie mogła spać, nie mogła jeść, nie mogła marzyć. Po tygodniu zasnęła, ale nie śniło jej się już nic. Nie miała snów prawdziwych, urojonych, zwyczajnych, dziwnych, obcych, niebezpiecznych. Graficiarz już nigdy nie pojawił się w żadnym jej śnie.

Spotkała go kiedyś na mieście. Stał przy murze, coś malował. Rozpoznała go od razu. On ze snów, on, jego oczy, ruchy rąk w prawdziwym życiu. Podeszła do niego. Odwrócił się, był zdumiony.

- To ty – powiedział pierwszy.

- Poznajesz mnie. Byłeś w moich snach, całowałeś mnie w moich snach.

- Byłaś w moich snach, całowałaś mnie w moich snach. I zniknęłaś. Pomyślałem, to tylko sen, ty nie istniejesz naprawdę. To tylko złudzenie, że jesteś, a ciebie tak naprawdę nie ma. I te noce z tobą, noce których nie mogłem zapomnieć za dnia. I nagle zniknęłaś – zamyślił się Graficiarz. – I poznałem kogoś. Pokochałem, może zbyt szybko, bo myślałem, że też zniknie jak ty. A ty jesteś, a ty żyjesz, choć wydawało się, że cię nie ma, nigdy nie było.

- Na pewne rzeczy wciąż jest za późno, choć nieustannie je ściągamy, gonimy, a one wciąż są zbyt daleko.

- Żegnaj – Graficiarz podał jej rękę. – Sny z tobą były najpiękniejszymi snami w moim życiu.

- Żegnaj – Iwona ze łzami powiedziała to prawie szeptem. – Sny z tobą były jedynymi, prawdziwymi uczuciami w moim życiu.

I odeszła, szybko, bez zastanowienia. Bała się, że on coś krzyknie, pobiegnie za nią, ale on tego nie zrobił. Tylko stał i płakał. Nie

wierzył, że sny mogą aż tak ranić, że sny mogą dać tyle szczęścia człowiekowi.

Były momenty, chwile, że spacerowała tak bez celu po mieście. Czuła się wtedy wolna, bezpieczna. Bezpieczna od trosk, wolna od codzienności.

Patrzyła się na kamienice, na dachy, kominy, balkony skierowane w kierunku nieba. Przypominała sobie przeszłość, dzieciństwo, dobre, spokojne chwile z młodości. Każda ulica, chodnik to jakieś dawne, teraz już przykurzone wspomnienie. Patrzyła się w okna, gdy zbliżała się noc, gdy światła powoli zaczynały się tlić za szybami. Widziała, dostrzegała uważniej obce życia, albo brak jakiegokolwiek życia za oknami. Była wtedy bezpańska, tak jak bezpańskie było miasto, w którym kiedyś się urodziła.

Zauważyła go gdy sprzedawał obrazy przy Bramie Floriańskiej. Był taki skupiony, nieobecny. Oglądała obrazy wiszące na murach, pejzaże, akty kobiet, Kraków namalowany w nocy, za dnia, Kraków inny, nie taki jakim go знаła codziennie.

W końcu podszedł do niej, spytał czy chce coś kupić. Iwona tylko się uśmiechnęła, powiedziała nie, że chce tylko dostrzec siebie w którymś z tych obrazów, że chce zrozumieć, dlaczego jej życie jest takie inne, nie takie jak na obrazach.

Umówili się w kawiarni Michalika, jutro, pod wieczór. Gdy przyszła następnego dnia wystrojona, wymalowana, w czarnej obcisłej sukience, z czerwonymi kolczykami w uszach, z torebką w kolorze brązu, ze złotym zapięciem, zauważyła że jego oczy, pewność którą miał w sobie gdy się pierwszy raz spotkali, gdzieś znikła. Pojawiło się ciemne zagubienie w jego oczach.

- Byłaś tutaj kiedyś? – spytał.

- Tak, dawno temu. Zbyt dawno – uśmiechnęła się lekkim ruchem rąk, bardziej nadgarstków niż rąk.

W kącie, na lekkim podwyższeniu grał starszy mężczyzna w czarnym golfie na fortepianie. Dźwięki w ciszy, w lekkim roztarzgnięciu światła ocierały się o szklane mozaiki na wysokości sufitu.

- Od dawna sprzedajesz obrazy? – spytała.

- Obrazy sprzedaję od kilku lat, maluję obrazy od kilkunastu lat.

- Malujesz? – zdziwiła się Iwona. – Co malujesz?
- To co się sprzedaje, dla turystów, Kraków, jego okolice, akty kobiet i przyrodę. Jednak dla siebie maluję coś innego.
- Co? Powiedz, jeśli możesz.
- Zawsze interesowało mnie to, co dzieje się, gdy za chwilę zdarzy się coś strasznego. Ten moment, gdy czas za kilka minut zacznie się zmieniać i już nic nie będzie takie samo. To napięcie, które naprężone jest do granic wytrzymałości. Maluję chwile tuż przed ważnymi wypadkami, tragediami, katastrofami.
- Nie rozumiem. Co chcesz uchwycić?
- Jak ci to mam wytłumaczyć. Kiedyś terroryści zaatakowali szkołę. Wzięli dzieci za zakładników. Czytałem co się tam zdarzyło, oglądałem zdjęcia. Potem narysowałem chwilę, jak wchodzi do szkoły, z detalami, z dokładnością fotograficzną.
- Dużo masz takich obrazów?
- Sporo. Nazywam to malarstwem faktu. Przecież jest literatura faktu. To moja nazwa, mój własny, prywatny kierunek sztuki. Zawsze się przygotowuję. Patrzę jak są ubrani ludzie, jak wygląda miejsce, tuż przed, tuż po. I maluję.
- Jesteś tam, gdy malujesz?
- Tak – zamyślił się Malarz. – Czuję ich ból, zbliżający się ból, powoli, bardzo powoli. Najpierw jest daleki, potem bliski, na końcu znaczący. Prawdziwy ból zawsze jest daleki, zanim stanie się bliski, znaczący, kłopotliwy dla nas, dla innych koło nas. I to napięcie, które też na początku jest dalekie, nic nie znaczące, a potem przybiera na sile i staje się niebezpieczne, groźne, aż w końcu wybucha i nic już nie jest takie same jak na początku.
- Co już namalowałeś?
- Napad na bank, gdy zginęli ludzie. Uchwyciłem moment gdy wchodzi do banku, gdy zakładają maski. Kolory są ważne, na obrazie kolory nasycone były czerwienią. Czerwień była w ich oczach, na niebie, w powietrzu. Tsunami, to też było dla mnie wyczerpujące. Ci ludzie porzuceni w morzu, na plaży, w mieście. Najpierw to widziałem poprzez ból, potem namalowałem jak ludzie uciekają, jeszcze żyją, a fale wdzierają się na siłę do miasta.
- Cierpisz wraz z nimi?

- Jestem tam wraz z nimi. To jest wyczerpujące, ale muszę to robić. To jakiś impuls, jakieś oczyszczenie po tym impulsie we mnie następuje, gdy już skończę malować obraz. Zawsze jest jakiś symbol śmierci na obrazie. Symbol przeznaczenia.

- Jaki symbol?

- Czasami jest to kruk siedzący na drzewie, gdzieś w pobliżu, innym razem starzec patrzący z daleka w niebo. Niekiedy chmura, ciemna, zbyt bliska na ciemność, zbyt odległa na jasność. Czasami orzeł lecący w oddali, prawie niewidoczny na niebie. Innym razem liść, czerwony, jaskrawo czerwony, wpadający do rzeki. Symbole niepewności tego co jest, tego co będzie.

- Dziwne jest to, co mówisz.

- Dziwna jest sztuka, która ociera się o prawdę. Ja chcę tę prawdę jakoś zdobyć, unicestwić, ośwoić choć na moment, choć wiem, że prawda zawsze sama wyzwoli się z kajdanów życia i ucieknie, ale w jakim kierunku, tego nie wie nikt.

Wypili po lampce białego wina. Było słodkie, smaczne, miało jakąś jasność w sobie, która rozjaśniła ich rozmowę na kilka sekund.

- Poza malarstwem, co robisz?

- Lubię podróże, bo lubię ucieczki w nieznane. Lubię kobiety, bo lubię ucieczki w nieznane. Lubię marzyć, bo lubię ucieczki w nieznane.

- Gdzie mieszkasz?

- Z rodzicami w kamienicy, przy ulicy Grzegórzeckiej. Tuż przy Hali Targowej. Mam tam dostęp do strychu, tam maluję. Jest tam duże okno, daje dużo światła, gdy jest dzień. Tam mi się najlepiej tworzy.

- Pokażesz mi kiedyś swoje obrazy?

- Oczywiście. Pokażę ci je, żebyś zobaczyła, że sztuka może zbliżyć się tak blisko do prawdy. Prawda jest w nas, prawda jest we wszystkim co nas otacza.

Fortepian zaczął milknąć, prawie wyciszył się pod palcami mężczyzny, a potem zaczął krzyczeć i wołać o pomoc, żeby znów zamilknąć. Było w tej muzyce tyle radości, radości ocierającej się o cierpienie, radości ocierającej się o niepokoje.

W jego pokoju panował nieład. Ubrania krążyły po wszystkich meblach, były tam gdzie nie powinny być, biurko miało w sobie, na

sobie, po brzegach książki, sterty książek, zeszyty, stosy długopisów i ołówków. Czerwona lampka prawie zahaczała o krawędzie biurka. Łóżko niepościelone, dywan nieodkurzony, firanki pomięte. Na ścianach obrazy, dużo obrazów.

- Jak możesz pozwolić, żeby nieład opanował całe twoje życie? – spytała z wyrzutem Iwona.

- Nie mam czasu na nic. Trochę studiuję, trochę maluję, trochę żyję.

- Całe twoje życie to tylko trochę?

- Tak – zamyślił się Malarz. – Trochę jestem półartystą. Maluję na tyle dobrze, że to co tworzę ma jakiś kształt, obraz, jednak maluję na tyle źle, że nigdy to co tworzę nie będzie prawdziwą sztuką. Mam pomysł, jednak sztuka to mieszanka pomysłu, szczęścia, talentu. Ja którejś z tych rzeczy mam za mało, o wiele za mało. Jestem półsynem. Kocham rodziców na tyle mocno, że myślą, że zostanę kimś, jednak na tyle słabo, że ich w końcu kiedyś zawiodę. W miłości, w przyszłości, w nienawiści do niezrealizowanej terażniejszości. Jestem półsprzedawcą. Sprzedaję obrazy, wiedząc, że są nic nie warte. Więc się tak naprawdę nie staram, żeby je sprzedać. Nigdy nie będę dobrym sprzedawcą, nigdy nie będę też dobrym kupcem. Zły sprzedawca nigdy nie będzie dobrym kupcem. Jestem półstudentem. Uczę się zaocznie, jednak na tyle słabo, że oceny mam marne, jednak na tyle wystarczająco, że jakoś przechodzę na następny rok. I w końcu jestem półmarzycielem. Marzę, że w końcu gdzieś wyjadę daleko, ucieknę z tego miasta na wystarczającą odległość, żeby tutaj nigdy nie wrócić. Ale wciąż tutaj wracam, z niechęcią, ale wracam. I, co najgorsze, kiedyś wyjeżdżałem tak daleko, żeby nie znaleźć drogi powrotnej do domu, a teraz wyjeżdżam na tyle blisko, że czuję z tego powodu niechęć do siebie. Więc tak naprawdę, gdy na to wszystko spojrzeć realnie, jestem półczłowiekiem. Nic nie robię dobrze, na tyle dobrze, żeby czuć satysfakcję do siebie samego.

- Ludzie tak żyją, na pół gwizdka, na zbyt wolnych obrotach, często na biegu wstecznym.

- Ludzie tak, ale ja tak nie chcę żyć. Maluję, wierząc, że malarstwo kiedyś wyzwoli mnie z udręki. Z niewiary do siebie samego.

- Co to za obraz? – spytała Iwona.

Statek, burza, grzmoty, błyskawice, czarne morze, ląd w oddali, chaos na pokładzie. I te kolory, kształty składające się z małych punktów.

- Zbigniew Czewski? To kopia? – znów spytała Iwona.

- Nie, oryginał. Dał mi go kiedyś.

- Znasz go?

- Tak. Przychodził czasami, oglądał obrazy przy Bramie Floriańskiej. Tak się poznaliśmy. Potem piłem z nim kilka razy. Raz nawet z jego przyjacielem, pisarzem Tomaszem Fitzem.

- Jak on wygląda?

- Barczysty, kręcone włosy, spiczasta broda, wąsy. Miły facet. Też ma problem z życiem. Nie rozumie go do końca, jak ja. Dlatego tworzy. Tworząc szuka odpowiedzi na siebie, na swoje niezrozumienie świata.

Poszli do góry, skrzypiącymi, kręconymi schodami na strych. Gdy otworzył klapę i weszli do środka, Iwona poczuła intensywny zapach kurzu. Kurzu przepełnionego czymś odległym, zapomnianym, prawie nieobecnym.

Na środku strychu stała sztaluga, na niej leżał obraz. Zaczęty, niedokończony.

Iwona spojrzała na Malarza. Jego życie to wieczna niedokończoność, pomyślała.

Podeszła z lekką obawą do obrazu. Spojrzała na niego z uwagą. Skupienie było widoczne w jej źrenicach. Skupienie absolutne.

Jakaś granica, duża siatka metalowa aż do nieba. Na niej ludzie, ich kolor skóry lekko brązowy. Z drugiej strony strażnicy, w ich rękach broń, drewniane, może gumowe pałki. I ten strach w oczach ludzi, że dzisiaj ktoś może zginąć.

- Co to jest? – spytała Iwona.

- Granica meksykańska. Ludzie uciekają z kraju. Chcą coś zacząć, chcą coś skończyć, oddalić się od wspomnień, zacząć nowe wspomnienia.

- Czy każda ucieczka musi być okupiona czyjąś śmiercią?

- Bardzo często ucieczki naznaczone są czyjąś śmiercią. Czasami myślę, że tylko śmierć może okazać się światłem dla czyjejś ucieczki. Nadzieją.

Iwona spojrzała uważniej na obraz. Kolory były brudne, przykryte jakimś cieniem. Nie miały jasnych barw, jasnego nasycenia, jasnej perspektywy. Obraz był niedokończony. W kilku miejscach były tylko kształty, nie było barw.

- Kiedy go skończysz?

- Już niedługo. Pokażę ci inne obrazy – Malarz wziął ją za rękę i poprowadził w zaciemniony kąt strychu.

Kilkanaście obrazów stało tuż koło siebie. Były przytulone do siebie jak zagubione dzieci podczas mrozu.

Iwona zaczęła je oglądać.

Każdy to jakieś odległe wspomnienie z telewizji, z radia, z gazety. I te twarze, ten ból, to zaskoczenie, że ból jest tak blisko, zbyt blisko. I te kolory, to światło, raczej brak światła niż światło.

- Dlaczego ich nie sprzedajesz?

- Są jak moje dzieci. Gdy pomyślę, że któreś się zgubi, znajdzie w innym miejscu, czuję ból.

- Malujesz dla siebie, czy dla innych?

- Maluję dla innych poprzez siebie. Kiedyś spróbuję je sprzedać, z nadzieją, że nikt inny ich nigdy nie kupi.

- Dziwny jesteś. Każdy chce żyć ze sztuki, a ty robisz wszystko, żeby nigdy nie żyć ze sztuki. Daj sobie szansę, a wtedy świat też ci da jakąś szansę. Jakieś możliwości.

Iwona spojrzała przez okno na strychu. Dachy kamienic, Wawel w oddali, Wieża Ratuszowa, obok niej Kościół Mariacki i bloki, dużo bloków na horyzoncie. Kraków niewidoczny, Kraków zatracony.

- Piękny widok. Niedostępny dla obcych oczu.

Gdy Iwona się nagle odwróciła, zachwiała się lekko, znalazła się w jego ramionach. Poczowała się bezpiecznie, swobodnie. I to ją zaskoczyło, to nagle bezpieczeństwo, ta nagła swoboda, jej ciała, jej myśli.

- Mam pomysł – powiedziała. – Bardziej prośbę, niż pomysł.

- Słucham – jego oddech był taki bliski, taki ciepły, nosił w sobie jakiś niepokój, ciepły niepokój.

- Opiszę ci coś, coś co widziałam w młodości, w dzieciństwie bardziej niż w młodości, coś co wciąż we mnie jest, coś co budzi w

moich myślach wieczny niepokój, bardziej zamęt niż niepokój, a ty to namalujesz. Dla mnie.

- Dobrze. Wyrwę fragment twoich wspomnień z głowy i wrzucę je na płótno.

- Jutro przyniosę ci zeszyt, a w nim napiszę co masz namalować – Iwona pocałowała go w policzek i uciekła z jego ramion. – Będziesz półprzeszłością. Zobaczysz coś, czego nigdy nie widziałeś, zobaczysz to moimi oczami. Zobaczysz strach, może go nawet poczujesz, zobaczysz zdziwienie, zdziwienie zanurzone w przemocy, zobaczysz niewinność, która nagle się kończy, choć jeszcze na dobre się nie zaczęła.

Iwona uciekła do wyjścia ze strychu.

- Do jutra! – krzyknęła i szybko zbiegła schodami.

Czuła podniecenie. Co będzie jutro? co musi być jutro? czy pora- dzi sobie z jutrem? Z jutrem ocierającym się o przeszłość.

Jutro przyszło z deszczem, z niepogodą, z chmurami pędzącymi bez zastanowienia do przodu. Iwona ubrała granatowy płaszcz. Na zewnątrz było zimno. Pojechała do Malarza. Znów te skrzypiące schody, znów zbyt płytki oddech, to przez strach, pomyślała, i ten zeszyt, a w nim słowa, słowa piekące jak znamię, słowa bolące jak krzywda, słowa ukrzyżowane w jej myślach.

Malarz przez długą chwilę czytał zeszyt. Dokładny opis, szczegółó- łowy, i to niebo, i to morze, i te fale. I ten strach widoczny w opisie. Strach nigdy niegasnący.

- Zaczne wieczorem – stwierdził Malarz.

- Dobrze – Iwona się odwróciła. – Przyjdę za kilka dni.

- Poczekaj – Malarz chwycił ją za ramię. – Jutro organizujemy spotkanie. Malarze, studenci ASP, jacyś artyści, ludzie udający arty- stów, ci co chcą żyć inaczej, co muszą żyć inaczej. Przyjdziesz?

- O której godzinie? Gdzie?

- Spotkajmy się przy Kościele Mariackim o dziewiętnastej. Po- tem pójdziemy na ulicę Szczepańską, do Krzysztoforów.

- Dobrze – Iwona uciekła od niego oczami, uciekła spojrzeniem, takim spojrzeniem, które zawsze zostawia jakiś ślad w człowieku.

I zniknęła. Malarz długo na nią patrzył. W rękach trzymał kur- czowo zeszyt.

- Jest taka dziwna – powiedział szeptem. – Taka tajemnicza. Niedostępna, a zarazem cała na wyciągnięcie ręki. Jest w niej coś, a zarazem nic w niej nie ma. Przeszłość coś dla niej znaczy, a zarazem nic dla niej nie znaczy. Jej dotyk zniewala, a często jej dotyk bardziej boli niż zniewala. Jest wszystkim, jest niczym. Jest mną, jest sobą. Jest sobą poprzez mnie.

Malarz odwrócił się w kierunku okna na strychu. Wrócił do pracy, wrócił do malowania.

Iwona czekała już na niego. Nie spóźnił się, to ona była wcześniej.

- Idziemy – chwycił ją za rękę.

- Nie jesteśmy jeszcze parą – powiedziała Iwona, ale nie cofnęła ręki.

- Jesteśmy sobą, przede wszystkim sobą.

Słońce powoli chowało się za dachami kamienic. Jeszcze oddychało powietrzem dnia, jeszcze oddychało zbliżającą się nocą.

Szli wzdłuż kamienic, a tam sklepy, kawiarnie, restauracje, tłum ludzi pijących, tłum ludzi cierpiących, tłum ludzi uciekających od siebie poprzez nałogi.

Weszli na ulicę Szczepańską. Skręcili w lewo na dziedziniec, a potem na dół kamiennymi schodami. Dwie sale, tak kamienne jak kamienny jest Kraków, po lewej stronie bar, po prawej impreza.

Malarz witał się z ludźmi. Niektórych znał, niektórych chciał znać, innych lekceważył pobłażliwym uśmiechem.

- Artyści – powiedział z ironią do Iwony. – Artyści ciałem, nie duszą.

Po lewej stronie, na ścianie wisiało duże białe płótno, bardziej papier niż płótno. Obok niego leżały farby na stołach.

- Co to jest? – spytała Iwona.

- Mamy taki zwyczaj, tradycję, że każdy musi coś namalować na płótnie. Co chce, co może, co mu do głowy przyjdzie. I potem z tego wychodzą dziwne rzeczy, tajemnicze rzeczy. Można to zrobić teraz, można później. Ważne, żeby to zrobić.

Iwona wzięła drinka ze stołu. W tle leciała muzyka, jakaś francuska, ale mroczna, pachnąca Paryżem, Sekwaną, Katedrą Notre Dam, Wersalem.

Ludzie coś mówili, sprzeczcza się, coś chcieli udowodnić sobie, światu. Ci młodzi, gniewni próbowali coś więcej znaczyć, niż znaczyli. Ci starsi już nic nie udawali, wiedzieli, że przegrali, coś stracili, jednak chcieli wciąż zanurzać się we wspomnieniach, w zapachach, które kiedyś miały ich stworzyć, a nie stworzyły.

Ktoś coś zaczął malować. Jakaś głowa smoka, może psa, a może Anioła, lecz takiego z mroku, nie z nieba. Przeklętego. Odszedł na bok.

Ktoś coś zaczął malować. Zamek. Forteca. Skała. I te mury, popękane, niedostępne, wręcz zabronione. Odszedł na bok.

Ktoś coś zaczął malować. Jakaś jaskinia, w niej ptaki. Przyklejone do siebie. Może śpiące, może nieżywe. I ta ciemność. To uzależnienie od ciemności. Odszedł na bok.

- Cześć – ktoś podszedł do nich.

- Cześć, Zbigniew – ucieszył się Malarz. – Wciąż poszukujesz młodych następców?

- Wciąż szukam siebie – Zbigniew Czewski spojrzał na Iwonę. – Taki skarb, tutaj, w ciemności, wśród tych prawie umarłych cieni.

- Iwona.

- Zbigniew.

- Masz wystawę w Krakowie, w Muzeum Narodowym – powiedziała Iwona, bardziej to stwierdziła, niż powiedziała.

- Tak. Współcześni malarze, a wśród nich ja. Co słyszać? – Czewski spojrzał na Malarza.

- Maluję. Sprzedaję. Mieszkam. Czasami żyję, albo wydaje mi się, że żyję.

- To tak jak ja – zaśmiał się Czewski. – Też czasami żyję, albo wydaje mi się, że żyję. Przypominają mi to wystawy, przypominają mi to ludzie.

Do Zbigniewa Czewskiego podszedł dziennikarz. Zniknęli w kącie sali.

- Mówiłem, że tutaj przychodzi.

Iwona wnikliwie popatrzyła się na twarze ludzi. Na cienie ludzi. Ich ciała tańczyły poprzez światło na ścianach piwnicy. Nie było wiadomo, który cień jest prawdziwy, a który tylko udaje prawdę.

Muzyka była coraz mroczniejsza. Coraz gęściejsza poprzez przegaszone światło. Ludzie byli coraz bardziej pijani. Nienasyceni ży-

ciem, które toczyło się w nich teraz, ocierało się o ich przyszłe kiedyś. Niektórzy coś bełkotali, coś starali się powiedzieć mądrego, ale im to jakoś nie wychodziło, inni tańczyli na stołach, przy stołach, obok stołów. I ten głód alkoholu, i ten głód życia. Głód siebie z przeszłości.

- Coś ci pokażę – Malarz wziął ją za rękę.

Poczuła przyjemne ciepło w nadgarstku, ciepło, które uniosło się wyżej, aż do głowy.

W rękach Malarza pojawił się duży metalowy klucz. Przekręcił go, a drzwi metalowe z jakimiś symbolami, znakami otworzyły się ze zgrzytem. Zamknęli je za sobą. Malarz zaśwycił latarkę.

- Ten tunel, te podziemia prowadzą aż pod samą płytę rynku, i dalej, o wiele dalej.

- Nie zgubimy się?

- Nigdy nie zgubisz się ze mną. Ani w życiu, ani poza życiem.

Ruszyli ciemnym korytarzem do przodu. Światło latarki, strach, światło latarki, strach. Kolejne zakręty. Cienie, półcienie, półblaski. Świat wiruje poprzez ciemność. Ciemność wiruje poprzez niewidzialne załączki świata. Odległe załączki. Nienaruszalne przez czas załączki.

- Gdzie teraz jesteśmy? – spytała Iwona, a jej głos, lekko upity, głos drżący, głos niepewny poprzez strach, poprzez cząstki alkoholu w ciele, był złamany, popękany poprzez mrok.

- Pod Wieżą Ratuszową. Tuż koło niej.

Na ścianach zobaczyli metalowe klamry, poprzybijane czymś do gładów, raczej kamieni niż gładów.

- Kiedyś, dawno temu, w Wieży Ratuszowej było więzienie. Ta sala, ten korytarz, teraz zamknięty, oddzielony od sali w Wieży Ratuszowej murem z kamieni, kiedyś do niej należał. Teraz korytarz się zgubił, stał się niczyj. Nie jest stąd, nie jest stamtąd. Należy do ciemności, należy do podziemi. Do hałasu ulic tuż nad nim.

Ruszyli do przodu, niepewnie, wolno. Iwona czuła strach. Ciągły strach swojego ciała. Nie pamiętała kiedy ostatni raz tak się bała. Może nigdy, może zawsze.

- Boję się, że się zgubimy.

- Byłem tu kiedyś. Znam drogę. Znam wiele dróg, które pozornie prowadzą donikąd. Teraz jesteśmy pod Sukiennicami. W zasadzie

tuż przed nimi. Gdyby można było się przebić, zburzyć tę ścianę, ten mur, z drugiej strony jest Podziemne Muzeum Narodowe. Byłaś tam kiedyś?

- Nie. Nigdy tam nie byłam.

- Musisz tam kiedyś pójść. Warto.

Malarz szybciej ruszył do przodu. Iwona na chwilę stanęła, coś zobaczyła z oddali. Malarz ze światłem zniknął za zakrętem tunelu. Z drugiej strony, w kierunku Iwony Zakrzewskiej zbliżało się jasne światło. Rosło i rosło. Promieniało i promieniało. Pulsowało i pulsowało. Zacierało się i zacierało.

Iwona zamknęła oczy na chwilę. To przez alkohol, pomyślała. To złudzenie to przez alkohol. Może przez zwątpienie, ale raczej przez alkohol.

Zobaczyła Anioła. Jego twarz, oczy, ręce, skrzydła, duże skrzydła, to spojrzenie, to ciepło, które wydobywało się z niego.

- Ty nie istniejesz. Nie możesz istnieć.

- Jeśli ja nie istnieję, to ty też nie istniejesz. Nie ma cię na tym świecie, nie ma cię na tamtym świecie.

Anioł wszedł w ciało Iwony. Stali się jednością. Iwona poczuła ciężar skrzydeł w swoim ciele.

- Kim jesteś? – spytała, a może tylko spytały Anioła jej myśli.

- Jestem twoim Aniołem Stróżem. Jestem z tobą od zawsze.

- Nigdy cię nie czułam. Nie modliłam się nigdy do ciebie. Niczego od ciebie nie pragnęłam. Nie byłeś nawet w moich myślach.

- Ale jestem. Tuż koło ciebie. Jestem w tobie. To ważne, być w kimś, jeśli możemy mu jeszcze jakoś pomóc.

- Myślałam, że Anioły pojawiają się tylko w myślach.

- Czasami tak. Nawet częściej niż czasami. Jeśli jednak mają dogodne miejsce, dobry czas, ukazują się ludziom, tak jak ja ukazałem się tobie.

- Czego ode mnie chcesz? Czego oczekujesz?

- To ty oczekujesz ode mnie odpowiedzi.

- Jakiej?

- Co będzie dalej? Co musi być dalej? Czy będzie kiedyś jakieś dalej?

- Nie rozumiem.

- Pamiętasz swoje sny z dzieciństwa? Sny, zaraz po tym, co się zdarzyło nad morzem. Sny złe. Złe sny, przepełnione złem.

- Pamiętam – głos Iwony zaczął drżeć.

- Pamiętasz, jak chciałaś zapomnieć o tych snach. Wmawiałaś sobie, że możesz żyć bez snów. I przez moment tak było. Żyłaś bez snów. Poczułaś chwilową ulgę. Wierzyłaś, bardziej uwierzyłaś sama dla siebie, że można nie mieć snów we własnych snach. A potem wszystko wróciło. Sny w snach. Miliony snów łączących się ze sobą wzajemnie. Wtedy zrozumiałaś, że brak snów to nagroda dla tych co w sny wierzą.

- To było straszne. Męczące...

- To była prawda. Prawda, która załęgła się w twoich snach.

- Uciekłam od niej. Daleko.

- Aż do dzisiaj. Byłaś silna, potrafiłaś uwolnić się od ponownych snów. Od prawdy, która łączyła się ze snami. Ze wspomnieniami.

- Wspomnienia to sny, które jeszcze do końca się nie wydarzyły. Nie znalazły właściwego zakończenia swojej historii.

- Przeszłość, moja droga – Anioł wyszedł z ciała Iwony – znów wróciła do ciebie. Musisz wiedzieć, że przeszłość zawsze wraca do tych, którzy od tej przeszłości nieustannie uciekają.

Iwona tylko mrużyła oczy. Jasność ją razila, jasność wydobywająca się z oczu Anioła.

- Malarz namaluje obraz. Malarz namaluje wspomnienia. Potem będzie czas, minuty, godziny, dni, może lata i zobaczysz przeszłość koło siebie. Bardzo blisko. Zbyt blisko. I to cię przerazi. Przeszłość będzie wszędzie, przeszłość będzie nigdzie. W każdym fragmencie tego miasta. Ta twarz, te oczy, zmienione przez czas znów cię dopadną... – Anioł zaczął się oddalać.

- Jak dopadną? Dlaczego dopadną?

- Znów cię dopadną... – głos Anioła zniknął w ciemności, aż jasność rozproszyła się niewidocznie w mroku.

- Dlaczego tak stoisz? – ktoś chwycił ją za rękę, odwróciła się, to Malarz stał tuż obok niej.

- Zgubiłam się.

- Idziemy – ręka Malarza trzymała ją mocniej niż zazwyczaj. I był to ból kojący, i był to ból uśmierzający jej zagubienie, jej nieobecność w tym miejscu.

Potem była muzyka, ludzie, alkohol. Jakieś tańce z obcymi twarzami. Potem coś namalowała na białym płótnie. Coś mówiła, raczej bełkotała niż mówiła, do Czewskiego. On tylko się uśmiechał, a może tylko jej się wydawało, że się uśmiechał.

Potem była taksówka. Czarny mercedes. Malarz odprowadził ją do domu. Rozebrał. Przykrył kołdrą i cicho wyszedł. Mógł zostać, ale wyszedł. I ciemność. Taka ciemność, która nigdy nie zdarza się w nocy. Nie zdarza się nawet w snach. Nie zdarza się nawet w koszmarach. I bicie serca sennie. I bicie serca odległe. Tak odległe, jak to co się dzisiaj zdarzyło, tak odległe, jak to co się dzisiaj nie musiało zdarzyć.

Kac, wielki kac. Potem obowiązki robione na siłę. Wykłady, sennie czynności, jedzenie posiłków na siłę i sen. Sen, który nigdy nie nadchodzi, sen męczący, sen który się pojawia a potem znika, rozmazuje się. I te kilka dni dochodzenia do siebie. Dni męczące, aż w końcu apetyt wraca, bo musi kiedyś wrócić. I wtedy pojawia się zaskoczenie, znów żyję, żyję po raz kolejny. Znów biegnę przed siebie, nie idę, nie czołgam się, znów biegnę po raz kolejny.

Po kilku dniach, gdy już wyzdrowiała, gdy poczuła na nowo, że żyje, po tych kilku dniach Iwona Zakrzewska poszła do Malarza.

Gdy trzymała w rękach obraz, gdy na niego patrzyła, gdy wspomnienia wróciły, gdy obawa, ból wróciły wraz ze wspomnieniami poczuła strach. Przypomniała sobie Anioła, jego słowa były takie prawdziwe, takie mocne, tak mocne, że w środku parzyły.

- Jesteś doskonałym Malarzem – w końcu powiedziała. – Kiedyś osiągniesz sukces, gdy zaczniesz normalnie żyć. Nie na pół, nie po połowie, nie tylko pośrodku dwóch granic, na krawędzi dwóch światów. – Potem się odwróciła, chwyciła mocniej obraz i docisnęła go z czułością do własnego ciała. W końcu byli jednością, jednością zanurzoną w przeszłości i rzekła. – Żegnaj, nigdy więcej się nie zobaczymy.

- Nie rozumiem. Dlaczego? – Malarz był zaskoczony.

- Jestem w niebezpieczeństwie. Kiedyś będę w niebezpieczeństwie, gdy ten obraz zacznie naprawdę coś znaczyć. Osoby, które nadały kształt temu obrazowi też będą w niebezpieczeństwie. Ty! –

prawie to TY krzyknęła. – Ty też będziesz wtedy w niebezpieczeństwie! Żegnaj.

Iwona wybiegła skrzypiącymi schodami na dół. Prawie się potknęła, prawie obraz jej wypadł z ręki. Na jej policzkach pojawiły się łzy.

- Prawie go pokochałam! – krzyknęła na ulicy. – Prawie zakochałam się w jego wyobraźni! Prawie zakochałam się w jego dotyku, w jego obecności tuż koło mnie! W jego zapachu!

I tak biegła i biegła. Obok rozmazane twarze, rozmazani ludzie, rozmazane miasto. Wszystko szkliste, mgliste poprzez coraz gęściejsze łzy. Wszystko szkliste, mgliste poprzez coraz wyraźniejszą przeszłość.

Poznała go przypadkiem na Kleparzu. Kupował kwiaty, dużo kwiatów. Czerwone róże, przepiękne róże, błyszczące róże. Takie róże o których marzy każda kobieta. Zdziwił ją sposób jak kupował te róże, jak niósł te róże. Jak małe dziecko, które śpi w ciągu dnia, jak cenny kryształ, któremu nie można pozwolić upaść, żeby nie rozpadł się na miliony kawałków. Zaczęli rozmawiać, tak nagle, tak niespodziewanie dla niego, tak nieoczekiwanie dla niej.

Poszła z nim pod duży, szklany biurowiec. Tam on uklęknął, chwilę milczał przy przeźroczystej szybie biurowca, położył kwiaty, w jego oczach pojawiły się łzy. Nieporadnie stał je prawą ręką. Potem poszli na kawę. Spytała, dlaczego akurat tam położył kwiaty. Chwilę się wahał, znów te łzy, znów to cierpienie w jego oczach.

- Jest ból, który zabija, jest ból, który daje nadzieję – powiedział cicho, prawie szeptem, prawie oddechem, a może tymi wszystkimi rzeczami naraz.

Gdy zaczął powoli, wręcz nieśmiało pić kawę, gdy już lekko ostygła, gdy czas ją swoim oddechem ostudził, a słońce rozjaśniło jej barwę, zaczął mówić. Pochodził z domu dziecka. Tam zawsze jest trudniej, tam ciągle jest trudniej. Ktoś zostawił go pod śmietnikiem. Kobieta zadzwoniła, że tam leży, potem się rozłączyła. Przyjechała policja. Zawieźli go najpierw do szpitala, potem do domu dziecka. Kobieta zadzwoniła jeszcze raz, tego samego dnia, spytała czy go znaleźli. Potem już nigdy nie zadzwoniła. Rozpłynęła się, znikła, rozmazała.

Był Dzień Matki, gdy go tam zostawiła, tak mu powiedzieli, gdy dorósł, gdy więcej już rozumiał z życia. Mówili, że martwiła się o niego, skoro zadzwoniła po raz drugi. Może nie mogła go mieć, może nie chciała. Wiele kobiet czegoś nie może mieć, czegoś nie chce mieć. Dotyczy to też dzieci. Dzieci często są czymś, może kimś, co najboleśniej przypomina kobietom o przeszłości. Przeszłości, o której chcą zapomnieć.

Tam, gdzie był śmietnik, stoi teraz biurowiec. Zawsze tam przynosi kwiaty w Dzień Matki. Wierzy, że kiedyś jego matka tam przyjdzie, zobaczy róże, przypomni sobie o nim. Może nawet kiedyś się spotkają, tak wierzy, tak chce wierzyć, tak musi wierzyć.

Oj, Iwono, oj, Iwono. Znów wierzysz obcemu mężczyźnie. Nie znasz go, nawet nie rozumiesz do końca, nawet nie chcesz zauważyć jak się ubiera. Skóra, prosta na guziki, złoty łańcuch na szyi, włosy lekko błyszczące od brylantyny, ciemna koszula, skórzane buty do szpica. Tak ubierają się niebezpieczni mężczyźni, tak ubierają się mężczyźni, którzy mogą skrzywdzić kobietę, nawet tą, którą kochają, nawet tą, która ich kocha, może pokochać. I ten sygnet, Iwono, nie widzisz go, na jego lewym palcu, na lewej dłoni, złoty sygnet z jakimś godłem. A godło, co jest w nim wygrawerowane. Przyjrzyj się Iwono. Zdziwiona jesteś, to trupia czaszka. Symbol śmierci, zapach niebezpieczeństwa. Rób co chcesz, Iwono, lecz się zastanów. Ta znajomość to skrajne niebezpieczeństwo. Ty tego jeszcze nie wiesz, ja to widzę, ty tego nie zauważasz w sobie, ale pociągają cię mężczyźni niebezpieczni, mężczyźni którzy przebywają w pobliżu śmierci, mężczyźni którzy mogą decydować o czyjejś śmierci. Ale to twój wybór, twoje życie, Iwono. Twój wybór...

Przedstawił się jej, Leon Śniewski. Był przystojny, miły, trochę zagubiony, ale takie już są dzieci z domu dziecka. O pracy nic nie mówił, nie naciskała, pracował w nocy, tak powiedział. Poczuła do niego bliskość, jakąś czułość. Nie, miłość nie. Czułość. Może chciała się nim zaopiekować ze względu na przeszłość. A może pragnęła mieć tylko przyjaciela. Przyjaciela mężczyznę. Kogoś, z kim mogłaby o wszystkim porozmawiać.

Wierzyła, że jest czuły. Przez te kwiaty, przez ich kolor i zapach to zauważyła. Ktoś, kto pamięta o matce, w Dniu Matki, nawet jeśli

tej matki nie zna, nie może być złym człowiekiem, tak wtedy pomyślała.

I myśl dalej, Iwono, myśl dalej. Widzę, że myślenie nie jest twoją najmocniejszą stroną, gdy pojawiają się mężczyźni wokół ciebie. Ale pocieszę cię, to nie jest tylko twoja słabość. Większość kobiet traci głowę, a co za tym idzie traci myśli, gdy pojawiają się mężczyźni. Nie należysz do wyjątku. Ale sama się przekonasz, Iwono, sama wkrótce zrozumiesz. Jestem tego pewna. W końcu więcej widzę niż inni, więcej widzę niż ty.

Umówiła się z nim na następny dzień. Na spacer. Po Plantach. Pod wieczór. Planty wieczorem są najpiękniejsze, zwłaszcza wtedy gdy słońce delikatnie przedziera się przez liście drzew. Zachodzące słońce.

Koła ciężkiej ciężarówki pędziły coraz szybciej. Piasek z drogi, niczym puch znikał na poboczu jezdni. Jestem spóźniony, pomyślał Sławomir. Znowu będzie czekał całą noc na rozładunek.

Ciemność powoli zbliżała się w kierunku drogi. Niczym płaszczy, ciemny, wełniany otulała wszystko dookoła. Ciepła muzyka dawała namiastkę domu. Była jak kominiek w zimowy wieczór. I te światła z naprzeciwka, światła innych jeżdżących domów, takich jak on, i te światła z naprzeciwka, światła dusz, które gdzieś uciekały, do czegoś zmierzały, i te światła z naprzeciwka, światła ludzkich złudzeń roztrzaskanych gdzieś na zagubionych drogach, na zbyt wąskich zakrętach w pobliżu obcych nieznanych pól.

Gdy zaczął jeździć na tirach był sam. Nie chciał wtedy z nikim być, nikt nie chciał być z nim. Jeździł, pokonywał kolejne zakręty, czuł się wolny. I ta wolność mu wtedy służyła. Potem zachorowała matka, a on musiał jeździć, daleko za granicę. Potrzebowała pieniędzy, miała tylko jego. Operacja nie pomogła, został sam. Ojciec zmarł, gdy był mały. Pamiętał jego uśmiech i radość w oczach, gdy na niego patrzył. Gdy zmarła matka, poczuł co znaczy prawdziwa samotność. Nie miał już gdzie wracać, więc jeździł coraz więcej, coraz dłużej. Znał różne kraje, ale tylko z perspektywy ulic. Któregoś dnia poczuł się zmęczony swoją samotnością i wtedy ją poznał. Poznał po raz kolejny. Przecież znali się z dzieciństwa, z podwórka.

Ktoś nad nim czuwał, czuł że to matka, i poznał Marzenę ponownie, na imprezie u kolegi. Zakochał się, chciał być z kimś. Wzięli kredyt na mieszkanie, potem ślub i dziecko. Już nie chciał jeździć, nie chciał jeździć aż tyle. Wszystko go męczyło podczas drogi, najbardziej tęsknota za żoną i córką. Ale wciąż potrzebowali pieniędzy, wciąż im brakowało pieniędzy. Raty rosły, jego życie małało. Po kilku latach powiedziała, że go kocha, ale nie chce tak żyć. Nie chce być samotna w związku. Odeszła. Znów był sam. Jeździł coraz więcej, z nienawiści do siebie, że stracił coś cennego.

Dzisiaj był spóźniony, chciał zdążyć, ale wiedział, że nie zdąży. Był już w Polsce, wracał, chociaż tyle. Czekala go noc w szoferce.

I wtedy ją zobaczył. Stała na jezdni, machała ręką. Jej samochód miał otwartą maskę. Zatrzymał się. W szoferce wciąż grała cicho muzyka. Chyba Grechuta, tak to zapamiętał, „Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy”, chyba Grechuta. Wyszedł, trzasnął drzwiami, szedł w jej kierunku, pośród jasnych świateł ze swojego samochodu. Zbyt jasnych świateł ze swojego samochodu...

Jechali za tym tirem długo, aż do stacji. Byli cierpliwi, mieli plan. Prawie nie rozmawiali. Było ich trzech, wśród nich Leon Śniewski. Byli wynajęci, dobrze opłacani, niebezpieczni. Każdy miał inne życie gdzieś, jedno życie tutaj.

Zobaczyli, że tir zwalnia, potem się zatrzymuje. Oni też zwolnili. Popatrzyli się na zegarki. Wszystko się zgadzało. Nałożyli maski. Potem wszystko poszło jak zawsze. Kierowca był przestraszony, nie bronił się. Nigdy się nie bronili. Bali się krzyków, swojego strachu, i tego, że ten strach będzie im później towarzyszył aż do końca, gdy będą zbyt odważni, zbyt naiwni.

Leon Śniewski popatrzył się w oczy kierowcy. Sławomir spuścił wzrok, potem go związali.

- Dobrze robisz, że nie jesteś odważny – powiedział Leon. – Odwaga by ci tylko zaszkodziła, zmieniłaby całkowicie twoje życie.

Sławomir nic nie mówił. Martwił się, czy go znajdą następnego dnia. Jeśli nie znajdą, co będzie dalej. I ta myśl, to dalej go jakoś dziwnie paraliżowało.

- Znajdą cię – powiedział Leon. – Zawsze was znajdują – dodał jeszcze cicho, jakby czuł obawę kierowcy.

Potem wsiadł do tira, ściągnął maskę i ruszył za samochodem kobiety, za samochodem kolegów. Nie, nie kolegów, współpracowników z pracy.

Szybko zmieniał biegi. Lubił jeździć samochodami. Zwłaszcza dużymi samochodami. Wiedział, co zawiera ładunek. Papierosy. Już mieli klienta, tak mówił ktoś, kto go wynajmował. Reszta go nie interesowała, był klient, były pieniądze, było napięcie, które znikало zaraz po akcji. To napięcie go jakoś nakręcało. Przez to napięcie, dzięki temu napięciu, czuł że żyje, lepiej żyje, żyje inaczej niż inni. Czas się zatrzymywał, jego życie się zatrzymywało. Kto tak żyje? Niewielu. Ludzie żyją żeby życie przeżyć, on żyje żeby życie czuć. Żeby żyć. Przeżyć, czuć, żyć – niby słowa, a znaczą tak wiele, niby słowa, a czasami nie znaczą nic, prawie nic.

Wjechali do hangaru, zamknęli duże, metalowe drzwi. Wyłączył silnik. Zaczęli przerzucać papierosy do innego samochodu. Trwało to kilka godzin. Potem znów włączył silnik i wyjechał tirem z hangaru. Zostawił go w innej miejscowości, przy głównej drodze. Nie zależało im na samochodzie, zależało im na towarze.

Gdy jechał już do domu, gdy odwozili go pod sam dom, lekko przysnął. Dopadł go ciepły, przyjemny sen. Pojawiła się w nim kobieta, czarne kręcone włosy, gęste, żółte oczy jak gwiazdy w nocy, i ten uśmiech, tajemniczy, głęboki. Obok niej stała jakaś starsza pani, nie widział jej twarzy, lecz czuł, że to jego matka. Patrzyła się na Iwonę. Zobaczył uśmiech na twarzy matki, rozmazany uśmiech. Poczul bliskość tego uśmiechu. Obudził się, gdy samochód stał pod jego domem.

- Pieniądze będą za dwa dni – powiedział stanowczo mężczyzna w brązowej kurtce. – Odbierzesz je, tam gdzie zawsze.

- Cześć – rzekł Leon i wyszedł z samochodu.

Był zmęczony. Cała noc, całe jego życie to nieustające zmęczenie. Nieustająca gonitwa za samym sobą. Wszedł do kamienicy, tam wynajmował mieszkanie. Zasnął w ubraniu. Już nic mu się nie śniło. Nic nie mogło się śnić. Niebezpieczni mężczyźni mają tylko jeden sen w nocy. On już swój limit wyczerpał. Teraz miał tylko pustkę w głowie, teraz miał tylko ciszę w głowie. Ciszę zanurzoną w pustce.

Leon Śniewski często chodził na basen. Nie był sportowcem, nigdy nie czuł się sportowcem, po prostu kochał pływanie. Gdy wskakiwał do basenu, gdy woda była w nim, poza nim, wokół niego czuł się wolny. Pierwsze ruchy rąk niepewne, pierwsze ruchy nóg skrępowane, a potem, cóż było potem – wolność. Liczyło się tylko to co było przed nim, to co było za nim. Gdy płynął, nie myślał, gdy płynął, żył. Jego umysł odpoczywał, jego ciało uciekało gdzieś daleko, gdzieś poza niego, unosiło się nad nim, czuwało nad nim, żeby nie utonął, a potem wracało. Wskakiwało do niego tak naturalnie i szybko, tak szybko jak wcześniej uciekało z niego.

Gdy kończył pływać, gdy był już pod prysznicem czuł ulgę. Ulgę psychiczną, ulgę fizyczną. Nie myślał o niczym, gdy płynął, nic nie czuł, gdy płynął. Cała jego przeszłość, całe zmęczenie jego ciała, duszy tą przeszłością, wszystko to co robił, żeby przeżyć, rzeczy złe, rzeczy okrutne, wspomnienia, bardziej obrazy niż wspomnienia, niekiedy złudzenia, że może żyć inaczej, że musi żyć inaczej nie liczyły się, gdy pływał. Liczył się tylko on, liczyła się tylko woda. On i jego zmęczenie tą wodą.

Potem wracał do domu, jeśli domem można nazwać mieszkanie gdzie się śpi, gdzie się spożywa posiłki, gdzie się milczy, gdzie się krzyczy przez sen podczas nocy i wtedy włączał muzykę. Zawsze włączał muzykę gdy wracał z basenu. Zamykał wtedy oczy, chwilę jego ciało przestawało oddychać, kuliło się w sobie coraz głębiej i wracał ponownie do siebie. Potem wstawał, wyciągał tabletkę z metalowej szkatułki na szyfr i zażywał ją popijając wodą mineralną. Czekał pół godziny i zaczynał odpływać.

Morfina, jego skarb, morfina, jego życie, morfina, jego ucieczka, od siebie, od świata, od wspomnień. Od matki, której nigdy nie miał, od złudzeń, że może ją jeszcze kiedyś będzie miał.

Zapominał przy morfinie o złych rzeczach, które robił, o złych ludziach, z którymi musiał to robić, o krzywdzie, którą zadawał innym. Wpadał w letarg, wpadał w sen. I ta muzyka w tle, muzyka, która uspokaja. Przy niej inne jest niebo, przy niej inny jest świat.

Czasami słuchał „Listu do M.” Dżemu. Wtedy w jego oczach pojawiały się łzy. Takie łzy, które oczyszczają, takie łzy, które zabijają. Wtedy płakał, wtedy skomlał. Poprzez płacz czuł się lepszy, czuł się taki, jakim by mógł być, gdyby nie przeszłość, gdyby nie życie.

Po czterech godzinach wracał do życia. Znów był sobą. Znów nie mógł być kimś innym. Takie życie, taki los, powtarzał sobie, żeby zakrzyczeć resztki dumy, morfiny w sobie.

Spacerowali po Plantach. Iwona często się śmiała do niego. Jej białe, prawie śnieżne zęby odbijały się w resztkach dnia. Gdy doszli do Wawelu skręcili w prawo, w ulicę Grodzką. Minęła ich jedna dorożka, potem druga. W niej ludzie, uśmiechnięci, pełni nadziei. Szli dalej wzdłuż kamienic, wzdłuż kościołów.

Skręcili w lewo, weszli do restauracji. Zrobili to instynktownie. Długi korytarz, ciemny, a potem jasność, piękno, w starym stylu sala. Krzesła jak na Wawelu, duże ławy, na nich świece, ich blask, ich jasność, ich niewidzialność.

Zamówili dziczyznę, czerwone wino, deser. W tle grała muzyka z przeszłości, z dalekiej przeszłości.

Po kilku lampkach wina poczuła się swobodniej, lepiej.

- Czuję się taka lekka, taka szczęśliwa – powiedziała Iwona, a jej oczy coraz intensywniej błyszczały od wina.

- Dobrze mi z tobą, tutaj – ośmielił się bardziej Leon.

- Nie wiem o tobie za dużo, może to lepiej.

- Nie chciałabyś wiedzieć niektórych rzeczy o mnie. Nie chciałabyś znać mnie takiego, jakiego ja znam siebie od zawsze.

- Tajemnica jest zaletą, gdy do czegoś prowadzi, może być wadą gdy prowadzi donikąd.

Oj, Iwono, wciąż widzisz w nim to, co chcesz widzieć. Ja widzę więcej, ja widzę szerzej. Zachwycasz się tym, co ci nie mówi. Myślisz, że niewiedza ci pomoże, niewiedza cię wyzwoli. Oj, Iwono, jesteś naiwna. Mężczyzna z tajemnicą, to mężczyzna zły, przeklęty. Ciągnie cię do zła, Iwono, oj, ciągnie. Wkrótce zobaczysz pierwszy niebezpieczny sygnał w nim. Zobaczymy co z nim zrobisz. Pewnie go zignorujesz, Iwono. Kobiety, które ignorują pierwszy sygnał niebezpieczeństwa w mężczyźnie potem cierpią. Bardzo cierpią. A ty, Iwono, przecież nie chcesz cierpieć więcej. Wystarczy ci cierpienie z dzieciństwa. Obraz z dzieciństwa. Zastanów się jeszcze, Iwono. Teraz jeszcze możesz wszystko, później już nic nie będziesz mogła zrobić. Ja ci nie pomogę, nikt ci nie pomoże. Zapamiętaj, Iwono, w

niemożności zawsze jesteśmy sami. W niemożności przełamania przeznaczenia.

- Co kochasz robić? Na czym ci zależy?

- Kocham pływanie, bo zapominam o wszystkim, kocham muzykę, bo zapominam o wszystkim. Niekiedy myślę, że kocham tylko te rzeczy, które pomagają mi zapominać o wszystkim.

- Dobrze, że masz takie rzeczy, które pomagają ci zapominać o wszystkim. Większość ludzi nie ma nic, mają tylko siebie. To okropne, mieć tylko siebie, żeby zapominać o rzeczach, o których nie chce się pamiętać. Myślę, że mając tylko siebie, o niektórych rzeczach nie jesteśmy w stanie zapomnieć do końca. To niemożliwe, to niesprawiedliwe.

- Niesprawiedliwe jest to, że każdy do czegoś dąży, pomimo tego, że większość nigdy nie dochodzi tam gdzie chce, tam gdzie mogłaby dojść.

Skończyli kolację. Wyszli na ulicę Grodzką. Ciemność zakrywała całe miasto ciszą.

- Idziemy posłuchać muzyki na żywo? – spytał Leon.

- Dzień się jeszcze nie skończył – uśmiechnęła się Iwona. – Noc się jeszcze nie zaczęła. Zapomnijmy o tym co nas męczy, o tym co nas goni.

- Zapomnimy – dodał tajemniczo Leon.

Ruszyli w miasto. Miasto ruszyło wraz z nimi. Prowadziło ich swoim kamiennym blaskiem do przodu.

Przeszli przez rynek. Płyta drżała od emocji skupionych w ludziach. Ktoś krzyczał, ktoś płakał, ktoś inny śmiał się zbyt hałaśliwie – ludzie żyli, ludzie tańczyli, ludzie uciekali. Każdy uciekał od tego, co wracało do niego w nocy w snach, w koszmarach, w marzeniach.

Minęli Kościół Mariacki, jego cień, raczej zimna nocna poświata dotknęła ich pleców. Iwona zadrżała. Z boku zobaczyli Mały Rynek, minęli go, potem kamienice i ulica Świętego Krzyża. Zeszli stromymi schodami do knajpy. Pierwsza sala, zbyt ciemna, pojedyncze, prawie przepalone świece, tak jak życia tych co przy nich siedzieli, jeszcze oddychali, potem długi bar, blat metalowy, rzędy butelek, kolorowe, lśniące, pełne nadziei i sala po lewej.

Stamtąd dobiegała muzyka. Zbyt głośna, zbyt hałaśliwa. Weszli w nią, tak jak wchodzi się w coś nieznanego, tak jak wchodzi się w coś niezrozumiałego, tajemniczego.

Leon kupił piwo. Stali przy zimnej, chłodnej ścianie, słuchali muzyki. Zespół na niedużej scenie śpiewał, grał, uciekał. Ludzie tańczyli, ale tańczyli stojąc w miejscu. Jeden za drugim, tuż koło siebie. Było mało miejsca, było mało czasu.

Ktoś się przeciskał, zahaczył o Leona. On chwycił go prawą ręką za kark. W jego oczach pojawiła się nienawiść. Wtedy po raz pierwszy Iwona zobaczyła niebezpieczeństwo w tym mężczyźnie. Z sekundy na sekundę zmienił się w kogoś innego. Kogoś, kto może zabić, kogoś, kto może zniszczyć cały świat dookoła siebie. Zniszczyć nieodwracalnie.

- Zostaw go – powiedziała stanowczo Iwona.

Leon puścił go wolno, tak wolno, żeby tamten zrozumiał, że każda wolność ma swoją cenę.

- Przepychał się – powiedział Leon.

Iwona nic nie odpowiedziała, tylko napiła się zimnego piwa. Później kołysali się w rytmie muzyki. Zespoły się zmieniały, świat się zmieniał. Czas pozornie stał, jednak tak naprawdę pędził do przodu bez opamiętania.

Do domu wrócili nad ranem. Odprowadził ją pod same drzwi. Nawet nie próbował ją przekonać, że chce zostać. I tak by mu nie pozwoliła.

Zasnęła szybko, tak jak zasypia ktoś, kto chce uciec, tak jak zasypia ktoś, kto chce zapomnieć.

Rano, oprócz kaca gnębiło ją spojrzenie Leona. Spojrzenie z wczoraj. Było w nim coś niepokojącego, coś niszczącego.

Dzisiaj miała wolne, wolne od wszystkiego. Po lekkim śniadaniu poszła na rynek. Spacerowała, patrzyła się na ludzi. Czasami lubiła patrzeć się na twarze ludzi. Wyobrażała sobie inne życia, czy są takie jak jej, czy są inne, lepsze, ciekawsze. Czasami, gdy patrzyła się w interesującą twarz, wiedziała, co ten człowiek robi, jak żyje. Przynajmniej tak jej się wydawało. A czasami nie widziała nic. Widziała siebie. Tylko siebie, ze swoimi wątpliwościami, ze swoimi słabościami.

Na drzwiach zniszczonej kamienicy zobaczyła reklamę „Wróżka inna niż wszystkie. Wejdę w głowę twoich wrogów i powiem ci, co cię czeka”. Co cię czeka, to ją zaintrygowało, bardziej niż wejdę w głowę twoich wrogów. Chwilę stała przed drzwiami, potem weszła do środka. Drugie piętro, skrzypiące schody, zawijane, zapukała, nacisnęła klamkę, weszła do środka.

Na środku bordowego pokoju siedziała starsza kobieta, jej strój przypominał trochę cygankę, trochę wiedźmę.

- Usiądź – powiedziało Medium.

- Chciałam...

- Wiem, co chcesz. Chcesz tego co inni. Chcesz wiedzieć coś więcej o swoim życiu, o swojej przeszłości. Wierzysz we wróżby?

- Teraz już nie wiem, w co wierzę. Czasami wydaje mi się, że nie wierzę już w nic.

Medium podeszło do Iwony. Dotknęło ją rękami w głowę, tak lekko, tak delikatnie. Prawie niezauważalnie. Kobieta Medium zamknęła oczy. Jej palce parzyły głowę Iwony.

- Mogę wejść w głowy ludzi, o których myślisz z obawą. Chcesz tego?

- Tak – szepnęła Iwona.

- Mogę zobaczyć co myślą. Czy myślą o tobie. Na pewno chcesz tego?

- Tak.

- Chcesz znać całą prawdę o sobie, całą prawdę o nich?

- Tak.

Oj, Iwono, jesteś odważna. Cała prawda, jesteś na to gotowa? Dowiesz się tego, co już i tak wiesz, lecz dowiesz się tego ze szczegółami. Oj, Iwono, prawda cię wyzwoli, ktoś kiedyś powiedział. Ten ktoś to powiedział, bo nie bał się żadnej prawdy o sobie, nic nie miał do ukrycia, był spokojny o swój los. A twój los, Iwono, to zły los. Zły los zaczęty, zły los ostateczny. Teraźniejszy też. Zastanów się jeszcze, Iwono. Wyjdź stąd, wybiegnij. Żyj bez świadomości tego losu w sobie. Ludzie z niewiedzą dalej dochodzą, niż ci, co więcej wiedzą. Wybiegnij, Iwono, lub zostań. Twój wybór, twój los, Iwono.

- Ten ktoś, ktoś z dzieciństwa cię pamięta. Ten ktoś rośnie w siłę, staje się coraz potężniejszy – Medium mocniej ścisnęło skronie Iwony. – Za chwilę będzie na szczycie. On pamięta o tobie, on wie,

że cię kiedyś spotka. Nie zawaha się ciebie skrzywdzić, jeśli będzie musiał. Wydaje mu się, że jest silny. Ale tylko mu się tak wydaje. Siła to wiara umysłu, nie ciała. A on teraz raczej działa ciałem, niż umysłem. To typowe dla ludzi, którzy rosną zbyt szybko, wtedy ich ciało nie nadąża zawsze za duszą.

- Mów dalej – szepnęła Iwona. – Nie boję się prawdy, nie boję się niczego.

- Ten ktoś, kogo ostatnio poznałaś, może cię zniszczyć. Jest w nim dobro, jest w nim zło. Jest siła niedźwiedzia, jest ból dziecka. On sam nie wie, kim jest do końca. Tęskni za tym co jest nieosiągalne. Tęsknota niektórych zabija. Zabija niezauważalnie. Ciebie może zabić siła tej tęsknoty.

- Co mam robić?

- Ucieknij od niego, ucieknij jak najdalej.

- A jak to nie pomoże?

- Ja ci mogę pomóc. Pomóc ci może ktoś, kto nad tobą czuwa.

- Kto?

- Sama wiesz. Nie słyszysz głosu w sobie? W nocy, za dnia.

- To są złudzenia, to są lęki.

- Nie, to nie są złudzenia, to nie są lęki. To jesteś ty, ty spoza, ty tutaj.

- To tylko lęki, złudzenia, jakieś omamy.

- Nie. To twoje przeznaczenie. To twój Anioł Stróż.

- Skąd wiesz?

- Ja wiem wszystko. On cię tutaj sprowadził. Chciał ci pomóc. Wciąż chce ci pomóc. Chcesz tego?

- Tak – Iwona przypomniała sobie błysk w oku Leona, zły błysk, błysk niebezpieczny.

- Twój wybór – Medium odsunęło się od Iwony, kobieta znów usiadła na swoim miejscu. – Pamiętaj, czasu nie cofniesz. Czas nieustannie przepływa między naszymi palcami, tak jak życie.

Iwona wstała, zapłaciła, wyszła. Zanim opuściła pokój odwróciła się do kobiety. Spojrzała jej w oczy. Zobaczyła lęk, obawę. Zobaczyła siebie w przeszłości.

Wyszła na ulicę. Znów gwar, znów życie, znów wyzwania. Ile jeszcze wyzwań ma przed sobą? Ile walk? Ile nieszczęść? Ile upadków?

Powoli wracała do domu. Powoli wracała do siebie.

Potrzebujesz pomocy, Iwono, oj potrzebujesz. Zaczynasz dostrzegać to, co wcześniej nie mogłaś dostrzec. To dobrze. Nawet bardzo dobrze. Pomogę ci, Iwono, uwolnię cię od tego mężczyzny. Jest zbyt niebezpieczny dla ciebie, Iwono. Prędzej czy później pociągnie cię w dół, będziesz wciągana w odmęty jego złudzeń. Nawet nie wiesz, Iwono, jak ciężko żyje się z obcymi złudzeniami. Zbyt ciężko. Taki ciężar nie każdy potrafi unieść. Nie każdy potrafi się z nim zmierzyć, Iwono. Postanowiłaś wymazać go z pamięci, Iwono, to dobrze. Jednak twoja pamięć nie jest zbyt silna, zbyt mocna, więc resztę zostaw mnie, Iwono. Za kilka dni zaczniesz nowe życie. Już bez niego, Iwono. Po jakimś czasie nawet nie będziesz pewna czy on był, czy go nigdy nie było koło ciebie. Czy był złudzeniem, czy tylko twoim pragnieniem, Iwono. Czas leczy dusze, najbardziej te, które tęsknią za czymś nieosiągalnym. Za mną też będziesz tęsknić, Iwono. Zniknę z twojego życia, ale będę tuż koło ciebie. Nie zostawię cię, Iwono. Ale też nie będziesz czuła mojej obecności, tak silnej obecności, tuż koło siebie, Iwono. Będziesz musiała sobie radzić sama, Iwono, od dzisiaj. Nie usłyszysz mnie już więcej, nie zobaczysz mnie już więcej, nie poczujesz mnie już więcej. Żegnaj, Iwono, do zobaczenia w innym świecie, Iwono.

Leon Śniewski siedział w fotelu. W wygodnym, starym popielatym fotelu. Słońce zza niedosuniętej firanki, przygaszonym światłem usypiało jego oczy, całe jego ciało. W końcu głowa opadła mu na dół, w końcu ręce zawisły nienaturalnie poza oparciem fotela.

Wpadł do głębokiego jeziora. Ciemnego, granatowego jeziora. Miał ręce związane sznurem, grubym, lnianym sznurem. Próbował go rozwiązać pod wodą. Kręcił się w koło, wyglądał niczym akrobata ciemności, ale wciąż opadał na dno, a dna nie było wciąż widać, była tylko ciemność i mrok. I gęstość, silna, męcząca gęstość. Z od dali zobaczył jasne światło, jakąś rozmazaną postać. Zbliżała się do niego, ale w pewnej chwili stanęła, i tylko jej jasność patrzyła się na niego.

Twarz była rozproszona, niewidzialna, miała w sobie jakieś skupienie, jakąś wolę, jakieś przeznaczenie odcisnięte w oczach.

A on zaczął się dusić, powietrze, resztki powietrza uciekały z niego w kierunku góry, w kierunku nieba, którego i tak nie było widać. Już wiedział, nie rozpląta rąk, już wiedział, całe jego złe życie, niepokładane życie się kończy. Kończy tutaj na dnie, wśród szumowin, wśród mułu, wśród traw nigdy nie dotykających słońca. A jasność tylko patrzyła się na niego, tylko przenikała go swoim spojrzeniem. A potem, gdy zaczął tracić oddech, a chęć dostrzegania świata zniknęła w nim coraz szybciej, jasność zaczęła się oddalać, aż w końcu zniknęła całkowicie. I wtedy zrozumiał, że coś się kończy, coś ucieka z niego. Ucieka bezpowrotnie.

Obudził się, był cały spocony. Dochodził wieczór. Spojrzał na zegarek. Poczuł zimno w sobie, takie zimno, co coś oznacza, takie zimno, które jest jakąś odpowiedzią na wszystkie niezadane ze strachu pytania.

Uczesał się, w pośpiechu wypił szklankę coli i prawie wybiegł z domu. Złe przecucie krążyło w nim, czuł je, ale nie chciał zawieść dzisiaj nikogo, więc się nie cofnął. Wiedział, że w tej branży, nigdy nie można się cofnąć, gdy zaszło się już zbyt daleko.

Kobieta podeszła do zaparkowanego na samym końcu parkingu, tuż przy stacji benzynowej, tira. Stacja była duża, jasna, dobrze oświetlona. Parking długi, aż do niewyraźnego teraz zarysu lasu. Dochodziła trzecia rano.

Tir stał na samym skraju parkingu, tuż koło innych tirów. Za nim już były tylko drzewa, dużo drzew.

Kobieta zapukała delikatnie w szybę. Cisza. Zapukała mocniej, cisza. Jeszcze mocniej. Jakiś ruch w środku. Pojawił się kształt, może cień, bardziej zarys twarzy w szybie.

- O co chodzi? – spytał rozespany mężczyzna w kabinie samochodu.

- Nie potrzebujesz kobiety, choćby na chwilę?
- Nie – odpowiedział rozespany mężczyzna.
- Jestem dobra, bardzo dobra.

- Nie wątpię – na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech. – Dlaczego mnie budzisz o tej godzinie?

- Muszę mieć klienta dzisiaj. Choćby jednego. Stoję od dziesiątej i nic. Alfons mnie znów zbije. Proszę, pomóż mi.

Mężczyzna otworzył drzwi. Chciał się tylko wysikać i znów pójść do spania.

- Mam żonę. Masz pecha. Nie pomogę ci. Poszukaj kogoś innego.

Kobieta do niego przyłgnęła, poczuł jej perfumy na swoim ciele. Jej zapach dotykał jego skóry, dotykał jego włosów. Był miły, przyjemny, tajemniczy.

- Nie kuś mnie – na jego twarzy znów pojawił się uśmiech. – Jesteś piękna, dlaczego to robisz? – Teraz mężczyzna, już bardziej rozbudzony, przyjrzał się uważniej kobiecie.

- Kocham zaspokajać mężczyzn, a mężczyźni kochają być przeze mnie zaspokajani. – Kobieta powiedziała co czuła w sobie od dłuższego czasu. Powiedziała to obcemu mężczyźnie. – Coś we mnie drzemie, nie wiem co, ale wiem, że to jest niebezpieczne, zarówno dla mnie, jak i dla mężczyzn w moim otoczeniu.

Mężczyzna szedł w kierunku lasu. Kobieta wciąż stała przy tirze i patrzyła się na niego. Jednak jej wzrok nagle się zmienił, stał się zimny, chłodny, niebezpieczny. Mężczyzna wyczuł zagrożenie w tej kobiecie. I wtedy ich zobaczył. Było ich trzech. Pojawili się nagle koło kobiety, zaczęli biec w jego kierunku.

I pojawił się pierwszy jego odruch, odruch z dzieciństwa, gdy bawił się w żołnierza w lesie. Sięgnął prawą ręką po pasek. I pojawił się drugi jego odruch. Pasek zaczął wysuwać się z jego spodni. Pasek był wzmocniony na końcu metalowymi wkładami, zaszytymi w środku pod skórą. I pojawił się trzeci jego odruch. Ten odruch, raczej nawyk niż odruch, potrafił kiedyś tym paskiem, samym jego końcem uderzyć w drzewo, uderzyć tak, że kora odpadała z drzewa, od ogromnej siły tego uderzenia. A był kiedyś precyzyjny, bardzo dokładny. Bardzo skuteczny.

Pasek trafił w głowę pierwszego mężczyznę. Mężczyzna upadł od siły tego uderzenia. Jego koledzy się zawahali, stanęli, kobieta stojąca dalej była zaskoczona. Mężczyźni też. Ktoś inny wybiegł z tira obok. Zaczął coś krzyczeć. Mężczyźni się przestraszyli, zaczęli uciekać. Kobieta też gdzieś zniknęła.

Leon Śniewski leżał na parkingu, z jego głowy powoli uciekała krew. Było mu zimno, potem ciepło, znów zimno i ciepło. Tak na zmianę. Czuł drżenie swoich nóg. Przestał się bać, choć wiedział, że to koniec, czuł to.

W oddali zobaczył jasne światło. Postać z jego snu. Złego, proroczego snu, teraz to wiedział. Jednak złe sny też się sprawdzają, pomyślał. Postać tylko patrzyła się na niego, tak przenikliwie, tak znacząco. Czekala na coś, co za chwilę miało nastąpić. Boisz się, że nie umrę, pomyślał Leon. Boisz się, że moje ciało jest silne, na tyle silne, że może pokonać śmierć. Śmierci nie można pokonać odwagą. Śmierci nie można pokonać nadzieją. Gdy śmierć nadchodzi, wszystko staje się jasne, precyzyjne. Odwaga, nadzieja czasami też mają smak i zapach śmierci.

Z jasnej postaci wynurzyła się inna postać. Jeszcze jaśniejsza. Szła w jego kierunku. Uśmiechała się do niego. Zobaczył, że to jest kobieta. Miała jego oczy, jego zarys twarzy, lecz piękniejszy, lecz wznioślejszy, miała jego kształt ust. Miała jego uśmiech, ten uśmiech znał u siebie najbardziej. Uśmiech rzadki, uśmiech człowieka, który potrafi się śmiać, nawet wtedy gdy życie jest ciężkie, gdy życie jest trudne.

- Mamo – wyszeptał ostatkiem sił. – Odnalazłaś mnie, mamo. Wiedziałem, że mnie odnajdziesz. Czułem to. Mamo...

Oczy Leona się zamknęły, zaraz po tym jak postać matki weszła w jego ciało. I wtedy poczuł się szczęśliwy i wtedy poczuł się w końcu wolny...

Tadeusz Chrowski siedział w nowym gabinecie. Zimnym, lodowatym spojrzeniem patrzył się na nowy obraz wiszący na niebieskiej ścianie. Przeplacił go, ale i tak na nim zarobi, pomyślał, to inwestycja, długoterminowa inwestycja. Przecież już od lat inwestuje w to miasto, w jego ciemne i jasne zarysy, w niewidzialne emocje u ludzi. Nie to go jednak martwiło najbardziej. Nie to sprawiało, że wzrok, jego węglowa gęstość, jego mroczne nasycenie wciąż w nim tężało i tężało.

Chrowski zmienił siłę swojego spojrzenia, w zasadzie zmienił jego kierunek, skierował go na Kaplicę.

- Złapali ich? – spytał z niedowierzaniem, ale była w tym pytaniu jakaś ulga, jakaś nadzieja. – Kiedyś musieli ich złapać. Takie interesy, gdy się z nich nie wycofasz w odpowiednim czasie, stają się niebezpieczne, i w końcu źle się kończą. Takie interesy są dobre, gdy ktoś potrzebuje szybko kapitału i czas odgrywa w tym znaczącą rolę.

Chrowski wstał, popatrzył się na okno, podszedł do niego wolno i spojrział na miasto z góry, z dziesiątego piętra, z nowego, dobrze oszklonego biurowca.

- To miasto będzie nasze, już jest prawie nasze. Dobrze się stało, że ich złapali. Dopilnuj, żeby nic nie powiedzieli. Zadbaj o nich, o ich rodziny.

- Nic nie powiedzą, są lojalni. Boją się nas, to sprawia, że muszą być lojalni, to sprawia, że chcą być lojalni.

- Mamy już teraz pieniądze. Musimy wyeliminować interesy, które mogą nas pociągnąć w dół. Na początku się to sprawdzało, byliśmy głodni, teraz jesteśmy bardziej syci, ale jeszcze nienajedzeni, więc musimy grać ostrożnie. Wiem – Chrowski spojrział czujnie na Kaplicę – że ktoś chciał przejąć nasz teren i chciał sam odbierać, nazwijmy to opiekę od ludzi, którzy nam płacą.

- Załatwiłem to, teraz jest spokój.

- Na razie. Zrobimy tak – Chrowski znów usiadł na ręcznie rzeźbionym krześle, przy dużym, zdobionym biurku. – Dogadamy się z nimi, mają nam płacić trzydzieści procent i mogą brać haracze dla siebie. My, nie będziemy już z tym mieli nic do czynienia.

- Tego chcesz?

- Chcę spokoju, trochę ciszy, żeby pomyśleć o naszej przyszłości. To ciemne interesy, zbyt ryzykowne interesy. Kiedyś coś pójdzie nie tak, jak z tymi złodziejami tirów i będziemy mieli problem. Czas zakończyć tą działalność.

- Dobrze – Kaplica się uśmiechnął. – Załatwię to, jak zawsze.

- Uwielbiam twoje jak zawsze, które zawsze się sprawdza, które nas nigdy nie zawodzi. Jeszcze jedno.

- Słucham – Kaplica znieruchomiał, wyczuł napięcie w pokoju, takie napięcie, które sprawia, że coś w nas zaczyna żyć, coś w nas jeszcze żyje.

- Ten Komisarz Rawicz wciąż węszy. Nie wie nic o mnie, ale już wie, że ktoś taki jak ja jest w mieście. Musimy wiedzieć coś więcej. Mam pomysł. Zostaniesz taksówkarzem.

- Ja? Taksówkarzem? – zaśmiał się Kaplica. – Ja prawie nie znam tego miasta. Nie znam go tak, jak znają go inni ludzie. Znam noc, jego nocne życie, znam jego zakamarki, zaułki, znam ludzi, którzy je niszczą, ludzi, którzy starają się je odbudować, lecz nie zawsze całkiem legalnie. Znam twarze ludzi, nie znam imion. Czasami myślę, że to miasto to tylko nieznane twarze, nie budynki, nie ulice, nie samochody.

- Jest knajpa, przy Placu Szczepańskim, gdzie piją policjanci. Zawsze tam chodzą. Każdy zawód ma miejsce, gdzie ktoś zapomina o problemach w pracy. Gdzie ucieka, żeby zapomnieć o codzienności. Codzienność najbardziej boli, najbardziej rani ludzi, zarówno tych biednych, jak i tych bogatych. Będiesz tam stał wieczorami i odwoził ich do domów, gdy już skończą pić. Człowiek pijany może więcej powiedzieć niż człowiek trzeźwy pod przymusem. Cierpienie nie zawsze daje właściwe odpowiedzi, człowiek pijany często mówi prawdę, samą prawdę. A my, tej prawdy teraz potrzebujemy.

- Będę rozwodził ludzi tylko z tej knajpy?

- Tak. Czasami, na początku trafisz na zwykłych ludzi, wtedy ich tylko odwieziesz. Gdy się zorientujesz, będziesz woził tylko policjantów. Będziesz ich słuchał, podpuszczał, jak będzie taka konieczność. Będziesz miły, uprzejmy, troskliwy. Wyrozumiały. Ludzie pijani lubią ludzi wyrozumiałych, troskliwych. Tego brakuje każdemu, najbardziej ludziom z problemami.

- Dobra. Samochód mi załatw.

- Już załatwiłem – zaśmiał się Chrowski. – Będziesz moim szpiegiem w policji. Szpiegiem ukrytym.

- Do jutra – Kaplica wstał. – Do zobaczenia, jak zawsze.

- Cześć – Chrowski się zamyślił.

Komisarz Rawicz, on mógł mu kiedyś zaszkodzić, on mógł sprawić, że coś co się tak powoli rodzi w jego głowie, umrze. Zaśnie na zawsze w nim, zaśnie na zawsze w jego marzeniach. A marzeń miał Chrowski wiele, zbyt wiele jak na jednego człowieka.

Samochód, biały mercedes, stał przy ulicy Świętego Tomasza, tuż przy brzegu czerwonej kamienicy. Zbliżała się 23.00, Kaplica z niechęcią spojrział na zegarek. Nic się nie działo. Cicha muzyka, muzyka z oddali, muzyka z bliska, muzyka przyjaciół, muzyka wróg, muzyka nieszczęście, muzyka nadzieja cicho wtulała się w myśli Kaplicy. Niechętne myśli Kaplicy. Myśli ciężkie, zarówno od wspomnień, zarówno od życia.

Dwóch mężczyzn wyszło z knajpy. Zbliżali się do niego chwiejnym krokiem. Jeden podtrzymywał drugiego. Kaplica wyszedł z samochodu.

- Pomóc? – spytał. – Gdzieś zawieść?
- Oczywiście – z lekkim trudem powiedział blondyn.
- Naturalnie – zabelkotał brunet.

Mężczyźni z wyraźną radością wsiedli do samochodu.

- Na Pachońskiego 8 – westchnął blondyn, tak westchnął, jakby to, co go czeka pod tym adresem, było wielką niewiadomą, wielkim oczekiwaniem na coś, co musi się zdarzyć, na coś, co jest nieuniknione i jakże bolesne.

- Te powroty – westchnął brunet. – One mnie zabijają, niszczą resztki życia, które jeszcze we mnie zostały.

- Nie lubisz wracać do domu?
- Jaki dom? Jaki powrót? Ja nie mam już domu.
- Masz dziecko – oczy blondyna były nieobecne, zagubione, patrzyły się za szybę, na lampy, latarnie, na okna, tyle okien widział blondyn teraz, zbyt wiele, zbyt dużo.

- Dziecka też nie mam.
- Zabrała ci wszystko?
- Tak – oczy bruneta zaciemniły się łzami, stał je lekko niepewnym ruchem ręki. – Tak... – brunet zamyślił się, coś mruknął do siebie i zaczął dalej mówić. – Ja pracowałem, brałem nadgodziny, moja matka opiekowała się córką, nie musiała dzięki temu iść do przedszkola, a ona, jej studia, jej nowe znajomości, moje niedopasowanie do tych znajomości, to wstyd, mąż policjant, ona psycholog, jej znajomi kulturalni, ja wulgarny, tak mi powiedziała. Ja dla niej, żeby ona, a ona teraz wszystko mi zabrała – brunet znów się rozpłakał.

- Nie martw się – blondyn go objął prawym ramieniem. – Kobiety nas nie rozumieją, my ich nie rozumiemy, jedyne co nas łączy to łóżko, i tych kilka rozmów na początku, gdy się poznajemy, i tych kilka wspomnień, które w nas później zostają aż do śmierci, i tych kilka szaleństw, gdy jeszcze wierzymy, że będziemy razem aż do końca. Kobiety są jak kwiaty na łące, przesadzone do doniczki, gdy doniczka staje się zbyt ciasna, umierają, a my wraz z nimi.

- Ciągłe mnie blokuje, ciągle mi utrudnia kontakt z dzieckiem. Moja matka, która była dla córki kimś niezastąpionym, chce umrzeć, z braku kontaktu z wnuczką. Wnuczka nadawała sens jej życiu po śmierci mojego ojca. Teraz ten sens został naruszony, skruszony, połamany przez czas, przez wspomnienia. Matka umiera, ja umieram, wszystko wokół umiera przez innego człowieka. Powiedz mi – oczy bruneta stały się ostrzejsze, wyraźniejsze – dlaczego ludzie umierają przez innych ludzi, tak bez wyraźnego powodu do tego umierania?

- Umieranie ma sens, gdy nie dotyczy innego człowieka. Gdy inny człowiek jest w to zaangażowany, jest to niesprawiedliwe.

- I ta praca. To ciągle szukanie kogoś, kogo być może nie ma.

Kaplica spojrzał w lusterko. Lekko, niezauważalnie ściszył muzykę, o pół tonu, o pół dźwięku, o pół melodii.

- To wszystko to jakiś absurd – powiedział blondyn. – Ktoś chce, żebyśmy myśleli, że jedna osoba rządzi tym miastem. A rządzą nim wszyscy, każdy po trochu. Gdy nic nie wiadomo do końca, oznacza to, że wszystko wiadomo do końca.

- Ten Rawicz, ten jego upór, ta jego ślepa wiara, że odkrył coś, czego i tak nie ma. Jakiś klub pod ziemią, to brednie. Ktoś pijany mu coś nagadał, a on uwierzył, bo chciał uwierzyć komuś, kto potrzebował uwolnić się od zarzutów, i teraz w to brnie.

- Bzdury, to wszystko bzdury. Życie to jedna wielka bzdura, kobiety to jedna wielka bzdura, nasze picie to też jedna wielka bzdura. Choć picie ociera się o nadzieję, że każda bzdura ma kres, gdy połączyć ją wystarczająco długo z alkoholem.

- Ile się należy? – samochód Kaplicy zatrzymał się przed dużym blokiem, a blondyn pytanie połączył z banknotem 50 złotych. – Tyle wystarczy?

- Tak, dziękuję – odparł Kaplica.

- Całodobowy, czy do domu? – spytał blondyn bruneta, gdy oddalali się chwiejnym krokiem od samochodu.

- Po piwku, przed snem i do domu.

Dwa cienie znikły w szarości nocy. Rozmazały się, tak jak rozmazuje się człowiek, gdy życie go zbyt mocno przycisnie do ziemi.

Pierwszy śnieg, pierwsze jego okruszki na szybie, pierwsze ześlizgiwanie się na dół, nieregularne dotyki szyby poprzez wilgoć i ta biel na ulicach, biel kryjąca cały brud miasta, cały jego kurz, całą jego chropowatość i całe jego zaciemnienie.

Kaplica przyzwyczał się już do jazdy samochodem w nocy. Przyzwyczał się do obcych twarzy, do obcych głosów, do obcych problemów. Jeździł, słuchał, przekazywał informacje Chrowskiemu. Jeżdżąc pośród ciemności rozumiał, że ludzie często szukają tego, czego nigdy nie znajdują. I to, co jest dalekie gdy nie ma alkoholu, często staje się bliskie poprzez alkohol. Prawie na wyciągnięcie ręki. I ludzie kochają złudzenia, kochają mocniej po alkoholu. Złudzenia po alkoholu wydają się bliższe, wydają cię cieplejsze.

Trzask drzwi taksówki, dwa ciężkie ciała opadły na tylnym siedzeniu.

- Jaremy 4 – powiedział tęgi, bardziej gruby niż tęgi mężczyzna.

- Jedziemy do ciebie? – spytał niski, chudy mężczyzna.

- Do mnie. Oczywiście – westchnął tęgi mężczyzna.

Samochód ruszył. I ta ciemność, ta cisza w nocy. Te kształty kamienic, kształty zagubione, prawie bajkowe, i te ulice, ulice donikąd, ulice pojawiające się, ulice znikające i te drzewa, ich zarysy, niewyraźne zarysy, i prawie niewidzialne twarze, twarze pojedyncze, twarze pijane, twarze upite, twarze jeszcze nieprzepite nocą.

- Coś ci muszę powiedzieć – rzekł nagle tęgi mężczyzna. – Komuś to muszę powiedzieć.

- Mów – ciężko westchnął niski mężczyzna.

- Przysięgnij, nikomu tego nie powiesz.

- Przysięgam, na to, co jest we mnie ważne, na to, co będzie kiedyś we mnie ważne.

- Poznałem kobietę. Piękna, czarne włosy, tajemniczy uśmiech. Poznawaliśmy się długo. Może zbyt długo, ale ta cierpliwość nas tylko łączyła, nie oddalała. Potem były noce, potem były dni. Potem

było wszystko. Jej dotyk, smak tego dotyku, zapach tego dotyku. Zakochałem się bardziej w jej zapachu, w jej dotyku niż duszy, teraz tak myślę. Kiedyś myślałem inaczej.

- I? – zaciekał się niski mężczyzna.

- Byliśmy razem wszędzie. U mnie, u niej, pod prysznicem, nawet w snach bywaliśmy razem. Wyobraź sobie, że niekiedy mieliśmy prawie te same sny. Różniły się szczegółami, ale dotyk, jej zapach w snach był ten sam. Uzależniła mnie od siebie – tęgi mężczyzna się zawiesił, jego głos, bardziej brak głosu zastygł w powietrzu, a potem się ocknął, obudził i zaczął dalej mówić, jednak wolniej, dokładniej, z naciskiem na każde słowo, na każdy dźwięk tego słowa w powietrzu. – Miałem się jej oświadczyć. Kupiłem jej pierścionek z brylantem, byłem taki szczęśliwy, że kogoś kocham, że ktoś w końcu kocha mnie. I wtedy przyszedł na maila, w niedzielę wieczorem, załącznik. Każde szczęście okupione jest jakąś prawdą. Sprawdź cenę swojego szczęścia, tak było napisane. Otworzyłem, zamarłem. Stałem kilka minut w milczeniu przed komputerem.

- Co tam było?

- Coś, co zmieniło we mnie wszystko. Coś, co sprawiło, że stałem się inny, na te kilka sekund, na kilka minut tuż po.

- Coś, ktoś cię zmienił?

- Ona. Ona mnie zmieniła. Był tam film, film dla dorosłych, a w nim – oczy tęgiego mężczyzny się zaszkliły – była ona. Cała noc nieprzespana, rano już byłem u niej. Gdy mnie zobaczyła, przestraszyła się. Coś czuła, mój wzrok знаła dobrze, zbyt dobrze.

- Co powiedziała?

- Rozpłakała się. Powiedziała, że przeszłości nie można zmienić, jednak zawsze można zmienić przyszłość.

- Prawie zawsze można zmienić przyszłość. Jednak niekiedy to przyszłość zmienia nas. Zmienia bezpowrotnie. Zmienia namacalnie.

- Matka zachorowała, ona straciła pracę. Matka nadawała się tylko do domu starców, nie stać ją było na to, wyjechała do Niemiec. Pracowała na gospodarstwie. W deszczu, podczas burzy, podczas upałów. Matka już wtedy była w domu starców, a to kosztowało. Zwolnili ją. Chodziła po mieście, zobaczyła agencję fotograficzną, weszła, była ładna, zdjęcia dla panów, dobre pieniądze. Zgodziła się, na chwilę. Potem chwila zmieniła się w czas dłuższy, czas nieskoń-

czony. Potem był film, większe pieniądze. Gdy czuła do siebie odrazę, sprawdzała stan konta, dzwoniła do matki. Czuła się wtedy lepiej, niewiele lepiej. Gdy zarobiła więcej pieniędzy wróciła do domu. Otworzyła własną, jednoosobową firmę.

- Kochasz ją?

- Tak. Kocham. Teraz nienawidzę siebie za tę miłość. Zacząłem pić więcej. Dzień stawał się nocą. Noc stawała się dniem. Ostatnio tak dużo piję przez kogoś, kto wydawał mi się taki bliski. Zbyt bliski. Prawie nierealny.

- Co zrobisz?

- Nie wiem. Gdy zasypiam, gdy udaje mi się w końcu zasnąć, widzę ją w snach, a potem pojawiają się dotyki, tysiące dotyków. Czuję ją w śnie, bardziej niż w życiu. Ona wciąż do mnie dzwoni. Ja nie odbieram. Codziennie mam kilkanaście nieodebranych połączeń.

- Wciąż cię kocha.

- Tak. Miłość nas połączyła, miłość nas zniszczyła.

- Zostań z nią. Jest ci bliska, na tyle bliska, że jej w końcu wybaczysz.

- Jeżeli ją zostawię, zostawię też coś, co już nigdy do mnie nie wróci, wiarę w innego człowieka.

- Trzydzieści złotych – rzekł Kaplica.

Zapłacili, wysiedli, uciekli w ciemność. Jeden płakał, drugi był z nim w tym płaczu bezgranicznie. Był z nim w tym płaczu bezimien-
nie.

Prawie położyli mu się na masce samochodu, prawie uśpili się na niej niczym na łożu zapomnienia, prawie dotykiem, swoim oddechem uciekli od swoich ciał na kilka sekund.

Potem usiedli z tyłu, podali adres, byli szczęśliwi, że udało im się jakoś dotoczyć do samochodu.

- Mam już dość obsesji Rawicza. Mam już dość tego, że muszę wierzyć w jego obsesję, jakbym miał sam za mało obsesji w sobie – rzekł ciężko szczupły mężczyzna.

- Sprawdza te kamienice, te grunty, szuka poszlak – westchnął mały łysy. – I te haracze, niby są, niby każdy wie, a nie ma żadnych dowodów.

- Boją się. Ty też byś się bał na ich miejscu.

Ciepły deszcz otulił miasto swoją wilgocią. Grał na dachach, na kominach, na ławkach wiecznie zielonych, na drzewach szumiących bezustannie, na twarzach bezdomnych śpiących ukradkiem gdzieś pod drzewami.

- I te złoto – powiedział, bardziej jęknął niż powiedział szczupły mężczyzna. – Pojawiło się, potem gdzieś znikło. Rozmazało się pośród ludzi. Nikt nie widział, nikt nie słyszał, a może nikt nie chciał widzieć, nikt nie chciał słyszeć. Jedynie Rawicz uwierzył, bo chciał, bo musiał. Jeśli w coś bardzo wierzymy, to po czasie już wiemy, że to jest, choć tak naprawdę nigdy tego nie było, nie mogło być. Gdy wiara wymiesza się ze złudzeniami, to te złudzenia nagle stają się prawdą. Naszą prawdą.

- Kiedyś też miałem złudzenia, że pewne rzeczy w moim życiu są jakąś prawdą, teraz wiem, że moje życie to jedno wielkie złudzenie, teraz wiem, że moje życie to wiecznie niedokończona prawda.

- Musisz mi w czymś pomóc, musisz mi coś doradzić.

- W czym ci mogę pomóc?

- Moja żona miała wypadek, taki wypadek, który zmienia wszystko w człowieku. Przed wypadkiem chodziłem z nią po górach, wspinaliśmy się po skałach jak alpiniści, kochaliśmy podróże, więc często uciekaliśmy z tego miasta, żeby potem do niego wracać z miłością, nie z pogardą. Nurkowaliśmy w ciepłych morzach, te rafy, te ryby, ich kolory, ten wieczny błękit wody, i paralotnia, to była nasza największa pasja.

- Co się stało? – szepnął mały łysy.

- Lecieliśmy paralotniami nad wielkim lasem. Ja osobno, ona osobno. Byliśmy blisko siebie, byliśmy daleko od siebie. I nagle zobaczyłem jak ona spada na drzewa, w sam środek lasu. Gdy ją znalazłem żyła, ale jej ciało umarło. Teraz jeździ na wózku, chce umrzeć, to widzę codziennie w jej oczach. Coś mówiła o Szwajcarii, że to piękny kraj. Ale wiem, że tam można samemu odebrać sobie życie. Ona wie, że ja wiem, co chciała mi powiedzieć. To okropne, gdy ktoś bliski mówi ci o śmierci, a ty musisz te słowa lekceważyć, odpychać od siebie jak najdalej. Kocham ją, nie chcę żeby żyła ze śmiercią w oczach. Czasami z miłości robi się rzeczy okropne. Boję się, że mnie przekona, że mnie zmusi. Płaczem, żalem, nostalgią. Wiesz, co mi ostatnio powiedziała?

- Co?

- Że bardziej mnie będzie kochać tam, niż tutaj. Że stamtąd bardziej się mną zaopiekuje, niż stąd.

- Nie pomogę ci. Myślę, że każdy sam powinien decydować o swoim życiu, o czasie, który pozostał nam dany na jakiś czas. Nie na wieczność.

- Gdy tak leciała w chmurach, coś się zdarzyło. Powiedziała mi to dopiero dzisiaj, rano.

- Widocznie potrzebowała czasu.

- Potrzebowała odwagi, nie czasu. Gdy leciała zobaczyła jasne światło na niebie. Zbliżało się do niej szybko, zbyt szybko. Zobaczyła pędzący pociąg w płomieniach. Strumienie ognia wylewały się z niego, z okien, z drzwi, z lokomotywy, z komina. A pociąg pędził przed siebie, wprost na nią. A potem jakaś kobieta wyskoczyła z pierwszego wagonu, była cała w płomieniach. I wtedy, gdy pociąg miał się z nią zderzyć, silnik w paralotni przestał działać i spadła na dół, wraz z tą kobietą.

- Uwierzyłeś jej?

- Uwierzyłem jej oczom, jej spojrzeniu, nie jej głowie. Ona w to wierzy, więc ja też.

- Co zrobisz?

- Będę ją kochał do końca, nawet wtedy, gdy ten koniec nastąpi zbyt szybko.

Osiedle domków jednorodzinnych. Małe, kręte ulice, czas, który tutaj ma inny wymiar, inne znaczenie. Wysiedli, zapłacili, pożegnali się ze sobą. Poszli w dwóch różnych kierunkach.

Kaplica wyłączył silnik. W tle leciała muzyka „The End” Doorsów. Jego myśli wciąż wracały do rozmowy tych mężczyzn. Czy ja byłbym w stanie pomóc komuś, kogo bym kochał, gdy ta miłość wymagałaby śmierci, wymagałaby potępienia? pomyślał Kaplica. Czy można kogoś zabić, żeby ocalić resztki miłości, które w nas jeszcze zostały? Czy można kochać tak mocno, żeby zabić tak mocno? Tak boleśnie.

Można! Prawie krzyknął do siebie i włączył silnik. Można! Ruszył szybko, zbyt szybko do przodu, jakby chciał zostawić to można za sobą, jakby bał się, że to można za chwilę będzie jego dotyczyć, musi jego dotyczyć. Jakby bał się, że to można go kiedyś dogoni i

poprosi o dotrzymanie obietnicy. Obietnicy jeszcze do końca nie określonej. Obietnicy jeszcze do końca nie naznaczonej.

Pociąg, za nim wagony osobowe, dużo wagonów, a w nich śpiew, muzyka, życie. Pociąg z metalu, z ogromną ilością śrub łączących ten metal, pociąg z kominem z przodu, z którego wydobywała się szara para ku horyzontowi nieba.

Ilona, jej długie blond włosy, jej mocne usta, teraz skupione, patrzące z niedowierzaniem na twarze ludzi, obcych ludzi. Ludzi płaczących, ludzi pijących. Na jej szyi zawinięty jest długi czarny szal, zwisający nienaturalnie aż do ziemi, aż do bosych stóp Ilony. Nie ma butów, sama jest zdziwiona.

Dziwny sen, pomyślała, sen w którym znika wszystko, nawet byty, nawet kiedyś oswojone przez nas rzeczy. Myśli.

W jednym wagonie ludzie ubrani na kolorowo, na wesoło, jakby świat smutku, cierpień dla nich nie istniał, nie mógł istnieć. Ktoś gra na harmonii, ktoś śpiewa, ktoś pije zimną wódkę, może spirytus i te oczy zaszklone, te oczy rozbiegane, te oczy szalone. Tak, szaleństwo było widać najbardziej w oczach tych ludzi, ktoś się krzywi, to po wypiciu zbyt dużej ilości wódki, ktoś przegryza tę ucieczkę od siebie kielbasą. Na jego twarzy pojawia się ulga, jakaś obojętność, jakieś wzruszenie. I te głosy, głośnie, silne, nie bojące się niczego. Nawet siebie, nawet swoich snów i lęków. Marzeń. Jakieś babcie, stare, zniszczone, popękane na twarzy jak ziemia, która ich kiedyś rodziła, niosą w koszykach, lnianych koszykach wódkę, piwo, kielbasę, ser żółty i biały, chleb i bułki. Ludzie kupują, babcie znikają i znów pojawiają się z koszykami niczym duchy. A pociąg mknął przez tundrę, widać za szybami lasy, duże ciemne drzewa, widać jeziora, z oddali góry, niekiedy pojawiają się w tym szalonym pędzie jelenie, sarny, niedźwiedzie. A potem znikają. Wszystko znika w tym szalonym pędzie. W tej gonitwie donikąd.

Kolejny wagon, i kolejny. Ilona przedziera się do przodu, w kierunku lokomotywy. Te tłumy stojące, te tłumy płaczące, te tłumy krzyczące. Rosyjska dusza, rosyjska miłość, rosyjska melodia i nostalgia, która ociera się o smutek, ociera się o ciemność.

- Jak długo już jedziemy? – pyta Ilona.

- Długo, zbyt długo – odpowiada siwy starzec.

- Jak długo będziemy jeszcze jechać?
- Długo, zbyt długo – dodaje babcia w czerwonej chuście na głowie.

Do przodu, myśli Ilona, do przodu. Na przodzie jest życie, na przodzie jest nadzieja. Jej szal zahacza o walizkę z brązowej skóry, obklejoną dużą ilością naklejek z różnych krajów.

Ktoś rzuca butelkę, pustą butelkę w sufit wagonu. Śmieje się, krzyczy, śpiewa. Szal, dziki szal na pokładzie tego oblędu toczącego się tak usilnie do przodu.

Ilona dochodzi do pierwszego wagonu. Zauważa granatowy mundur powieszony na oparciu siedzenia. To maszynista. Gra w karty z podróżnymi. Chyba przegrywa, bo krzywi się niemiłosiernie.

Ilona wchodzi do lokomotywy. Rozgląda się z przerażeniem na boki. Nikogo tam nie ma. A pociąg pędzi uparcie do przodu. Za szybą widzi, że tory się kończą. Zaczyna krzyczeć.

- Co się dzieje? – pyta maszynista.

- Tam nikogo nie ma. Nie ma też torów, zaraz nie będzie. Trzeba zatrzymać ten pociąg.

- To pociąg donikąd, nie można go zatrzymać. Zatrzymać można czas, nie pociąg. Zresztą to i tak nie ma znaczenia, za chwilę tory się kończą. Muszą skończyć. Nikomu z podróżnych nie zależy na zatrzymaniu czegokolwiek. Większość z nich ucieka przed czymś. Ucieka, bez szans znalezienia celu. Jakiegokolwiek celu. Przystani.

Ilona patrzy z przerażeniem jak pociąg wypada z torów. Zaczyna krzyczeć. Wszystko drży, ściany metalowe, poręcze, nawet światło zaczyna drżeć, pulsować, zanikać.

Budzi się. Jest cała spocona. Chrowski ją trzyma za rękę. Jego węglowe oczy są skupione.

- Boję się, boję się że odejdę pierwsza, że muszę odejść pierwsza. Muszę... – jej oczy, granatowe oczy mają w sobie strach.

- Odejdziemy razem – mówi Chrowski. – Odejdziemy razem, żebyśmy kiedyś nie musieli osobno szukać się w ciemności.

- Lekarz powiedział, trzy miesiące – usta Ilony zaczynają drżeć, pękać w ciemności nocy.

- Odejdziemy razem. Śpij – Chrowski ją przytula mocno, zbyt mocno, tak mocno, jakby miał ją za chwilę stracić.

Wie, że ją straci, teraz to wie, wie, że straci ją zbyt wcześnie, zbyt nagle, ale ma pomysł, jak to nagle oszukać. Pomysł szalony, niebezpieczny, ale pomysł jedyny, pomysł już teraz nieodwracalny.

Ilona zasypia, Chrowski zasypia. Lecz ich sny, zaśnięcia są tak różne od siebie. Ona śpi niespokojnie, niepewnie, on śpi gwałtownie, niebezpiecznie, odległe. Łączy ich łóżko, pościel, syn. Łączy ich życie, teraz zastygłe w ciemności. Łączy ich życie, teraz skupione w niepewności. Zbyt szybko zbliżającej się niepewności.

Kaplica nie rozumie, przeciera oczy ze zdumienia. Jego łysa głowa, jej lśniąca barwa marszczy się, jego oczy zawężają się, prawie znikają.

- Na jak długo? – w końcu pyta, a to pytanie ma smak i zapach niepewności, ma smak i zapach niezrozumienia, jakiegoś otępienia i amoku.

- Trzy, może cztery miesiące.

- Dlaczego?

- Ilona umiera. Za trzy miesiące jej ciało zniknie, ucieknie ode mnie na zawsze. To jest nieuleczalne – Chrowski zawiesza głos – nieuleczalne na razie, w tych czasach. W innych może będzie, musi być jakieś lekarstwo, przecież medycyna prawie biegnie do przodu, wciąż biegnie, bez żadnej zadyszki.

- Dlaczego Rosja?

- Jest tam taka firma, w niej można zamrozić ciało, które umrze. Jednak trzeba być tam w pobliżu. Kilkanaście minut i mózg umiera. Oni przyjeżdżają, pakują ciało do specjalnej trumny, zawożą do siebie, i zanim wszystko zniknie w człowieku, zanim komórki stracą dar życia, wkładają ciało do dużej kapsuły i zamrażają do temperatury około dwustu stopni. Wcześniej wpompowują do układu krwionośnego specjalną substancję odporną na niskie temperatury. I tak człowiek jest tu, a nie ma go tam, niby jest tam, a tak naprawdę jest tu.

- Po co ci to? Nie pochowasz jej, to nigdy nie przestaniesz o niej myśleć, jak o kimś, kto już jest daleko, bardzo daleko. Niekiedy musimy zapomnieć, żeby coś nowego móc w sobie na nowo przypomnieć.

- Obiecałem jej, że jeśli istnieje tam jakiś świat, pójdziemy do niego razem. Nie będziemy się szukać w przyszłości, w jakiejś niepewnej ciemności. Gdy będę wiedział, że umieram, odmrozę ją. Gdy będę żył, a lekarze znajdą lekarstwo na raka mózgu, odmrozę ją. W każdym wypadku wygrywam.

- To szaleństwo. Ale twoje szaleństwo. Ty będziesz w tym szaleństwie żył w przyszłości. Niektóre szaleństwa ocierają się o nadzieję, inne zadają tylko ból, niepotrzebne cierpienie.

- Wysłałem już tej firmie pieniądze. Potem, po jej śmierci – oczy Chrowskiego stają się szkliste, prawie perłowe, lśniące jak lód pod samym biegunem – będę płacił składki, na podtrzymywanie jej życia. Byliśmy u notariusza, teraz jest u niego jej ostatnia wola, podpisałem pisemną akceptację tego co zrobimy. Co musimy zrobić.

- Mam się wszystkim zająć tutaj?

- Tak. Do momentu, aż wrócę. Chcę z nią, z synem spędzić te ostatnie chwile, razem, łączywie chwytając resztki szczęścia, które w nas jeszcze zostały. Które są nam jeszcze sądzone, dane przez los.

- Zajmę się wszystkim. Możesz mi zaufać. Kiedy wyjeżdżasz?

- Za dwa dni. Biorę pieniądze, wynajmę mieszkanie i będę czekał. Tego czekania najbardziej się boję i bólu tuż po, gdy to czekanie nagle się skończy. Tuż po, nie wiem co to oznacza, zapewne czas, który będę musiał poświęcić żeby uwierzyć, że coś ma jeszcze sens, że coś może mieć jeszcze sens.

- Nie pochowasz jej, więc skazujesz się na wieczne czekanie.

- Będzie żyła w mojej pamięci, będę czuł, że jest, bo będzie tam, w ziemi, w nadziei, którą jej dałem.

- To ty jej dałeś tę nadzieję?

- Dała ją sobie sama. Uwierzyła mi, uwierzyła sobie. Kiedyś pójdziemy razem w kierunku światła, w kierunku niewidzialności. W kierunku tego, co to światło niesie ze sobą.

- No to powodzenia – Kaplica wstał, podał rękę Chrowskiemu. – Pozdrów Ilonę. Zawsze będzie w mojej pamięci. Na zawsze zapamiętam jej granatowe oczy, gdy się śmiała, gdy płakała. Gdy krzyczała na ciebie, często bez powodu. Piękne kobiety często dręczą mężczyzn bez powodu. Może dlatego, że chcą być mocniej kochane, a może z nienawiści, że nie mogą być mocniej kochane.

Kaplica wyszedł. W jego oczach pojawiły się łzy. Polubił Ilonę, była świeżym powietrzem w życiu Chrowskiego, w jego życiu. Sprawiała, że przy niej stawali się lepsi, starali się być lepsi, pomimo świata w którym żyli, pomimo świata, w którym musieli żyć.

Śnieg, ogromne płatki śniegu, iskrzenie się bieli w rosyjskim powietrzu, i ten mróz, dla nich nieduży, dla nas prawie nie do zniesienia.

Chrowski wynajął duże, przestrzenne mieszkanie. Było w nim ciepło, przytulnie, prawie domowo.

Na początku dużo spacerowali, prawie nie rozmawiali o śmierci. Zapomnieli o niej, ona zapomniała o nich. Schowała się gdzieś w bieli i cierpliwie czekała.

Szybko poznali miasto, jego zakamarki, rzekę, kamienice schowane pomiędzy brukowanymi ulicami.

Ilona dużo się śmiała i ten śmiech dotykał drzew, teraz białych, dotykał dachów, teraz niewidzialnych od bieli, ocierał się o latarnie, teraz wyłączone, bo dzień, bo jasność, bo nadzieja.

Odwiedzili duży teatr. Siedzieli w łoży, sami. Kelner przynosił im szampana i winogrona. Na sali ciemność, na scenie jasność. Sztuka po rosyjsku, niewiele rozumieli, ale podobało im się. Aktorzy śmiali się, płakali, pili dużo wódki. Rosyjska nostalgia schowana w samotności. Rosyjska samotność schowana w oparach wódki.

Odwiedzili teatr na lodzie. Tam jasne światła, ciepła muzyka i te kobiety, i ci mężczyźni jeżdżący tak swobodnie, tak pięknie, jak ptaki, które chcą uciec, ale nie mogą, nie chcą, nie potrafią. Na końcu najbardziej klaskał Jan, podobało mu się, nawet bardzo.

Potem poszli do restauracji. Rosyjska muzyka, taka muzyka, która sprawia, że w oczach pojawiają się łzy. Człowiek przy niej marzy, wspomina, często zapomina. Chce być lepszy, nie może być lepszy. Chce inaczej, nie może inaczej. Chce być szczęśliwy, nie może być szczęśliwy. Znów szampan, kawior, mięsne przystawki, na końcu desery.

Gdy wyszli była już noc. Mroźna rosyjska noc. Wsiedli do taksówki, pojechali do wynajętego mieszkania. W taksówce Ilona poczuła się gorzej. Potem było trochę lepiej, Chrowski czuwał całą noc.

I te myśli w nocy, te koszmarne obrazy, i ten ból schowany gdzieś głęboko, na razie daleko, ale który za chwilę się pojawi i będzie bliski, zbyt bliski, zbyt zauważalny za dnia, zbyt odczuwalny w nocy.

Rano było już lepiej, na tyle lepiej, że mogli wyjść z mieszkania.

Byli na koncercie. Piękna sala, dużo muzyków, dużo instrumentów muzycznych. Jak to brzmiało, jak to docierało do nich, z taką intensywnością i znaczeniem. Byli pochłonięci muzyką całkowicie, aż do zapomnienia. Aż do granic rozpaczy, która jest w człowieku i śpi. Śpi niespokojnie.

Innym razem poszli do zoo. Zwierzęta były pochowane, ale i tak zobaczyli te najodważniejsze, te które nie boją się mrozu, nie boją się siebie. Chodzili pomiędzy klatkami, wybiegami, przytuleni do siebie.

- Kocham cię – powiedział Chrowski. – Kocham cię tak mocno, że aż niebezpiecznie.

- Też cię kocham. Zmieniłeś moje życie na coś niezwykłego. Z tobą żyję inaczej, niż inni ludzie. Z tobą żyję ciekawiej, bez jakichkolwiek szans na nudę, na obojętność tej nudy w moim życiu.

Syn się do nich przytulił. Czuł, że razem są nieśmiertelni, muszą być nieśmiertelni. Tutaj odżyli, zbliżyli się do siebie tak blisko, jak nigdy dotąd.

Śmierć zbliżała ich do siebie, śmierć oddalała ich od siebie, lecz na razie niewidzialnie, niewidocznie, prawie niezauważalnie.

W nocy, po miesiącu, gdy niebo było jasne od gwiazd, Ilona odešla. Po prostu zasnęła i już nie otworzyła oczu. Na jej twarzy był uśmiech, lekko zgaszony uśmiech.

Chrowski zadzwonił pod wskazany numer. Pojawili się mężczyźni, szybko, bardzo szybko schowali Ilonę do specjalnej trumny. Chrowski z synem pojechali za czarnym samochodem.

Ciało Ilony zniknęło w srebrnej kapsule. Jan przytulił się do metalowego pojemnika, zamknął oczy.

- Czuję, że mama żyje, czuję to – szepnął, a po jego policzkach popłynęły łzy.

- Ona żyje, ale gdzieś indziej, i czeka, aż znów będzie z nami, tutaj, albo tam – głos Chrowskiego się złamał, a potem, po czasie, został już taki, Chrowski go często chował za maską swoich oczu,

ale jego głos w tych momentach był połamany i później też był połamany. Jednak inaczej. Nigdy już nie wrócił do stanu początkowego. Nie dał się nigdy naprawić, Chrowski nie próbował go nigdy naprawić. Ten głos przypominał mu Ilonę, przypominał mu wszystko co było dobre, wszystko co było niezwykle związane z Iloną.

Po kilku dniach wrócili do Polski. Potem już nigdy nie rozmawiali o Ilonie. Była w ich pamięci i to im wystarczało. Była w ich pamięci i to im musiało wystarczyć aż do końca.

Syn wrócił do szkoły, Chrowski wrócił do interesów. Życie znów toczyło się swoim torem, bo każdy los ma swój tor, bo każdy los ma swój pociąg. Który czasami jedzie do przodu, czasami omija stacje bez zatrzymania, czasami stoi w szczerym polu i czeka na sygnał. A sygnał nie nadchodzi, nie może nadejść, bo jest daleko, zbyt daleko. Zbyt daleko od tego co być może nastąpi, zbyt daleko od tego co już nigdy nie nastąpi. Nie może nastąpić.

- Dasz radę to zrobić? – spytał Chrowski. – Dasz radę to zrobić w tak krótkim czasie?

Kaplica napił się whisky, jego zmęczone oczy na chwilę się skurczyły, by po chwili odzyskać dawną jasność, dawny błysk. Blask.

- Kiedy dokładnie?

- Za dwa tygodnie. W sobotę w nocy.

- Jesteś pewny, że mieszkanie będzie puste?

- Tak. Wyjeżdża na jakieś spotkanie z uniwersytetu.

- Ile osób będę potrzebował?

- Kilka osób. Dostaniecie się do mieszkania przez dach. To ostatnie piętro w kamienicy. A potem wyjdziecie drzwiami. Obrazy wytniecie z ram. Tak będzie szybciej, tak będzie bezpieczniej.

- Drogie te obrazy?

- Bardzo. Mam na nie kupca. Kolekcjoner, bogaty kolekcjoner. Zapłaci dobrze. Oczywiście nie cenę rynkową, bo to obrazy kradzione, ale zapłaci dobrze.

- Chce tylko obrazy?

- Nie. Mówi, że są tam stare srebrne monety, też je weźmie. I ikony, też jest zainteresowany. Złota biżuteria idzie dla nas. Sami ją sprzedamy. Jest tam też jeden stary zegar kominkowy, ja go wezmę dla siebie.

- Skąd on wie tak dużo o tym mieszkaniu?
- Był tam raz. Kolekcjonerzy bardzo dużo wiedzą o innych kolekcjonerach. Zwłaszcza zachłanni kolekcjonerzy. Zwłaszcza bogaci kolekcjonerzy.
- Gdzie go poznałeś? To nie jest żadna pułapka?
- Nie. Znam go przez kogoś. Ten ktoś to jego przyjaciel. On chce mieć te obrazy, chce je za wszelką cenę. I my mu w tym pomożemy. To czyste pieniądze, to szybkie pieniądze.
- Czyste – zaśmiał się Kaplica. – Tego bym nie powiedział.
- Czyste dla nas, brudne dla tych którzy w życiu kierują się jakąś etyką.
- Daj mi kilka dni. Rozglądnę się po okolicy, zbiorę ludzi, przygotuję plan. Potem się u ciebie pojawię.
- Kaplica wstał, już chciał wychodzić, ale się zatrzymał, tuż przy samych drzwiach. Zatrzymał się, gdy jego ręka dotknęła mosiężnej, ręcznie zdobionej klamki.
- Tęsknisz za Iloną? – spytał cicho, niepewnie, prawie szeptem.
- Tak, bardzo... – oczy Chrowskiego zwilgotniały. – Śni mi się czasami. W snach jest taka inna, bliska, a jednak odległa.
- W snach wszystko jest inne, w snach wszystko jest nierealne.
- Czasami się do mnie uśmiecha, ale ten uśmiech ma w sobie jakąś tajemnicę, jakąś nadzieję. Czuję, że ona czeka na mnie, tam, albo tutaj. Ona mi wierzy, wciąż mi wierzy, że to co zrobiliśmy ma jakiś sens.
- Jeżeli to ma sens dla ciebie, dla niej też ma na pewno jakiś sens. Nawet dla niej ten sens jest bardziej znaczący niż dla ciebie.
- Myślisz, że kiedyś zapomnę?
- Myślę, że o rzeczach ważnych nigdy nie zapominamy. One są, choć tak naprawdę już ich nie ma. Tylko punkt się zmienia. I czas. Czas zawsze się zmienia, gdy w coś zbyt mocno wierzymy, gdy w coś zbyt mocno ufamy.
- Do zobaczenia za kilka dni – rzekł Chrowski, potem się odwrócił i spojrzał na niebo za oknem. Teraz wilgotne od deszczu.
- Kaplica wyszedł. Znów pojawiła się cisza w pokoju. Taka cisza, która nic nie obiecuje, taka cisza, która nie wygasa w nas wszyst-

kiego, raczej zbliża nas do obojętności, takiej obojętności, za którą czai się tylko smutek, za którą czai się tylko strach.

- Nigdy o niej nie zapomnę – rzekł Chrowski w kierunku chmur.
– I to jest w tym najgorsze, nigdy o niej nie zapomnę.

Wyciągnął butelkę, otworzył, nalał whisky do szklanki. Już wiedział, nie zaśnie, jeśli wystarczająco dużo się dzisiaj nie napije. Nie zaśnie, jeśli nie zamrozi wspomnień poprzez alkohol, poprzez ucieczkę myśli od tych wspomnień.

Niebo ciemne, noc głęboka, cisza zastygła. Siedzieli w samochodzie w milczeniu. Czekali. Dochodziła pierwsza w nocy.

- Zaczynamy – rzekł Kaplica.

Dwóch mężczyzn weszło do kamienicy. Cicho poruszali się po drewnianych schodach. Nic nie mówili, nic nie chcieli mówić. Gdy doszli do ostatniego piętra otworzyli drzwi, żeby dostać się na strych, weszli w ciemność. Jakieś cienie, jakieś kształty, jakieś zastygłe zniecierpliwienie otoczyło ich znienacka. Otworzyli właz, bardziej okno niż właz i weszli na dach.

- Podaj linę – rzekł Krępy. – Przywiążę ją do komina.

Niczym koty, niczym czarne pantery poruszali się po dachu. Potem nastąpiło ciche jęknięcie szyby i już byli zanurzeni w środku. Byli tam, gdzie nigdy nie powinni być, byli tam, gdzie przeszłość niezauważalnie przenikała teraźniejszość.

Kaplica palił nerwowo papierosa. Co chwilę zerkał to na niebo, to na dach kamienicy.

- Przeróżające są te chmury – westchnął do siebie. – Nie mają żadnej jasności w sobie. Coś, co nie ma żadnej jasności w sobie, zabija wszystko w człowieku. Zabija to, co jest w nim dobre, zabija to, co jest w nim złe, przeróżające.

Kaplica zobaczył dwa cienie na dachu. Po chwili zniknęły w ostatnim oknie, tuż przy krawędzi kamienicy.

- Idziemy – rozkazał Kaplica, a dwa cienie ruszyły w milczeniu tuż za nim.

Doszli do drzwi na ostatnim piętrze. Stanęli tuż przy nich. Kaplica delikatnie w nie zastukał. Drzwi otworzyły się powoli.

- Wchodźcie – prawie szepnął Krępy, a jego oddech, raczej brak oddechu niż oddech wyrażał jakiś strach, jakieś napięcie w środku jego ciała.

- Trudno było otworzyć drzwi?

- Trudniej byłoby je otworzyć z zewnątrz. Ze środka zawsze jest łatwiej.

Kaplica zaświeceł latarkę. Jej światło, jej blask, raczej światło niż blask dotykało zarysów pokoju. Ocierało się o jego kształty wiszące na ścianach, o stare komody, perskie dywany, o zegar kominkowy, teraz milczący, o rzeźbione krzesła, o sufit, który wyglądał jak jedna wielka rzeźba, podzielona dużymi balami drewna.

Kaplica podszedł do obrazów wiszących na ścianach. Oświecił je z jakąś dziwną czułością, prawie je głaskał światłem, dotykał je jasnością, jaskrawością wydobywającą się cicho z latarki.

- Witkiewicz – zaczął czytać podpisy na krawędziach, w kątach obrazów. – Beksiński, Malczewski, Gieryski. – Poszedł dalej, do drugiego pokoju, a tam znów ściany, a tam znów obrazy, dużo obrazów. – Axentowicz, Chełmoński, Jerzy Kossak.

Nagle jego wzrok zamarł, zastygł, skamieniał na chwilę.

- Matejko – nie mógł uwierzyć. – Sam mistrz Matejko. – Zbliżył wzrok do obrazu. – Jakiś portret.

Krępy, jego ludzie, pakowali srebrne monety do dużego worka, potem wsadzili tam kilka ikon, starych, zabytkowych, pachnących dawną Rosją, carem, cerkwiami, a potem złotą biżuterię delikatnie wsadzili na sam wierzch.

- Wycinajcie obrazy z ram – rzekł Kaplica. – Włóżcie je do worków i wychodzimy. Pamiętajcie, żeby je dokładnie zwinąć.

Krępy z dwoma mężczyznami kursował w ciszy do samochodu. Pakowali łup do bagażnika. Potem zmienili samochód, pakowali tam pozostałe rzeczy. Przyjechali dwoma samochodami, jeden był większy, terenowy, miał dużo miejsca z tyłu.

Najwięcej energii stracili na duży zegar kominkowy. Szli ostrożnie, nie chcieli go uszkodzić.

Serce Kaplicy biło tak intensywnie, tak mocno, jakby za chwilę miało z niego uciec, jakby na siłę chciało oddalić się od jego ciała.

Gdy byli na parterze, gdy mieszkanie zostawili prawie puste, nagle drzwi, tuż obok nich, otworzyły się ze zgrzytem.

Jakaś kobieta w piżamie, w fioletowej piżamie, przeszła tuż obok nich. Wszyscy zamarli, było ciemno, noc na korytarzu była głęboka, ciasna, mroczna.

Kobieta szła, prawie dreptała swoimi kapciami, nic nie mówiła. Była w jakimś letargu, amoku. A oni przytuleni do ściany jak muchy, jak nietoperze. Tylko ich serca niespokojne, tylko ich głowy rozpalone, tylko ich oczy pełne żaru, pełne napięcia. Kobieta znikła za rogiem korytarza.

- Lunatyczka – westchnął Kaplica.

- Mamy szczęście – dodał Krępy.

- Żyjąc błędzimy, błędząc żyjemy – powiedział Kaplica. – Idziemy do samochodu.

Dwa samochody ruszyły poprzez ciemne, zanurzone w mroku ulice. Mężczyźni nic nie mówili. Przestraszyła ich ta kobieta, przestraszyło ich życie. Tylko światła mieniły się przed ich twarzami, tylko uśpione sklepy ocierały się o ich zgaszone już prawie spojrzenia.

Byli zmęczeni. Zmęczeni sobą, pracą, czasem, który musieli dzisiaj razem spędzić. Chcieli tylko dojechać do celu, chcieli tylko uciec, każdy do siebie, każdy do swojej, dobrze oswojonej przystani.

Chrowski rozwijał poszczególne obrazy. Jego oczy coraz głębiej rozszerzały się ze zdumienia.

- Taka kolekcja. To zdumiewające – rzekł cicho, prawie szeptem.

- Ten Matejko to prawdziwy skarb, będzie bardzo drogi.

- Ile może kosztować? – spytał Kaplica.

- Myślę, że około 200 tysięcy. Za tyle był sprzedany jakiś portret na aukcji.

- Inne obrazy też są cenne.

- Tak. Ale Matejko to jednak Matejko. Kossak też będzie sporo warty. I ten Witkiewicz – Chrowski zaczął oglądać jego obrazy.

- Dziwne są – stwierdził Kaplica. – Takie nieprawdziwe, jakby nie z tego świata.

- Myślę, że on nie był z tego świata, albo przynajmniej chciał uciec z tego świata. Poprzez alkohol, poprzez kokainę.

- Często je brał?

- Zawsze gdy malował, nawet pisał na obrazach, co brał, gdy malował.

- To odwaga, potrafić się przyznać do swoich słabości poprzez to co jest dla nas ważne, może najważniejsze.

- Nie każdy to potrafi, to fakt. Często ukrywamy to, co nas kiedyś może zgubić. Ukrywamy to dla siebie, dla świata. Często wady i słabości mogą ranić innych. Nawet innych mocniej ranią niż nas samych.

Kaplica rozkładał kolejne obrazy. Bardziej je rozwijał niż rozkładał. A Chrowski je oglądał w milczeniu.

- Witkiewicz mnie jednak najbardziej fascynuje – rzekł Chrowski po chwili milczenia. – Ta groteska w obrazach, ten pastisz, ta parodia. Te postacie ocierające się o zwierzęta. Te demony w epizodach nierealnych. Te groteskowe deformacje twarzy podparte żywymi kolorami. I ten metafizyczny niepokój istnienia ludzkiego.

- Dziwne są, naprawdę dziwne – rzekł Kaplica.

- Gdy na nie patrzę, myślę, że to co on malował, czasami też mam w głowie. W snach, w lękach, w moich najgłębszych obawach.

- Musiał dużo pić, dużo brać kokainy, że to wygląda tak realnie, tak prawdziwie.

- Pił – uśmiechnął się Chrowski. – A kto nie pije na tym świecie. Bez picia ten świat już dawno by umarł. Tylko picie sprawia, że mamy siłę iść dalej do przodu, gdy już nie mamy wcale siły iść dalej do przodu.

Chrowski zwinął ostatni obraz. Popatrzył się wnikliwie na Kaplicę. Coś w nim zawrzało, potem się uspokoiło i wtedy rzekł:

- Tutaj masz adres, tam pojedziesz z tymi obrazami. Ten gość to koneser obrazów, on to wyceni. To zaufany człowiek. Wiele obrazów sprzedawał nielegalnie. Ale on ma to tylko wycenić. Sprzedamy to sami.

Kaplica schował adres do kieszeni. Potem spojrzał czujnie na Chrowskiego.

- Co potem?

- Tu masz drugi adres. Gdy wycenimy obrazy, gdy będziesz znał ich wartość rynkową, pójdziesz pod ten adres i sprzedasz obrazy za pół ceny. Ten ktoś, kolekcjoner musi je kupić wszystkie, bez żadnego wyjątku.

- Kupi je za taką cenę?
- Musi je kupić. To napalony, bogaty kolekcjoner. Powiesz, że jesteś ode mnie. On wie, że przyjdiesz.
- Nie za mało, pół ceny?
- Nie. To dobra cena. Legalnie ich nigdy nie sprzedamy. To wąski rynek. Ciężko sprzedać coś, co jest wyjątkowe, po kradzieży, też na swój sposób wyjątkowej.

- Dobrze. Tak zrobię. A co z monetami i ikonami?
- Zostawimy je dla siebie. To będzie nasz kapitał na przyszłość.

Kaplica wyszedł. Jego kroki były pewne, stanowcze. Kochał tak działać. Instynktownie, niebezpiecznie, na pograniczu lęku i obłędu, strachu który ten lęk strzeże. Wtedy czuł, że żyje. Wtedy czuł, że istnieje. A on chciał istnieć za wszelką cenę, nawet za cenę swojego życia.

- Co o tym myślisz? – spytał Chrowski.

- Sprowadzają dziewczyny z Rosji, z Ukrainy, z tych wszystkich zabiedzonych krajów posowieckich, obiecują im pracę modelek, pokojówek, opiekunek, one w to wierzą, przyjeżdżają i trafiają do domów publicznych. Zabierają im paszporty i zmuszają do pracy, jako prostytutki.

- Zaskoczyło mnie, że otworzyli burdel koło nas – zamyślił się Chrowski. – Nic nie wiedzą o tym mieście, o nas.

- Są nowi, przez nieświadomość niebezpieczni. Głodni pieniędzy, władzy. Też tacy byliśmy.

- Ile mają tych lokali?

- Jeden koło naszej knajpy i drugi gdzieś w Hucie.

- Nie chcę mieć żadnych problemów koło naszej knajpy. Tam ma panować spokój. Czasami tam jestem, czasami mnie tam nie ma, co wcale nie oznacza, że ma tam być niebezpiecznie, wręcz wrogo. Ty też tam bywasz, tam załatwiamy nasze interesy. Nie może tak być – zamyślił się Chrowski. – Ten burdel ma zniknąć z naszej ulicy.

- A ten w Hucie?

- Zaproponuj im kompromis. Zlikwidują burdel koło naszej knajpy i mają spokój. Mogą sobie prowadzić ten drugi w Hucie. Tam i tak jest wystarczające bagno. Huta to inni ludzie, inne zwyczaje.

Tych okolic, ludzi już nie da się naprawić. Oni żyją swoim życiem, niebezpiecznym życiem.

- A jak nie będą chcieli tego zrobić?

- To nie będą nic prowadzić w tym mieście. To im powiedz, stanowczo, wyraźnie, powiedz im, że jesteś u nich po raz pierwszy i ostatni. Później będą tylko konsekwencje – oczy Chrowskiego stały się groźne, niebezpieczne. – Nikt nie będzie nam zawadzał w dążeniu do celu. A cel mamy jeden, to miasto.

- To płotki – zaśmiał się Kaplica. – Chcą tylko i aż pieniędzy. Niech zarabiają, ale w ciszy i spokoju. Gdy dowiemy się, że będzie za dużo hałasu w Hucie, zniszczymy ich. To im powiem. Ale zniszczymy ich tak, że potem już nikt nowy nie pojawi się w tym mieście.

- Zrobiłeś wywiad?

- Tak – głos Kaplicy stał się słodki, tak słodki, że aż groźny. – Wysłałem tam Krępego. Skorzystał, rozmawiał z dziewczynami, oglądał tych ludzi. Sprawdziłem jednego z nich. To Ukrainiec. Ma rodzinę w małej wsi, matka jeszcze żyje, ojciec jest ciężko chory. Ma siostrę w mieście, ma dwójkę dzieci, samotna matka, mąż pił, zostawił ją. Na wschodzie wszyscy piją. Taki naród, takie czasy.

- Co zamierzasz mu powiedzieć?

- To co wiem, to co go może zboleć. Ma jedną słabość, miłość do rodziny.

- Każdy ma jakąś słabość.

- I ta słabość może go zniszczyć. Powiem mu, jak będzie wyglądać jego przyszłość, gdy mnie zawiedzie. Spyta, czy jest gotowy na samotność, ale taką samotność, która tak boli, że chcemy wciąż uciekać, od siebie, od ludzi, od wspomnień. I ta samotność nigdy się nie kończy. Nie jest sztuką zranić kogoś tak, że zaboli, prawdziwą sztuką jest zranić kogoś tak, że ta rana jest w nas ciągle, nieustannie, aż do śmierci. A śmierć nie nadchodzi, nie może nadejść. Nawet w snach. Niebezpieczni mężczyźni, źli mężczyźni przeważnie żyją długo. I to długo może go niszczyć powoli, po trochu, małymi krokami, aż w końcu zauważy, że on z kiedyś tak bardzo się różni od tego kogoś z teraz. I tak naprawdę nie ma już nic tego kogoś z kiedyś, oprócz wspomnień, złych wspomnień. I nie ma już tak naprawdę do czego wracać. Do kogo wracać, to będzie słowo kluczowe w tej rozmowie.

- Jesteś bardziej niebezpieczny niż ja – z uznaniem powiedział Chrowski.

- Jestem taki jak ty, tylko z większą domieszką ciemności w duszy.

- Obaj mamy ciemność w sobie i dlatego tak mocno szukamy jasności w świecie.

Noc była dobra, sen ciepły, spokojny, mający w sobie jakieś nasycenie dobra. Żaden niepokój nie pojawił się w niej aż do rana. Iwona bała się małych, prawie niezauważalnych gołym okiem, bardziej myślą niż okiem, niepokojów, które pojawiały się w niej zniebacznie. Pojawiały się i znikwały. Niby nic, a jednak ich zapach i ślad gdzieś w niej głęboko zostawał. A potem nie mogła tego z siebie zeskrobać, ani uśmiechem, ani dobrem, ani zabawą aż do rana, aż do zatracenia.

Przebudzenie było jasne, ciche, prawie zastygłe. Iwona wstała miękko, niczym ptak ubrała się w locie i poszła do kuchni. Kawa słodka, drożdżówka, ten zapach, zapach szczęścia w niej, szczęścia poza nią, radio w tle, muzyka która bardziej pomaga niż niszczy, i pierwszy uśmiech na twarzy, taki uśmiech który nie znika z człowieka przez cały dzień. Jest z nim aż do końca, aż do pierwszych oznak nocy.

Iwona wyszła na miasto. Tak bez celu, bez żadnych nacisków na muszę, chcę, pragnę. Jedyne co pragnęła dzisiaj to iść tak bez celu przed siebie.

Zauważyła go nad Wisłą, tuż przy Wawelu, pod mostem przy Rondzie Grunwaldzkim. Stał, grał na gitarze i śpiewał. Ludzie zatrzymywali się, chwilę go słuchali i szli dalej. Niekiedy coś wrzucali do małego niebieskiego pudełka.

A on oczy miał zamknięte, jakby spał, jakby był gdzieś daleko – wolny, bezpieczny, niezauważalny. Tylko jego usta wyrzucały z siebie melodię, a ręce, delikatne dłonie zmieniały akordy, chwytły, napinały się, rozluźniały i cicho zapraszały do jego świata, do planety, na której tymczasowo przebywał.

Iwona zatrzymała się, słuchała, знаła te melodie, z radia, z telewizji, z teledysków.

Mężczyzna przestał grać. Usiadł na betonowym słupku, tuż przy Wiśle. Podeszła do niego.

- Iwona – podała mu rękę.

- Rysiek – uśmiechnął się do niej mężczyzna.

Teraz uważniej mu się przyjrzała. Niebieskie oczy, krótkie, prawie krucze włosy, dżinsowa koszula, czarna, lekko wytarta na łokciach, dżinsy czarne, meksykańskie kowbojki. Obok niego leżał skórzany, zniszczony plecak.

- Skąd jesteś? – spytała.

- Teraz już znikąd. Kiedyś urodziłem się nad morzem, mieszkalem tam długi czas, na tyle długi, że zrozumiałem, że jestem jak wiatr i mogę mieszkać tam gdzie chcę, mogę mieszkać tam, gdzie oczy mnie poniosą.

- I wyjechałeś?

- Wyjechałem, uciekłem, a może musiałem uciec. Coś mnie ciągnęło do świata, do ludzi, do innych ulic, krajobrazów, do obcych twarzy.

Iwona usiadła tuż koło niego, na słupku obok. Patrzyła się na niego uważnie. Miał coś w sobie, miał coś, czego ona nie miała i nigdy nie będzie mieć – wolność. I ta wolność nie była na pokaz, była jego, tylko jego, nikogo nie raniła, nikogo nie krzywdziła.

- Graniem zarabiasz na życie?

- Lubię grać, granie sprawia, że mogę inaczej żyć. Żyć tak jak chcę. Gitara to mój przyjaciel, gitara to mój opiekun. Gdy jest obok mnie, wiem, że nigdy nie zginę. Nawet gdy będę daleko, nawet gdy będę daleko od siebie.

- Gdzie grałeś ostatnio?

- W Paryżu nad Sekwaną. Tam ludzie kochają artystów, muzyków. I te statki w nocy, to szaleństwo w oczach ludzi, i te namiętności. Paryż to jedna wielka namiętność schowana w nocy, pośród gwiazd.

- Gdzie śpisz?

- Wynajmuję małe pokoje w hotelach. Zwiedzam miasta, gram na ulicach, często pod mostami. Tam zawsze jest dobra akustyka. Gdy czuję się znużony, wsiadam do pociągu i jadę dalej. Tak bez celu. Zatrzymuję się, gdy chcę się zatrzymać. Wyjeżdżam, gdy chcę wy-

jechać. Kiedyś w końcu zatrzymam się gdzieś na stałe. Ale jeszcze nie teraz.

- Czego szukasz w muzyce? W ludziach?

- Chcę dotrzeć poprzez muzykę do małego chłopca, który jeszcze we mnie drzemie. Czuję go w sobie. Jest w środku, mały, załęczniony, samotny. Czasami, tak bardzo czuję samotność tego chłopca. I nie mogę mu pomóc. Jeszcze jestem za słaby. Kiedyś pomogę mu się obudzić. Wyzwolę go. Ale wiem, że on wciąż tam jest, czeka na mnie. I to czekanie jest najpiękniejsze. Czekanie na wolność, czekanie na siebie.

- Niektórzy ludzie boją się siebie. Wolą uciekać od siebie, niż na siebie czekać.

- Boją się tego co mają w sobie. Boją się swojego strachu, niepewności, bólu, niezaleczonego lęku, więc wolą uciekać. Tak jest łatwiej.

- Nieświadomie czujemy większy strach przed sobą, niż przed innymi.

- I to jest śmieszne. Bardziej boimy się siebie niż innych – Rysiek wstał, popatrzył się na Wawel. – Kraków to piękne miasto, zostanę tu przez jakiś czas.

- Mogę ci pokazać ciekawe miejsca, jeśli chcesz?

- Jeśli masz czas, to chętnie skorzystam. Tak naprawdę to ciekawią się tylko ludzie, nie miejsca.

- Masz jakiś telefon?

- Nie mam nic, co może łączyć mnie ze światem. Nie chcę być uzależniony od świata, od miejsc. Nie mam telefonu, adresu, internetu, konta. Nie mam nic i to nic mnie zadowala.

- Zazdroszczę ci. Trzeba mieć dużo odwagi, żeby być wolnym w tym świecie.

- Dużo strachu – dodał Rysiek. – Trzeba mieć także dużo strachu, strachu przed sobą, żeby mieć siłę uciekać w nieznane.

Poszli w kierunku Kazimierza. Przez chwilę nic nie mówili. Szli w milczeniu wzdłuż Wisły. A tam barki, na nich ludzie, kwiaty, a tam małe statki, a w nich twarze, krzyki, a tam mury, które coraz mocniej dociskały ich do siebie.

Ulicą Świętego Wawrzyńca weszli w ulicę Wąską, minęli ulicę Józefa, skręcili po kilkunastu metrach w ulicę Ciemną. Rysiek pa-

trzył się na kamienice, na duże rozłożyste okna, na ciemne dachy. Jego oczy były przygaszone, lekko zamyśłone.

- To tutaj – rzekła Iwona. – To ten ogródek.

Na wprost nich ukazała się mała przytulna kafejka. Czerwony mur kamienicy, z cegieł, z jednej strony, na nim winorośl, kwiaty, zapach nadziei, kilka stolików ze świeczkami, teraz martwymi, w końcu dzień, w końcu słońce, w końcu radość i muzyka, cicha, a jednak głęboka, przenikająca człowieka.

Usiedli tuż przy wejściu. On zamówił sobie piwo, ona różowe wino.

- Jak ci się tutaj podoba? – spytała Iwona.

- Tutaj, w tym miejscu jest jak we Francji, w Paryżu.

- Lubię tu przychodzić. Niby Kazimierz, niby miasto, niby ruch na ulicach, a w tym miejscu czas stoi, zatrzymał się na chwilę i czeka. Na co? Któż to wie? Może na nas.

Rysiek popatrzył się w niebo, potem na twarze ludzi obok.

- Każde miejsce ma inny smak, inny zapach. To miejsce ma zapach łąki, kwiatów, żywych kolorów skupionych na tej łące.

Z oddali usłyszeli dziwny hałas. Jakby ktoś stukał kołatką po bruku. Zza zaułku wybiegł koń. Czarny, z dużą grzywą. Na zakręcie jego kopyta poślizgnęły się, ale złapał równowagę i pogalopował dalej. Ludzie uciekali na boki, przytulali się mocniej do ścian kamienic.

- Co to było? – spytał Rysiek.

- Koń uciekł woźnicy – uśmiechnęła się Iwona. – Nie tylko ludzie uciekają z niewoli. Nie tylko ludzie uciekają bez zastanowienia przed siebie.

- Kiedyś byłem w górach. Zakopane, droga do Doliny Strążyńskiej, dużo domów w stylu góralskim i nagle, tak znienacka też biegł koń. To szaleństwo w oczach, ta pewność, że wie gdzie pędzi. I chyba wiedział. Stanowczo skręcił w prawo, jakby tylko ta strona była dla niego ważna. Najbardziej urzekło mnie w nim to szaleństwo. Szaleństwo wymieszane z odwagą.

- Lubisz góry?

- Tak. Często tam bywam. Wracam tam, gdy chcę, gdy mogę.

- Opowiedz mi coś o górach.

- O górach – zamyślił się Rysiek. – Opowiem ci coś, co jest prawdą, a nie wydaje się prawdą.

- Wiele rzeczy jest prawdziwych, choć z oddali wydają się mało realne.

- Kilka lat temu szedłem Doliną Kościeliską. Pogoda była dobra, kilka chmur, słońce tuż nad nimi. Skręciłem w lewo, tuż przy mostku, na Czerwone Wierchy. Dobra trasa, mało ludzi. Kilka godzin spokoju. Zanurzyłem się w las. I wyżej, coraz wyżej, w kierunku Ciemniaka. Nagle zaczęło się robić zimno. Pogoda się zmieniła. Zostałem sam we mgle. Widoczność kilka metrów do przodu. Zaczęło siąpić, lekki deszcz, ale taki przenikliwy, zimny. Zgubiłem się. Zszedłem ze szlaku. Starłem się iść, nie stawać, choćby na chwilę. Było zimno, i ten wiatr, taki chłodny, taki przenikliwy. Byłem zmęczony, w końcu usiadłem na dużym głazie. Gdzie ja jestem, pomyślałem. W końcu mgła opadnie, po szczytach się zorientuję.

- Nie bałeś się?

- Nie. Kocham góry. Góry kochają mnie. Wiem, że mnie nie zdradzą, nie zabiją. Góry kochają ludzi odważnych. Tych, którzy nie noszą strachu w sobie.

- Co zrobiłeś?

- Siedziałem. Byłem zmęczony. Zjadłem kanapkę, coś na siłę wypilem. Było zimno, wciąż mglisto. Nagle zobaczyłem światło. Poszedłem w jego kierunku.

- Światło w ciemności?

- Światło. Ale takie dziwne. Niczym lunatyk szedłem w jego kierunku. Wszedłem do jaskini i wciąż widziałem to światło. Coś mnie do niego ciągnęło. Szedłem długim, wąskim korytarzem. Korytarz opadał powoli na dół. Jeden zakręt, drugi zakręt. I wtedy w oddali zobaczyłem coś dziwnego.

- Co? – Iwona się mocniej ożywiła.

- Jakaś sala, ludzie przy stole, wszyscy przeniknięci przez to światło, na stole dzbany z winem, jakieś jedzenie, chyba mięso i twarze wypełnione cichym blaskiem. Widziałem te twarze, oprócz jednej, odwróconej do mnie plecami. Na środku stołu siedział ktoś, kogo znałem z obrazów w kościołach. Coś mówił do tych ludzi. Oni słuchali. Mieli taki spokój w sobie, gdy patrzyli się na tego mężczyznę.

- Podeszedłeś bliżej?

- Nie. Stałem w oddali, i tylko się patrzyłem. Byłem nieruchomy, prawie skamieniały ze zdumienia. I nagle ten mężczyzna na mnie spojrzał. Poczułem ciepło w sobie. I zobaczyłem w tym świetle wszystkie swoje grzechy, wszystkie swoje słabości i lęki. I poczułem się dobrze i poczułem się szczęśliwy. I gdy to szczęście powoli ze mnie uciekało, mężczyzna odwrócił wzrok w kierunku ludzi przy stole. I wtedy – głos Ryśka się złamał, skurczył na chwilę – postać odwrócona do mnie tyłem, odwróciła się powoli.

- I? – zaciekała się Iwona.

- To byłem ja. To była moja twarz. Ale jakaś inna, odległa, obca. Poczułem strach, taki strach, który przeraża, lecz nie zabija. Zacząłem uciekać. Światło mnie goniło, ale gdy wybiegłem z jaskini znikło, rozplynęło się w jasności dnia. W górach znów była ładna pogoda. Zaledwie kilka chmur i jasne, przenikliwe słońce.

- Jak to można wytłumaczyć?

- Niekiedy nic nie można wytłumaczyć. Niekiedy nic nie można zrozumieć. Pewne rzeczy po prostu są, pojawiają się w naszym życiu, a potem znikają. I pozostaje tylko po nich jakiś ślad, jakieś wspomnienie.

- Dziwne – zamyśliła się Iwona.

- Dziwne, lecz prawdziwe – Rysiek powoli sięgnął po szklankę z piwem. Potem już tylko milczał. Potem już tylko patrzył się przed siebie.

- Które to piętro? – spytał Rysiek, a jego kroki, trochę rozchwiane, trochę zakłopotane wykonywały coraz wolniejsze posunięcia do przodu.

- Ostatnie – szeptem powiedziała Iwona, i ten szept ją w sobie zdziwił, nawet bardziej zaskoczył niż zdziwił, może dlatego, że zza zamkniętych drzwi dochodziły dźwięki różnych instrumentów, na każdym piętrze inne.

Pierwsze piętro, skrzypce, ich dźwięk, trochę przenikliwy, trochę krzykliwy, z namiastką i barwą rozpacz. Poszli wyżej. Drugie piętro, kilka trąbek, niczym szarża kawaleryjska uciekały spod drzwi na korytarz. Trzecie piętro, kontrabas. Kontrabas stateczny, wzniosły, dumny. I kolejne piętro, kolejne schody do góry, kolejne nierówne

bicie serca w środku – fortepian. Jego dźwięk, natura, subtelność, jego ucieczka w coś nieznanego, w coś delikatnego i czułego, w coś, czego nie można nazwać słowami, raczej można określić duszą – duszą, która więcej widzi, więcej czuje.

Iwona się zamyśliła. Uciekła do wielkich sal koncertowych, do teatrów, filharmonii, do oper, takich oper, których nazwy aż dech zapierają. I te miasta, włoskie, hiszpańskie, francuskie i ta publiczność, w garniturach, w czarnych sukienkach, w krawatach, i te dźwięki widoczne na tych ubraniach, bardziej widoczne na ubraniach niż na twarzach, niż w łzach cicho spływających po policzkach. I pośród tych dźwięków ona, Iwona Zakrzewska, znana w tych salach, podziwiana w tych salach. I te bankiety, tuż po koncertach, te znane twarze, teraz rozluźnione, odprężone, jednak pełne władzy, która teraz na chwilę od nich uciekła, zamarła na jakiś czas w nich, lecz z pewnością nie bezpowrotnie. Ona wróci, ale później, w innym czasie, w innej scenerii życia.

Iwona – te westchnięcia ukradkowe w tej pięknej scenerii, Iwona – te palce grające tak delikatnie jakby płakały, rozczulały się nad tym co niewidzialne, nad tym co nieokreślone, Iwona – orędowniczka polskości poprzez talent, poprzez promocję tego co w Polsce jest najpiękniejsze, Iwona – i te dźwięki uciekające spod jej palców, dźwięki Chopina, Szymanowskiego, Pendereckiego.

- Jesteśmy na szczycie – Rysiek rozmazał słowami jej ucieczkę w nieznane, ucieczkę do tego co mogłoby być, gdyby czegoś więcej szukała w sobie, czegoś więcej oczekiwała od siebie.

Weszli na taras. Zamarli. Iwona zawsze zamierała w tym miejscu, zawsze nieoczekiwanie dla siebie samej. On zamarł po raz pierwszy i ten pierwszy raz oczarował go, zaskoczył go, zadziwił go.

- Jak tu pięknie.

- To szkoła muzyczna. Myślę, że warto było tu wejść pomimo wysiłku, żeby to zobaczyć.

Usiedli pośród dachów, kominów, szczytów kamienic, wież kościołów przy stoliku. Zamówili coś słodkiego, ona deser, on koktajl truskawkowy i ciastko.

- Całe miasto u naszych stóp – rzekł Rysiek.

- Ludzie tacy mali na dole, tacy nieistotni. Prawie bezdźwięczni.

- Nie ma w nich hałasu, zgiełku jakby coś wyłączyło z nich gniew, nienawiść, rozpacz.

- Zazdrość. Cieszę się, że coś wyłączyło w nich zazdrość. Najbardziej nie lubię u ludzi zazdrości i – zamyśliła się Iwona – nienawiści. Nienawiści do wszystkiego wokół, nienawiści do siebie, że zazdrość można pokonać tylko pogardą.

Rysiek patrzył się na słońce odbijające się w czerwonych dachach kamienic. W oddali widział Wawel, jego mury, jego majestat. Blżej był Kościół Mariacki i rynek, ale rynek było widać najmniej.

- Opowiedz coś o sobie – poprosiła Iwona.

- Co cię ciekawi?

- Opowiedz coś, co mnie zaskoczy, czego nie będę potrafiła sobie niczym wytłumaczyć.

- Kiedyś, kilka lat temu, płynąłem z Francji do Anglii statkiem, bardziej promem niż statkiem. Dużo ludzi, samochody poustawiane równo tuż przy sobie, niczym bracia, niczym rodzina. Wszystko ocierało się o siebie, iskrzyło – samochody, ludzie, emocje. Stałem oparty o barierkę, patrzyłem się jak ład oddala się, znika. I to znikanie miało w sobie jakąś prawdę, nadzieję. Poprzez znikanie zrozumiałem, że można mieć nadzieję, gdy stajemy się coraz mniej widzialni dla innych.

- Nigdy nie płynęłam statkiem – Iwona w głosie miała jakiś żal, jakąś rysę. – Muszę to kiedyś naprawić w sobie.

- Pojawiła się mgła, ale taka mgła, gdy świat nagle staje się niewidzialny. Morze zaczęło żyć własnym życiem poprzez tę mgłę. Wiatr zaczął się wzmacniać, ludzie pouciekali pod pokład, do swoich kajut. Wszystko drżało, żyło nie tak jak żyć powinno. Trzęsły się szyby samochodów, trzęsły się liny na pokładzie, trzęsły się barierki, trzęśli się ludzie. Było to widać najbardziej w ich oczach, w ich strachu. A ja stałem, jakby mnie coś zamroziło. I te fale, coraz większe, i te fale, coraz bardziej niebezpieczne, dotykające stali z taką pogardą. I nagle, wśród tej ciemności, pojawił się jasny punkt. Leciał z oddali, z nieba. Przeciął mgłę na pół, przedarł się przez chmury i zmienił się w piorun. Uderzył w morze, tuż koło statku. Morze się rozstąpiło, fale uniosły się do góry na kilkaset metrów, zaczęły kręcić się wokół siebie, tańczyły ze sobą nawzajem.

- A ty stałeś tuż przy barierce?

- Stałem i patrzyłem się na to wszystko ze strachem. I wtedy zobaczyłem coś dziwnego.

- Co?

- Wśród tych fal, które wirowały nad morzem, wśród tego hałasu, zobaczyłem ryby w powietrzu, zobaczyłem inne stworzenia, które znałem tylko z ekranu telewizji.

- Ryby?

- Tak. Było ich mnóstwo, różne, kolorowe, szare, brunatne. I te kształty, takie kształty, które można zobaczyć tylko w snach, w koszmarach. I to wszystko tańczyło wraz z falami, wokół okręgu wiru, który został wytworzony przez uderzenie pioruna.

- To niemożliwe – głos Iwony był suchy, cierpki. – Takie rzeczy się nie zdarzają.

- Potem wszystko się załamało, skurczyło i fale zaczęły opadać powoli na dół, wraz z całą żyjącą tajemnicą morza. I nastąpiła ciemność, prawie mrok. Wtedy ściągnąłem gitarę z pleców i zacząłem grać.

- Na gitarze? W ciemności? Dlaczego?

- Nie wiem. Jakiś głos w moich myślach powiedział, wręcz nakazał, żebym zaczął grać. To było takie silne, intensywne, nie mogłem się temu sprzeciwić. I tak stałem, grałem wśród tej ciemności. Wiatr zelżał, chmury zaczęły się trochę rozjaśniać. Lecz wciąż było ciemno. I wtedy, wśród tej ciemności, zobaczyłem statek, nieduży, z żaglami spuszczoneymi na dół. Płynął wprost na nas. Na pokładzie statku stała kobieta w szarej szacie aż do kostek, w pasie miała czarny lniany sznurek. Gdy statek nas prawie uderzył, gdy był już tuż przed nami, usłyszałem głos tej kobiety w sobie.

- Co ci powiedziała?

- Uważaj, dokąd zmierzasz. Potem statek nas przeciął na pół, przepłynął przez nas niczym duch i zniknął z drugiej strony. A kobieta tylko stała i patrzyła się na mnie. Czułem taką dobroć, gdy się na mnie patrzyła. I to ciepło z jej oczu, to ciepło bijące z jej myśli, które przez chwilę były we mnie, a potem znikły wraz z tym statkiem.

- To było jakieś złudzenie?

- Nie wiem. Wiem, że nasz statek był cały, wiem, że to co usłyszałem było ważne, wiem, że wciąż grałem na gitarze, byłem sam na

pokładzie i też wiem, że muzyka, jej dźwięk, zaczęła rozrzedzać niebo, dała sygnał jasności, która po chwili się pojawiła.

- Dopłynęliście szczęśliwie do brzegu?

- Tak. Potem już tylko świeciło słońce, ale mrok, który widziałem, przez wiele dni nie dawał mi spokoju.

- Znałeś twarz tej kobiety?

- Była znajoma. Taka bliska, a jednak daleka.

- Podróże to wyzwanie, zarówno dla ciała, jak i dla duszy – stwierdziła Iwona.

- Schodzimy na dół? – spytał Rysiek. – Wysokość też czasami człowieka męczy.

Zeszli schodami na dół. Zza zamkniętych drzwi, na poszczególnych piętrach, muzyka odbijała się od ścian. Drapała chropowate kolory.

Skręcili w lewo, potem znów w lewo i byli już na małym rynku.

- Chcesz zobaczyć jak dawniej ludzie mieszkali? Chcesz zobaczyć miejsce, gdzie czas zatrzymał się na zawsze?

- Chcę zobaczyć to miejsce poprzez twoje oczy.

Weszli do Kamienicy Hipolitów. Brama, metalowa, skrzypiące schody i czas zastygły, unieruchomiony przez ludzi.

- Tutaj mieszkali kupcy, bogaci kupcy, kolekcjonerzy.

Jeden pokój, drugi pokój, mały, duży, salon, kolejne piętro i kolejne. Te ostatnie piętra zamknięte, niedostępne dla ludzi. A w pokojach bale drewniane na sufitach, zdobione, komody rzeźbione ręcznie z Włoch, zegary, dużo zegarów, fortepian w salonie, obrazy, małe, duże, w ramach, znanych malarzy, kominki kaflowe, zdobione ceramicznie, dywany na ścianach, perskie, ręcznie robione, rzeźby na stolikach, skrzypce, adapter i wiele rzeczy, które pachniały przeszłością, i wiele rzeczy, które pachniały dawnym życiem.

Gdy zwiedzali kolejne pokoje, pokój gościnny, pokój babci, pokój małżeński, gabinet, pokój do spania, pokój dla gości, to drewniany parkiet, drewniane deski delikatnie skrzypiały pod ich butami.

- Tak dużo tego, tak dużo tego w jednym miejscu – westchnął Rysiek.

- Lubię tutaj przychodzić, patrzę się przez okna na ulicę, na Kościół Mariacki, na ludzi na dole i wszystko tam, jest takie inne od tego wszystkiego tutaj.

- Tam, nie oznacza wcale lepiej.
- Tam, nigdy nie oznacza lepiej, przeważnie oznacza inaczej.

Zeszli na dół. Na dziedzińcu wewnątrz kamienicy była kawiarnia. Usiedli wśród kwiatów, wśród komód ze szklankami. Zamówili lodę, puchar lodowy.

- Kiedyś, w Barcelonie poznałem bogacza, ale takiego bogacza, którego normalnie nie możesz poznać w rzeczywistym życiu.

- Jak go poznałeś?

- Stał oparty o mur, prawą ręką podpierał się o jego szorstką powierzchnię. Był dobrze ubrany, ale ludzie go ignorowali. Ludzie nie zwracają uwagi na innych ludzi, jeśli tych ludzi nie potrzebują.

- Podeszedłeś do niego?

- Tak. Spytałem się czy mogę pomóc. Poprosił, żebym go odprowadził do domu. Był słaby. Mało mówił. Coś mówił o tabletkach, że zapomniał je wziąć ze sobą. Weszliśmy do kamienicy, w samym centrum miasta. Ale co to była za kamienica – Rysiek się rozmarzył. – Nigdy takiej nie widziałas. To był prawie Wersal. Zaraz pojawił się lokaj, jeden, drugi, w białych koszulach, w czarnych spodniach.

- Co robiłeś?

- Czekałem na dole. Patrzyłem się oniemiały na to wszystko co mnie tam otaczało. Byłem olśniony. Duży salon, fortepian, marmur na podłogach, żyrandole, chyba ze złota, meble, jakieś paryskie, może włoskie, obrazy, na pewno oryginalne i ten blask bijący z kolorów, blask złota schowanego pomiędzy kształtami.

- I tak stałeś? Bez żadnego ruchu?

- Co miałem robić? Czekałem, aż w końcu lokaj mnie zawołał. Poszedłem na górę. A tam to samo, tylko jeszcze bardziej podkreślone przeszłością i bogactwem. Mężczyzna siedział w fotelu, wyglądał lepiej, poprosił, żebym usiadł, nalał mi whisky. Takiej whisky nigdy nie piłem i nie będę już pić. Jak smakowała – uśmiechnął się Rysiek. – Jak ona mi smakowała.

- Kto to był?

- Hiszpan, bogaty Hiszpan, z bogatej rodziny. Jego przodkowie finansowali wyprawę Kolumba. Jego przodkowie pracowali dla królów.

- Co robił sam na ulicy?

- Kochał to miasto. Lubił czasami sam spacerować pośród murów, pośród miejsc, które tak wiele dla niego znaczyły. Każde miejsce to jakieś wspomnienie, gdy się żyje zbyt długo na tym świecie, tak mówił.

- Czym się zajmował?

- Bogaci ludzie zajmują się niczym. Ważnymi rzeczami zajmują się za nich inni. On miał kamienice, jakieś posiadłości w innych miastach i hotel, bardzo drogi hotel przy plaży, taki hotel, gdzie bywali ludzie tacy jak on, ludzie znani, z kina, z polityki, z pierwszych stron gazet.

- Miał rodzinę?

- Był sam, sam jak palec. To niewiarygodne. Miał tyle kobiet, a został sam. Nie miał dzieci, nie miał potomków, nie wiedział jak urządzić sobie końcówkę życia.

- Pieniądze dają wolność, jednak nie dają żadnej nadziei na tę wolność w przyszłości.

- Dużo widział, dużo przeżył, dużo czuł, a teraz już nic nie czuł, nic nie mógł czuć. Coś się w nim wypaliło. Zostały mu wspomnienia i ten hotel, w którym jeszcze czaiło się jakieś życie.

- Długo z nim rozmawiałeś?

- Tak. Potem widziałem go jeszcze kilka razy. Polubił mnie, bo nic od niego nie chciałem. Większość ludzi, których znał, ciągle coś od niego chciała. I to go męczyło. Dlatego unikał ludzi. Mówił „Unikam ludzi, nie dlatego że są źli, lecz dlatego, że ich dobrze znam”.

- Co z nim robiłeś?

- Pokazał mi miasto, ale nie te dla turystów. Pokazał mi kamienice, ich sekrety ukryte w środku, posiadłości jego znanych znajomych, posiadłości niedostępne dla zwykłych ludzi, ogrody jak z Paryża, ogrody pielęgnowane przez ogrodników, raz płynąłem z nim jachtem, a potem wyjechałem. Gdy dawał mi dłoń na pożegnanie, miał łzy w oczach. Powiedział „Byłeś światłem, na które nie zasłużyłem, byłeś światłem, które tak niespodziewanie pojawiło się w moim życiu”.

- Widziałeś go później?

- Nie. Kilka lat później przeczytałem w gazecie, że zmarł. Zmarł w samotności. Znaleźli go jego lokaje z książką w dłoni, ze szklanką whisky w ręce. Znaleźli go po dwóch dniach.

Siedzieli na drewnianej ławce pośród drzew, pośród roślin, których nazw nie znali, a nawet gdyby znali, to i tak nie potrafiliby ich zapamiętać.

- Tyle tu kolorów, tyle roślin, i te zapachy, te barwy, to nasyce-
nie. I ten niepokój schowany pośród tych barw, większy niepokój
niż u ludzi – powiedział, prawie westchnął Rysiek.

- Ogród botaniczny to miejsce, gdzie można uciec, gdy człowiek
czuje się zagubiony, zaplątany.

- Byłaś tu wcześniej?

- Często tu przychodzę, gdy czuję się źle, gdy czuję, że mogę
wybuchnąć. I nie wybucham, dzięki tym barwom, dzięki kwiatom,
które tu rosną.

- Jest taki duży, bardzo duży.

- Jest tutaj około pięć tysięcy różnych odmian roślin z całego
świata. Są drzewa, kwiaty, rośliny szklarniowe. Tam – Iwona wska-
zała duże drzewo tuż przed nimi – rośnie stary dąb, a tam, tuż obok
to klon.

- Ile lat ma ten dąb?

- Ponad dwieście, tak słyszałam. Chodźmy do szklarni – Iwona
wstała, ruszyła czerwoną, pełną małych kamyków alejką.

Szli przednią częścią ogrodu, minęli kwitnące rododendrony, na
końcu, zaciemnionymi alejkami doszli do szklarni. A tam palmy,
rośliny wodne. I ten zaduch, i ta temperatura, i to ich zaplątane za-
gubienie w tej temperaturze. Wyszli na zewnątrz, prawie uciekli.
Usiedli na pobliskiej ławce, tuż przy szklarni, w cieniu, pośród skal-
niaków, przy oczku wodnym, pośród roślin górskich.

Oddychali głęboko. Chciwie, łapczywie łapali każdy podmuch
ciepłego powietrza.

- Nie mógłbym żyć w takim klimacie – powiedział Rysiek.

- Ludzie wszędzie żyją, wszędzie chcą żyć, gdy są szczęśliwi.

Chwilę milczeli, i to milczenie, to zawieszenie ich myśli na kilka
sekund jakoś ich uspokoiło, wyciszyło.

- Nie powiedziałem ci całej prawdy o sobie – cicho rzekł Rysiek.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Nie lubię mówić o sobie obcym ludziom. A ty – Rysiek się zawahał – a ty – powtórzył – już nie jesteś dla mnie obca. Stałaś się bliska, choć znamy się tak krótko.

- Nie liczy się czas, liczą się ludzie. Liczy się to, co ich łączy. Teraz, kiedyś, może w przyszłości.

- Wyjechałem znad morza, bo chciałem uciec. Ale wyjechałem też, bo miałem powód, bo widziałem z góry powód swojego wyjazdu.

- Z góry? – zdziwiła się Iwona.

- Tak. Z góry. Kiedyś szedłem wzdłuż piaszczystej plaży, tuż przy morzu. Minąłem ostatnie budynki miasta i szedłem dalej. W oddali statki, ich bezruch, w oddali chmury, ich połamane kształty, w oddali niebo. Wiesz – Rysiek się uśmiechnął – niebo wszędzie jest inne. Najmocniej widać to nad morzem. Patrzyłem się na mewy, na ich lot, na ich prawie niewidzialne dotykanie skrzydłami morza. Były takie wolne, takie szczęśliwe. I nagle poczułem skurcz w klatce piersiowej, i nagle poczułem ból. Straciłem przytomność.

- Przytomność?

- Obudziłem się w szpitalu. Miałem szczęście. W lesie spacerowali grzybiarze. Jeden z nich był lekarzem. Reanimowali mnie aż do przyjazdu karetki. Na pół godziny serce mi stanęło. Tak twierdził ten lekarz. Dopiero w karetce zacząłem żyć na nowo.

- Umarłeś?

- Tak, umarłem. Na pół godziny. Widziałem, jak unoszę się nad plażą. Widziałem tego lekarza i jego kolegę. Widziałem jak dzwonił po karetkę, jak bardzo chciał mnie uratować. A ja unosiłem się coraz wyżej. Byłem równocześnie na dole i byłem też wysoko. Bardziej byłem wysoko, tuż przy samym niebie, niż tam na dole, na ziemi.

- Co było dalej? – oczy Iwony były rozszerzone, a jej źrenice miały kolor zniecierpliwienia.

- Tunel, tak mówią wszyscy. Może to był tunel, może autostrada światła, może wiązka jasności. Nie wiem. Wiem, że było mi dobrze. Zbyt dobrze. Jasne punkty otoczyły mnie ciasno. Nie widziałem ich twarzy, czułem jednak, że są mi bliskie, zbyt bliskie. Ciągnęły mnie do siebie, jakby chciały mnie wchłonać. Nie broniłem się. Chciałem tam zostać. Jeden okrąg, jeden punkt był najmocniej-

szy, zbliżył się do mnie, prawie mnie dotknął. I wtedy zobaczyłem swoje życie do przodu, jakie mogłoby być gdybym został na ziemi, gdybym coś w sobie zmienił.

- Co zobaczyłeś?

- Zobaczyłem jak wyjeżdżam znad morza. Zobaczyłem miasta, o których tyle słyszałem, a które nigdy bym nie zobaczył, gdybym został tam na górze, z nimi. Zobaczyłem – Rysiek się zawahał – zobaczyłem też ciebie, ten most, tuż przy Wawelu.

- To niemożliwe. Zobaczyłeś mnie?

- Tak. Ciebie też widziałem. I wtedy postanowiłem wrócić do swojego ciała. Nawet nie postanowiłem, ktoś postanowił to za mnie. Był taki moment, że chciałem znów wrócić do góry, do nich, ale byłem już zbyt blisko swojego ciała, zbyt blisko ziemi. I wtedy obudziłem się w szpitalu.

- Może to sen. Sen uśpionej na chwilę duszy.

- To nie był sen. To byłem ja, tam, gdzie kiedyś będzie każdy.

Kolorowymi alejkami wyszli na ulicę. Doszli do ulicy Lubicz. Milczeli, chcieli przejść przez pasy, na drugą stronę. Duży autobus prawie zaczął hamować, gdy nagle z boku pojawił się inny samochód i wtedy coś zatrzymało ich na chodniku. Jakiś instynkt, jakaś siła, a tak naprawdę prawa ręka Ryśka ich zatrzymała tuż przy pasach.

Autobus uderzył w samochód. Ludzie w środku zaczęli krzyczeć, powpadali wśród tych krzyków na siebie. Z białego mercedesa wyszedł mężczyzna, głowę miał zakrwawioną.

- Nie widziałem go – mówił roztrzęsionym głosem. – Nie widziałem go.

Kierowca autobusu otworzył drzwi. Ludzie w panice zaczęli wychodzić. Nikt nie ucierpiał, oprócz kilku stłuczeń i siniaków ludzie nie mieli większych obrażeń. Po chwili pojawił się korek, tuż za nimi. Po chwili pojawiła się policja, nie miała daleko, obok dworca autobusowego był posterunek. Po chwili przyjechała karetka.

Iwona drżała. Jej ciało było słabe, zmęczone, prawie bezduszne.

- Uratowałeś nas – szepnęła. – Gdyby nie twoja ręka, zginęlibyśmy na pasach. Leżelibyśmy razem, a jednak osobno.

- To też widziałem, gdy umarłem. Zapomniałem o tym, ale to wciąż we mnie było. I gdy pojawił się ten autobus, ten biały merce-

des, przypomniałem sobie ten obraz. I to nas uratowało. Wspomnienie z góry, wspomnienie stamtąd.

Poszli w kierunku dworca. Ona drżała, on wciąż myślał o tym wspomnieniu. Starał się przypomnieć sobie inne wspomnienia. Te dalsze, te lepsze, może gorsze. Ale w głowie miał pustkę. Nie wiedział, czy w ogóle były jakieś inne wspomnienia w nim, inne przysze, ważne wspomnienia. Znaczące wspomnienia.

Usiedli w parku tuż przy dworcu. Obok nich gołębie jadły okruszki chleba. Obok nich bezdomni pili alkohol na ławkach. Obok nich jakaś para całowała się namiętnie. Obok nich tętniło życie. Obok nich coś wrzało, gotowało się. Obok nich coś uciekało gdzieś daleko.

- Muszę wyjechać – stwierdził Rysiek. – Już dzisiaj.

- Dlaczego? – zdziwiła się Iwona. – Dlaczego tak nagle? Dlaczego tak niespodziewanie?

- To był znak, że muszę wyjechać. Muszę zauważać znaki, które pojawiają się gdzieś koło mnie. One mnie chronią, one się mną opiekują. Od chwili, gdy widziałem ten statek z kobietą, gdy widziałem ten piorun, te ryby w powietrzu, już nigdy nie płynąłem żadnym statkiem. Wróciłem samolotem do Francji. Muszę wyjechać – Rysiek przytulił się do Iwony. – Będzie mi ciebie brakować.

Rysiek wstał, narzucił plecak na plecy, wziął gitarę i ruszył w kierunku dworca.

Po dwóch godzinach był już w autobusie. Jechał w kierunku granicy, na południe. Potem stopem chciał dostać się do Włoch. Postanowił jechać do Rzymu, chciał zobaczyć Watykan, grób polskiego Papieża.

A Iwona w tym czasie wciąż siedziała na ławce w parku. Była zdumiona. Nie miała siły iść dalej do przodu. Ten dzień, te emocje, ten wypadek, ten człowiek. Daleki, a jednak bliski. I te łyzy w kąciakach żrenic. Łzy za kimś, kogo do końca nie poznała, kogo do końca nie mogła poznać. Nie dał jej na to czasu, nie dał jej na to szansy.

W końcu wstała, ciężkim krokiem udała się do domu.

Strych znajdował się tuż nad jej mieszkaniem. Był, istniał, czuła jego obecność tuż nad sobą, ale nigdy nie odważyła się pójść wyżej schodami, bała się pokonać tych kilka stopni i stanąć przed znisz-

czonymi drzwiami, które i tak zawsze były zamknięte, niedostępne dla obcych oczu.

Gdy bywała na tarasie, gdy piła lampkę czerwonego wina, gdy patrzyła się na gwiazdy, dostrzegała ten dach nad sobą, lekko podniszczony dach, czuła oddech dachówek, lekko popękanych, oddychała zatęchłym powietrzem cicho wydobywającym się ze szczelin strychu.

Właśnie dzisiaj, właśnie przed południem, kilka minut przed sygnałem trąbki z Wieży Mariackiej zerknęła na te schody, lekko popękane, na schody prowadzące ją na strych. Coś jej w środku powiedziało, może nawet nie powiedziało, lecz coś jej cicho szepnęło do ucha, idź tam, podejdź tam bliżej, udaj się trochę wyżej, ci co przemierzają życie wyżej, rzadko później dotykają niebezpiecznego niżej.

I podeszła, cicho, bezszelestnie do tych półotwartych drewnianych drzwi, popękanych drewnianych drzwi i weszła do środka. Nawet nie była zdziwiona, że są otwarte, nawet ją nic nie zaniepokoiło, że zapraszały ją tak łapczywie do środka.

A w środku, cóż, zarysy kształtów, zarysy cieni, wieczny niepokój.

Iwona szła powoli, zbyt powoli, jej stopy nienaturalnie wykonywały posunięcia do przodu. Gdy jej oczy ogarnęły lekki półmrok, gdy światło, lekkie jego smugi dotarły do niej zbyt natarczywie, zobaczyła dwa małe okna, które pożerały resztki słońca z nieba i na siłę wpychały je do środka.

Zobaczyła komodę, jej kilka srebrnych szuflad, jej kilka srebrnych rączek, zobaczyła szafę, drzwi otwierane z wzorami z przeszłości, zobaczyła jeden fotel z drewnianymi oparciami, kilka krzeseł zdobionych, wyrzeźbionych przez czas, może przez ludzi, zobaczyła jeden stół, duży, rozkładany, i te nogi na dole, nogi wyrzeźbione, nogi zakazane, i zobaczyła w kącie duże lustro, a w nim nienaturalne odbicie siebie samej, odbicie popękane, połamane jak jej życie, odbicie roztrzaskane przez czas, przez ludzi. Obok lustra stał duży kufer podróżny, z mosiężnymi taśmami, z metalowym zamkiem. Otworzyła go, a w nim gazety z czasów których nie mogła pamiętać, z czasów które nie mogły pamiętać jej. Wyciągnęła pierwszą gazetę, położyła papier, czcionka nie z tych czasów, czcionka

inna, niebezpieczna, mająca smak i zapach wojny. Tytuł „Wojna nadchodzi nieubłagane, pierwsza wojna”, i zdjęcia Krakowa, szare, stare, matowe, bez żadnych kolorów, bez żadnej nadziei. Zaczęła czytać litery, zdania, emocje, poczuła obawę ludzi przed czymś niebezpiecznym, przed czymś co może zmienić ich życie nieodwracalnie. Przeglądała kilka gazet pospiesznie, może zbyt szybko. Wszystkie były z czasów, gdy wojna się zbliżała, jeszcze nie nadeszła, ale było już czuć jej pierwszy oddech w powietrzu. Na dnie kufra był stary zegarek z łańcuszkiem, zerknęła na czas, zatrzymała się o godzinie 12.05 – rano, może w nocy, tego nie wiedziała, nie chciała wiedzieć. Zawsze bała się rozdzielać rzeczy z nocy z rzeczami z dnia, czuła, że nie można ich łączyć razem, nie należy ich łączyć razem, bo to zawsze źle się kończy, zawsze musi się źle skończyć.

Zamknęła kufer, spojrzała na strych uważniej. Spojrzała na jego cienie, kształty, zaciemnienie, spojrzała na jego zadumę i nostalgię, na jego lekko ukrytą niepewność.

I wtedy słońce lekko schowało się za chmurami. Resztki promieni, końcówka światła przygasła, na tylnej ścianie strychu coś się pojawiło, jakiś kształt, jakiś obraz, jakaś historia.

Iwona podeszła bliżej. Zobaczyła poprzez martwe cienie, a jednak teraz żywe, morze, jego niebezpieczną walkę z wiatrem. Zobaczyła na brzegu morza zarys mężczyzny, coś trzymał w dłoni, a obok niego, przed nim raczej niż obok, klęczał inny mężczyzna, a nad nimi krążyły, latały, zataczały kręgi dwa czarne kruki. Iwona się wzdrygnęła, już wiedziała, co to jest, już czuła, co to jest.

Zamknęła oczy, obraz zniknął. Otworzyła je powoli, niepewnie, zobaczyła, bardziej poczuła niż zobaczyła kobietę w łóżku, w szpitalu, kobietę przerażoną i gdy podeszła bliżej do niej, do jej obaw i ukrytych gdzieś głęboko lęków, przeraziła się, to była ona, to była jej twarz, jej płacz, jej złudzenia. Odskokzyła na bok, znów zamknęła oczy. Ja, w szpitalu, pomyślała, przeraziła się, poczuła drżenie swoich rąk. Otworzyła oczy powoli, bardzo powoli, z jakimś lękiem, ujrzała drogę, drzewa, pęd powietrza.

Mężczyzna na motorze, młody, w czarnej skórze i nagle zakręt, zbyt wąski, i nagle pisk opon, pisk spóźniony, pisk który zmienia

wszystko, pisk który odwraca całe dotychczasowe życie do góry nogami.

Iwona zaczęła uciekać, potknęła się o stare krzesło, złapała równowagę, wybiegła na korytarz, na schody, na piętra, które były niżej, musiały być niżej. Gdy strych już prawie miała za sobą, gdy prze-mykała z lękiem przez otwarte już prawie drzwi, kątem oka spojrza-ła za siebie.

Zobaczyła krzyże, dużo krzyży, zsuwały się na dół jeden za dru-gim. Było ich dużo, tak wiele. Przenikały się, dotykały, spadały na dół. A potem nie było już nic.

Była u siebie, w domu, zamknęła szczelnie okna. Jedna lampka wina, cisza, druga lampka, złudzenie, trzecia lampka, spokój. A po-tem obawa, że nic nie pomoże jej dzisiaj zasnąć, a potem obawa, że nic nie pomoże jej dzisiaj uciec w sny. Uciec w niepamięć.

- Uciekasz z ziemi, w głąb ziemi? – spytała Iwona. – Czy mogę kiedyś uciec z tobą w ciemność?

- Uciec, tak... – zamyślił się Wojciech. – Ale czy zniknąć, tego nie wiem.

- Musisz mnie kiedyś tam wziąć. Chcę zobaczyć, czy boję się te-go, co jest dla mnie mroczne, nieoczywiste.

- Myślisz, że ciemność cię wyzwoli?

- Nie, myślę, że ciemność mnie oczyści, sprawi, że lepiej zrozu-miem jasność wokół siebie.

- A więc kiedy?

- Co kiedy?

- Kiedy uciekamy w ciemność? – zaśmiał się Wojciech.

Obok nich przejechała dorożka. Koń był ciemny, trochę brunat-ny, czarna, węglowa grzywa lekko drgała w świetle dnia. A potem znów była jasność wokół nich, a potem wszystko ocierało się o światło, wszystko znikało w świetle dnia.

Stali przed jaskinią. Mieli na głowie kaski, na kaskach latarki, li-ny leżały u ich stóp.

- Nie boisz się? – spytał Wojciech.

- A ty, boisz się?

- Zawsze się boję. Strach sprawia, że bardziej dbam o siebie, bardziej dbam o to, co zostawiam tutaj, na górze.

- Co jest dla ciebie bardziej ważne, góra, czy dół?

- Bez dołu, bez ciemności nie potrafię już żyć, jednak bez góry byłbym niczym, bo czym jest życie gdy boimy się zajrzeć ciemności w oczy.

Zaczęli wchodzić do jaskini. Zapalili lampki na głowach. Kilkadziesiąt metrów szli do przodu, dużym, krętym korytarzem. Potem Wojciech się zatrzymał. Przygotował liny, przywiązał je do wystającego głazu, wbił kilka klamer, zabezpieczeń i powiedział:

- Ja idę pierwszy. Ty będziesz schodzić, gdy będę krzyczał, że już możesz iść na dół. Będziemy to robić etapami.

- Boję się – cicho szepnęła Iwona.

- Nie bój się. To bezpieczna jaskinia. Znam ją dobrze, nawet zbyt dobrze.

Wojciech zniknął w pionowej studni. Iwona zamarła. Serce jej biło tak mocno, zbyt mocno. Wydawało się, że może wyskoczyć z niej natychmiast, za kilka sekund. Opanuj się, pomyślała Iwona, opanuj się, sama tego chciałaś. Strach sprawia, że żyjemy, strach sprawia, że wciąż chcemy żyć. Bez strachu nie ma życia, bez życia nie ma strachu.

- Schodź na dół – głos z komina obudził ją z jakiegoś dziwnego odrętwienia.

Iwona chwyciła linę i zanurzyła się w studni. Ciemność zaczęła powoli pożerać ją całkowicie. Światło z latarki skakało po śliskich ścianach groty. Ręce jej drżały, ale robiły to co do nich należało. I niżej, i niżej, i w ciemność, i w ciemność.

Nagle poczuła bliskość Wojciecha koło siebie, ucieszyła się. Po chwili dotarł do niej jego oddech. Już była w jego ramionach.

- Jak było? – spytał Wojciech.

- Nie tak źle, nie tak dobrze – uśmiechnęła się Iwona.

Zobaczyła dużą grootę i ciąg poziomych korytarzy rozchodzących się w różnych kierunkach. I wtedy jej oddech się zatrzymał, zamarł. Ujrzała złociste stalagmity, mieniły się, iskrzyły się, błyszczały w ciemności.

- Jak tu jest pięknie – westchnęła.

- Idziemy, coś ci pokażę.

Ruszyli przed siebie. Iwona już się nie bała, strach od niej uciekł, kiedyś musiał uciec. Weszli długim korytarzem do następnej groty.

- Zobacz, tam – rzekł Wojciech.

Ujrzała jasną szatę naciekową na ścianach groty. Była jak wodospad, zatrzymany na chwilę, na kilka sekund wodospad.

- To są perły jaskiniowe, a tam heliktyty.

Oczy Iwony zamarły. Nigdy czegoś takiego nie widziała, nie mogła widzieć.

- Idziemy dalej.

Znów kolejny korytarz, ciemny, mroczny, wciągający. Zarówno ciało jak i duszę. I myśli, myśli też zanurzały się w mroku coraz intensywniej. Myśli pochłaniają mrok najmocniej, najintensywniej. Bez mroku nie ma myśli, bez myśli nie ma mroku.

Nad ich głowami przeleciały nietoperze, niemi władcy tych ciemności.

Wojciech uklęknął. Dotknął czegoś na ziemi. Iwona podeszła bliżej, zobaczyła kości. Wzdrygnęła się. Zamarła na chwilę.

- Co to jest?

- Kości niedźwiedzia. Żył tu, umarł tu. Czeka na wieczność, tu.

- Odpocznijmy – poprosiła Iwona.

Usiedli na dużym głazie. Chwilę łapali zagubione oddechy, które zawierały w sobie część powietrza z góry, tę część, która jeszcze nie została porwana przez ciemność z dołu.

- Długo chodzisz po jaskiniach?

- Tak, długo.

- Dlaczego to robisz?

- Gdy zanurzam się w ciemność jestem innym człowiekiem. Inaczej czuję, inaczej oddycham, nawet inaczej chodzę, niż tam, na górze. A potem wracam do światła, do ludzi. I wszystko jest inne, poprzez ciemność, która jeszcze jest we mnie, jeszcze ze mnie nie uciekła, nie mogła uciec.

- Schodzisz, żeby inaczej żyć, ponieważ wciąż musisz żyć na górze.

- Można to tak nazwać. Bardziej doceniam jasność, wiedząc, że czasami przebywam w ciemności.

Zaczęli jeść kanapki. Milczeli. Tylko światło z ich głów skakało po perlowej szacie naciekowej.

- Kiedyś zablądziłem w jaskini. Przestraszyłem się, że już nigdy nie wrócę na górę.

- Byłeś sam?

- Nie. Z innymi. Ale oni gdzieś zniknęli, rozmazali się w ciemności.

- Jak znalazłeś drogę powrotną?

- Zobaczyłem ptaka, zarysy perłowego ptaka. Latał nad moją głową. Szedłem za nim. A on wciąż latał nad moją głową.

- Halucynacje?

- Nie wiem co to było. Ale szedłem za nim poprzez korytarze ciemności. Minąłem jakiś strumień podziemny, potem małe granatowe jezioro i ujrzałem niebo. Wyszedłem innym otworem, niż tym, którym wszedłem.

- Dziwne to, bardzo dziwne.

- Dziwne było to, że ptak, gdy już odlatywał w ciemność, zmarł na chwilę w powietrzu. I wtedy ujrzałem twarz mojej matki. Rozpłakałem się. Moja matka zmarła dwa lata wcześniej, dokładnie w tym dniu, gdy byłem pod ziemią.

Iwona milczała, nic nie mówiła. Czasami nie potrzeba słów, nie potrzeba gestów. Liczy się sama obecność, liczy się czyjś oddech w pobliżu drugiego człowieka.

- Wracajmy – rzekł Wojciech.

Doszli do lin przy ścianie.

- Ty idziesz pierwsza, ja za tobą – rzekł Wojciech.

Zaczęli powoli wspinać się do góry. Iwona ciężko dyszała, ale wciąż szła do przodu. Na siłę, przeciw sobie, przeciw światu. Gdy ujrzała niebo, ucieszyła się.

Potem, gdy siedzieli zmęczeni na trawie, gdy ich oddechy się uspokoiły, Iwona powiedziała:

- Było warto.

- Warto robić rzeczy, których jeszcze nie znamy. One czynią nasze ciała wolnymi, one czynią nasze myśli niezwykłymi. A nas samych czynią niebezpiecznymi.

Nad ich głowami przeleciał orzeł. Jego cień jeszcze przez chwilę zamierał w resztkach słońca na niebie.

Ulica Grodzka, ulica przepełniona ciałami, ulica nasączona emocjami, ulica gdzie świat wiruje, ulica gdzie świat zamiera.

Najpierw minęli tory tramwajowe, obok nich przejechała dorożka, potem minęli kamienicę z filarami, kamienicę starą, kamienicę zadumaną, a potem skręcili w prawo, w boczną ulicę.

- To tutaj – rzekł Wojciech. – Poznasz kogoś wyjątkowego.

- Kogo? – zaciekała się Iwona.

- Mojego dziadka. To ciekawy człowiek, ciekawe miał życie, chociaż trudne.

- Jak trudne?

- Tak trudne, że o pewnych rzeczach nie można już zapomnieć, tak trudne, że o pewnych rzeczach się mówi, choć tak naprawdę nie mamy już sił, żeby o nich mówić. Ale mówimy, bo coś w środku nam podpowiada, że tak trzeba, że to mówienie może coś zmienić, a tak naprawdę wiemy, że świata nie można zmienić, że ludzi nie można zmienić.

Weszli do małej restauracji, z małym ogródkiem na zewnątrz, z małymi, jasnymi świecami na stolikach.

- Cześć, dziadku – uśmiechnął się Wojciech.

- Witaj – dziadek objął Wojciecha drżącymi rękami.

- To Iwona, moja przyjaciółka – rzekł Wojciech.

Dziadek spojrzał na Iwonę badawczo, jego wzrok miał w sobie jakąś głębię, jakąś przepaść, nad którą nie było żadnego mostu, a nawet jeśli by był, to i tak byłby zniszczony, z połamanymi deskami, z linami prawie rozszarpanymi przez czas.

- Piękna kobieta, z moim wnukiem, przyjaciółka, to dobrze nie wróży mojemu wnukowi – zaśmiał się dziadek. – Oczywiście żartuję, miło cię poznać. Stanisław.

Iwona podała mu lekko rękę, on ją objął delikatnie obiema rękami.

- Masz taką ciepłą skórę, tyle w niej życia, tyle nadziei.

Usiedli w kącie sali, tuż przy oknie. Świeca paliła się cicho, prawie niewidzialnie. Otulała ich swoim światłem, swoją żółtą barwą.

- Idź pomóc mojej córce – rzekł Stanisław do Wojciecha. – Przynieś nam wino, całą butelkę, i nie przeszkadzaj.

Przez chwilę na siebie patrzyli, przez chwilę dotykali się spojrzeniami i coś ich nagle połączyło, coś czego nie można tak łatwo określić, coś czego nie można tak łatwo zrozumieć.

- Wojciech to dobry wnuk. Pomaga mi w restauracji. On i moja córka.

- Wiem, ma w sobie jakieś ciepło.

- Tak, to prawda. Ale ma też mrok, często ucieka pod ziemię, jakby słońce już go zmęczyło, strudziło. Może to przeze mnie.

- Dlaczego?

- Zna moją historię. Zna ciemność, która się z niej wynurza. I może dlatego tak uparcie schodzi pod ziemię. Schodzi w mrok, żeby lepiej poznać zło, które w nim nieświadomie drzemie.

- Tak źle miał pan życie?

- Życie miałem dobre, jeśli nie liczyć czasu, gdy zło dotykało mnie w każdej sekundzie mojego życia.

- Ja jeszcze nie otarłam się o zło, takie zło, które człowieka zniewala.

Wojciech postawił butelkę wina na stole. Nalał im po pół lampki, potem przyniósł przekąski składające się z sera na drewnianej tacy.

- Wiesz, co to wojna? Prawdziwa wojna?

- Wiem tylko jak wygląda wojna, nie wiem co człowiek czuje, gdy musi w niej nieświadomie uczestniczyć.

- Ja ją przeżyłem, zrozumiałem, odrzuciłem. A może to ona mnie odrzuciła, tego w sumie nie wiem i nigdy się nie dowiem.

- Walczył pan?

- Na początku, potem tylko walczyłem żeby przeżyć, żeby zrozumieć dlaczego nienawiść zawsze ociera się o pogardę, żeby zrozumieć dlaczego pogarda zawsze musi ocierać się o ból.

- Był pan w obozie?

- Tak, w Oświęcimiu. To było straszne, na tyle straszne, że nie chcę o tym mówić, a wciąż o tym mówię. Czasami myślami. Sam do siebie.

- Ale pan przeżył. Tylko to się liczy.

- Widziałem tyle rzeczy, których człowiek nigdy nie powinien widzieć. Widziałem palone ciała w piecach, widziałem to co po człowieku pozostaje, gdy piec nagle się otwiera, a ty musisz to wszystko posprzątać, zakopać w ziemi. Widziałem ludzi rzucających

się na druty, żeby zapomnieć, żeby zapomnieć to, co oczy widziały już zbyt długo.

Stanisław napił się wina. Jego głos przez chwilę przestał drżeć. Stał się skamieniały, twardy.

- W obozie zrozumiałem, że zło może mieć piękne ubrania, piękne kształty. Oficerowie w pięknych mundurach kopali więźniów i tylko się śmiali, gdy ci przestawali nagle krzyczeć, bo nie mieli już siły krzyczeć. I nawet wtedy nie przestawali, musieli zbliżyć się do tego co jest w nich najgorsze, najbardziej niebezpieczne i się zbliżali. Na taką odległość, że czasami sami byli zaskoczeni, że są tak blisko siebie. Blisko siebie w środku. Czasami kazali nam stać nago na mrozie i tylko się patrzyli. Czekali. Czekali aż się poddamy i wtedy będą mogli znowu być sobą, sobą ze środka. Czasami wydawało mi się, że obóz to wieczne czekanie, żeby lepiej poznać siebie ze środka.

- To straszne, że człowiek musi zbliżyć się do zła, żeby lepiej siebie zrozumieć.

- I te eksperymenty na ludziach. Jakby to coś mogło pomóc medycynie. Oni tylko chcieli poznać granice ludzkiego bólu i wydaje mi się, że je poznali.

W restauracji zrobił się ruch. Ludzie siedzieli, coś jedli, coś do siebie mówili, dotykali się rękami, spojrzeniami, myślami. Byli ze sobą, byli koło siebie. Czasami chętni, czasami źli, przeważnie nieobecni.

- Czasami myślę, że to co przeżyłem to jeden wielki, zbyt długi film. Nie ma w nim przerw, dialogów, zawieszek. Nic nie można w tym filmie rozróżnić, ani dnia, ani nocy, ani godziny. Jest tylko akcja, cicha, bezkresna, nigdy niekończąca się akcja, akcja bez żadnej treści. Bo ból nie niesie ze sobą żadnej treści.

- Uciekł pan z obozu?

- Tak, udało mi się uciec, potem walczyłem w lesie. A po wojnie myślałem, że wciąż żyję w lesie. Że ludzie to drzewa – ciche, milczące, bezbronne drzewa.

- Ma pan restaurację, córkę, wnuka. Ma pan to, co pozwala człowiekowi zapomnieć o przeszłości, zapomnieć o bólu.

- Niektórych rzeczy nie można zapomnieć, niektórych rzeczy nie można zrozumieć. Trzeba z nimi żyć, aż do końca.

Dziadek wstał, popatrzył się Iwonie w oczy.

- Ty też widziałas zło, czuję to. Dlatego tak dobrze mnie rozumiesz. Ci, co zbliżyli się do zła zbyt blisko, są jak bracia, są jak anioły, które mają zbyt słabe skrzydła.

Dziadek udał się do kuchni, na zaplecze i już stamtąd nie wyszedł. Przed Iwoną stanął Wojciech.

- Wracamy? – spytał.

- Tak. Wracajmy.

Iwona przytuliła się do Wojciecha. Poczula chęć dotyku w sobie, taką chęć, która sprawia, że chcemy czuć zapach innego człowieka koło siebie, taką chęć, że chcemy czuć oddech innego człowieka w sobie.

Coś o nim słyszała, może w telewizji, może gdy słuchała radia, a może gdy czytała gazetę, codzienną, branżową, plotkarską, coś musiała o nim słyszeć, bo gdy usłyszała, że ma grać na Placu Szczepańskim, w nocy, pośród gwiazd i księżyca poczuła w sobie coś głębokiego, coś takiego, że czuła się inaczej, lepiej. A ona chciała czuć się inaczej, lepiej, choćby czasami, choćby przez chwilę.

Krzysztof Recki, ktoś kto grał na fortepianie tak, jak nie grają inni. Krzysztof Recki, ktoś kto grał na fortepianie, choć nigdy nie uczył się grać na fortepianie, nigdy wcześniej nie pragnął grać na fortepianie, choćby w snach, choćby w marzeniach. To było zadziwiające, lecz Iwona wiedziała, że świat czasami zadziwia ludzi, zadziwia tak, że wszystko wokół nie ma żadnego znaczenia, żadnego sensu.

Gdy stała w oknie, gdy patrzyła się na dachy kamienic, na ich czerwone, czasami czarne dachówki, przypomniawszy sobie, bardziej zrozumiała niż przypomniawszy sobie, że człowiek może robić rzeczy niemożliwe, gdy coś nagle zmienia jego życie. Zmienia nieodwracalnie.

Krzysztof Recki kilka lat temu skoczył do basenu, skoczył tak, że uderzył się w głowę. Ratownik wyciągnął go z wody nieprzytomnego. Potem karetka, szpital, kilkudniowa śpiączka. I radio w pokoju. Obudził się, gdy ktoś grał Chopina na fortepianie o 15.30. Tak, była dokładnie 15.30. Recki obudził się, uśmiechnął się, zaczął kiwać głową w rytmie sonaty fortepianowej. Potem zaczęły się kolej-

ne cuda, kolejne olśnienia w jego głowie. Gdy przechodził koło szkoły muzycznej, gdy usłyszał dźwięki uciekające przez okna w kierunku nieba, w kierunku chmur, coś go pchnęło w stronę tej szkoły. Wszedł do środka, przez chwilę stał niezdecydowany, zamyślonny, jakiś skupiony na korytarzu, skupiony bardziej w środku niż na twarzy, a potem szedł niczym lunatyk w stronę muzyki.

Pierwsze piętro skrzypce, jego twarz była obojętna, drugie piętro puzony, jego twarz była kamienna, trzecie piętro fortepian, jego oczy zaiskrzyły, obudziły się, zapłonęły.

Nagle muzyka ucichła, nieśmiało otworzył drzwi, pusta sala, nieduża, na środku czarny, piękny, duży, lśniący fortepian. Podeszedł do niego. Stał, dotknął ręką jego czarnej barwy, usiadł na krześle. Zaczął grać, choć nigdy wcześniej nie grał. Zaczął czuć, choć nigdy nic nie czuł tak naprawdę wcześniej. Jego palce poruszały się tak, jak nigdy nie powinny się poruszać. Zamknął oczy, świat wirował, życie wirowało, myśli uciekały gdzieś daleko. Uciekały tam, gdzie człowiek nie może uciec, w nieskończoność.

Gdy skończył, gdy jego palce poczuły się zmęczone, gdy oddech zaczął znów w nim zamierać, otworzył oczy.

Zobaczył mężczyznę w czarnym garniturze, płakał. Jego łzy miały zapach i smak radości. Mężczyzna podeszedł do niego, uściśnął jego dłoń.

- To było genialne – powiedział, lecz jego głos wciąż drżał, drżał jak przed chwilą drżała muzyka Reckiego. – Gdzie uczyłeś się grać?

- Nigdzie.

- Nigdzie nie określa tego, co przed chwilą zrobiłeś. Nigdzie to bunt, nigdzie to wojna wydana talentowi, gdzie odnalazłeś to nigdzie w sobie?

Krzysztof Recki tego nie wiedział, nie mógł wiedzieć. Nigdy wcześniej nie grał na fortepianie, a teraz czuł, że potrafi grać na fortepianie. Potrafi, i to jak.

Zrobił kilka badań, okazało się, że uderzenie w głowę coś w nim zmieniło. Coś zmieniło na lepsze.

Zaczął grać coraz więcej. I więcej. Profesor ze szkoły muzycznej mu pomógł. Wydał trzy płyty, trzy doskonałe płyty. Nikt tak nie grał Chopina jak on.

Japończycy go kochali. Nikt tak nie kocha Chopina jak Japończycy. Nawet Polacy nie potrafią tak pokochać samotności, nostalgii, która ukryta jest w muzyce Chopina.

Był gwiazdą, stał się gwiazdą nieświadomie. Krzysztof Recki chciał tylko grać i to go cieszyło. A płyty pojawiły się przy okazji. W jednym z wywiadów powiedział, że tworzy swoją muzykę naturalnie. Nawet on jej nie tworzy, ona tworzy jego. Pojawia się w jego głowie, a on ją tylko gra. Nie potrzebuje nut, bo nie zna nut. Wszystko pamięta. Nuty później zapisują jego pomocnicy. On gra i to mu na razie całkowicie wystarcza do życia. On gra i to jest jego życie teraz. Jego życie kiedyś. Gdyby mógł, to by wciąż grał, nie jadłby nic, nie piłby nic, tylko by nieustannie grał. Poprzez granie powolutku zbliżałby się do kresu swojego życia. I nawet gdyby umierał, też wciąż by grał, jeśli nie palcami, to myślami. I drogę do nieba, może piekła, pokonałby grając rozpaczliwie na fortepianie. I swoje grzechy przed Bogiem wypowiedziałby poprzez muzykę, poprzez melodię. I wtedy Bóg może by mu wytłumaczył, dlaczego tak żył, dlaczego tak musiał żyć.

Dzisiaj miał wystąpić na Placu Szczepańskim. Święto muzyki, festiwal muzyki, koncert za darmo, dla ludzi, przeciw ludziom, przeciw nienawiści i obojętności wobec świata, wobec cierpienia. Motto festiwalu „Muzyka łączy, nie dzieli”. I tak miało być dzisiaj, i tak miało być w nocy.

Żeby jakoś nastawić się na muzykę, żeby wyostrzyć sobie zmysły, wyostrzyć tak, że coś w nas zacznie żyć na nowo, choć wydawało się, że tego już w nas nie ma, nigdy nie było, albo było tylko w naszej wyobraźni, poszła Pod Barany.

Kręte schody, po skosie i już była przy barze. Miły barman, jego głos niosący barwę aktorską i już po chwili siedziała z lampką wina w sali obok.

Kilka stolików, na nich świeczki lekko tłące się w ciemności, jakieś komody, krzesła drewniane z oparciami cicho skrzypiącymi, skrzypiącymi tak jakby zapraszały do rozmowy z kimś bliskim, z kimś obcym, a może bliskim nieznanym, podniszczony fortepian, zdjęcia, czarno-białe obrazy wywołane ze starych aparatów, na nich ktoś znany, ktoś z telewizji, ale nazwiska, cóż, nazwiska zawsze

szybko uciekają po winie. Wszystko ucieka po winie w niepamięć. Twarze, ludzie, życie, całe wspomnienia. Zarówno te złe jak i te dobre. Jednak najbardziej ucieka po winie smutek, taki smutek który na końcu ma zapach cierpienia, cień rozpaczny.

Muzyka, cóż, muzyka Pod Baranami zawsze była inna. Pod Baranami ludzie zawsze byli inni. Nosili w sobie coś ze świata, który już nie istnieje, a może nigdy nie istniał. Taki świat łatwo jest zniszczyć, taki świat zawsze jest niszczonej przez życie, przez ludzi. Bardziej przez ludzi niż przez życie. Przez ich obojętność wobec tego, czego nie potrafią zrozumieć. I nigdy nie rozumieją.

Obok niej dwie młode modelki coś mówiły o podróżach, o zmęczeniu, o pieniądzach, o krajach, które znają z perspektywy samolotów, samochodów, autokarów.

Obok starszy pan, ze starszą panią, ubrani tak, jakby czas zatrzymał się dwadzieścia lat temu, a ich twarze rozmazane, rozjaśnione, trochę nieobecne. Byli inni, byli sobą. Byli ze sobą szczęśliwi.

Jacyś turyści, trochę przygaszeni, trochę przerażeni magią tego miejsca. Coś mówili szeptem, żeby nie zniszczyć tego, czego nie można tak naprawdę zniszczyć, ciszy.

I pośród tej ciszy ona, Iwona, kobieta z lampką wina, kobieta, która szuka takich miejsc, które mocniej docierają do jej duszy. Docierają tam, gdzie światło nie dociera i nigdy nie dotrze. A jak już dotrze, to złamane, popękane, prawie niewidoczne.

Wstała, wyszła, choć chciała zostać tam na zawsze. Są takie miejsca, z których nigdy się nie wychodzi, nie powinno się nigdy wychodzić. Niekiedy tak bywa z ludźmi. Ale rzadko, zbyt rzadko i te odejścia są zbyt bolesne, zbyt niszczące obie strony. Niszczące bezpowrotnie.

Była już noc. Ciepła, lekka, swobodna. Taka noc, która zachęca do czegoś niebezpiecznego, do czegoś, co będzie później zmieniać nasze życie krok po kroku. Będzie zmieniać nieodwracalnie.

Tum ludzi, scena tuż przy muzeum, przy samych Plantach, jeśli nie liczyć budynku muzeum, obok fontanna, kolorowa, wyskakująca co chwilę do góry, małymi, krótkimi strumieniami wody.

Na scenie fortepian, czarny, błyszczący, odbijający światło księżyca do góry.

Wszedł Krzysztof Recki, uklonił się, usiadł. Po chwili weszła kobieta ze skrzypcami, młoda, ładna, czarne włosy, czarna sukienka aż do stóp z lekkim rozcięciem z tyłu. Stała obok, uśmiechnęła się. W jej oczach było widać, że coś za chwilę się zdarzy, coś, na co większość z widzów nie jest gotowa, coś, co zmieni ich życie na wiele sposobów. Coś, co sprawi, że wrócą do domów inni, oprócz tych, którzy swoich domów szukają przez cały czas, przez całe życie. I być może nigdy nie znajdą. Niektórym dane jest tylko mieszkać w miejscach i nigdy nie znajdą tego, co daje smak i zapach domu.

Zaczęli grać, najpierw powoli, spokojnie. Muzyka unosiła się w przyciszzonej już teraz ciemności. Jakaś sonata, znana, gdzieś usłyszana, może w szkole, może w radiu, może w telewizji. Ludzie milczeli, niektórzy przymknęli oczy. Gdy człowiek przyryka oczy, to wie, że uczestniczy w czymś, co już nigdy potem do niego nie wróci. A już na pewno nie wróci w takim kształcie i zapachu jak teraz.

Iwona też zamknęła oczy. Popłynęła wraz z myślami, wraz z muzyką w nieznane. I było jej z tym dobrze i było jej z tym tak ciepło na duszy. Czuła się taka bezbronna, taka bezpieczna.

Muzyka przyspieszyła, skrzypce stały się szybsze, miały coś z cierpienia w sobie, cierpienia, które o coś walczy, musi o coś walczyć.

Kareta, cztery czarne konie, las, drzewa powyginane od wiatru, burza się zbliża, jest tuż obok, nad końmi, nad ich przerażeniem i lękiem. Ktoś trzyma bat, coś krzyczy do koni. I ten pęd, ta ucieczka donikąd i ten niepokój, niepokój skazany na wieczną ucieczkę. W środku karety mężczyzna, który nagle otwiera drzwi, prawie wisi pomiędzy tym co jest w środku, pomiędzy tym co jest na zewnątrz. Trzyma się rozpaczliwie drzwi, żeby nie wypaść. Spogląda w niebo, a tam już pierwsze błyskawice nabierają nowych kształtów. Zwierają szeregi do walki z ziemią. I te chmury, takie obce dzisiaj. Chmury, które przypominają całe życie mężczyzny w karecie. Koncerty w Paryżu, małe, duże, kochanki bogate, biedne, podróże do krajów gdzie słońce jest zbyt blisko ziemi i te przyjęcia dla możliwych tego świata, nawet nie możliwych, bogatych, i ta jedna miłość, ta jedyna, która gdzieś uciekła, mężczyzna nie wie dlaczego, ale wie, że to boli

i boleć będzie wciąż, aż do śmierci. Niektóre bóle są aż do śmierci i nigdy nie znikają. Są z nami, nie ma ich z nami. Jedna z chmur to twarz tej kobiety, to twarz jego miłości, jego pragnienia. Mężczyzna coś krzyczy, ale już rozpętała się burza. Jego krzyk teraz już nic nie znaczy, nigdy nic nie znaczył. Tylko jego muzyka coś znaczyła w jego życiu. Pozwalała mu uciekać od jedynej prawdziwej miłości jego życia. A teraz pozostał mu zgiełk, ucieczka, hałas. Burza zaczęła przenikać karetę, ciągnęła ją uparcie w stronę siebie. Konie przestały walczyć, mężczyzna przestał krzyczeć...

I wszystko było jasne i wszystko było określone przez czas, który powoli zaczął przenikać się z przeznaczeniem...

Iwona otworzyła oczy, oklaski, tłum oszalał. Czy oni czuli to, co ja? pomyślała Iwona. Czy byli tam, gdzie ja? Czy tłum może być jednością, gdy myśli uciekają tak szybko w nieznane?

Teraz spokój przeniknął Plac Szczepański. Jakaś nostalgia pojawiła się nad ich głowami. Bardziej myślami niż głowami.

Iwona spojrzała na Reckiego, był gdzieś daleko, był tam, gdzie nikt nie mógł dotrzeć oprócz niego. Oddalił się na niewidzialną, wręcz kosmiczną odległość od ludzi. Ale jego muzyka, jego palce zapraszały do gonitwy za nim, do podążania za jego cieniem, który gdzieś wysoko rysował się jeszcze w oddali.

Iwona zamknęła oczy. Znów gdzieś uciekła. Była droga, zapach tej drogi, niewidzialnej drogi, były kamienie po bokach, bardziej głązy niż kamienie, były drzewa, niektóre stare, popękane, połamane przez czas i nie było ludzi, nie było twarzy, był spokój, cisza, jakieś wiszące w powietrzu natchnienie.

Zobaczyła w oddali, na końcu drogi bunkier, metalowy bunkier z pojedynczymi otworami, prawie szparkami, które nie przenikały światła do środka. Gdy doszła do niego, zobaczyła, że bunkier stoi na skraju urwiska, a za urwiskiem było morze, spokojne, ciche, bezimienne morze. Morze bez statków, bez skał, prawie bez horyzontu, morze bezchmurne.

Zobaczyła drzwi, metalowe, z kluczem włożonym do zamka. Coś się w środku poruszyło. Coś w środku drgnęło. Przestraszyła się,

otworzyła na moment oczy. Recki grał teraz szybciej, jego palce coraz mocniej dotykały fortepianu.

Znów zamknęła oczy. Jej prawa ręka przekreśliła ze strachem klucz. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Zerknęła do środka. W środku był Czarny Anioł. Jego skrzydła, teraz lekko schowane, miały barwę węgla. Spojrzała w jego oczy. To były jej oczy, jej marzenia, jej lęki, jej pragnienia. Chciała do niego podejść, zbliżyć się, dotknąć jego duszy, ciała, może tego i tego równocześnie, i wtedy drzwi się zatrzasnęły. Zapanowała ciemność. Tylko oczy Czarnego Anioła, jej oczy, jej odbicie w jego odbiciu, jej spojrzenie w jego spojrzeniu. I czas, tak mocno poczuła swój czas, jego czas tuż koło siebie.

I nagle przyszedł wiatr, który zaczął odbijać się od metalowego bunkra. Wiatr stworzył hałas, hałas stworzył niepokój, niepokój stworzył gniew. Gniew u Czarnego Anioła. Czarny Anioł zaczął szukać ucieczki z niewoli, tej niewoli, która przez czas, przez życie zmusiła go do pozostania w tym miejscu, nie jego miejscu.

Anioł się szarpał, miotał, jego pióra, skrzydła wykonywały jakieś dziwne okręgi.

Iwona skuliła się w kącie, patrzyła się tylko w jego oczy. Oczy bezbronne, oczy przyprószone przez czas, przez lęki, przez wieczny niepokój, przez nigdy niekończącą się ucieczkę. To były jej oczy. Ten Anioł to ona, ona schowana przez niezaleczone lęki w tym metalowym bunkrze na odludziu.

Otworzyła drzwi swoim gniewem.

- Uciekaj! – krzyknęła do niego. – Uciekaj tam, gdzie nikt cię nie dogoni! Gdzie ludzie są inni, świat jest inny, smutek ma inny smak i zapach! Uciekaj!

Anioł, Czarny Anioł poleciał do góry w kierunku chmur, w kierunku wiatru.

- Wracaj! – nagle krzyknęła Iwona. – Wracaj! Nie ma takich miejsc, nie ma ludzi do których musisz wrócić, jestem tylko ja! Tylko ja mogę się tobą dobrze zaopiekować!

Iwona stała tuż koło metalowego bunkra. Patrzyła się w niebo. Czarny Anioł zniknął, a wraz z nim zniknęła jakaś jej część w oddali.

Zaczęła płakać. Łzy nieświadomie uciekały z jej oczu. Były jak małe kropelki rosy nad ranem. Budziły, oczyszczały, dawały nadzieję.

- Coś się pani stało? – usłyszała głos, głos ciepły, przyjazny, troskliwy.

Otworzyła oczy. Mężczyzna, młody mężczyzna który miał troskę w oczach.

- Pani płacze, to przez muzykę, przez los, może przez wiatr, który dzisiaj jest inny, bardziej mroczny, hałaśliwy?

- Płaczę przez siebie, do siebie, płaczę za tym co było, a już tego nigdy nie będzie, płaczę za rzeczami, których już nigdy nie zdobędę, a najbardziej płaczę za sobą, że nie mam wystarczająco dużo odwagi żeby iść tam gdzie chcę iść, a nie tam, gdzie muszę iść.

Mężczyzna spojrzał na nią czujnie.

- To, że błądzimy, wcale nie oznacza, że nigdzie nie dojdziemy. Tylko kierunek jest wtedy bardziej rozmyśniony, bardziej nieokreślony niż zazwyczaj.

I wtedy Iwona zobaczyła biały kołnierzyk na jego szyi. I wtedy Iwona zobaczyła, że ma czarną koszulę, czarne z materiału spodnie.

- Dziękuję – szepnęła. – Ta muzyka, ta noc, to wszystko co określa duszę w nocy, i te emocje, to wszystko, to nic, sprawiło, że chcę od dzisiaj żyć inaczej, muszę od dzisiaj żyć inaczej.

- Powodzenia – uśmiechnął się mężczyzna. – Każdy moment jest dobry, żeby coś zmienić w sobie, żeby coś zmienić w innych.

Koncert się skończył. Oklaski, entuzjazm, odwieczny zgłębienie tłumu, gdy coś określi go mocniej niż zazwyczaj.

Kocham to miasto, ale czasami czuję, że muszę z niego wyjechać. Uciec, tak po prostu uciec. Wynieść się na jakąś odległość od niego. Przeważnie tego nie robię. Nie uciekam, nie wsiadam do pociągu nad morze, nie jadę autobusem w góry. Jednak sama myśl, że nienawidzę tego miasta, mnie jakoś pochłania, można powiedzieć rozpieszcza w nienawiści.

Teraz też chciałam uciec, wyjechać, zanurzyć się w niepewność. Ale weszłam do knajpki, do pubu tuż przy rynku, tuż przy Plantach i usiadłam przy barze. Rozmarzyłam się. Uciekłam przez chwilę od siebie. Zamówiłam zimne piwo.

Dobra muzyka, jazzowa, dobrzy, obojętni, obcy ludzie przy barze, dobre światło, złamane, światło, które nie niszczy, światło, które pomaga, przez chwilę, na kilka sekund.

Barmanka Gabriela, tak na nią mówili, może tak miała na imię, tego nie wiedziałam, ale tak na nią wołali. Opowiadała wszystkim swoje sny, tak dobrze je pamiętała rano. Większość ludzi nie pamięta swoich snów, ona je pamiętała. Zapisywała je rano na żółtych kartkach i potem, gdy uzbierało się ich kilka, brała je do pubu i wieszła na ścianie na wprost baru. Ludzie je czytali, marzyli, pytali się o szczegóły.

Jej sny były piękne, odległe, nieświadome. Nieświadome dla większości ludzi. Ludzie ją słuchali, wierzyli jej. Ktoś kiedyś powiedział „Jesteś Aniołem”, nie zaprzeczyła. Może była Aniołem, wtedy pomyślałam, i tylko czasami przebywała z nami tutaj. Może my byliśmy tylko jej snem, a to co prawdziwe było w tamtym świecie. I ona tylko czasami tutaj przebywała, żeby być z nami, żeby zrozumieć, że kiedyś się obudzi i my znikniemy, rozplyniemy się niczym mgła.

Jej słowa, obrazy tych słów to była jakaś baśń. Tam, gdzieś daleko był lepszy świat, ludzie byli lepsi, emocje były lepsze. Pragnienia też. Tam, coś co było niezrozumiałe tutaj, wiele znaczyło, tutaj przeważnie ważne rzeczy nic nie znaczyły.

Gabriela pływała w snach, nurkowała w snach, a my, przy barze, nurkowaliśmy wraz z nią.

Gdy miałam wyjechać z tego miasta, gdy miałam już prawie uciec, ona do mnie przemówiła i wtedy zrozumiałam, że ucieczka nie ma sensu. Nigdy nie miała żadnego sensu.

„Nie ucieka się od ważnych miejsc, bo potem, po czasie możemy ich nigdy nie znaleźć ponownie. Będą daleko, zbyt daleko od naszych marzeń i pragnień”.

I zostałam, choć chciałam tak bardzo wyjechać, natychmiast.

Przyśnił jej się pokój, duży pokój, duże meble, krzesła, ogromne szafy. A ona była taka mała, niewinna, niewspółmierna do wymiarów tego pokoju. Błądziła pomiędzy meblami, chciała coś zjeść, talerze były na stole, za wysoko, nie mogła ich dosięgnąć. Zaczęła płakać. Myślała, że płacz jej pomoże. I wtedy zza okna wyszło świa-

tło. Coś posadziło ją przy stole. Jadła i jadła. Wszystko było świeże, dobre. Czuła się szczęśliwa wśród tych ogromnych przedmiotów. I wtedy zrozumiała, że coś małego może być szczęśliwe w dużym świecie, w zbyt dużym świecie, że małość, że rozmiar nie oznacza czegoś gorszego. Że małe rzeczy mogą zmienić świat, jeśli tego naprawdę chcą, jeśli tego naprawdę potrzebują.

I wtedy Gabriela się obudziła. Obudziła wtedy, gdy postanowiła zmieniać świat pomimo swojego rozmiaru.

I nie wyjechałam. Postanowiłam jak Gabriela zmieniać świat, zmieniać go na tyle, żeby było mi dobrze z ludźmi, dobrze samej ze sobą.

Kilka piw i Iwona wróciła do siebie. Kolorowe ulice, pijane ulice, powykrzywiane latarnie, złamane przez noc na pół. I to łóżko, krzywe, złamane na dwie nierówne części. I pościel jak morze, i poduszka jak piasek na pustyni. I sen ciepły, krótki, bezpieczny. I sen szybki, lekki, obecny. Obecny dla mojego ciała, obecny dla mojej duszy.

Kochała kino, kochała filmy, kochała to co się w niej dzieje gdy wychodziła z kina. Kochała to t u ż p o, gdy film był dobry, naprawdę dobry. To t u ż p o sprawiało, że czuła, że żyje, to t u ż p o sprawiało, że wiedziała, wręcz była pewna, że dziecko w środku wciąż w niej jest, czasami płacze, ale wciąż żyje.

Dotyk, coś co sprawia, że chce się żyć. Dotyk, coś co sprawia, że coś się w nas budzi, poprzez skórę, poprzez dreszcz. Dotyk jest ważny gdy coś czujemy, dotyk jest ważny gdy coś chcemy czuć.

Gdy tego zabraknie, gdy coś staje się niemożliwe, uświadamiamy sobie, że bez dotyku świat może być przerażający, zbyt bolesny, zbyt nieczuły.

Film był o niemożności, o braku dotyku, gdy ten dotyk zaczyna ocierać się o miłość. Zaczyna ocierać się o śmierć.

Choroba, czekanie na coś, co być może nigdy się nie zdarzy, i nagle, tak nieświadomie, wręcz irracjonalnie pojawia się miłość. Pojawia się tam, gdzie nie powinna się nigdy pojawić – w szpitalu.

W szpitalu wszystko jest inne, wszystko jest bezwzględne. Ściany są zbyt białe, ludzie zbyt niewidoczni, twarze zbyt rozmazane, uczu-

cia schowane zbyt daleko. Droga do uczuć jest zbyt odległa dla przeciętnego człowieka. Dla człowieka chorego jest prawie niemożliwa.

I miłość, w takich warunkach, gdy ktoś inny chce tylko przetrwać, chce tylko coś zrobić, cokolwiek, gdy tak naprawdę nie da się już zrobić prawie nic. I to czekanie, czekanie na wyrok, na brak wyroku, na sędziego, który przekłada czas na inne półki, rozkłada go na drobne cząsteczki, które poprzez dni stają się coraz bardziej niewidoczne.

I miłość, jej, uporządkowanej, ściślej, dokładnej, i jego, szalonego, z pasją, która tutaj już niewiele znaczy, jego, który nie wierzy już w nic, poza śmiercią.

Ta miłość, to niedopasowanie dusz wciąż, uzależnia, wyciąga z człowieka to co ma najlepsze w sobie. I ten brak dotyku w tej miłości, gdy oboje wiedzą, że dotyk może ich zniszczyć, zabić. I ta odległość między nimi, taka odległość, która sprawia, że siebie czują mocniej, która sprawia, że nie mogą czuć siebie mocniej.

Oboje czują, że poprzez dotyk mogliby więcej, mogliby mocniej. Ale rozumieją, że czas zły, życie złe, los zbyt zagmatwany. Niekiedy zagmatwany los to jedyne co człowiek może mieć, to jedyne co człowiek może czuć.

Film nie mógł skończyć się dobrze. Skończył się nadzieją. Nadzieją ocierającą się o śmierć.

Iwona wyszła zapłakana. Łzy jeszcze długo wisiały w jej oczach. Były jak niedoprasowane firanki, gdy lekki wiatr porusza nimi poprzez dopiero co pojawiające się słońce. O świcie, o poranku, o brzasku.

Przez kolejnych kilka dni Iwona myślała o tym filmie, wciąż, czasami, umykającymi zbyt szybko sekundami. I rozumiała, że jej życie to nieustające szukanie dotyków w sobie, poza sobą, u ludzi. Czasami u przedmiotów. W rzeczach zakłute są dziwne historie, i można je tylko rozbudzić poprzez dotyk. Poprzez miliony dotyków nieustannie ze sobą powiązanych. Dotyków zaplecionych przez czas, dotyków zaplecionych przez ludzi.

Komisarz Rawicz ma złe sny, dziwne sny. Są powtarzalne, niewytłumaczalne, czasami bliskie, częściej obce. Gdy się budzi pamięta je dokładnie, zbyt dokładnie. To uciążliwe, myśli, to niebezpieczne, gdy sny nas męczą nie tylko nocami, dniami też. Takie sny zagrażają życiu człowieka, zagrażają bardziej duszy niż samemu życiu. Komisarz Rawicz życia się nie bał, bardziej bał się, że jego dusza przestanie istnieć, a potem nie będzie już nic. Tego nie będzie już nic najbardziej się obawiał. Czuł, że nie będzie już nic oznacza pustkę, ciemność, i co najbardziej czuł, oznacza samotność. A on do takiej samotności nigdy by się nie przyzwyczaił.

Samotność w życiu jest okropna, samotność poza życiem jest nie do zniesienia.

Obudził się spocony. Pościel była cała mokra. Podeszedł do okna, otworzył je szeroko. Świtało, słońce, jeszcze przygaszone, powoli podnosiło się nad dachami kamienic. Podeszedł do lodówki, zimne światło, zimne mleko, przyjemne zimno w środku, takie odprężające, takie ciepłe. Usiadł na łóżku, poczuł ciężki, zmęczony oddech. Zmęczony snem, nie nocą. Zamknął oczy, wszystko wróciło...

Zobaczył jego twarz, rozpoznał ją, choć jej tak naprawdę jeszcze nie znał. To on, pomyślał, król tego miasta. Król nocy, król dnia.

Poszedł za nim do kamienicy. I wtedy po raz pierwszy się zdziwił. Chciał iść, ale nie mógł iść tak jak chciał. Jego kroki były wolne, ciężkie, jakby wszystko w nim się nagle zatrzymało. Szedł jak na zwolnionym filmie, powoli. Był, trwał w ruchomym zastygnięciu.

Pierwszy krok, wieczność, drugi krok, nieskończoność, trzeci krok, nieśmiertelność. Był zdziwiony, lecz po chwili jeszcze bardziej się zdziwił. Nie tylko on się tak poruszał, całe życie wokół niego było częścią tego zwolnionego filmu.

Ptaki na niebie prawie stały w powietrzu, choć poruszały skrzydłami tak uparcie, koń zaprzęgnięty do dorożki prawie zamarł z nogą podniesioną do góry, kot zawiesił się w skoku, pomiędzy dwoma dachami kamienic, pies czekał, lecz jego głos był spóźniony, choć pysk już dawno został otwarty.

Niczym robot wszedł do kamienicy. Czuł gdzie ma iść, choć schody, ich wieczne zakrzywienie skierowane do góry, tak uparcie skrzypiały. I do góry, aż pod sam dach.

Drzwi były otwarte, jakaś mucha powoli obok niego przeleciała. Jej skrzydła prawie się nie ruszały, sama była zdziwiona swoją niemocą.

W dużym pokoju z kominkiem stały dwie osoby. Stał on, król tego miasta i ktoś, kto wyglądał na kolekcjonera. Oglądali obrazy, od razu je rozpoznał, obrazy były kradzione. Wciąż je szukali. Coś krzyknął. Lecz zanim jego głos do nich dotarł, zanim otarł się o ich zrozumienie, zanim oni wyczuli, że ktoś na nich patrzy, zniknęli. I on zniknął wraz z nimi.

Bagna, pośród lasu, zielona, cierpka woda z glonami. Z dużą ilością glonów – ilością nieskończoną. Wśród tych bagien dom, dom pośród lekkiej, mokrej mgły. I w tym domu okno, małe, a w nim światło tuż przy świecy.

Płynął małą łódką w kierunku tego światła. Światło gubiło się we mgle, migotało, pulsowało, czasami znikało. A on wciąż płynął uparcie. Ale wiosła były wolne, zwolnione w swoim ruchu, jego ręce takie ciężkie, nie ze zmęczenia, ciężkie od jakiegoś dziwnego zawieszenia czasu i przestrzeni.

Przeleciał nad nim nietoperz. Trwało to wieczność. Gdy był tuż nad nim, bał się, że zaraz wpadnie do jego łodzi. Tak to długo trwało. W końcu dotarł do domu, do wyspy. Wysiadł, mały lis w biegu zamarł, chciał uciec, ale czas był w tym śnie zatrzymany, czas był w tym śnie uśpiony. Nic nie żyło tak, jakby chciało żyć, nic nie trwało tak, jakby chciało trwać.

Zajrzał przez okno. To znów on, z kimś znanym. Tamtą twarz znał z przyjęć, z bankietów u prezydenta miasta. Coś na stole leżało, tuż przed nimi, tuż koło małej świecy, świecy z nieprecyzyjnym wymiarem czasu, z nieprecyzyjnym wymiarem uśpienia rzeczy wokół niej.

Monety, pomyślał, kradzione monety. Ręką stłukł szybę, oni na niego sennie spojrzeli. I gdy prawie zobaczył twarz Króla tego miasta, świeca się nagle przewróciła, i stół, krzesła, podłoga zaczęły płonąć. Cały dom stanął w płomieniach. Potem pamiętał tylko dym, ogień, ucieczkę poprzez mgłę. Potem pamiętał tylko ciemność.

Komisarz Rawicz wciąż ciężko oddychał siedząc na łóżku. Te same sny, te same wspomnienia, ta sama, wciąż nieznana twarz. Taka bliska, taka odległa. Kiedy to się skończy, pomyślał, śledztwo, sny, wspomnienia ocierające się o lęk. Może to wszystko jest tylko jakąś nieprawdą, może to wszystko jest tylko jakimś obłędem, w którym on nieświadomie uczestniczy. Chce uczestniczyć.

Ubrał się, bez śniadania wyszedł do pracy. Łóżko wciąż było niepościelone jakby czekało na kolejny sen, jakby czekało na kolejny obraz tego snu w oczach Komisarza.

Wciąż drgała mu prawa powieka gdy myślał o przeszłości. Prawa ręka też drżała gdy podnosił piwo w kierunku ust. Czy to kiedyś minie, pomyślał, czy złe wspomnienia kiedyś się kończą? Uciekają, gdy tego mocno pragniemy.

Na tarasie w hotelu było tylko kilka osób. Na dole, tuż przy ziemi, życie tętniło z taką zawziętością do przodu. Sukiennice, Rynek, Kościół Mariacki i on na górze. Ludzie, tacy zabiegani, niedostrzegający siebie już od dłuższego czasu.

Komisarz Rawicz lubił ten hotel, lubił ten taras. Z góry, gdy patrzył z góry na świat czuł się lepiej. Ludzie byli inni, twarze były inne, zmartwienia z góry wydawały się tak małe na dole.

Znów przypomniał sobie dom dziecka. Dlaczego to wciąż wraca i wraca, pomyślał. Ta ucieczka, to zimno, ten strach. I ta lodowata, paraliżująca obojętność w środku. Taka obojętność, która nie zabija duszy, lecz tylko ją powoli okalecza.

Była zima, sroga, mroźna zima. On i jego przyjaciel, taki na zawsze. Trzymali się z dala od innych. Byli przyjaciółmi w świecie, gdzie przyjaźni nie ma. Inni tworzyli grupy, o coś zawzięcie walczyli, coś chcieli zdobyć, a oni tylko stali z boku, nie chcieli w tym dziwnym świecie uczestniczyć.

I pewnego dnia jego przyjaciel postawił się komuś złemu, w domu, gdzie nie powinno się mieć wrogów. A już z pewnością nie powinno się mieć ich zbyt wielu.

Znaleźli go w łóżku, udusił się. Tak stwierdziła policja. Tylko zmięta zbyt mocno poduszka, leżąca na łóżku obok, nikogo nie

zdziwiła. Widział ich twarze, wiedział, że będzie następny. Te spojrzenia, te dotyki poprzez oczy, czuł bliskość śmierci wokół siebie.

Uciekł następnego dnia z samego rana. Było zimno, śnieg aż po kolana, dom dziecka leżał na skraju miasta, na skraju lasu. Brnął przez śnieg i to zimno, zimno, które nie zabija, zimno, które przenika, które zniewala. I to zmęczenie, i ta chęć żeby stanąć i zasnąć, i nigdy już się nie obudzić. Zaczął coś widzieć za sobą, zaczął coś czuć za sobą. Odwracał się co chwilę, a tam tylko śnieg i jakiś kształt pełzający pod tym śniegiem. Nie mógł biec, przecież ledwo szedł do przodu. Chyba miał gorączkę, zaczął widzieć obrazy przed sobą.

Wigilia, on, matka, ojciec, choinka, a pod nią kolorowe prezenty. I śmiech, taki śmiech, który tuli człowieka niczym koc, śmiech, który ociepla duszę na dłuższy czas. Tak mógłbym żyć, pomyślał.

Wakacje, plaża, morze, słońce, a pośród tego słońca on, szczęśliwy z matką, z ojcem. Tak mógłbym się czuć, pomyślał.

Góry, wysokie, nikogo nie ma na szlaku, tylko on i ojciec, z tyłu zmęczona matka. I te widoki, ten spokój, ta wolność. Wolność na górze ma inny smak niż wolność na dole. Tak mógłbym uciekać od świata, od ludzi, pomyślał.

Coś usłyszał za sobą, odwrócił się. Śnieg padał coraz mocniej. Wokół niego zmrożone pole, zmrożone pojedyncze drzewa, zamrożony czas. Przy ziemi zobaczył węża, wynurzył się cicho ze śniegu. Tylko na niego patrzył, i te jego oczy, czerwone, skupione na każdym jego ruchu.

Zaczął biec przed siebie, wiedział, że to są tylko omamy, ale były takie realne, takie prawdziwe. Miał ze sobą nóż, gdyby było źle. W domu dziecka czekała go śmierć, tutaj mógł odejść na swoich zasadach, gdyby musiał odejść, gdyby już nie miał siły iść dalej. Gdyby się poddał. A on już nie miał siły iść dalej.

Upadł. Pierwszy upadek jak początek drogi krzyżowej. Ludzie obok stoją, patrzą się, nic nie mówią. Podniósł się, idzie dalej.

Znów śnieg, bardziej śnieżycą niż śnieg. Już nic nie widzi, tylko biel, tylko jakaś zamrożona mgła, tylko jego oddech cicho parujący w powietrzu.

Upadł, drugi upadek. Jakaś kobieta obmywa mu twarz. Patrzy mu się głęboko w oczy. Rozpoznaje matkę, choć nigdy jej wcześniej nie

widział. Ale czuje, że to jest ona. Ma tyle miłości w oczach. Tak kochać może tylko matka.

Idzie dalej, podnosi się wbrew ciału do góry. Tyle wytrzymałem w bidulu, myśli, te poniżenia, te krzyki w nocy, ten płacz w ciemności. I tak to się teraz kończy, na rozdrożu pól, w zimną bezkresną noc, bo zbliżała się szybko zimna bezkresna noc.

Waż z tyłu tylko cicho syczy. Czeka, aż zamarznie. Czeka na coś, co i tak nastąpi. Musi nastąpić. Jest słaby, czuje się słaby. Chciał być kiedyś mocny, wierzył, że jest mocny, a okazało się, że wiara słaba, siły słabe, życie zbyt mocno popękane na duszy.

Upadł, trzeci upadek. Nie ma już siły wstać, nie ma już siły iść dalej. Po co wstawać, myśli, i tak nie mam marzeń? Po co żyć, gdy nie ma się celu?

W oddali widzi przyjaciela. Stoi w zielonej koszuli. Uśmiecha się do niego. Coś krzyczy do niego, macha ręką. Z ruchu warg odczytuje, że dalej pójdą razem.

Już stoi obok niego. Jak brat z bratem. Dalej pójdziemy razem, mówi przyjaciel. I idą. Już nie czuje zimna, już nie czuje chłodu. A śnieg wciąż pada i pada.

Nagle przyjaciel zatrzymuje się. Dalej pójdiesz sam, mówi. Dlaczego? pyta Rawicz. Musisz żyć, musisz żyć inaczej niż inni, mówi przyjaciel. Będziesz walczył o rzeczy ważne, będziesz karał złych ludzi. Będziesz sędzią ludzkich dusz. Nie pozwolę, żeby to, co się wczoraj stało, zmieniło twoje życie tak ostatecznie. Musisz żyć, musisz powiedzieć policji, dlaczego odszedłem tak szybko. Dlaczego odszedłem tak szybko... i to zdanie wciąż było w jego głowie, gdy znalazł go leśniczy nad ranem. Żył. Wciąż oddychał zimnym powietrzem, przy małym drewnianym krzyżu, na rozstaju dróg, zeszlonych poranną mgłą.

Po kilku dniach, gdy wyszedł ze szpitala, opowiedział policji o śmierci przyjaciela. Zbadali sprawę dokładniej, uwierzyli mu. Tamtych ukarali, jego przenieśli gdzie indziej.

Teraz już wiedział kim zostanie w przyszłości. Teraz już wiedział, co będzie robić gdy dorośnie.

Potem tylko jeszcze raz zobaczył przyjaciela w śnie. Stał obok niego i uśmiechał się. W ręce trzymał zdjęcie. Na zdjęciu był krzyż, zima, noc, i on trzymający go przez cały czas za rękę.

Potem już nigdy nie wrócił do niego w żadnym śnie. Opuścił go, a może wciąż z nim był, ale był niewidoczny. I może tylko czasami, ukradkiem ocierał się o jego myśli, ale robił to niezauważalnie. A może odszedł na zawsze, i pozwolił mu żyć na nowo. Bo wiedział, że już dalej sobie sam poradzi. Musi sobie sam poradzić. I radził sobie, choć to radzenie często ocierało się o śmierć innych ludzi, którzy zostali pokonani przez zło czające się w tym mieście od jakiegoś czasu.

Komisarz Rawicz odłożył papierosa na bok, do szklanej, lekko już zabrudzonej popielniczki. Ściągnął czarną skórę, z lekkim grymasem odłożył ją na drugie krzesło.

- I co dalej, panie Gibak? – spytał, a jego zmęczony wzrok prawie sam zignorował to pytanie, choć w środku Komisarz Rawicz czuł, że jest blisko kogoś, kto zna Króla tego miasta. Zna, lub widział go, choćby przez chwilę otarł się o jego głos, o jego oczy, o jego obecność, która jest tak bardzo niewidoczna, prawie nieokreślona w tym mieście.

- Dalej... – Gibak się zawahał, spuścił swój wzrok na ziemię, bardziej na czarną posadzkę niż na ziemię. – Dalej... Dla mnie już nie ma żadnego dalej. Przeinwestowałem, zgubiła mnie zachłanność, a teraz ta choroba. Gdy nie idzie, to nie idzie.

- To prawda, gdy wieje zły wiatr, wtedy zawsze jesteśmy sami – ten kolekcjoner przez chwilę wzbudził w Rawiczu litość, ale jaka była skala tej litości, tego Rawicz jeszcze nie wiedział. Mógł mu pomóc, zapomnieć o pewnych rzeczach, gdyby dostał coś, choćby cokolwiek, co zbliżyłoby go do tamtego człowieka.

Rawicz poprzez swoją pracę dobrze poznał ludzi, Gibak nie był typem przestępcy, złodzieja. To dobry człowiek, który trochę się pogubił przez zachłanność. Choć taką zachłanność Komisarz Rawicz mógł zrozumieć. Zachłanność do rzeczy, nie do ludzi.

- Dlaczego sprzedajesz obrazy na czarnym rynku? – spytał Komisarz Rawicz. – Mówią, że masz pieniądze.

- Tak mówią, to dobrze – skrzywił się Gibak. – Wizerunek to wszystko co mi jeszcze zostało.

- Powiedz coś, co mi pomoże, to ja ci też pomogę – Rawicz spojrzał Gibakowi głęboko w oczy. – Nie jesteś typem przestępcy, oboje to wiemy, więc pomóż sobie, jeśli nie chcesz pomóc mnie.

- Zacząłem grać na giełdzie. Uczyłem się powoli, samemu, i nawet dobrze mi szło na początku. Grałem ostrożnie. I nagle dostałem cynk, informację. A większość fortun rodzi się poprzez dobre, poufne informacje. Kto je ma, jest królem życia. Zaryzykowałem, coś poszło nie tak, mam teraz długi.

- Duże?

- Spore. Byłem zmuszony sprzedawać obrazy, monety.

- Legalne obrazy, to nie jest problem. Gorzej...

- Niech pan tego nie mówi – przerwał mu Gibak. – Połakomiłem się raz, pycha mnie zgubiła. Nie wiem, co mnie podkusiło. Kocham Witkiewicza i dlatego chciałem mieć jego obrazy za wszelką cenę. Ale zmuszony byłem kupić też inne obrazy, taka była umowa. Wszystko, albo nic.

- Jak w życiu. Ryzykujesz wszystko, często zostajesz z nic. Powiedz, od kogo je kupiłeś?

- Jak mi pan pomoże, jeśli ja pomogę panu?

- Mogę napisać w raporcie, że znaleźliśmy te obrazy, powiedzmy w dziupli przemysłników. Nie jesteś mi potrzebny w celi na dłuższy czas. Tym bardziej, że jesteś chory.

- Tak – westchnął Gibak. – Rak to straszna choroba. Najpierw zabija duszę, potem nadzieję i przyszłość, na końcu ciało.

- Znasz osobę, która ci je sprzedawała?

- Domyślałem się, kto je sprzedawał. Znam twarz osoby, która je przyniosła do mnie do domu.

- Mów od początku, włączę nagrywanie. – Komisarz Rawicz, jego prawa powieka, błysnęła radośniej niż zazwyczaj.

- Zadzwoił telefon, wieczorem. Głos był spokojny, opanowany, pewny. Słyszałem ten głos kiedyś, na pewno go słyszałem w przeszłości. Poznaję wielu ludzi, przez to, że kupuję obrazy, ale na pewno słyszałem ten głos kiedyś.

- Co ci powiedział ten głos?

- Czy nadal chcę Witkiewicza, powiedziałem, że tak. Ten ktoś powiedział, że mogę go mieć, jeśli kupię też inne obrazy. To sprzedaż hurtowa, za dobrą cenę – Gibak trochę kłamał, wiedział skąd

pochodzą obrazy, kto je wcześniej miał, ale nie mógł tego powiedzieć Komisarzowi. – Spytałem się, gdzie odbędzie się aukcja, on powiedział, że obrazy nie pojawią się na żadnej aukcji. Przestraszyłem się, ale on powołał się na mojego przyjaciela, na rozmowę na jakimś bankiecie, którą pamiętałem jak przez mgłę. Powiedział, że cena będzie niska jak na taką skalę sztuki. I skusiłem się.

- Jak się spotkaliście?

- Powiedział, że ktoś się do mnie zgłosi, powoła się na rozmowę. Cena nie podlega negocjacji. Będzie niska jak za takie obrazy. I kupiłem je – Gibak widział te obrazy wcześniej, był w mieszkaniu okradzionego raz, wiedział czego się spodziewać.

- Kto się do ciebie zgłosił?

- Wysoki, barczysty mężczyzna, z akcentem ze śląska. Znam ten akcent, mam ciotkę w Tychach. Łysy, zmęczony sobą lub ludźmi.

- Kaplica – stwierdził Komisarz Rawicz. – To musiał być Kaplica.

- Sprzedał mi obrazy i srebrne monety. Cena była dobra, wszystko szło przez pół wartości rynkowej – Gibak kiedyś opowiedział komuś o tym mieszkaniu, raz, tylko raz i zapomniał.

- Były kradzione.

- Czułem, że są kradzione, choć te słowa nigdy nie padły przy transakcji – znów kłamał, sprowokował ten los, tą kradzież, sprowokował całą swoją przyszłość.

- Ten głos w telefonie – ręka Komisarza zaczęła drgać na krawędzi biurka, prawa ręka, lewa była spokojna, zresztą jak zawsze. – Gdzie go słyszałeś, skup się, określ jakoś twarz tego mężczyzny?

- Nie wiem – zamyślił się Gibak – to było dawno, rok temu, chyba... Gdy powołał się na mojego przyjaciela, na ten bankiet, to myślę, że to było u Prezydenta Miasta. Jakiś bal charytatywny. Oboje tam byliśmy. Mam pieniądze – Gibak się zawahał, zadrżał – wtedy miałem pieniądze, więc trochę pomagałem innym, jeśli mogłem. Było tam wielu ludzi, ale o sztuce rozmawiałem tylko z przyjacielem i z kimś, kto się do nas dołączył.

- Twój przyjaciel go zna?

- Nie znał go, zresztą to i tak nie jest teraz ważne, umarł trzy miesiące temu, wylew. Ten mężczyzna do nas podszedł, przedstawił się i rozmawialiśmy o obrazach.

- Znał się na sztuce?

- Nie tak dokładnie. Ale coś o niej wiedział. Musiał coś o mnie wiedzieć, bo rozmowa zeszła na Witkiewicza, a ja go uwielbiam. Pytał się ile mam obrazów, co w nim cenię, szaleństwo, czy styl w jakim malował. Odpowiedziałem, że to i to, że cenię też w nim wolność, jaką kierował się gdy malował, gdy żył. Nawet gdy pił, to też była jakaś tam jego forma wolności, bo wtedy często malował.

- Co powiedział, co powiedział takiego, że myślisz, że to on mógł ci sprzedać te obrazy?

- Niektórzy oddadzą wszystko, żeby mieć to, czego pragną. Spytał, czy ja należę do takich ludzi.

- Co odpowiedziałeś?

- Powiedziałem, że nie wiem. Jedyne co wiem, to tyle, że jestem w stanie wiele znieść, żeby osiągnąć swoje cele w życiu.

- To go pewnie zachęciło. Jak byś go określił?

- Miał – Gibała się zamyślił. – Czarne oczy, raczej zimne niż ciepłe, wzrok przenikliwy, tak, miał taki intensywny wzrok, jakby wiedział, jak ludzie się zachowują, jakby wiedział, czy są go w stanie jakoś zaskoczyć. Uszy miał chyba lekko odstające, włosy raczej ciemne, tak, były ciemne. Lekka nadwaga, schowana pod drogim garniturem.

Komisarz Rawicz wstał z krzesła. Podał mu prawą rękę.

- Jesteś wolny. Idź się leczyć. Czasami los nas zaskakuje i wciąż jesteśmy obecni w życiu, nawet wtedy bardziej jesteśmy obecni w życiu niż wcześniej.

- Jestem wolny – Gibała był zaskoczony.

- Tak. Co mi da, że będziesz walczył o życie w więzieniu. Zrobiłeś jeden zły ruch, co wcale nie oznacza, że jesteś zły. Po prostu zrobiłeś go wtedy, gdy byłeś najsłabszy. Choć jeszcze wtedy o tym nie wiedziałeś. Ale twoje ciało już dawno o tym wiedziało.

- Dziękuję.

Gibak wyszedł. Komisarz Rawicz był z siebie zadowolony. To nie był zły człowiek, pomyślał, trochę pazerny, trochę krętacz, ale nie jest taki do końca zły. Muszę znaleźć listę gości z tych przyjęć u Prezydenta. Na liście musi być Gibak, jego przyjaciel i ktoś... Właśnie, kto? Znajdę go, teraz już wiem, że jest w mieście, żyje, wyrę-

cza się ludźmi, ale jest. Kiedyś go spotkam, ale to będzie zaskoczenie, zarówno dla mnie, jak i dla niego. Kiedyś go spotkam...

Komisarz Rawicz wyszedł z posterunku policji. Był środek dnia. Słońce było dzisiaj jasne, czyste, świeże. Tak, słońce jest dzisiaj świeże, pomyślał Komisarz Rawicz i postanowił spacerować się po Rynku.

Siedzieli tuż przy Plantach, w kawiarni, na dużym tarasie, z tyłu Teatru Słowackiego. Zza baru leciała cicho muzyka, docierała do nich jak przez mgłę, jak przez jakiś mur, którego nie można pokonać, przez który nie można się przebić.

Oczy Magdaleny były spuszczone, nie miały w sobie tej pewności co zazwyczaj.

- Dlaczego tak żyjesz? – spytał po krótkim milczeniu Komisarz Rawicz. – Jesteś piękna, mądra, miałaś kiedyś szansę, a teraz, co będzie z tobą teraz?

- To od ciebie zależy – westchnęła Magdalena. – Ty i ja pochodzimy z tych samych miejsc, dotykamy tych samych uczuć, staramy się tak samo mocno zapomnieć o przeszłości.

- Przeszłość nas łączy – zamyślił się Komisarz Rawicz. – Łączy mocniej niż życie. Przecież wiesz... – to wiesz Komisarz Rawicz powiedział mocno, twardo, może zbyt mocno, zbyt twardo. – Przecież wiesz, że moglibyśmy tę rozmowę toczyć na posterunku.

- Wiem – oczy Magdaleny stały się wilgotne, nie bała się, nie czuła strachu przed tym człowiekiem, lecz było jej trochę wstyd, na tyle trochę, że w jej oczach pojawiły się zbyt mokre łzy.

- Dom dziecka zmienił ciebie, zmienił mnie. Pewne rzeczy są nieodwracalne, a już na pewno nieodwracalna jest samotność dziecka, nieodwracalne jest niezrozumienie tej samotności przez innych ludzi. Ty jednak dostałaś szansę. Szkoła muzyczna, mogłaś grać nadal w swoim zespole. Pamiętam – Rawicz się uśmiechnął. – Pamiętam ciebie na scenie. Twój głos, to co z nim robiłaś, twój świat, w którym każdy chciał uczestniczyć gdy już śpiewałaś. Miałaś takie emocje w tym głosie, takie emocje, wobec których nikt nie mógł przejść obojętnie. I ten mężczyzna na fortepianie, jak on grał, te jego improwizacje, prawie jazzowe, i ten drugi na kontrabasie, reszta

muzyków od nich odstawała, odstawała od ciebie. Ty byłaś najlepsza.

- To dawne czasy – powiedziała Magdalena. – Wtedy wierzyłam, że dobra muzyka może się bronić sama. Że dobra muzyka oznacza nadzieję. A ona, gdy zabraknie człowiekowi cierpliwości, oznacza stres, oznacza znużenie. A potem, na samym już końcu, oznacza zmęczenie. Zmęczenie sobą, zmęczenie ludźmi, zmęczenie samotnością, która wiąże się z nami na zawsze, gdy inni nas nie rozumieją.

- Byłaś zbyt niecierpliwa.

- Byłam zbyt zmęczona. Stałam w miejscu. Brakowało mi pieniędzy, brakowało mi czasu, brakowało mi siebie samej, gdy już chciałam tak naprawdę pobycć sama ze sobą.

- Szkoda. Ludzie cię kochali. Mogłaś żyć lepiej, a żyjesz tak, że tak naprawdę w ogóle nie żyjesz.

- Nie pytasz, dlaczego ją ukradłam?

- Dlaczego?

- Moja matka, której prawie nie pamiętam, nosiła podobną mone-tę na szyi, na skórzanym czarnym rzemieniu.

- I chciałaś ją mieć.

- Musiałam ją mieć, wtedy nie myślałam logicznie. Byłam trochę pijana. Było dużo ludzi, zbyt dużo, żeby wiedzieć, że to się może kiedyś wydać.

- Kaplica to niebezpieczny człowiek. Jak wyczuje, że to ty, niszczy cię.

- Już się z nim nie spotykam. Zbyt często mnie ranił, słowami, gestami, myślami.

- Komu ją ukradłaś?

- Nazywa się Chrowski, ma duży dom za Krakowem. Kaplica to jego przyjaciel. Byłam tam z nim, na dużym przyjęciu. Dużo osób znanych, obcych, bogatych. I wtedy ją zobaczyłam, jak szłam do toalety. I ją ukradłam.

- Chrowski – zamyślił się Komisarz Rawicz. – To może być on, to musi być on. Ta moneta pochodziła z kradzieży, z domu kolekcjonera. W końcu jakiś konkretny ślad.

- Co ze mną zrobisz?

- Dam ci kolejną szansę.

- A ten policjant, którego mi podstawiliś?

- To mój dobry kolega. Zapomni o wszystkim. Ale musisz się zmienić, póki jeszcze możesz, póki masz jeszcze czas. Przecież wiem, że żyjesz oszukując bogatych ludzi. Nie przeszkadza mi, że oszukujesz bogatych, gdybyś oszukiwała biednych, już dawno byś siedziała w więzieniu.

- Nie było żadnych skarg na policji?

- Wstydzą się, boją się, że wyjdzie cała prawda, że z tobą flirtowali. I dlatego ci się wciąż udaje. Jesteś ładna, mądra, miła, masz piękny uśmiech, mężczyźni ci ufają. Potrafisz się też odpowiednio ubrać. Widzisz w mężczyznach to, co oni nieświadomie chcą widzieć w sobie. I to ci pomaga. W kasynach są ludzie bogaci, jest alkohol, są emocje, są pieniądze. Na pewno nie ma tam za dużo rozumu, i ty to wykorzystujesz.

Magdalena milczała, nic nie mówiła. Żyła już tak od pewnego czasu. Żyła dobrze. Zbyt dobrze. Nie czuła się z tym dobrze idealnie czasami, ale gdy czuła się już źle, piła dobre wina, piła je w dużych ilościach, przez kilka dni z rzędu i to jej zazwyczaj pomagało. Pomagało na jakiś czas. Już przyzwyczaiła się do wygod, do pieniędzy, do dobrego życia. Nie mogła się już zmienić, nie chciała się już zmienić. Postanowiła iść tą drogą aż do samego końca. Bez względu jaki koniec był jej pisany w przyszłości.

- My z domu dziecka musimy się trzymać razem – stwierdził Komisarz Rawicz. – Niestety... Jutro po ciebie przyjadę samochodem. Pojedziemy pod dom tego Chrowskiego. Pokażesz mi, gdzie on stoi.

- Dobrze.

- A monetę musimy jakoś oddać. Kaplica to niebezpieczny człowiek.

- Oddam – ciężkim głosem powiedziała Magdalena. – Zrobię to dla ciebie.

- Do jutra – Komisarz Rawicz wstał od stolika, podszedł do baru, zapłacił i wyszedł.

Jego czarna kurtka jeszcze przez chwilę migotała na Plantach, a potem zniknęła w tłumie sennie spacerujących turystów.

Przez chwilę jeszcze jechali główną drogą, a potem skręcili nagle w lewo. Magdalena milczała, czuła się zakłopotana, zdenerwowana, momentami obojętna. Obojętna na twarzy, nie w środku.

- To tam – pokazała Rawiczowi duży dom rysujący się w oddali.
- Jesteś pewna?
- Tak. To ten dom.

Powoli podjechali bliżej domu. Już widzieli ozdobne ogrodzenie, już widzieli piękny, rozłożysty ogród z ozdobnymi drzewami, krzewami, już widzieli basen, duży, z błękitną krystaliczną wodą, już widzieli dom z czerwonym dachem, dom ze szkła, dom malowany, dom gdzie wszystko ma swój sens i właściwe znaczenie.

- Masz monetę? – spytał Komisarz Rawicz.

Magdalena z lekką niechęcią, prawą ręką, sięgnęła do kieszeni granatowych spodni. Wyciągnęła monetę. Dała ją w milczeniu Rawiczowi.

- Wsiądź tutaj i czekaj na mnie – rzekł Rawicz.

Samochód cicho podjechał pod bramę. Rawicz wysiadł, nacisnął dzwonek.

- Słucham – tępy głos w pudełku.
- Komisarz Rawicz, z policji. Czy zastałem pana Chrowskiego?
- Tak. Słucham.
- Mogę wejść do środka? Mam kilka pytań. Szukamy zaginionego chłopca.
- Proszę – brama się płynnie otworzyła.

Komisarz Rawicz wszedł do samochodu. Powoli podjechał lśniąca czerwona kostka pod drzwi domu. Wysiadł. W drzwiach stał tęgi mężczyzna, jego węglowe oczy były zimne, twarde. Rawicz podszedł do Chrowskiego. Uśmiechnął się.

- Szukamy chłopca. Zaginął tydzień temu. Widziano go jak wsiadał do samochodu, do dobrego samochodu. Potem już go nikt nie widział więcej. Może coś pan wie na ten temat? Może coś pan widział?

- Nie – sucho powiedział Chrowski. – Nic nie widziałem.
- Mogę rozejrzeć się wokół domu? – spytał Rawicz.
- Proszę – rzekł Chrowski, a jego węglowe oczy zaiskrzyły na moment.

Komisarz Rawicz podszedł do garażu. Brama wjazdowa była otwarta. Stały tam dwa samochody. Terenowy, czarny mercedes i granatowy Lexus, osobowy.

- Ładne samochody, drogie – stwierdził Komisarz Rawicz.

- Wygodne – dodał Chrowski. – W życiu najbardziej cenię sobie wygodę.

Komisarz Rawicz spojrzał w oczy Tadeusza Chrowskiego. Zobaczył w nich pustkę, może jakąś tajemnicę, ale tajemnicę jeszcze nie rozwiązana.

- Nic pan nie wie?

- Nic. Absolutnie nic.

- Trudno. Będziemy szukać dalej. Mogę skorzystać z toalety?

- Tak. Proszę.

Chrowski zaprosił go do salonu.

- Toaleta jest na wprost.

Komisarz Rawicz szedł powoli przez salon. I wtedy zadzwonił telefon. Chrowski go odebrał. Wyszedł z nim na zewnątrz. Rawicz podszedł do komody, na niej stała mała szkatułka ze srebra, otworzył ją, wrzucił tam monetę. Dobrze zapamiętał to, co mówiła mu Magdalena. Komoda, szkatułka w stylu francuskim, toaleta.

Gdy już wracał z toalety, Chrowski stał w drzwiach wejściowych do domu.

- Lepiej? – uśmiechnął się.

- O wiele – odpowiedział Rawicz.

Wyszli na zewnątrz. Komisarz Rawicz spojrzał na ogród, na basen, na drzewa.

- Piękny dom. Drogi. Musi pan ciężko pracować.

- Czasami życie układa się tak, jak sami tego chcemy. I wtedy jest łatwiej, i wtedy jest lepiej.

- Czasami układa się tak, że nic dla nikogo nie jest lepiej. Do widzenia – rzekł Komisarz Rawicz, i wtedy już Chrowski wiedział, czuł, że to do widzenia ma jakiś głębszy sens, większe znaczenie. Że to do widzenia na pewno kiedyś nastąpi, musi nastąpić.

Samochód odjechał. Zniknął za bramą. Tadeusz Chrowski wciąż patrzył się przed siebie. Wiedział kto to jest Komisarz Rawicz. Znał go. Z opowieści, ze zdjęć. Wiedział, że się kiedyś muszą spotkać, choć łudził się, że to może nigdy nie nastąpi. Nie ziści się. Ale jego

interesy, choć niewidzialne, miały smak i zapach ryzyka. I to ryzyko przed chwilą od niego wyjechało.

Podszedł do telefonu. Nacisnął zieloną słuchawkę.

- Słucham – głos Kaplicy był ciężki, zaspany.

- Musimy porozmawiać.

- O czym?

- Znalazł mnie. Nie wiem jak, ale dotarł do mnie.

- Kto?

- Komisarz Rawicz.

- Był u ciebie?

- Tak. Odjechał przed chwilą. I wiem, czuję to, że to nie było przypadkowe spotkanie.

- Czegoś konkretnego szukał?

- Nie tego, co mi powiedział. Tylko się na mnie patrzył. Tak dziwnie, tak tajemniczo. Jego wzrok mówił, że wszystko w życiu ma jakiś kres, i ja, do tego kresu, powoli się zbliżam.

- Wszedł bez nakazu?

- Sam go wpuściłem. To była... – Chrowski się zamyślił. – To była ciekawość, niebezpieczna ciekawość. Ciekawość ocierająca się o pytanie. Co będzie dalej? Co musi być dalej? Bez tego dalej, to spotkanie nie miałoby żadnego sensu. Bez tego dalej, moje życie nie miałoby istotnego sensu. Jego życie nie miałoby sensu.

- Przyjadę do ciebie.

- Dobrze. Przyjedź. Musimy porozmawiać – Chrowski odłożył telefon na komodę.

Zamyślił się. To była niespodzianka. To była wielka niespodzianka dla niego. Wszystko się zmienia, czas, pieniądze, życie. A najbardziej zmieniamy się my, gdy zbyt mocno uwierzymy w siebie.

- Jak tutaj dotarł, to niewiarygodne, nieprawdziwe – zastanawiał się słumionym głosem Kaplica.

- Nieważne jak, ważne że dotarł. Musimy pomyśleć co dalej, jeśli jeszcze jest jakieś dalej.

- Nic na nas nie ma. Same domysły, jakieś strzępki informacji, że ktoś jest, a może tego kogoś nie ma i nigdy nie było. Coś czuje, ale jeszcze nie wie co.

- Nie możemy ryzykować. Coś musimy zlikwidować, coś, co może nas w najbliższej przyszłości pociągnąć na dół.

- Jesteś pewny, że chcesz mniej zarabiać?

- Jestem pewny, że jeśli będę ostrożny, będę więcej zarabiać.

- A więc co?

- Przestaniemy wozić przesyłki za granicę. Tam jest największe zagrożenie. Sprzedaj ten interes Rosjanom. Niech oni się w to bawią. Dasz im namiary na celnika. Potem – Chrowski się zamyślił – te haracze. Z nich też możemy zrezygnować. Zastanowimy się nad sumą, jednorazową sumą, nazwijmy to odpawą i niech biorą wszystko dla siebie.

- Jesteś pewny. To pewne, szybkie pieniądze.

- Pewne, szybkie pieniądze gubią ludzi, zwłaszcza tych ludzi, którzy wierzą, że szczęście zawsze stoi u ich boku.

- Załatwię to – rzekł niechętnie Kaplica.

- I te kamienice. Mamy ich za dużo. To dobrze i zarazem niedobrze. Trzeba część z nich sprzedać. Coś, co jest sprzedane komuś innemu, nas już nie dotyczy, gdy pojawią się problemy. Ciężko taką rzecz rozpocząć, ciężko taką rzecz zakończyć. Ci w sądzie o tym wiedzą.

- Dobrze. Czuję pieniądze, duże pieniądze. Co z nimi zrobimy, w co zainwestujemy?

- Będziemy działać legalnie. Wejdziemy w budowlankę. Biurowce, wieżowce, bloki, przetargi, galerie, tam są niewyobrażalne pieniądze. A gdy zostanę prezydentem, wtedy wszystko będzie możliwe. Ja będę decydował o gruntach i co na nich powstanie.

- Chcesz zostać prezydentem? – oczy Kaplicy się rozszerzyły.

- Tak. I będę nim. Niedługo rozpoczniemy kampanię. Będę prezydentem niezależnym. Osoby znane z tego miasta będą nas popierać. Będą miały interes, żeby przy nas trwać. Z nami zakwitną jeszcze mocniej.

- Nie wierzę. Ty prezydentem. Do czego teraz dochodzimy?

- Do czegoś, co na początku drogi wydawało się niemożliwe. Pamiętaj, gdy masz wystarczająco dużo energii i pieniędzy wszystko jest możliwe. Marzenia to sny, które tylko trzeba wydobyć z głowy.

- A co z klubem pod ziemią?

- Na razie niech zostanie. Będzie nam potrzebny, gdy będziemy tam zapraszać ludzi, którzy jeszcze w nas do końca nie uwierzyli. Tam wszystko jest możliwe, tam wszystko ma inny wymiar i znaczenie. Rzeczy widzialne z mroku, inaczej wyglądają, gdy dostrzegą światło dzienne.

- A co robimy z Komisarzem Rawiczem?

- Nic. Był, jest, będzie. Gdy pozbędziemy się złych interesów, będzie czuł niemoc, że nic nas już nie łączy z ciemnością. A ciemność, jak sam wiesz, jest zaraźliwa. I ta zaraza, ta ciemność dotrze do niego, osaczy go, obezwładni wieczną niemocą. I wtedy pojawi się w nim obojętność, ale po czasie, po kilku nieudanych próbach dotarcia do nas, do mnie. I wtedy, gdy już sobie uświadomi, tak dosłownie tę niemoc, tę obojętność, zrozumie, że tak naprawdę nigdy mnie nie było i nigdy mnie nie będzie. Będzie tylko człowiek, który ma pieniądze i wie co z tymi pieniędzmi legalnie zrobić w tym mieście.

- Legalnie? – zdziwił się Kaplica.

- Prawie legalnie – zaśmiał się Chrowski i był to uśmiech prawdziwy, szczery, pełen odprężenia i jakiejś dziwnej nadziei, że będzie dobrze, że musi być dobrze.

- Tak daleko zaszliśmy – zamyślił się Kaplica.

- Może zbyt daleko, tego nie wiem, ale wiem, że jak człowiek zajdzie zbyt daleko, to już nie może się zatrzymać, nie może tak po prostu zejść z drogi, bo i tak ta droga go będzie ciągnąć w swoim kierunku. Będzie go wciągać. Są takie drogi, z których nie mamy prawa zejść, bo takie drogi, ich popękane struktury, przenikają człowieka na wskroś i to popękanie dociera zbyt szybko do duszy, a jak już dotrze do duszy, to świat się zmienia, życie się zmienia, noce się zmieniają na gorsze, ciemniejsze. I wtedy nie ma już nic. Nie ma nas, nie ma duszy, nie ma życia. A jak nie ma w nas życia, to po co żyć? Po co iść, gdy nie ma drogi. Po co płakać, gdy nie ma łez. Po co krzyczeć, gdy i tak nas już nikt nie usłyszy.

Wyszli przed dom. Popatrzyli się na ogród, na słońce, które powoli zniknęło za horyzontem.

- Piękny masz ogród – rzekł Kaplica.

- Piękne mam plany na przyszłość – rzekł Chrowski.

Uśmiechnęli się do siebie. Były to uśmiechy złych dni, złych lat, złych rzeczy, które musieli zrobić, żeby znaleźć się w tym miejscu. A teraz coś się w nich zmieniało, rodziło, kwitło. Światło nadziei po raz kolejny zostało zasiane w ich sercach.

Padał deszcz, zimny, przenikliwy deszcz. Całe miasto zostało obezwładnione jego zimną powłoką. Wycieraczki taksówki pracowały bez przerwy. Robiły co mogły, by Chrowski i jego syn Jan mogli dostrzegać za szybą niewyraźne kontury miasta.

- To tutaj – rzekł po rosyjsku taksówkarz.

Chrowski zapłacił, spojrzał z niechęcią na budynki, w których będzie musiał za chwilę być i wyszedł z Janem z taksówki.

Brama, ochroniarz, telefon i po kilkunastu minutach stali przed srebrną kapsułą. Chrowski milczał, Jan milczał, czas milczał, milczało wszystko wokół nich, milczało tak, że nawet cisza zastygła w bezruchu wokół nich na kilka sekund.

- Ilona – westchnął Chrowski. – Ilona, tak trudno patrzeć na ciebie z bliska. Byłaś, wciąż jesteś, a jednak cię nie ma.

- Tato, tęsknię za mamą. Wciąż tak tęsknię za jej głosem, ciepłem, za tym, że była koło mnie, a teraz jej nie ma i nigdy nie będzie.

- Nie mów tak. Ona jest, musi być – głos Chrowskiego się złamał na pół, prawie pękł. – Synu – Chrowski spojrzał Janowi w oczy – masz już szesnaście lat, jesteś prawie dorosły, musisz zrozumieć, że ja, moje życie zmieni się, gdybym został Prezydentem. Polityka to brud, który zaciera w człowieku to, co ma najlepsze. Ludzie, którzy decydują o innych ludziach, nie mają zasad, są źli, często okrutni, dla siebie, dla innych. I ja tego okrucieństwa się boję. Gdyby mi się coś stało, przyjdzie do ciebie mój adwokat, on wie co ma dalej robić. Poprowadzi cię właściwą drogą.

- Tato, o czym ty mówisz – Jan, jego oczy, jego twarz nagle się skurczyła w sobie.

- Gdybym nagle umarł, odłączysz mamę od tego sprzętu. Chcę być z nią razem, na tamtym świecie.

- Dobrze.

- Jednak na razie będziemy wierzyć, że Ilona wciąż jest wśród nas. Wiesz – Chrowski się zawahał – miałem sen.

- Jaki?

- Był koncert, dużo ludzi, na scenie szalał Hendrix, śpiewał „Hey Joe”, potem gdy zaczął palić gitarę, gdy tłum oszalał, gdy ludzie przestawali być ludźmi, zobaczyłem Ilonę, była tuż przy scenie. Nie widziała mnie, miała zamknięte oczy, śpiewała wraz z Hendrixem. Chciałem się do niej zbliżyć, popychałem ludzi, odpychałem ich od siebie, żeby dotrzeć do niej, dotknąć jej ciała, skóry, poczuć zapach jej włosów. I gdy byłem już blisko niej, Ilona wskoczyła na scenę, zaczęła tańczyć, a potem skoczyła ze sceny w tłum i tłum zaczął ją oddalać ode mnie. Nie mogłem do niej dotrzeć – Chrowski spuścił wzrok. – Nie mogłem do niej dotrzeć, nawet w śnie.

- To jakiś znak?

- Nie. To tylko sen, który mówi, że wciąż mi jej brakuje, zarówno tam, jak i tu.

- Sny są złudzeniem, że coś koło nas jest, choć tego tak naprawdę nie ma.

- Sen to dotykanie duszy, dotykanie tak bliskie, że aż prawdziwe.

Dotknęli kapsuły rękami, zostawili bukiet czerwonych róż i wyszli na zewnątrz. Przestało padać. Taksówkarz czekał przed bramą.

- Do hotelu – powiedział Chrowski.

I znów puste ulice, i znów obce twarze, i znów obcy, daleki świat.

Następnego dnia była słoneczna pogoda. Wyjeżdżali jutro, więc dzisiaj miało być takie, żeby jutro poczuli się lepiej.

Pływali motorówką po rzece. Wiatr, jego siła, drzewa przy brzegu, chmury nad nimi i myśli, które nagle zaczęły od nich uciekać, najpierw powoli, potem szybciej, na końcu niewidocznie, niezauważalnie, ostatecznie.

Potem lecieli balonem nad miastem. Widzieli dachy budynków, kościoły, stadion, parki, ulice, małe, duże, zaplątane, zagubione, bez żadnych szans na dotarcie do celu, do właściwego celu i chmury, tak dużo chmur widzieli tuż koło siebie. Prawie je dotykali rękami.

- Gdy jesteśmy na górze świat jest taki prosty – westchnął Chrowski. – Nie ma tajemnic, lęków, obaw przypisanych gonitwie na dole. Nie ma złudzeń, kłamstw, niechęci do tych, co żyją inaczej.

Niechęć nie istnieje wśród chmur, nie może istnieć wśród chmur. Niechęć to przywilej ziemi, nie nieba.

Gdy wylądowali poszli na kolację i do opery. Potem sen, niepewny, nerwowy, poszarpany i powrót do Krakowa. Gdy zbliżali się do miasta czuli, że wszystko teraz jest inne. Nie takie jak przed wyjazdem.

Siedzieli w Hotelu Starym na tarasie, pili piwo, zimne zmrożone szklanki odbijały światło dnia na wszystkie strony. I te popękane dachy kamienic, i te szorstkie ulice przepelnione małymi punktami, i te nierówne kominy, teraz nieczynne, martwe, bezużyteczne. I ten hałas miasta, hałas który przenika, który zniewala, który nie pozwala zapomnieć o sobie, nawet w nocy.

- Ile było porwań tych dzieci? – nagle spytał Chrowski, spytał tak, jakby to ktoś chciał porwać jego syna.

- Cztery – rzekł z lekkim lękiem Kaplica.

- Ktoś zginął?

- Nie. Tam chodzi tylko o pieniądze. Bogaci ludzie, okup i zapominamy o sprawie.

- Kiedyś ktoś może nie zapłacić. Przez gniew, przez dumę, przez ślepą wiarę, że ktoś inny może mu pomóc, bez udziału pieniędzy.

- Czasami chciwość przesłania człowiekowi rozsądek. A bogaci ludzie przeważnie są chciwi i wtedy może pojawić się problem.

- Śmierć to problem. A śmierć dziecka to poważny problem. A śmierć bogatego dziecka to wieczny, nigdy do końca nie ugaszony problem. Co robi policja?

- Nic. Szuka. Ludzie płacą, a oni wciąż szukają. Na razie nikt nie chce ryzykować. Wolą zapłacić.

- Teraz, kiedy zamierzam kandydować na Prezydenta, takie porwania to poważny problem. Policja węszy, ludzie węszą, wszyscy się boją. A strach to najgorsza rzecz, jeśli coś chcesz osiągnąć szybko, bez zbędnego rozgłosu. Musimy to załatwić sami.

- Chcesz odnaleźć tego porywacza?

- Chcę mu uzmysłwić, że to co robi, robi w złym miejscu, w złym mieście. Znajdź go.

- Znajdę. I co dalej?

- Wy tłumacz mu, że musi wyjechać z tego miasta. My potrzebujemy teraz spokoju.

- Dotrę do niego. Znam ludzi na mieście. Zawsze wiem więcej niż inni, przez to, że ci ludzie mi ufają. Ufają za pieniądze.

Czarny gołąb usiadł na krawędzi betonowego tarasu. Jego czerwony dziób mienił się w zanikających coraz bardziej promieniach słońca. Poruszał lekko skrzydłami, pokręcił lekko głową i odleciał. Wysoko, bardzo wysoko, aż do chmur.

Przez chwilę milczeli, patrzyli się obojętnie na zakrzywione kontury miasta. Teraz już dobrze je znali. Znali jego ciemne i jasne strony. Niewidzialne zakręty, które rządziły tym miastem w nocy.

- Mówiłeś coś, o kimś nowym? – nagle spytał Chrowski.

- Tak. To kuzyn Krępego. Były bokser.

- Będzie nam potrzebny?

- Tak. Taki człowiek nam się przyda. Zwłaszcza teraz, gdy musimy znaleźć tego porywacza.

- Ufasz mu?

- Krępy mu ufa. A ja ufam Krępemu.

- Zatrudnij go. Bokser? – zdziwił się Chrowski.

- Ciekawy człowiek. Rozmawiałem z nim długo. Mówił jak walczył, jak przegrywał, jak podnosił się do góry. Mówił o upadku, gdy coś u niego stwierdzili, gdy wygrał walkę o jakiś pas.

- Podniósł się?

- Najpierw pił, wszyscy się od niego odwrócili. Nie miał celu, wtedy boks był dla niego wszystkim.

- Coś się zmieniło?

- Teraz życie jest dla niego wszystkim, zakochał się. Ma po co żyć. Kobieta go zmieniła.

- Kobiety zmieniają mężczyzn. Najbardziej zmieniają tych niebezpiecznych.

- Sam sobie uzmysłowił, że życie na dole, z dala od innych, nie jest wystarczająco dobre, gdy ma się w sobie jeszcze jakieś uczucia.

- Udało mu się.

- Tak. Wrócił do sportu, gdy dyskwalifikacja się skończyła. Jeszcze walczył kilka lat. Coś wygrał, coś przegrał, ale na nowo uwierzył w siebie.

- Gdy naciśnie się odpowiedni przycisk w człowieku, człowiek jest tym, kim jest. Czasami to ktoś inny naciska ten przycisk, a czasami naciskamy go sami. On sam nacisnął ten przycisk, co może oznaczać, że jest silniejszy niż inni.

- Mówił o samotności w ringu. Setki ludzi, krzyki, owacje, emocje, a on sam w ringu. I ten strach, nawet nie strach przed bólem, który za chwilę się pojawi, lecz strach przed samotnością, która będzie nam towarzyszyć przez całą walkę. I ten ktoś po drugiej stronie ringu, ktoś, kto czuje to samo co my. Ktoś, kto się boi, zarówno samotności, bólu, przeciwnika. Takie rzeczy łączą ludzi na zawsze, łączą przeciwników niewidzialną rysą aż do śmierci.

- Taki ktoś nam się przyda.

- Wiem.

- Człowiek może być wolny, ale tylko wtedy, gdy tą wolnością zarazi go życie, gdy tą wolnością zarazi go los. On sam zaraził się tą wolnością.

- Poprzez sport, poprzez upadek, poprzez ból tego upadku w sercu.

- Każdy ma w sobie coś, co przeszkadza mu żyć, co wcale nie oznacza, że wciąż musimy żyć.

- Jutro popytam się ludzi na mieście, czy coś słyszeli o tym porywaczu.

- Doskonale – uśmiechnął się Chrowski.

- Załatwię to.

- Jeszcze po piwie?

- Tak – twarz Kaplicy się odprężyła.

- Nadchodzi noc – zamyślił się Chrowski. – Noc przepełniona alkoholem, to najpiękniejszy obraz jaki może powstać w oczach mężczyzny. Obraz nieznanego artysty, który jeszcze nie został odkryty.

Jechali przez most nad Wisłą. Po prawej stronie Wawel, Wawel duży, Wawel wzniosły, Wawel niezwykły. Skręcili w lewo. Droga wzdłuż torów tramwajowych, wzdłuż kamienic, wzdłuż Wisły jechali w kierunku Salwatoru. Pętla tramwajowa, skręt w prawo, pod górkę, drogą z kostek, drogą brukową. I te domy zapomniane przez czas, i te drzewa pamiętające przeszłość z dokładnością zegarmistrza, i te ogrody, te krzaki, te ogrodzenia mosiężne ze stali,

ogrodzenia, które czują więcej niż ludzie, którzy kiedyś tu żyli, kiedyś trwali, kiedyś chcieli żyć inaczej niż inni.

Zatrzymali się na bocznej, lekko zakrzywionej ulicy. Wysiedli z samochodu. Kaplica zapalił papierosa, jego ręce były spokojne, prawie zastygłe.

- To tamten dom – pokazał ręką stary, zniszczony budynek. – Wiecie, co macie robić?

- Tak – odparł ciężkim głosem Krępy.

- A wy? Rozumiecie wszystko?

- Tak – Czarny był skupiony, zamyślony.

- A ty Gołota, wszystko rozumiesz? Jesteś nowy, musisz się wykazać.

- Rozumiem – były bokser, blondyn, z ciężkimi rękami, z masywnymi ramionami, lekko kiwnął głową na dół.

- To idziemy – teraz szeptem, jakby do siebie rzekł Kaplica i wyrzucił prawą ręką papierosa na ziemię.

Cztery cienie cicho przemykały poprzez wieczór, poprzez lekko uśpione ulice. Furtka była zamknięta, przeskoczyli poprzez ogrodzenie. Stary ogród, połamane drzewa, krzaki zbyt duże, betonowa fontanna, teraz uśpiona, bez wody i ścieżka zamiast drogi. Szli w milczeniu. W starym domu, w dużym oknie, paliło się światło.

Kaplica wyciągnął broń. Odbezpieczył pistolet. Pozostali zrobili to samo.

- Będzie ich trzech. Działamy twardo – szepnął Kaplica. – Jeśli będzie taka konieczność, zrobimy to, co musimy zrobić. Wchodzimy.

Gołota kopnął drzwi, coś w nich pękło, coś w nich trzasnęło, coś złamało się w środku. Wpadli do dużego pokoju.

Dwóch mężczyzn przy stole piło wódkę, trzeci leżał na łóżku, spał. Gołota uderzył ręką tego niskiego, tego, który miał oczy pełne czerwonego przygaszonego żaru. Mężczyzna upadł na ziemię. Czarny kopnął nogą drugiego, tego wyższego, ten miał w oczach gniew, nienawiść. Trzeci się obudził, ale Krępy już przydusił go koczem.

Po chwili cała trójka była związana. Ich twarze, ich spojrzenia, ich niepewność wymieszana z gniewem, mieszały się z jakimś lękiem, z obawą, której nie mogli sobie w żaden sposób wytłumaczyć.

- Rozumiecie, dlaczego to się wszystko dzieje? – spytał Kaplica.

Była cisza, zastygła cisza. Cisza przepelniona buntem.

Kaplica uderzył niskiego mężczyznę w twarz. Na jego twarzy pojawiła się krew.

- Powtarzam po raz ostatni. Czy rozumiecie, dlaczego to wszystko się dzieje?

Znów milczenie. Znów cisza. Taka cisza, która nie była żadną odpowiedzią dla Kaplicy.

Nastąpił strzał z broni. Jego echo rozniosło się po całym domu, po kątach, które nie były już od dawna sprzątane. Krew pojawiła się na podłodze, a zaraz po krwi pojawił się lęk. Może krzyk, bardziej lęk niż krzyk.

- Rozumiecie?

- Tak – jęknął ranny mężczyzna. Jego noga dziwnie drżała.

- Wyjaśnię wam coś – Kaplica przyłożył broń do skroni niskiego mężczyzny. – To co robicie jest złe. Krzywdzicie dzieci, które potem już nigdy nie będą spały dobrze. Krzywdzicie ich rodziców, którzy potem zawsze będą już mieli lęk w oczach, gdy ich dzieci będą się spóźniać do domu. I krzywdzicie to miasto, które wciąż drży z gniewu, z obawy, że tacy jak wy niszczą jego harmonię, jego spokój. Jesteście hienami, nieudacznikami. Krzywdzicie słabszych za pieniądze. Gdyby to ode mnie zależało, już dawno byście nie żyli. Ale ktoś ma litość. Litość, jakiej ja nie jestem w stanie zrozumieć. Dostaniecie szansę, ostatnią szansę. Wyjedziecie z tego miasta i nigdy tu nie wróćcie. Jeśli kiedyś się tutaj pojawicie, razem lub osobno, zabijemy was. Zakopimy tam, gdzie nikt nigdy was nie znajdzie. Rozumiecie?

Znów cisza, znów drżenie rannej nogi. Następuje drugi strzał. Wysoki mężczyzna krzyczy. Jego ręka, prawa ręka w czarnej koszuli zaczyna krwawić.

- Tak, rozumiemy – trzeci mężczyzna, ten który wcześniej spał, zaczął mówić.

- Jutro opuścicie to miasto. Przeszkadzacie komuś w tym mieście. To miasto ma w sobie skupiać spokój, nie zwątpienie, nie strach. Powtórzcie głośno i wyraźnie. Rozumiemy.

- Rozumiemy – trzy głosy nierówno powtórzyły to samo słowo.

- Będziemy was obserwować. Nawet nie próbujcie tu zostać – powiedział twardo Kaplica.

Wyszli z domu. Minęli stary ogród. Wsiedli do samochodu.

- Gołota, ty zostajesz. Obserwuj dom. Jak opuszczą miasto, zadzwoń.

Gołota wysiadł z samochodu.

- Jeśli będziesz musiał, zastrzel ich – dodał Kaplica przez uchyloną szybę samochodu.

Zjeżdżali na dół. Już była noc, już były gwiazdy, już księżyc zaczął swój taniec namiętności.

- Jedź do mnie, tam się napijemy – rzekł, bardziej rozkazał niż rzekł, Kaplica.

Zanurzyli się w ciszę miasta. Taką ciszę, którą zburzyć może tylko mrok, taką ciszę, którą zburzyć może tylko świt.

Jechali dorożką wzdłuż Plant, jechali tak od godziny. Dorożkarz, ich stary znajomy, człowiek ze zniszczoną twarzą, ze smutnymi, trochę niespokojnymi oczami, był cierpliwy. Ta praca nauczyła go cierpliwości. Czekania na klientów, jeżdżenia z klientami i znów czekania na klientów. To był jego świat. Cierpliwy w swojej niecierpliwości los.

Chrowski trzymał w ręce whisky. Obok siedział Kaplica. Obaj już byli pijani.

- Bali się? – spytał Chrowski.

- Tak, bali się. Na początku nie wierzyli w to, co się wokół nich dzieje. Potem, po pierwszym strzale, coś do nich dotarło. Po drugim już wiedzieli, że coś się dla nich zaczyna kończyć.

- Jak Gołota? Sprawdził się?

- Tak. Jest cierpliwy, twardy, nieustępliwy. I posłuszny. Przyda się nam w przyszłości.

- Przyszłość to jest to wszystko, co teraz przed sobą widzimy – Chrowski spojrzał na Wawel, jechali właśnie ulicą Grodzką. – To miasto, te mury, te kamienice, te drzewa, ta droga z kamienia, to wszystko, to nic, będzie za chwilę nasze.

- Dlatego jeździmy dorożką po mieście?

- Tak. Chciałem się przyjrzeć z bliska temu, co za chwilę będzie nasze. Wiesz – Chrowski napił się kolejnego łyka whisky – ile taki urząd daje korzyści?

- Ile daje wolności – uśmiechnął się Kaplica. – Gdy oglądałem wiadomości, choć staram się ich nie oglądać, bo mnie brzydzą twarze polityków, wiem, że polityka to władza. A jak jest władza, to i są pieniądze.

- Władza – zaśmiał się Chrowski. – Władza to coś więcej niż pieniądze. To strach, taki strach, że ludzie się ciebie boją. To uzależnienie, takie uzależnienie, że rzeczy oczywiste tracą nagle swoje dobrze określone kontury i zarysy, zmieniają się, i ty zaczynasz w nich widzieć coś innego niż inni. Władza to inne postrzeganie świata. Władza to dążenie do siebie za wszelką cenę. Dążenie do tego, co masz w sobie najgorsze. I to cię najbardziej fascynuje we władzy. Zbliżanie się do siebie na zbyt bliską odległość. Na zbyt niebezpieczną odległość.

- Boisz się tego, co masz naprawdę w sobie? – Nagle spytał Kaplica.

- A ty?

- Boję się – Kaplica się na moment zawahał, a potem zaczął coś cicho mówić, jakby przed siebie, jakby w ciemność rysującą się tuż przed nimi. – Boję się, że jestem taki, jaki jestem w środku. Że nic tego nie zmieni, ani moje życie, ani rzeczy dobre, które mógłbym zrobić, a jednak ich nie robię. Boję się ciemności, która się pojawia, gdy zasypiam. Boję się snów, takich snów, które mówią coś więcej o mnie niż życie. Boję się ich konsekwencji w realnym świecie.

- Też masz takie sny, które nie pozwalają ci spokojnie oddychać w ciągu dnia?

- Tak. Wiem, że nie jesteśmy dobrymi ludźmi, ale też wiem, że nie jesteśmy tak do końca złymi ludźmi. A sny, obrazy z nocy mówią, że tak nie jest.

Wjechali na płytę rynku. Objechali Sukiennice, zatrzymali się przy Wierzyńku. Wysiedli. Dorożka odjechała. Popatrzyli się na Sukiennice.

- Dobrze, że są na świecie rzeczy trwałe – stwierdził Chrowski. – Takie rzeczy jak Sukiennice.

- Szkoda, że trwałość nie dotyczy ludzi – cicho jęknął, teraz już lekko upity, Kaplica.

- Jeśli stworzymy legendę, będziemy trwali jak te Sukiennice, nigdy o nas nie zapomną.

- Chcesz być nieśmiertelny?
- Chcę, żeby ludzie o mnie nie zapomnieli, zwłaszcza wtedy gdy mnie już nie będzie.

- Najbardziej pamięta się ludzi dobrych i złych. Więc, mamy szansę.

- Wchodzimy? – spytał Chrowski.

- Idziemy zacząć tworzyć legendę?

- Już jesteśmy legendą, zwłaszcza dla Komisarza Rawicza.

- Wchodzimy – stwierdził Kaplica i lekko pijanym krokiem wszedł pierwszy do Wierzyńka.

Mijali kolejne sale, pełne zastygłej przeszłości, mijali historię, która wisiała gdzieś niewidzialnie pod drewnianym sufitem. Czuli się dobrze w tym miejscu.

Usiedli przy małym stoliku na drugim piętrze, z widokiem na ulicę Grodzką.

- Proszę podać coś do jedzenia, coś, co sprawi, że nigdy nie zapomnimy tego wieczoru – rzekł Chrowski.

- I wino, dobre wino, najlepsze – rzekł ciepłym, prawie czułym głosem Kaplica.

Uciekłam od kręctw, podejrzeń, obłudy. Uciekłam od ludzi, którzy słowa, zdania, ich prawdziwy sens mają za nic. Uciekłam od ich marzeń, marzeń, które zawsze coś miały wspólnego z pieniędzmi. Adwokat, to brzmi tak dumnie, adwokat, to brzmi tak tragicznie, prawie groteskowo.

Zrezygnowałam z prawa, prawo zrezygnowało ze mnie. Zaczęłam projektować ogrody. Kolega miał firmę, kilku ludzi, chęci i pragnienie naprawiania świata, świata małych ludzi. Ja robiłam projekt ogrodu, on zmieniał ten ogród w coś, co nadawało sens życia innym ludziom.

Przysyłał mi zdjęcia, kręcił krótki film, a ja słuchałam co ludzie mówili, co chcieli mieć tuż koło domu. Często dzwoniłam do nich po kilka razy, cierpliwie słuchałam, to ważne, umieć słuchać ludzi, którzy mają inne marzenia niż inni. Potem był projekt, oni go akceptowali i powstawał całkiem nowy ogród.

Polubiłam tę pracę. Tworzyłam coś z niczego. Sprawiałam, że ludzie zaczynali się uśmiechać tuż po przebudzeniu, gdy podchodzili do okien.

Miałam aparat, dobry aparat, gdy czułam się zmęczona, wypłuta przez zbyt szybko upływający czas, jechałam za miasto i robiłam zdjęcia kwiatów na łące. Te kolory, te barwy, to nasycenie tak ściśle wymieszane ze sobą w jednym miejscu. Łąka – tęcza barw o bliżej nieokreślonym nasyceniu.

Zdjęcia kwiatów mi pomagały. Umiałam je łączyć ze sobą podczas projektowania ogrodów.

Spełniałam marzenia innych, i to było dla mnie ważne. Spełniałam marzenia innych, i to było dla mnie wyraziste. Bardziej wyraziste niż ludzie tuż obok mnie.

Plakaty, setki plakatów na mieście. I ta twarz, znajoma, a jednak odległa.

Tadeusz Chrowski, kandydat na Prezydenta Miasta Krakowa. Iwona Zakrzewska czuła się osaczona przez tę twarz. Całe miasto było oblepione tą twarzą. Wszystkie jej wspomnienia, złe wspomnienia związane były z tą twarzą.

Co mam robić, myślała. Zapomnieć, iść na policję, napisać list, anonimowy, do niego, że wie, żeby nie czuł się zbyt pewnie. Wciąż te rozterki, wciąż te małe zakłamanie w człowieku, w jego duszy.

Iwona weszła na mały rynek. Tłum ludzi, ktoś coś mówił do mikrofonu. Podeszła bliżej zaintrygowana. Zobaczyła go. Stał na małej scenie, dumny, jego pewny głos unosił się ponad głowami ludzi. Coś mówił o inwestycjach dla miasta, o ulgach dla mieszkańców, o mniejszych opłatach za wodę, śmieci, grunt. Obiecywał, tak wiele obiecywał. Jego węglowe oczy patrzyły się dumnie na twarze tuż przed nim. Przez moment jego wzrok zawiesił się na twarzy Iwony, Iwona poczuła dziwny dreszcz w sobie, niepokój, lecz po chwili jego wzrok znów był nieobecny, nieosiągalny dla innych, nieuchwytny.

Potem były zdjęcia z wyborcami, uśmiechy, uściski dłoni. Chrowski wsiadł do czarnego samochodu i odjechał.

Iwona poszła do wynajmowanego mieszkania. Wyszła na balkon. Ze szkoły muzycznej uciekała muzyka w kierunku chmur, dachów.

Czy kiedyś od niego ucieknę, pomyślała, czy kiedyś uwolnię się od wspomnień związanych z nim?

Wróciła do pokoju. Włączyła komputer. Zaczęła projektować ogród. Pracowała kilka godzin. Gdy skończyła wyłączyła komputer.

Włączyła muzykę, za oknem była noc. Zamknęła oczy. Poczuła, że jej myśli powoli zasypiają w środku. Odprężyła się, poczuła się wolna.

Tak naprawdę wolni jesteśmy tylko w snach, pomyślała.

A potem nie pamiętała już nic. Zasnęła.

Obudziła się w nocy. Rozłożyła łóżko, pościeliła je powoli, prawie sennie i wyszła na balkon. Popatrzyła się na gwiazdy, dzisiaj tak jasne, bardziej wyraźne niż zazwyczaj i poszła spać.

I tak zastał ją poranek, i tak zastał ją kolejny dzień. Snów nie pamiętała, pamiętała tylko wcześniejszy dzień i tę twarz, twarz, z którą musiała coś kiedyś zrobić. Z której kiedyś musiała się wyleczyć.

Pstrykała zdjęcia za miastem. Aparat cyfrowy, długi obiektyw, dobre wycucie ręki, czuła się szczęśliwa. Zdjęcia kwiatów, drzew, zarysy rzeki w oddali, strumień z bliska, te kolory w nim, te obrazy wodne, rozmazane, niezrozumiałe przez człowieka, takie inne, takie obce, takie odległe jak kosmos.

Weszła na skałę, znów zdjęcie. Lot ptaka wśród chmur. Los zawieszony pomiędzy czymś co jest, a czymś czego tak naprawdę nie ma.

Iwona popatrzyła się na zegarek. Pora wracać, pomyślała. Wsiadła do autobusu. Wysiadła przy dworcu. Już miała wejść w tunel podziemny, już miała Plantami, wzdłuż murów, wzdłuż drzew iść w kierunku domu, gdy go ujrzała na przystanku. Stał oparty jedną ręką o szklaną szybę przystanku, ciężko oddychał. Jego głowa pochylona była w kierunku ziemi. Ciemna karnacja skóry, prawie czarna, i te oczy, zagubione, przerażone, bezbronne.

Tłum ludzi obok. Tłum twarzy obojętnych. Każdy na coś czekał, każdy gdzieś uciekał.

A on chwiał się coraz bardziej. Jego nogi drżały, tak jak drżało całe jego ciało. Z oddali mogło się wydawać, że całe jego życie to nieustające drżenie o rzeczy, które dla innych są niewidoczne.

- Coś ci dolega? – spytała Iwona.

Mężczyzna coś chciał powiedzieć, ale z jego ust wydobył się tylko lekki oddech. Skrawek powietrza wyrwany na siłę przed siebie.

Zadzwoniła po karetkę. Pojawiła się szybko, nawet zbyt szybko. Okazało się, że lekarze akurat skądś wracali. Byli w pobliżu. Wzięli go na nosze. A on tylko z wdzięcznością spojrział Iwonie w oczy, zanim zniknął w karetce.

Kopernika, tyle zrozumiała, tyle chciała zrozumieć. Zanim odeszła popatrzyła się wyzywająco ludziom w oczy. Obojętność, pogarda, politowanie. Jego skóra, jego wyrok, pomyślała, zanim odeszła w kierunku szpitala.

Białe korytarze, dużo korytarzy. Dużo pytań, mało odpowiedzi. Wszechobecny smutek wymieszany z rezygnacją. Mało nadziei, dużo złudzeń.

W końcu go znalazła. Podpisał to, co musiał podpisać i wyszedł na zewnątrz.

Przez chwilę stali na ulicy, przez chwilę milczeli, przez chwilę patrzyli się obojętnie w niebo.

- Wszystko dobrze? – spytała Iwona nieśmiało, prawie szeptem.

- Tak. Jeśli chodzi o zdrowie, to tak.

- A jeśli chodzi o inne rzeczy?

- Jestem obcy, zawsze tu będę obcy. Jestem czarny, zawsze już tu będę czarny. Jestem inny, zawsze tu będę inny.

- Czasy się zmieniają.

- Czasy tak, ludzie nie.

- Długo tu jesteś?

- Dziesięć lat. Ostatnio jest gorzej, znacznie gorzej.

- Dlaczego? Co oznacza dla kogoś takiego jak ty, gorzej?

- Teraz są emigranci w Europie. To może oznaczać wszystko, to może oznaczać nic.

- Nawet śmierć?

- Śmierć może być wyznacznikiem koloru skóry w tych czasach.

- Dobrze mówisz w naszym języku.

- Nauczyłem się. Chodziłem do szkoły językowej. Pracuję, nie chcę niczego za darmo, nie tak, jak większość tych, którzy tutaj przyjeżdżają.

- Tutaj? – zdziwiła się Iwona. – Tutaj nie ma nic. W tym kraju są tylko złudzenia. Są tylko niezrealizowane marzenia.

- Tutaj oznacza Europę.

Poszli w kierunku Plant. Spacerowali wzdłuż starych drzew, wzdłuż hałasu metalowych tramwajów na ulicach miasta. Ktoś coś krzyczał, ktoś coś ukradkiem pił na ławkach, ktoś jechał na górskim rowerze. Miasto żyło, miasto czuło, miasto poruszało się niewidzialnie do przodu.

Usiedli na ławce przy Barbakanie. Ktoś grał na gitarze przy Bramie Floriańskiej. Słodka muzyka bałkańska zatrzymywała zagubione twarze na kilka chwil. Potem te chwile zmieniały się w minuty i ludzie odchodzili. Rozpływali się niczym duchy w tłumie.

- Przed czym uciekłeś? – spytała Iwona. – Wiem, że każdy przed czymś ucieka, ale ci, którzy opuszczają swój kraj, swoje marzenia, uciekają przed czymś, czego już nie da się niczym naprawić, przed czymś, czego nikt nie jest w stanie naprawić w tak krótkim czasie, jakim jest życie jednego człowieka.

- Afryka środkowa, czarny ląd, jak nazywają takie miejsca biali ludzie. Wojna, taka wojna, która nikogo nie dotyczy, a tak naprawdę dotyczy zwykłych ludzi. Ludzie umierają, nikt tego nie widzi, nie chce widzieć. Gdy nie posiadasz niczego ważnego dla innych, musisz zrozumieć, że nadszedł czas żeby umierać w samotności.

- I uciekłeś?

- Tak, uciekłem, gdy wszystko już straciłem, co mogło mnie zatrzymać w jednym miejscu.

- Jak masz na imię?

- Hakim.

- Iwona.

Iwona uśmiechnęła się. Jej oczy stały się dziwnie jasne. Hakim, dziwne imię, pomyślała.

- Coś ci powiem – Hakim spojrzał w jej oczy. Oczy tej kobiety coś mu przypominały, coś czego nie mógł do tej pory zrozumieć.

Oczy żółte, czasami mające przebłyski pomarańcza, oczy, które gdzieś wcześniej widział, gdzieś w przeszłości czuł koło siebie, kie-

dyś o nich zapomniał, ale to teraz wróciło, przecież musiało kiedyś wrócić, mimo pozornej niepamięci, mimo rozsądku rozumu.

- Co? – oczy Iwony jaśniały jaskrawą barwą żółtego koloru.

- Masz takie inne oczy – zamyślił się Hakim. – Oczy, które wskazują drogę, które gdzieś prowadzą, nawet wtedy, gdy droga jest rozmazana, prawie niewidoczna.

- Zawsze takie miałam.

- Nawet oczy mogą czasami wskazywać drogę, nawet oczy mogą czasami zatrzymywać czas.

Jego rodzina zawsze cierpiała biedę. Wszyscy wokół nich ocierali się o biedę. Gdy nie masz żadnych szans, nie szukasz innych szans. Hakim czuł, nawet był wtedy pewny, że tak właśnie wygląda życie. Że życie to walka, żeby jeść, że życie to walka, żeby pić.

Wokół nich, wokół miasta gdzie mieszkał, był tylko piasek, pustynia, dni gorące, noce zimne i słońce. Tak dużo słońca było wokoło nich. Gdy budził się, było słońce, gdy zasypiał, słońce zasypiało wraz z nim.

Ludzie mówili coś o górach, na granicy. Były wysokie, szczyty białe, poszarpane, przecinające niebo na kilka kawałków. Czasami Hakim myślał, że jego dusza wygląda jak te góry z opowieści ludzi. Jest biała, poszarpana, przecinająca jego życie na kilka kawałków, które nikt, nawet on, nie jest w żaden sposób poukładać.

I wtedy zaczęła się wojna, wojna która nikogo nie dotyczyła. Wojny, które nie dotyczą innych, zawsze dotyczą zwyczajnych ludzi.

Wojsko przejęło władzę. Zaczęły się walki. Żołnierze, czarne twarze w zielonych mundurach. Demony, czarne twarze w zielonych mundurach.

Kobiety cierpiały najbardziej. W każdej wojnie kobiety cierpią najbardziej. Wyzwalają w mężczyznach zło, którego nigdy nie wyzwoliłoby normalne życie.

Najpierw zginął ojciec ratując matkę. Potem zginęła matka ratując jego. I gdy myślał, że nie ma już nikogo, kto może zginąć, żeby ktoś inny mógł żyć, żeby ten łańcuszek mógł ciągnąć się w nieskończoność, a przynajmniej do nocy, żołnierze jeszcze panującej wła-

dzy, władzy, która za chwilę miała się skończyć, przestać istnieć, zaatakowali miasto.

W zgiełku, w hałasie, w chaosie Hakim uciekł. Miał wtedy trzy-nastcie lat. Coś słyszał o lepszym świecie, że można, że trzeba tam dotrzeć, ale to trudne, bardzo trudne, prawie niemożliwe, ale innym się udaje, może i jemu też się udać.

Poszedł do dziadka, który jeszcze żył. Znalazł go w ruinach miasta, w zasadzie na skraju miasta. Dziadek dał mu mapę, pokazał gdzie iść, czego unikać i dał mu wszystkie swoje pieniądze. Nie chciał iść z nim.

Stare drzewa zawsze umierają wraz ze starym światem. Tylko stara ziemia może przyjąć stare ciało w swoje ramiona. Tak wtedy powiedział mu dziadek.

I Hakim ruszył przed siebie. Trwało to dwa lata. Szedł nocą, szedł wtedy, gdy ciemność zataczała jasne kręgi na niebie.

Dotarł do morza, przepłynął je małą łódką, a potem z kilkoma innymi emigrantami dotarł do Polski.

Teraz tu żyje, pomimo tego, że inni często nie pozwalają mu żyć. Te spojrzenia, ten brak ludzkich uczuć, ta obojętność, gdy przechodzi ulicę na pasach. A przecież każdy chce żyć, pomimo tego, że nie żyje tam, gdzie powinien żyć. Gdzie powinien umrzeć. Gdzie narodziło się ciało, gdzie umrzeć powinno ciało.

Jednak naprawdę z całej tej drogi Hakim pamiętał dwa kolory, żółty i pomarańczowy.

Dziadek powiedział, że czasami coś nieznanego, niewidocznego prowadzi ludzi do przodu, gdy wydaje się, że nie można iść dalej do przodu. Ja zawsze już będę sam, powiedział wtedy Hakim. Sam, zaśmiał się dziadek, zaśmiał się, gdy Hakim zwątpił słowami w to sam, gdy powiedział, że bez rodziców zawsze już będzie sam. Sam, znów zaśmiał się dziadek. Nigdy nie jesteśmy sami na tym świecie, a już na pewno nie jesteśmy sami, gdy idziemy pustą drogą, która nie wiadomo dokąd nas zaprowadzi.

Hakim długo szedł przez pustynię. Brakowało mu wody, sił, nadziei. I gdy upadł po raz pierwszy zobaczył przed sobą szafirowego ptaka, który siedział tuż koło niego. I gdy podniósł swój wzrok zmęczony, upokorzony brakiem wiary, że kiedyś ta wędrówka się skoń-

czy, spojrzał w jego oczy. Te oczy, ich barwa, smak tej barwy w rozgrzanym powietrzu pustyni.

Chciał go dotknąć, jednak gdy wstał ptak zniknął. I tak było przez całą drogę. Ptak pojawiał się, gdy Hakim wątpił, gdy leżał na piasku i prawie płakał, choć nie miał już żadnych łez w sobie. Czasami wydawało mu się, że w żółtym oku szafirowego ptaka widzi matkę, a w pomarańczowym ojca, ale po chwili to wszystko znikało, gdy nagle zniknął ptak i nie pojawiał się nawet przez kilka dni.

Niekiedy widział go nad sobą, jak latał wśród chmur, jak krążył nad jego głową, gdy nagle zniżał swój lot.

A gdy było naprawdę źle, ptak siadał mu na głowie. Był taki lekki, jak puch, jak jedno małe piórko. Pachniał łąką, kwiatami, pachniał tym co określa radość i szczęście, ale tego szczęścia nie da wyrazić się słowami. Prawdziwego szczęścia nie da określić się słowami. Szczęście jest, albo go po prostu nie ma.

Gdy przeprawiał się przez morze, gdy był już prawie przy brzegu, jednak brzeg jeszcze nie był widoczny, określony, łódź zaczęła nagle tonąć. Było ich kilku. Łódź zniknęła, płynął na oślep tak jak inni, i gdy zaczęło brakować mu sił, gdy zaczął zanurzać się w głębie, zobaczył ptaka pod wodą. Zielona toń morza wymieszana z błękitem i oczy żółte, dające mu sygnały, żeby płynął wraz z nim. I płynął przez chwilę i wynurzył się wraz z ptakiem. Ptak siedział na pniu drzewa, połamanym, popękany jak cała jego droga.

Płynął do brzegu. Teraz ptak, gdy był jeszcze na morzu, fruwał nieustannie nad nim, jakby bał się, że zaśnie na zawsze na tej kłodzie drewna i będzie tak pływał po morzu, aż uschnie jak ten pień drzewa. I staną się jednością, i nikt już nie rozpozna, że Hakim to człowiek. Że gałęzie to kształt czegoś, co kiedyś mogło żyć, co kiedyś mogło istnieć. Że przeszłość wymieszana jest z teraźniejszością, że teraźniejszość wymieszana jest z brakiem przyszłości, dla teraz już tak bardzo zniszczonego drzewa, przesiąkniętego słoną tonią morza.

Hakim ostatni raz widział ptaka na plaży. Jego oczy mieniły się barwą żółtą. Jego dziób i skrzydła wskazały mu kierunek. I szafirowy ptak zniknął na zawsze. I wtedy Hakim zrozumiał, że to był jego duch opiekun. Że nie jest to tylko jego wyobraźnia. Że to jego dusza wyfrunęła z niego, zmieniła się w szafirowego ptaka i prowadziła go

wciąż do przodu. I wtedy Hakim zrozumiał, że dziadek miał rację. Nikt nie jest sam na tym świecie, nawet wtedy, gdy wydaje mu się, że jego życie nikogo tak naprawdę nie dotyczy. Że świat składa się z ludzi, którzy są dobrymi duchami. I tylko chodzi o to, żeby ich spotkać na swojej drodze, żeby oni spotkali nas na swojej drodze.

Iwona była takim duchem. Nawet miała takie same oczy. Duchy do nas wracają, pomyślał Hakim, wracają wtedy, gdy się ich najmniej spodziewamy.

Hakim otworzył oczy. Znow był z Iwoną na Plantach.

- Wierzysz mi? – spytał niepewnie.

- Wierzę – uśmiechnęła się Iwona, a jej oczy znow mieniły się różnymi odcieniami żółtego koloru.

Jesień, złote liście, żółte liście, czerwone liście, liście o kolorach nieznanych, zaplątanych. I to światło, światło które ociera się o nasycenie. Światło które zniewala, światło które pochłania.

Pstryk, jedno zdjęcie, pstryk, drugie zdjęcie. I kolejne.

Iwona podrzuca liście do góry, one przez chwilę tańczą w powietrzu, płyną. Pstryk, kolejne zdjęcie.

Wiatr przesuwa liście w nieznane strony. Znane tylko jemu. One bezwolnie, prawie nieświadomie poddają się temu ruchowi. Wiatr wie, że tylko nieznane jest ważne, wiatr wie, że tylko nieświadomość pozwala nam uciec od codzienności.

Iwona jest zadowolona. Dzisiaj miała dobre światło, dobry dzień na zdjęcia. Wraca Plantami do domu. Złote słońce przedziera się pomiędzy miedzianymi liśćmi na drzewach. Jesień to czas, gdy kolor złota pojawia się w oczach ludzi, pomyślała Iwona.

Wróciła do domu. Obiad, smaczny, szybki, przygotowany dzień wcześniej. Odprężający prysznic. Ciało zaczyna coś chcieć, czegoś pragnąć. To miłe, gdy ciało też czegoś pragnie, podobnie jak dusza, mówi Iwona do siebie. Potem dokładny makijaż, szminka czerwona na usta, złote kolczyki, perfumy o zapachu brzoskwini i wychodzi na miasto.

Zbliża się wieczór. Latarnie świecą dzisiaj tak jasno, tak przenikliwie, jakby chciały dotrzeć do ludzi jeszcze mocniej, jeszcze dokładniej.

Kamienice zaczynają powoli układać się do snu. Powoli zamykają oczy, powoli zaczynają odchodzić w nieznane.

Iwona schodzi krętymi schodami Pod Barany. Zamawia grzane wino, siada w kącie, tuż przy fortepianie. W tle słychać Grechutę. Piękne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy, Iwona śpiewa w myślach wraz z Grechutą, wraz ze swoją duszą.

Iwona zauważa siwą staruszkę. Siedzi samotnie przy lampce czerwonego wina. Staruszka ma czerwony szal na szyi. W jej oczach widać rezygnację.

Nie chcę być sama, samotność nikomu nie służy, nawet tym, którzy na tą samotność najbardziej zasługują, myśli Iwona.

Zapłątane miasto, zapłątane ulice, zapłątani ludzie. Tyle zaplątania jest w oczach ludzi. Tyle niepewności, tak myśli Iwona gdy grzane wino zaczyna docierać do jej duszy. Zaczyna ocierać się o nieświadomość.

Iwona patrzy się na zegarek, dochodzi dwudziesta. Wypija ostatni łyk grzanego wina i wychodzi na dziedziniec. Wchodzi w bramę i krętymi schodami idzie do góry do kina Pod Baranami. Pokazuje bilet, wchodzi do sali. Czuje klimat dawnych czasów, czasów, gdy kino było ważne, niezależne. Czasów, gdy kino było ucieczką od codzienności, nie tylko ucieczką od siebie.

Zaczyna się film. Iwona czuje, że ten dzień był wyjątkowy, czuje to jeszcze przed zakończeniem się tego dnia. To cudowne, myśli, gdy czujemy wyjątkowość jeszcze przed snem.

Mężczyzna, jeszcze młody, z jeszcze młodą żoną wraca do domu. W samochodzie panuje cisza, oboje są zmęczeni kłótnią, która przed chwilą się zakończyła. Oboje czują się zranieni, z tym, że mężczyzna mocniej. W radiu leci „The End” Doorsów.

Nagle z boku, z bocznej drogi wyjeżdża granatowe BMW, wymusza pierwszeństwo. Mężczyzna musi hamować, skręca gwałtownie w bok, żeby nie zderzyć się z BMW. Samochód uderza w drzewo. Mężczyzna wychodzi o własnych siłach z samochodu. Żona się nie rusza. Wyciąga ją ostrożnie z powyginanych bocznych drzwi. Doorsi wciąż śpiewają w szczątkach samochodu. Z silnika unosi się czarny dym. Mężczyzna odciąga kobietę jeszcze dalej. Kobieta wciąż się nie rusza. Samochód wybucha, zaczyna się palić.

Granatowe BMW zniknęło. Mężczyzna dzwoni po karetkę. Traci przytomność.

Potem jest pogrzeb. Żona umiera, a może już wtedy umarła, tuż przed pożarem, a może jeszcze wcześniej umarła, gdy się pokłócili, myśli mężczyzna.

Policja nie znajduje granatowego BMW. Mężczyzna jest wściekły, zaczyna szukać winnego na własną rękę. Chce wymierzyć sprawiedliwość samemu. Jeszcze nie wie co zrobi, gdy znajdzie tego kierowcę, boi się, że zrobi coś takiego, co zmieni nieodwracalnie całe jego życie.

Mężczyzna kupił inny samochód, tani. Nie wie, ile będzie mu służył. Nie wie, czy go będzie musiał zostawić, jak spotka tego mężczyznę. Tak naprawdę to niewiele wie teraz o swojej przyszłości. Nie wie na tyle dużo, żeby się martwić, nie wie na tyle dużo, żeby się czegoś już teraz bać.

Gdy jedzie przez las widzi siwego mężczyznę przy samochodzie. Stoi i płacze. Zatrzymuje się, pyta czy pomóc. Tamten pokazuje mu zabita sarnę. To nie pana wina, mówi mężczyzna. Nie chodzi o winę, odpowiada siwy mężczyzna, chodzi o ból. Jeżdżę tędy codziennie do pracy, a ta martwa sarna to moje trzecie zabójstwo w tym miesiącu. To straszne, płacze siwy mężczyzna. Ja tak bardzo kocham zwierzęta.

Mężczyzna odjeżdża. Siwy mężczyzna stoi na drodze i wciąż płacze, to widzi we wstecznym lusterku.

Czasami nieświadomie niszczymy to, co kochamy. To, bez czego nie możemy żyć, istnieć.

Mężczyzna przypomina sobie ostatnią kłótnię z żoną. Była całkiem niepotrzebna. Rozstali się pokłóceni. Czas tego nie cofnie. Nie cofnie tego już nikt, nawet życie.

Mężczyzna przypomina sobie ślub, a potem rozmowę z przyjacielem, gdy był bardzo pijany, po pierwszej ich kłótni. Tę pierwszą kłótnię najbardziej przeżył, późniejsze były już do zniesienia.

Żenimy się, żeby ktoś wziął odpowiedzialność za nasze życie, które już teraz nie jest doskonałe. Później stan niedoskonałości się pogłębia i ta odpowiedzialność staje się uciążliwa, prawie nie do zniesienia. I gdy to nie do zniesienia zaczyna pękać w środku, rozrywać się na drobne kawałki rozpaczy, ludzie się rozwodzą.

Tak rozmawiał po pijanemu z przyjacielem. On go rozumiał, żonaty był od sześciu lat. Był mądrzejszy o kilka lat zrozumienia.

Mężczyzna znajduje granatowe BMW. Czeka przed blokiem. Widzi kierowcę. Podchodzi do niego, pyta czy go poznaje. On mówi, że nie. Mężczyzna zaczyna mówić o drodze, o wypadku, zaczyna go szarpać. Ktoś wzywa policję.

Gdy mężczyzna z BMW leży na ziemi, gdy coś mówi o strachu, o panice, pojawia się policja. Policjant prosi o dokumenty. Najpierw sprawdza kierowcę BMW. Kierowca krzyczy, że chce złożyć skargę o pobicie. Nieuzasadnione pobicie, krzyczy poprzez zakrwawione usta.

Policjant sprawdza drugiego mężczyznę. Potem coś słucha przez krótkofalówkę i jego wzrok staje się zdziwiony, zakłopotany.

- Pana nigdzie nie ma – mówi zakłopotany.

- Jak nie ma?

- Nie ma pana nigdzie. Te dane dotyczą kogoś, kto zginął w wypadku samochodowym miesiąc temu. Pana nigdzie nie ma...

Film się kończy. Iwona wychodzi z kina. Milczy. Jest zawieszona pomiędzy dwoma światami. Jest tu, jest tam. Film to umiejętność przebywania w dwóch światach równocześnie, myśli.

Na rynku panuje noc. Noc ciemna, noc ciasna, noc prawie niezauważalna. Ludzie to duchy, które bezszelestnie przemieszczają się po granicach nocy. Granicach, które noc ustanawia, granicach, do których nas noc dopuszcza, żebyśmy nie zabłądzili w ciemności, w mroku.

Niedziela, cicha jesienna niedziela. Iwona mija ulicę Floriańską, tuż koło Bramy Floriańskiej, zaczyna oglądać obrazy wiszące na murach. Jakieś pejzaże, Kraków, Rynek, kobiety z czerwonymi parasolkami w parku, taki trochę styl francuski i akty kobiet, ale delikatne, subtelne, trochę jakby wycięte z rzeczywistości.

Kobiety wychodzą z kościoła po małych schodkach. Idą w kierunku ulicy Floriańskiej, plotkują, coś wspominają, może przeszłe, zatarte już teraz życie i nagle Iwona zauważa poruszenie tuż koło siebie. Przestaje oglądać obrazy.

Kobiety zaczynają klękać przed jednym z obrazów.

- To cud – szeptają jedna do drugiej.

Podchodzi do nich sprzedawca obrazów, jest lekko zdziwiony. Patrzy się na obraz Matki Boskiej, obraz przeciętny, nawet nie dobry, nie doskonały jak inne obrazy.

- Co się dzieje? – pyta zaciekawiony.

Kobiety klęczą, modlą się, jest ich coraz więcej, przechodnie zatrzymują się, patrzą się zdziwieni na mur obronny, na obraz.

- Cud! Prawdziwy cud!

Na obrazie jest Matka Boska, z jej prawego oka płynie czerwona łza. Łza, która uparcie ucieka przez drewnianą ramę na dół, w kierunku ziemi.

Sprzedawca cofa się zatrwożony, odchodzi od klęczących kobiet na bok. Inni klienci, inne spojrzenia, inne obrazy dla innych oczu. Jest w pracy, musi sprzedawać obrazy turystom.

Zbliża się noc. Kobiety wciąż klęczą, modlą się. Sprzedawca zbiera obrazy, podchodzi do obrazu Matki Boskiej. Chce go wziąć, schować, ukryć przed obcymi oczami. Podnosi się szum, raban, złe spojrzenia ranią jego oczy.

- Musicie go kupić, jeśli ma tutaj zostać – mówi sprzedawca.

Kobiety, niczym w kościele, robią zrzutkę, ofiarę, wrzucają pieniądze do kapelusza. Jedna z nich podnosi się z kolan, bierze kapelusz i daje pieniądze sprzedawcy.

- Sprzedawać Matkę Boską to grzech – mówi z nienawiścią w oczach.

Sprzedawca oddala się. Czuje się zraniony, poniżony.

Zapalają się świece, zaczyna się czuwanie.

- Będziemy się zmieniać – mówi jedna z kobiet. – Obrazu nie można ruszać. To święte miejsce, święty obraz.

Inne kobiety potakują, rozumieją, nie wszędzie człowiek ociera się o cud. Cud dotyczy tylko nielicznych, wybranych.

Iwona odchodzi. W oddali widzi cicho tłące się świece.

Następnego dnia Iwona wraca. Ludzi jest coraz więcej. Modlą się. Widać telewizję. Ktoś z kurii też przyszedł. Zastanawia się, co z tym wszystkim zrobić. Znów noc, znów nocne czuwanie.

Dwa dni później ktoś mówi o cudzie. Pierwszym, jeszcze nieudokumentowanym. Kobiety to rozumieją. Jest obraz, jest cud.

Tylko sprzedawca jest niezadowolony. Za dużo ludzi. Ciężko sprzedać jakiś obraz.

Którejś nocy, w zasadzie nad ranem, Iwona budzi się. Nie może spać. Coś ją ciągnie w kierunku obrazu, w kierunku kobiet modlących się z taką zawziętością, jakby modlitwa była ich celem w życiu, nie samym życiem.

Iwona jest już przy murze. Liście jesienne tańczą na tle wiszącego obrazu. Złoto, brąz, czerwień ocierają się o twarz Matki Boskiej. Iwona podchodzi do muru, dotyka obraz lekko ręką.

- Nie wolno! – ktoś prawie krzyczy poprzez modlitwę. – To świętokradztwo! Obraz mogą dotykać tylko wybrani!

- Czyli kto? – pyta Iwona.

- Wybrani – kobieta złym spojrzeniem karze Iwonę.

Iwona wraca do domu. Zasypia przy otwartym oknie. Jeszcze nie jest zimno, choć to jeszcze nie dzień, nie noc, coś pomiędzy ciemnością a jasnością.

Iwona niesie swój obraz w rękach. Obraz, który namalował jej znajomy. Na obrazie mężczyzna z pistoletem mierzy w kierunku innego mężczyzny. W kierunku mężczyzny klęczącego. Za nimi jest morze. To obraz jej przeszłości, złej przeszłości.

Iwona idzie przez łąkę pełną kwiatów. W oddali widzi dużą górę z diamentu. Zbliża się do tej góry. A diament, diament wielki jak góra, mieni się kolorami czerwieni, zieleni, a na szczycie jest cały przeźroczysty, prawie biały.

Iwona słyszy głos w sobie. Głos ciepły, znajomy, czuły. To głos Matki Boskiej. Idź na samą górę, pokaż obraz, zmierz się z przeszłością. Kto mierzy się z przeszłością, zawsze mierzy się z własnym życiem.

Gdy Iwona podchodzi do diamentu, słońce zaczyna odbijać się od jego powłoki, szklanej powłoki. Iwona widzi, że diament to tak naprawdę wielki budynek, prawie biurowiec. Wchodzi diamentowymi schodami do góry. Mija diamentowe pokoje, meble, diamentowe drzwi. Widzi diamentowe postacie przy diamentowych biurkach.

Dochodzi na sam szczyt, a tam wielki diamentowy apartament. Przy ogromnym biurku, tyłem do niej, siedzi diamentowy mężczyzna. Iwona wchodzi, zamyka zielone diamentowe drzwi. Tylko nieliczni mają diamentowe życie, myśli Iwona.

Diamentowy mężczyzna odwraca się. Iwona odruchowo pokazuje mu obraz. To ty, mówi mężczyzna, a jego diamentowa postać zaczyna się kruszyć, rozpadać. Czekałem na ciebie, powiedział diamentowy mężczyzna, zanim cała jego postać zmieniła się w diamentowy puch.

Iwona budzi się. Jest dzień. Słoneczny, jesienny dzień. Iwona idzie pod Bramę Floriańską. Kobiety modlą się tak zażarcie, tak uparcie, jakby od tej modlitwy zależało życie całego świata.

Ktoś z kurii ściąga delikatnie obraz.

- Musimy go powiesić w kościele, zanim przyjdą mrozy.

Ksiądz, gdy trzyma już w rękach obraz, patrzy się zdziwiony na ścianę, na cień ściany, muru, gdzie wisiał przed chwilą obraz. Podchodzi do muru bliżej, dotyka szorstkiej ściany. Na jego prawej dłoni zostaje czerwony kolor. Dotyka ręką obrazu, od tyłu. Ta sama czerwień, ten sam ból rodzi się w jego sercu.

- To zaciek z muru – mówi cicho, prawie z lękiem do kobiet. – To nie jest cud. To nie są łzy Matki Boskiej. To zaciek, który pozostał się przez płótno i uciekł poprzez płacz Matki Boskiej.

Kobiety wstają z kolan, podchodzą do obrazu. Dotykają go rękami. Prawie z lękiem, z obawą.

- To był cud, chwilowy – mówi jedna z kobiet i odchodzi z nadpaloną jeszcze świecą do domu. Inne podążają wraz z nią.

Iwona patrzy się na księdza. Stoi samotny z obrazem.

Tak niewiele trzeba, żeby stracić wiarę, resztki wiary w siebie, myśli Iwona, odchodzi.

Komisarz Rawicz stał na ulicy Św. Marka tuż przy Plantach. Czarny garnitur, czarna koszula, czarne buty, tylko krawat był w kolorze ciemnego popielu.

Zastanawiał się, czy mężczyzna przyjdzie, czy wprowadzi go do klubu. Informacje wyciągnął od bogatego biznesmena, który miał coś na sumieniu. Bogaci ludzie zawsze mają coś na sumieniu, ten

miał więcej, więc więcej też mówił. Zadzwoił, umówił go na spotkanie.

Czy mężczyzna przyjdzie? To było podstawowe pytanie. Jego ludzie, ludzie Komisarza, byli obok. Krążyli gdzieś w tle. Nawet Komisarz Rawicz ich nie widział. To dobrze, że są niewidoczni, pomyślał Rawicz.

Ktoś dotknął go w ramię.

- To pan? – spytał elegancko, nienagannie ubrany mężczyzna. Mężczyzna wysoki, o dumnym, pewnym siebie spojrzeniu.

- Tak, to ja – uśmiechnął się Komisarz Rawicz.

Weszli na dziedziniec kamienicy.

- Proszę to nałożyć na oczy.

Czarna opaska zasłoniła cały widok kamienicy. Zapanowała ciemność w oczach Komisarza Rawicza. Ciemność niepewna, ciemność przepełniona zakłopotaniem. Nigdy nie czuł się tak bezwolny, tak skazany na drugiego człowieka. Obcego człowieka.

Mężczyzna delikatnie zakreślił nim. Raz w prawo, potem kilka razy w lewo. Gdzieś weszli. Przeszli przez jakieś drzwi, kolejny dziedziniec, znów brama, tylko to mógł wyczuć Komisarz Rawicz. Potem schody, woń stęchlizny, cichy pisk szczurów, jakaś żarówka syczała w tle za plecami, zgrzyt metalowych drzwi. Zgrzyt pierwszy. Znów korytarz, chyba ciemny, mroczny, niebezpieczny. Nad nimi, gdzieś w oddali przejechał tramwaj. Jakiś samochód uderzył o inny samochód. Z dołu świat wygląda inaczej, pomyślał Komisarz Rawicz, bezpieczniej. Następne drzwi, zgrzyt metalowego zamka. Skręt w prawo, potem w lewo, tunel. Tunel donikąd i kolejne drzwi.

Ktoś ściągnął mu opaskę. Przez chwilę oczy Komisarza Rawicza widziały, tak jak jego myśli – mrocznie. Potem ruszyły do przodu, przed siebie.

Jasny bar, tęcza kolorów, butelek i wysoki barman.

- Poproszę o kartę.

Rawicz oglądał ściany. Były kolorowe, zbyt jasne jak dla niego.

- Dziękuję. Zasady są takie, może pan być tutaj ile zechce. Zapłacił pan za wejście, nie za wyjście. Kolorowe butelki to dobre, sprawdzone narkotyki, niedostępne na normalnym rynku. Są różne sale, różne są w nich doznania. Coś pan potrzebuje, zielony przycisk. I to tyle – uśmiechnął się barman. – Miłej zabawy.

Rawicz popatrzył się na błyszczący rząd kolorowych butelek. Miały różne kształty, różne zawartości.

- Polecam fioletową – powiedział barman. – Na początek.

Komisarz Rawicz usiadł przy barze. Powoli zaczął pić fioletowy płyn. Cicha muzyka, prawie bezszelestna w tle. Nagle coś poczuł w środku. Pierwsze wspomnienia zaczynały wracać do jego głowy. Wspomnienia o których zapomniał, chciał zapomnieć.

Wstał z krzesła. Wyszedł z sali. Pustka na korytarzu. Taka pustka, która przeraża, która nigdy nie wyzwala. Kilka kroków. Stał. Narkotyk działał spokojnie. Na początek był dobry.

Pierwsza sala. Pełno ryb wokół, w szklanym labiryncie. Te kolory, te ich spokojne ruchy, ruchy, które uspokajają, zarówno ciało jak i duszę. Po chwili Komisarz Rawicz czuł się jak ryba, trochę jak ryba drapieżnik.

Mam pracę, która zmusza mnie do przebywania wśród drapieżników. Nieświadomie sam w końcu staję się drapieżnikiem. Ci, którzy nieustannie przebywają wśród drapieżników, kiedyś w końcu sami stają się drapieżnikami. Jeśli nie dla innych, to dla siebie.

Komisarz Rawicz dotykał szklanych szyb, dotykał ryb. Wydawało mu się, że czuje ich ruch, ich myśli, ich niespokojne drżenie ciał. Nawet czuł smutek ryb, które wydawały mu się niebezpieczne. Niebezpieczni ludzie, mają niebezpieczne myśli, niebezpieczny smutek. Smutek, który zabija najpierw ich, potem innych, pomyślał.

W końcu Komisarz Rawicz poczuł, że musi wyjść z tej sali. Kolejny korytarz, w czerwonym świetle rozjaśniony. Popatrzył się na telefon. Nie ma zasięgu. Znajdą mnie kiedyś, pomyślał. Muszą mnie znaleźć. Gdy aresztujemy tych ludzi, w końcu dotrę do tego Chrowskiego. Czuję, że to on. Jeden jego błąd, jeden mały sekret ukradziony, zostawiony niepotrzebnie w domu przez pychę i on, Komisarz Rawicz go ma. Na razie Chrowski jest odległy, bezpieczny. Ale on się do niego zbliża. Dotyka jego myśli. Komisarz Rawicz czuje podświadomie, że Chrowski zaczyna o nim coraz częściej myśleć. Coraz mocniej jego nazwisko pojawia się w snach Chrowskiego. Wypala piętno, niewidzialny znak w jego duszy, w nocy. To co pojawia się coraz częściej w nocy, w snach, oznacza, że za dnia będziemy musieli kiedyś się z tym zmierzyć. I to jest nieuniknione. Wyzna-

czone przez czas, który niczym klepsydra zbliża się do nas nieubłaganie.

Lasy, tak dużo lasów przenikało półmrok w kolejnej sali. Oprócz niego były tam dwa kształty, dwa cienie chwytające łapczywie pulsujące wiązki światła.

Tęcza kolorów zaczęła przenikać ciało Komisarza Rawicza. Jasne płomienie, niczym rentgen, docierały tam, gdzie jego myśli nie mogły nigdy dotrzeć.

Dzieciństwo, przykre, upokarzające, i ten dom dziecka, gdzie mały człowiek musi tak uparcie walczyć o swoją godność, o siebie. Śmierć przyjaciela, śmierć, która zostawia w duszy piętno na całe życie. I potem policja, praca w policji, szukanie ludzi, którzy chcą zniknąć, zapomnieć o sobie. Zapomnieć poprzez zło, zapomnieć poprzez skutki tego zła w prawdziwym życiu.

Komisarz Rawicz zaczął tańczyć. Rozłożył ręce na boki. Czuł się szczęśliwy. Pomimo tego, że był w pracy, był szczęśliwy. Czy szczęście zawsze musi oznaczać nieznane, niedozwolone? pomyślał.

Na tle wiązek światła zobaczył twarz Chrowskiego. Całe miasto było oblepione jego twarzą. Był widoczny wszędzie, był widoczny nigdzie. Druga tura, zostało ich dwóch. On i prezydent obecnie rządzący. Miał szanse, duże szanse. Potrafił mówić do ludzi to, co chcieli od niego usłyszeć. Potrafił słuchać, słuchać tak, że nikt nie zauważał, że nikogo nie słucha. Miał program, taki program, który sprawiał, że ludzie chcieli w coś wierzyć, w niego wierzyć. Był człowiekiem znikąd, a wydawał się człowiekiem stąd.

Komisarz Rawicz spojrzał w telefon. Jasne światło mówiło, wręcz krzyczało, brak zasięgu.

I wtedy, gdy chował telefon do kieszeni spodni, i wtedy, gdy czuł, że szczęście powoli zaczyna od niego odchodzić, odchodzić niezauważalnie, trochę bezmyślnie, właśnie wtedy usłyszał huk, wybuch, może huk wymieszany z wybuchem, mury zadrżały, bardziej piwnice niż mury, coś zaczęło się sypać z sufitu, może pył, może dym, może jakaś sadza wymieszana z tynkiem.

Ktoś krzyczał, ktoś płakał, w podziemiach zapanowała ciemność. Żadne światło nie dotykało już twarzy Komisarza Rawicza.

Ktoś dotknął go w ramię. Jakiś przygaszony cień.

- Żyjemy – usłyszał cichy głos koło siebie.

- Tak – Komisarz Rawicz wstał z kolan.
- Co dalej? – głos daleki, głos chropowaty drżał z oddali sali.
- Musimy znaleźć wyjście – rzekł Komisarz Rawicz.

Drzwi, skąd przyszli, były zawalone. Tylko gruz, tylko nierówne, rozmazane w mroku ruiny.

- To koniec – rzekł głos chropowaty, głos bez twarzy, głos bez uczuć.

- Nigdy stąd nie wyjdziemy – dodał głos cichy, głos niosący w sobie niepewność, zwątpienie.

- Nawet nikt nie wie, że tutaj jesteśmy – trzeci głos zbliżał się do nich nieubłagane, niczym zjawą, niczym duch.

- Drugie wyjście – Komisarz Rawicz skierował się do kolejnych drzwi, wymacał szczelinę i rzekł. – Tędy.

Trzy cienie, na kolanach, w milczeniu, takim milczeniu, które oznaczać może tylko niepewność, nawet śmierć, ruszyły za Komisarzem Rawiczem.

Gdy wyszli na korytarz, stanęli. Oczy Komisarza Rawicza zaczęły rozpoznawać kształty, właściwie brak kształtów koło nich.

Komisarz Rawicz włączył latarkę w telefonie. Cisza, która odbijała się od ścian, pokazała Komisarzowi, że nie mają już żadnej drogi powrotu.

- Co robimy? – głos chropowaty odbił się od zawalonych murów.

- Czekamy – odpowiedział Komisarz Rawicz.

- Na co?

- Na to, co jest nam przeznaczone – westchnął głos cichy. – A przeznaczona jest nam ciemność. Ciemność, która może nie mieć końca, czasu.

Komisarz Rawicz wyłączył latarkę.

- Musimy oszczędzać światło. Znajdą nas – rzekł bez większej wiary.

- Tak, czy inaczej nas znajdą. Jednak czy wtedy jeszcze będziemy żyli.

Nikt nie skomentował tego zdania. Być może ostatniego sensownego zdania w ich życiu.

Przestali rozmawiać. Każdy zamknął się w swoim świecie. W świecie przepelnionym ciemnością.

Popadli w jakiś dziwny letarg. Czuli tylko swoje oddechy obok. Byli jak nurkowie w wodzie, nurkowie, którzy zanurzyli się zbyt głęboko, i teraz nie wiedzą jak wrócić do światła na górze.

Po kilku godzinach, może dniach, może jednym dniem, lecz niepełnym, stracili rachubę czasu.

Czasami wydawało im się, że coś słyszą na górze, zaczynali wtedy krzyczeć, lecz po kilku takich krzykach bez celu, nie mieli już siły, ani wiary, żeby krzyczeć na nowo.

- Oszczędzajmy siły – rzekł cicho Komisarz Rawicz. – Tragedię przeżywają ci, którzy potrafią oszczędzać siły za wszelką cenę i ci, którzy potrafią wierzyć, że mogą oszczędzać siły aż do końca.

Skulili się niczym gołębie w ziemie i czekali. Była noc, może był dzień, a może nie było już nic, bo byli gdzieś pomiędzy, pomiędzy tym co jest, a tym co może być, co musi nadejść niewidocznie, nieuchronnie.

Tak wygląda śmierć, pomyślał Komisarz Rawicz. Śmierć to czekanie na coś, co będzie, a jeszcze tego w nas nie ma. Śmierć to dotykanie duszy, która za chwilę uniesie się gdzieś wysoko, wraz z nami, wraz z całą naszą świadomością i lękiem, że teraz już nigdy nie zobaczymy ziemi, nie zobaczymy twarzy, które coś dla nas kiedyś znaczyły, a za chwilę nie będą już znaczyć nic, uciekną w zapomnienie. Śmierć to zanurzanie się w smutku, że już nigdy nie będziemy tacy sami jak dotychczas. Że już nigdy nie zrobimy rzeczy, które chcieliśmy zrobić kiedyś. Że już nigdy nie pokochamy w nas tego, co chcieliśmy pokochać kiedyś, gdy już będziemy mieli czas dla siebie, nie tylko dla innych. Śmierć to modlitwa duszy za utraconym ciałem.

Jaskinie, duże, ogromne, jaskinie zanurzone gdzieś pod ziemią w ciemności. A w nich jeziora, dużo jezior podziemnych, połączonych ze sobą mrokiem.

Komisarz Rawicz płynął małą, drewnianą, trochę rozklekotaną łodzią. Dwa wiosła cicho zanurzały się w zimnej, prawie mroźnej wodzie.

Jezioro było duże, wilgotne, nienaturalnie obce ludzkiemu spojrzeniu. Powietrze w jaskini było chłodne, zimne. Nad jeziorem unosiła się gęsta mgła.

Komisarz Rawicz płynął niepewnie przed siebie, posuwał się do przodu prawie po omacku. Wiosło prawe, wiosło lewe. Łódź przebiła mgłą niczym nóż masło.

Mgła się rozrzedziła. Komisarz Rawicz zobaczył brzeg, na nim wysokiego mężczyznę, który stał odwrócony do niego plecami. Obok mężczyzny stała duża sztaluga, a na niej stał obraz w drewnianej ramie.

Komisarz Rawicz dopłynął do brzegu. Słońce przebiło się przez szpary skał i rozświetliło słabo jaskinię.

Komisarz Rawicz wysiadł z łodzi, podszedł do mężczyzny, spojrzał na obraz. Obraz przedstawiał jakąś twarz, na tle zabytkowego rynku. Obraz był prawie skończony. Mężczyzna pędzlem nakładał ostatnie warstwy olejnej farby. W lewej ręce trzymał drewnianą paletę.

Komisarz Rawicz stanął za mężczyzną. Mężczyzna malował dalej. Ta twarz, te węglowe oczy, te zimne spojrzenie, te szerokie brwi. To był Tadeusz Chrowski na rynku, tuż przy Kościele Mariackim, tuż obok pomnika Mickiewicza. Coś mówił do tłumu, coś tłum mówił do niego.

Komisarz Rawicz zaczął biec wzdłuż brzegu. Zobaczył drugi staw, może jezioro podziemne, raczej jednak staw. A w nim kolejna łódź, też stara, też zniszczona przez czas.

Światło zaczynało odbijać się od granatowej toni jeziora. Komisarz Rawicz znów zaczął płynąć. Mgła się rozrzedziła, uciekała gdzieś do góry. W oddali Komisarz Rawicz zobaczył kolejny brzeg. A na nim kilka postaci. A na nim, tuż przy tych postaciach sztalugi, obrazy. Każda z tych postaci coś malowała, coś tworzyła, od czegoś uciekała.

Wysiadł na brzegu. Pierwszy obraz, znów Chrowski, tym razem na plakatach, w całym mieście. I te jego ręce skierowane do góry, może przed siebie, a może to były ręce które czegoś pragnęły, do czegoś dążyły, coś ukrywały.

Podszedł do drugiego malarza. Chrowski na Wawelu. Na dziedzińcu zamku, za murami, na niebie, rysowała się korona z chmur. Gwiazdna tęczowa korona.

Trzeci obraz był, raczej stał niż był, na samym końcu brzegu. Prawie zastygł tuż przy krawędzi skały. Milcząca postać kończy

swoje dzieło. Chrowski w szklanej bryle, na samym szczycie szklanej, diamentowej bryły. Słońce odbija się od diamentowych ścian. Zanika w ich przestrzeni, łamie swoje kontury i kształty.

Komisarz Rawicz stoi zakłopotany na brzegu. Patrzy się na stojące postacie. I nagle coś zauważa, zauważa coś, co go zaczyna przerażać powoli, i ten strach niezauważalnie zaczyna docierać do myśli Komisarza Rawicza.

Mężczyźni, każdy z nich razem, każdy z nich osobno, nie mają twarzy. Nie mają w sobie nic co określa życie, nie mają w sobie nic co określa wartość tego życia w nich.

Komisarz Rawicz budzi się z odrętwienia, z letargu. Słyszy głosy tuż nad sobą. Widzi mury, ciemność, mrok. A więc wciąż jest w piwnicy, a te obrazy to ucieczka jego rozumu od prawdy, od beznadziei. Może od jakiejś odpowiedzi.

- Są! – Komisarz Rawicz słyszy głosy tuż nad sobą. – Tutaj są jacyś ludzie!

Po chwili znów traci przytomność. Jednak teraz już nie śni mu się nic. Jego sny, raczej brak snów w nim, są zmęczone, umęczone życiem jak on.

Białe ściany, biała pościel, białe życie tuż koło niego. Biała, niewidzialna muzyka w tle.

Komisarz Rawicz otwiera oczy, widzi jasność koło siebie. W końcu widzi jasność w sobie, poza sobą.

- Gdzie jestem? – pyta zmęczonym głosem.

- W szpitalu – biała rozmazana postać mężczyzny odpowiada mu cicho, prawie szeptem.

Komisarz Rawicz znów zamyka oczy. Ucieka.

Po kilku takich ucieczkach dochodzi do siebie. Potem zaczyna chodzić, najpierw powoli, potem szybciej i jeszcze szybciej. Pośpiech powolny, pośpiech niespieszny.

Komisarz Rawicz siedzi na szpitalnym korytarzu. Ktoś do niego podchodzi, to Walczak, jego podwładny.

- Jak zdrowie? – pyta Walczak.

- Coraz lepiej – Komisarz Rawicz wzdycha do siebie. – Ile czasu tu jestem?

- Pięć dni. Ciężko było was znaleźć. To był wybuch gazu. Naruszył piwnice, mniej mury.

- Czyli dalej nic nie wiemy, nie mamy żadnych dowodów.

- Jest tutaj coś, raczej ktoś, kto cię może zaciekawić.

- Kto?

- Wstań, coś ci pokażę.

Idą wzdłuż szerokiego korytarza. Na nim, na jego podłodze mienią się małe czarno-białe posadzki. Budynki szpitala są stare, jednak nie tak do końca zniszczone. Zatrzymują się przy wejściu do dużej sali.

- Popatrz, kto tam leży – mówi Walczak.

Komisarz Rawicz zauważa na końcu sali mężczyznę. Rozpoznaje twarz.

Odchodzą dalej. Siadają na ławce. Na drewnianej, brązowej ławce bez oparcia.

- To Kaplica – mówi ciężkim głosem Komisarz Rawicz.

- Tak.

- Co tutaj robi?

- To co ty, leży.

- Nie rozumiem. Leży na co?

- Na to, co ty. Też był w tym klubie. Znaleźliśmy go koło baru. Obok niego leżały kolorowe butelki. Pił je, dlatego przeżył. Barman, który leżał obok niego, zmarł.

- Jaki jest jego stan zdrowia?

- Stabilny. Wiesz, co mówił?

- Coś w ogóle mówił, wygląda na trupa.

- Raczej bredził, niż mówił. Może działały jeszcze narkotyki, które wciąż miał w sobie.

- Co mówił, bredził? – szybko poprawił się Komisarz Rawicz.

- Teraz możemy wszystko. Wszystko jest nasze. Wygramy. Przetargi, duże pieniądze, władza. Będziemy królami tego miasta. To właśnie mówił. Raczej bredził, niż mówił.

- Kaplica. Człowiek ulicy. Człowiek naznaczony złem tego świata. Miasta.

- Wiesz, kto go odwiedza?

- Kto?
- Tadeusz Chrowski. Kandydat na Prezydenta tego miasta.
- Chrowski?
- Tak. Teraz jego bredzenie ma jakiś sens, jakieś znaczenie.
- Chrowski. Czuję, że to on. Wiem, że on też wie, że ja wiem.

Komisarz Rawicz poczuł się słabo. Coś zaczęło mu pływać przed oczami. Jakieś kropki, jakieś białe plamy.

Gdy był już w łóżku poczuł się lepiej. Przykryli go białą pościelą. Gdy zasypiał jego twarz się uśmiechała. Gdy zasypiał jego oczy miały barwę radości, miały smak i zapach nadziei.

Pokój, duże przejrzyste okno, trochę przybrudzone sadzą miasta i dwie osoby, jedna stoi, milczy, patrzy się w okno, druga siedzi, wygląda jak skulony ptak w zimie, ptak, który stracił nadzieję, że uda mu się przeczekać noc, oszukać ciszę.

Komisarz Rawicz spogląda w niebo. Mgła, tak dużo mgły jest w tym mieście, tak dużo rys, pęknięć, które ta mgła zakrywa, myśli Komisarz Rawicz.

W oddali, nad dachami kamienic, nad kominami, latały czarne gołębie. Były prawie niewidzialne, rozmazane, prawie niewidoczne we mgle. Wyglądały jak małe duchy wpuszczone przez niewidzialne drzwi do tego świata. I tylko jakaś niewidoczna nić łączyła je z przeszłością, ze skrawkami tej przeszłości w ich rozpaczliwym wołaniu poprzez mgłę.

- Gdy wychodził ze szpitala, przed bramą wjazdową czekał na niego czarny samochód – cicho rzekł Walczak. – Gdy wsiadł do niego pojechaliśmy za nim.

- Gdzie wysiadł? – Komisarz Rawicz odwrócił się od okna, spojrzał sennym wzrokiem w kierunku Walczaka. – Kto z nim był w tym samochodzie?

- Pojechali do Chrowskiego. Kaplica wysiadł, Chrowski już czekał na niego. Uścisnęli się jak bracia i zniknęli w domu.

Prawa powieka zadrgała Komisarzowi Rawiczowi, potem jego zmęczone ciało prawie zasnęło w drewnianym krześle tuż za biurkiem.

- Nic na niego tak naprawdę nie mamy. Coś wiemy, ale nie mamy żadnych dowodów. Co z tego, że ma w domu rzeczy pochodzące z

kradzieży, może tylko jedną rzecz pochodzącą z kradzieży, zawsze może powiedzieć, że kupił te rzeczy pod Hala Targową w niedzielę. Wyłga się. Potem tylko będzie jeszcze bardziej czujny. Haracze, to też teraz robi ktoś inny. Tak mówią na mieście. A miasto, jak sam wiesz, Walczak, nigdy nie kłamie. Kamienice – westchnął Komisarz Rawicz – to już nie są jego kamienice. Inni właściciele, inne kłopoty. Wyprzedził nas. Zawsze jest krok do przodu. Nawet już nie wozi nic za granicę, albo wozi, a my tego nie wiemy. Celnik, który brał od niego pieniądze milczy. Boi się, więc spokojnie odsiaduje karę w więzieniu. Rozumie, że życie to dar, i nie chce stracić tego daru zbyt pochośnie, zbyt wcześnie.

- Szkoda tej akcji, gdyby nie ten wybuch – westchnął Walczak, a to westchnięcie zbyt wiele Komisarzowi Rawiczowi mówiło, zbyt wiele, a zarazem zbyt mało.

- Miał szczęście. Czasami myślę, że źli ludzie mają więcej szczęścia niż dobrzy. Dlatego tak wiele osiągają. Dzięki szczęściu, dzięki konsekwencji tego szczęścia w realnym życiu.

- Co w takim razie zrobimy?

- Zostanie Prezydentem, czuję to, wszystko na to wskazuje. Będziemy czekać na jego błąd, będziemy go obserwować. Gdy już zostanie Prezydentem, wtedy jego upadek będzie bardziej bolesny.

- Władza uzależnia, a władza złego człowieka jeszcze mocniej ciągnie tego człowieka w kierunku zła.

- Tacy ludzie jak on nigdy się nie zmieniają. Poczekamy. Będziemy cierpliwi. Kiedyś musi się pomylić, a wtedy pójdzie siedzieć za to, co mu udowodnimy. Wiele osób siedzi w więzieniu za rzeczy, które im udowodniono, a nie za rzeczy, za które powinni siedzieć tak naprawdę.

Komisarz Rawicz zamyślił się. Ile osób w tym mieście skazał na inne życie, na życie, którego tak naprawdę się nie spodziewali? Część z nich zmieniła się po wyjściu z więzienia, i nigdy już się nie spotkali, a część wróciła do dawnego życia, do dawnych nawyków i zwyczajów. Już nie potrafili żyć inaczej, pomimo kary, która kiedyś musiała do nich wrócić ponownie.

Ilu skazałem niewinnych, ilu miało strach w oczach, ilu pragnęło uciec z więzienia za wszelką cenę? Tego nie wiedział do końca Komisarz Rawicz, ale pamiętał ich oczy, ich przerażone oczy. Później

te rozpalone oczy długo śniły mu się po nocach. Tysiące przerażonych oczu goniło go niczym stado kruków po niebie, a on uciekał przed nimi, jak jeden samotny, zagubiony ptak pośród niewyraźnych coraz bardziej chmur.

A potem się budził, szedł do lodówki, jasne, zbyt jaskrawe światło, wypijał z zimnej butelki łyk wódki, w blasku tego światła, i ponownie zasypiał.

I ciągłość tych sytuacji, i ciągłość tych zbyt nagłych wybudzeń w nocy. To mu najbardziej doskwierało w nocy. Nieustająca ciągłość zbyt gwałtownych wybudzeń w nocy.

- Nikt nie jest doskonały, sny też – powiedział Komisarz Rawicz na głos, bardziej do siebie, niż do skulonego w sobie niczym ptak w zimie Walczaka.

- Wygraliśmy! – krzyczy radośnie Chrowski. – Musieliśmy wygrać! Teraz możemy wszystko, teraz każdy w tym mieście jest zależny od nas.

Kaplica patrzy się czujnie w oczy Tadeusza Chrowskiego, patrzy się tak, jakby chciał mu coś powiedzieć, ale czegoś się boi, czegoś się obawia, czuje nieuchronność czegoś nieuniknionego.

- Martwi mnie ten Komisarz Rawicz. Tacy ludzie jak on nigdy nie rezygnują. Są konsekwentni, uparci, cierpliwi. Poznałem kilku takich w życiu. Tamtych mogłem skrzywdzić, przestraszyć, czasami ośmieszyć i to zawsze pomagało. Jego nie można skrzywdzić. Przy najmniej nie teraz. On nam kiedyś zaszkodzi, czuję to.

- Kiedyś, to tak wiele oznacza – Chrowski wziął Kaplicę w ramiona. – Kiedyś nie myślałeś, że będziesz w takim miejscu jak teraz. Kiedyś nie widziałeś, że będziesz miał tyle pieniędzy i władzy jak teraz. Nie martw się o kiedyś, bo to kiedyś może nigdy nie nastąpić.

- W życiu, jak w malarstwie ważny jest drugi plan. Tam dzieją się rzeczy najważniejsze – stwierdził Kaplica.

- Tak, drugi plan – zaśmiał się Chrowski. – Tam będą działać się rzeczy najważniejsze dla tego miasta. Dla nas. Musimy wracać na przyjęcie. Musimy uczcić nasze zwycięstwo.

Wrócili do sali balowej. A tam kelnerzy, jedzenie, wino, a tam politycy, biznesmeni, aktorzy. Świat kultury wymieszany ze świa-

tem pieniędzy. Wszystko się przenikało. Tylko twarze były do siebie podobne. Podobnie pijane, podobnie nieobecne. Oderwane od życia.

Tadeusz Chrowski wygłosił przemówienie, było w nim tyle emocji, tyle nadziei i obietnic. Na końcu tego przemówienia, gdy już schodził ze sceny, prawie sam uwierzył w swoje słowa. Sam zaskoczony był żarem, który wynikał z jego słów.

W tle muzycy grali Beethovena. Jakąś symfonię. Pasowała do tych twarzy, pasowała do tego wszystkiego co się tam działo.

Nad ranem wszyscy się ściskali. Aktorzy z politykami, politycy z kelnerkami, biznesmeni bełkotali coś o interesach. Wierzyli, że poprzez bełkot załatwią to, czego nie mogli załatwić poprzez pieniądze.

A potem była cisza, taka cisza, która następuje gdy coś się kończy, coś co miało jakieś znaczenie a teraz już tego znaczenia nie ma i może tak naprawdę nigdy nie miało.

Chrowski wracał samochodem do domu. Była noc. Za szybą samochodu widział rozmyte miasto, jego miasto. Za szybą samochodu widział ciemność, jego ciemność. Za szybą samochodu widział rozdarcie, jego rozdarcie.

Przez takich ludzi jak ty, usłyszał głos w swojej głowie, w swoim łóżku, gdy już leżał półprzytomny w kremowej pościeli, przez takich ludzi jak ty, powtórzył ponownie głos, ludzie boją się wierzyć w przyszłość. Przez takich ludzi jak ty, ludzie boją się, że świat składa się wyłącznie z ludzi takich jak ty. Tadeusz Chrowski jeszcze na chwilę szerzej otworzył oczy, jakby chciał bliżej przyjrzeć się temu głosowi, jakby chciał go jeszcze mocniej dojrzeć, poczuć, zrozumieć, a potem powieki mu opadły i zasnął. Uciekł w sen. Uciekł w niepamięć. Uciekł w niepokój.

Tadeusz Chrowski szedł plażą. Żółty piasek zostawiał ślady jego bosych stóp tuż za nim, za jego lekko połamanym cieniem. Było morze, a tak naprawdę go nie było. Ktoś wypompował całą wodę, ktoś ją ukradł, zniewolił, przeniósł ją w inne miejsce. Było tylko dno, i to, co pod tym dnem było schowane na wieczność. Skazane na nieśmiertelną niewidzialność.

Chrowski poszedł w środek morza, w środek tego, co po nim pozostało. Dno było jeszcze wilgotne, co mogło oznaczać, że woda była tu jeszcze nie tak dawno. Ale ktoś wyciągnął kurek i spuścił tą błękitną toń do ziemi.

Stare okręty, teraz lekko spróchniałe, popękane od wirów morskich, od niebezpiecznych prądów schowanych nieustannie w ciemności. Metalowe, pordzewiałe statki z czasów drugiej wojny światowej, łodzie podwodne pełne nieśmiertelnych dusz, belki, stare, niepotrzebne belki z innych mórz, z innych krain, przetransportowane przez wiatry w to dziwne miejsce, tak bez powodu, tak bez żadnego istotnego sensu. Rośliny, teraz lekko przytulone do dna jak małe dzieci do piersi matki. Tysiące muszli, kolorowych, lekko szepczących swoje melodie, gdy wiatr niebezpiecznie zbliżał się do ich szczelin. Perłowe kamienie, wyszlifowane przez czas, przez wpływ tego czasu na martwe rzeczy. Bezimienne rzeczy. Sztabki złota wystające z ogromnego drewnianego okrętu bez żagli, bez skrzydeł i tam też się Tadeusz Chrowski powoli zbliżał.

Omijał pordzewiałe metalowe zapory, omijał drewniane opuszczone konstrukcje statków, omijał całe zło tego świata. Pordzewiałe beczki z ropą, która jeszcze nie wyciekła, tworzyły slalom dla narciarzy, którzy jeszcze tutaj nie dotarli, nie mogli dotrzeć.

Okręt był ogromny. Jakiś rozmazany znak wytłoczony był na drewnianym boku tego okrętu. Złote sztabki wysypane były na zewnątrz, wyciekły niczym ropa z drewnianej dziury, z rany zadanej wieki temu przez morze, przez czas. Tadeusz Chrowski wszedł do środka przez tę właśnie dziurę, przez tę właśnie ranę, zadaną statkowi tak boleśnie w przeszłości.

Zobaczył duży, drewniany bar. Na nim stały drewniane, wysokie kufle. A przy barze siedziały, raczej stały niż siedziały syreny. Było ich dużo. Ich skóra, bardziej łuski niż skóra, mieniła się w blasku złota, które leżało tuż obok nich. Niektóre syreny miały łańcuchy ze złota na szyi, takie łańcuchy, co wiele mówią o czasie, takie łańcuchy, które wyznaczają treść takiego czasu na przyszłość. Niektóre syreny piły rum, inne wino, a te, które gardziły jednym i drugim trunkiem piły piwo, z dopiero co otwartej dużej drewnianej beczki. Syreny się śmiały, dotykały swoich łańcuchów srebrnymi rękami, co

chwilę spoglądały na złoto, które niczym dywan leżało w pobliżu ich ogonów.

Jedna z syren zobaczyła Chrowskiego, zaprosiła go swoją ręką do siebie.

- Jesteś stamtąd? – spytała syrena.

- Na pewno nie stąd – rzekł cicho Chrowski. – Jestem ze snu. Ze snu, którego nie rozumiem, ze snu, który jest mi obcy, daleki.

- W snach jesteśmy prawdziwi. Tak prawdziwi, że aż nieśmiertelni.

- Jak można tak żyć? Bez morza, bez wody, bez tajemnicy, która zawsze was otaczała, gdy istniałyście pod wodą. Pod zarysem jej fal w ciemności.

- To tylko sen. Tutaj wszystko jest możliwe. Ty wierzysz w złoto, we władzę. My wierzymy w siebie. Tajemnica nie jest nikomu potrzebna, gdy nie masz nic do ukrycia.

- Chcesz się od czegoś uwolnić? – spytała druga syrena.

- Uwolnić... – zamyślił się Chrowski.

- Gdybyś kiedyś chciał się od czegoś tak naprawdę uwolnić, najpierw uwolnij się od siebie – rzekła trzecia syrena, ta syrena, która miała złoty ogon, jako jedyna z wszystkich syren.

- Świat zakłada nam pętlę na szyi, już na samym początku, już w czasie narodzin, dzieje się to nieświadomie, prawie bez naszego udziału, a potem ten sam świat niczym ojciec, niczym zła matka, zaciska tę pętlę coraz mocniej, a na samym końcu, gdy prawie już nic nie czujesz, bo może nigdy tak naprawdę nic nie czuleś, nie poznałeś nic wartościowego z braku czasu, nic takiego co warto zapamiętać, poczuć, i wtedy już tylko wierzgasz, i wtedy już tylko się dusisz. Brak oddechu jest twoim jedynym oddechem. Oddechem, który tak naprawdę tylko ty rozumiesz, tylko ty czujesz.

Jedna z syren nałożyła Chrowskiemu złoty łańcuch na szyję. Uśmiechnęła się do niego, ale w tym uśmiechu był jakiś cień, jakaś rysa, pęknięcie.

- Poczuj prawdziwy ciężar władzy.

Chrowski pod tym ciężarem prawie klęknął, jednak po chwili znów stał na prostych nogach. I wtedy syreny zaczęły mu nakładać kolejne łańcuchy na szyję. Złoto zaczęło go dusić, zaczęło mu doskwierać.

I wtedy zobaczył w oddali morze, jak się do nich, poprzez ogromną falę, zbliżało. Było w tym morzu, w tej fali wszystko, było w tym morzu, w tej fali nic.

Zanim woda go pochłonęła, zanim zniknął w jej ciemności i od-
męcie, zdążył krzyknąć:

- Nie mam już siły walczyć ze złem, które mam w sobie! Nie
udźwignę tego ciężaru samemu!

I wtedy morze go pochłonęło. Zanim ciemność zalała jego oczy,
jeszcze w oddali zobaczył syreny, które powoli rozmazywały się w
granacie wody.

Wiosna, ciepła, przyjazna wiosna pojawiła się nagle w mieście.
Kwiaty, drzewa, chmury, nawet ciepły deszcz miał zapach wiosny.
Ludzie znów budzili się do życia. Więcej się uśmiechali, więcej żyli.

Iwona też powinna żyć na nowo. Powinna czuć więcej słońca w
sobie, a nie czuła. Powinna czuć więcej zapachów kwiatów koło
siebie, a nie czuła. Powinna bardziej czuć deszcz w sobie, gdy padał,
a nie czuła.

Czuła się słaba, zmęczona, miała suchy kaszel w nocy. Gdy coś
zaczynała robić, po chwili musiała usiąść, odpocząć, złapać głęboki
oddech. To minie, myślała, ale to wciąż nie mijało.

Potem pojawiło się stałe zmęczenie, znużenie życiem, może sobą,
tak czasami myślała. I ten kaszel, kaszel nieustający, cykliczny, tak-
że w nocy.

W końcu poszła do lekarza. Długa kolejka ludzi na korytarzu. Te
pomruki zniechęcenia, te obojętne twarze, coraz bardziej zmęczone
życiem, ta rozpacz w oczach ludzi. Rozpacz pełna rezygnacji.

Potem były pierwsze badania – EKG, pomiar ciśnienia i badanie
echokardiograficzne. Trochę to trwało, ale wytrzymała.

Wciąż czuła się zmęczona, nawet bardziej niż wcześniej, i to ją
najbardziej przerażało. Że wcześniej nie jest gorsze niż teraz.

Lekarz popatrzył się na wyniki, skierował Iwonę na następne ba-
dania. Nic nie powiedział, oni nigdy nic nie mówią, jeśli coś pojawia
się w człowieku nagle, niespodziewanie.

Minęły trzy kolejne miesiące. Iwona słabła coraz bardziej. Praca
nie pomagała, życie nie pomagało.

Znów pojawiła się u lekarza. Jego oczy, jego skupienie, takie skupienie, które może coś oznaczać, które musi coś oznaczać, prze-raziło Iwonę. Chwilę patrzyli sobie w oczy, w końcu lekarz spuścił wzrok. Popatrzył się na kolejne wyniki, chwilę myślał, potem powiedział:

- Za szybko to wszystko idzie, za nagle.

- Co?

- Twoje serce jest słabe, bardzo słabe. A co najgorsze, będzie jeszcze słabsze, aż w końcu...

- Co w końcu? – zaniepokoiła się Iwona.

- Aż w końcu przestanie bić...

- Tak po prostu, zatrzyma się...

- Kiedyś tak. Zatrzyma się szybciej niż myślisz. Będziemy to opóźniać, ile się da. Dostaniesz leki przeciwbólowe, leki uspokajające i leki do... – tutaj lekarz zawiesił głos – leki do – powtórzył ciszzej – przewlekłej niewydolności serca. A gdy będzie źle dostaniesz tlen, który będzie wspomagał twoje oddychanie.

- Umrę? – oczy Iwony się zaiskrzyły. – Ale przecież ja dopiero zaczynam życie, dopiero co poznaję ludzi, dopiero co zamierzałam się zakochać, czekałam tylko na właściwą osobę, dopiero co zaczynałam poznawać swoje marzenia, pragnienia. I to się tak po prostu skończy?

- Ma pani ostrą niewydolność serca. Pojawiła się nagle i nie chce się zatrzymać. Postępuje szybko, zbyt szybko.

- To moja wina? Źle żyłam, coś źle robiłam? A może to jakaś kara, za coś, czego jeszcze nie zrobiłam, a miałam zrobić, jednak los mnie wyprzedził, zatrzymał. Uniemożliwił mi grzech nie do odpuszczenia.

- To nie jest nikogo wina. Niektórzy się z tym rodzą, niektórzy mają to w sobie i to się pojawia nagle, niespodziewanie i wtedy zegar zaczyna tykać zbyt szybko.

- Coś można z tym zrobić, oprócz opóźniania czasu, który mi pozostał?

- Jest możliwość przeszczepu, ale czas nie gra na pani korzyść. Nie ma dawców, nie ma właściwych dawców dla właściwych osób. Mówiąc krótko, mało kto chce po śmierci pomóc innym, chociaż tak dużo się o tym mówi w telewizji.

- Jednak jakby się ktoś taki znalazł, to mam jakąś szansę?
- Jak się znajdzie, to tak. Musimy jednak zrobić dokładniejsze badania, musimy sprawdzić, czy ma pani szansę żyć z tym nowym sercem wystarczająco długo. Istnieje jednak ryzyko zgonu. Może pojawić się też zakażenie, może też organizm odrzucić przeszczep. Jest tak wiele pytań, a tak mało odpowiedzi.
- Będę walczyć.
- Musi pani walczyć, sama ze sobą. Przeszczep to nieustające oczekiwanie na szansę, która być może nigdy się nie pojawi.
- Wszystko w życiu jest kwestią szczęścia, samo życie też.
- Ja wierzę w przeznaczenie – rzekł cicho lekarz. – Jeśli ma pani żyć, to będzie pani żyć. Nic tego nie zmieni. Ani życie, ani los.
- Teraz będziemy widywać się częściej – uśmiechnęła się, ale ja-
koś drętwo Iwona.
- Na pewno. Teraz już jest pani na mnie skazana. Gdy zrobimy odpowiednie badania, będzie pani czekać w kolejce na przeszczep.
- Do widzenia – Iwona wstała, ale ciężko, miała takie twarde no-
gi, twardą głowę i ramiona.
- Niech pani umówi się na kolejną wizytę – rzekł lekarz i zaczął
coś pisać na kartce.

Iwona wyszła na ulicę. Była załamana, zdenerwowana, wściekła. Nie na siebie, na los. Tyle jeszcze chciała zrobić, coś jeszcze chciała sobie udowodnić, jeszcze nie teraz, ale kiedyś; wierzyła, że kiedyś w pewnych sprawach oznacza lepiej, a teraz to kiedyś nie oznaczało już nic. Uzmysłowała sobie, jak daleka jest droga do miłości, tej prawdziwej, tej do końca. A teraz tej do końca oznaczało tylko jakąś granicę, jakąś linię do której zbyt szybko zaczynała się zbliżać.

Będę walczyć, pomyślała, i znów poczuła się słabo, musiała usiąść na ławce. Po kilku minutach osłabienie minęło, po kilku mi-
nutach znów była sobą. Będę walczyć, znów pomyślała, potem wstała i Plantami poszła w kierunku domu. Za jej plecami był hałas, był zgiełk, był chaos. Za jej plecami było to całe przemęczone mia-
sto. Skonane miasto.

Jan Chrowski stał przy czarno-srebrnym motorze, który błyszczał w promieniach słońca jak jakiś diament.

- To mój przyjaciel – powiedział Jan Chrowski.

- Przyjaźń ma wiele odmian – uśmiechnął się Tadeusz Chrowski.
– Ważne, żeby nigdy nie zepsuć prawdziwej przyjaźni, żeby nie zniszczyć jej bezpodstawnie.

- Wierzę, że ten motor ma duszę – rzekł Jan Chrowski. – Przedmioty mogą mieć duszę, swój zapach, swój styl.

- Tak, mogą – odparł Tadeusz Chrowski.

Jan wsiadł na motor, odpalił silnik, a gdy poczuł w sobie siłę, moc, odjechał.

Tadeusz Chrowski długo na niego patrzył, nawet wtedy gdy syn zniknął na swoim Harleyu za zakrętem. Stare motory mają w sobie jakąś tajemnicę, pomyślał, tajemnicę, którą można dopiero poznać, gdy człowiek się z takim motorem zaprzyjaźni.

Pęd powietrza, wolność, siła i ten świat, który zastaje w tyle. Można być tu, można być tam. Można być nigdzie, gdzieś pomiędzy tym, co jest ważne, gdzieś pomiędzy tym, co jest nieważne.

Jan jechał motorem coraz szybciej. Kolejne zakręty dawały mu pewność, że coś w jego życiu ma znaczenie, musi mieć znaczenie.

Zatrzymał się przy dużej łące pełnej kwitnących kwiatów. Przez chwilę się wahał, potem skręcił w polną drogę. W oddali rysował się las. Las gęsty, ciemny, pełen niewyraźnych drzew.

Pomiędzy drzewami Jan jechał wolniej. Obserwował drzewa, ich konary, ich wielkość schowaną pod nisko dziś płynącymi chmurami.

Zatrzymał motor na polanie. Zszedł z niego, położył się na trawie. Dzięki niemu zapomnę o przeszłości, pomyślał. Zapomnę o śmierci matki, zapomnę o bólu, który wciąż łączy mnie z tą śmiercią.

Pojadę nad morze, wciąż myślał Jan. Będę jeździć motorem po plaży, w dzień, w nocy. Zaprzyjaźnię się z nim mocniej, bardziej. Potem pojadę zwiedzić Europę. Tylko ja i on. I tajemnica, co będzie za kolejnym zakrętem, co będzie następnego dnia? Co będzie – jakie to piękne słowa, zawierają w sobie to, o czym marzy każdy człowiek gdy się rodzi, gdy dorasta, a potem to co będzie się zniekształca, zaczynamy myśleć inaczej przez czas, który mija tak szybko, a na końcu to co będzie nie znaczy już nic, albo prawie nic.

Już nie potrafimy żyć bez celu, pomyślał Jan. Bez celu nie musi wcale oznaczać bezowocnie, bezmyślnie. Bez celu nie musi wcale oznaczać nieistotnie.

Jan wstał z trawy. Włączył silnik. Wrócił do domu. Gdy zasypiał czuł się inaczej. Jakoś pewniej i mocniej. Harley dał mu siłę, dał mu wiarę, że siłę zawsze można wykorzystać we właściwym celu. Że siła może oznaczać nadzieję, nie ból.

Zasnął. Śniły mu się Stany Zjednoczone. Zagubione autostrady bez śladów ludzi na drodze. Góry, takie góry gdzie nikt tam nie jeździ. I te drogi przez pustynię, drogi samotne, upalne, prawie bezkresne. I tylko on, i tylko jego samotność zanurzona w coraz szybciej znikających obrazach tuż za nim.

A potem, w tym śnie, jechał przez Alaskę. Te zimne drogi, prawie zakopane przez śnieg, te małe miasteczka, opuszczone przez czas. Miasteczka, gdzie prawie nikt nie mieszka, nikt nie chce mieszkać. I ta cisza w nich, cisza naznaczona jakimś opuszczeniem, obłędem. I te odległości, odległości pełne jakiejś rozterki, odległości gdzie wszystko jest dalekie, zbyt odległe, żeby gdziekolwiek chcieć dojechać. Nie ma celu, nie ma żadnej mety. Liczy się tylko droga i czas, który można poświęcić tej drodze.

Nie ma ludzi, nie ma zwierząt, nie ma niczego. Nie ma, na Alasce, ma jakieś szczególne znaczenie. Nie ma, na Alasce, to wolność, nie ma, na Alasce, to skutki tej wolności w człowieku. Takie skutki, które zostają w nim na zawsze, takie skutki, które zmieniają życie tego człowieka w przyszłości. Zmieniają nieodwracalnie.

Jan budzi się spocony, cała pościel jest mokra. Przypomina sobie sen, końcówkę tego snu, na początku nie może go sobie przypomnieć dokładnie, ale po chwili już wie, co zdarzyło się tam, gdzie w istocie go nie było, gdzie w istocie nie mógł nigdy być.

Miał wypadek na motorze. Renifer wyskoczył mu na drogę. Musiał hamować. Motor jechał bokiem wraz z nim, zanim mocno uderzył o drzewo. Renifer umarł, a on, czy on też umarł, tego nie pamiętał. Pamiętał tylko zimno i czas, który zatrzymał się nagle, tyle myśli miał wtedy w sobie na raz. Jednak myśli były jakieś inne, jakieś zamrożone, tak zamrożone jak on na tej drodze. I tak leżał i czekał. A potem się obudził przerażony, spocony, zmęczony, zamrożony.

Czasami sny mogą zamrażać przeszłość, pomyślał, zamrażać tak, że przyszłość już nie ma żadnego znaczenia.

Tadeusz Chrowski siedział w pierwszym rzędzie. Dawne kino, teraz teatr muzyczny, nowe miejsce, dawna przeszłość. Fotele obite czerwonym materiałem, dobre światło, jasne, szczere, ciepłe i scena, taka scena, która niczym matka tuli człowieka do siebie, scena, która nie przytłacza, scena, która nie uzależnia.

Zaczął się koncert. Zespół grał charytatywnie – dla dzieci. Cel był jeden, pomoc hospicjum dla dzieci. Dlatego właśnie tam był Tadeusz Chrowski. Jako Prezydent musiał bywać na takich akcjach. Chodziło o prestiż, o skutek tego prestiżu w przyszłości. Realny skutek.

Chrowski spojrzał na gitarzystę. Czarna koszula, dżinsowe spodnie, skórzane buty i czarna skórzana czapka z daszkiem. Jednak nie o wygląd tu chodziło, lecz o styl, o to, jak poruszał się ten człowiek na scenie.

Gitarzysta, gdy grał na gitarze, tak dziwnie poruszał nogami. Nie tak jak inni, nie tak jak było to ustalone przez innych gitarzystów w czasie gry, ustalone nieświadomie.

Muzyka, jej cień, jej mrok, gitara w ręce, palce pracują cały czas, lewa noga na bok, potem znów nogi się łączą i znów lewa noga na bok...

Jan jechał motorem szybko. Poczł nagłą chęć ucieczki z domu, więc wsiadł na motor, włączył silnik i jechał przed siebie. Tak po prostu, tak bez celu. Czasami tak miał, uciekał, żeby przeżyć, uciekał, żeby później inaczej żyć.

I ten pęd powietrza, i ten wiatr obok, i ta droga, coraz bardziej wąska poprzez prędkość, coraz bardziej wąska poprzez ucieczkę...

Gitarzysta gra solówkę, jego twarz jest skupiona, lecz rozluźniona, jak jego oczy, które prawie płoną z radości, z uniesienia. Jego lewa noga krok do tyłu, palce grają coraz intensywniej, jego lewa noga krok do przodu. Nogi znów są razem, jak bracia na przegranej wojnie. I tak w kółko, przez kilka minut. Ruch powtarzalny, ruch odrzucony przez czas, przez ludzi.

Jan pokonuje pierwszy zakręt w lesie. Motor pracuje przez cały czas równo, cierpliwie. I te drzewa obok niczym ludzie na arenie, gdy gladiatorzy zaczynają walczyć o życie.

Jan czuje się szczęśliwy. Szczęście zaczyna powoli do niego wracać na stałe. Szczęście pokonuje smutek, szczęście pokonuje ból, przeszłość.

Drugi zakręt, Jan jedzie zbyt szybko. Opony czasami piszczą, to tylko guma, która dotyka ziemię, beton, która niczym matka tuli swoje dziecko do snu, wieczorem. Tuli poprzez dotyk.

I te chmury nad jego głową. Chmury brunatne, bezkształtne z jasnymi plamami w środku. Z czerwonymi poświatami po bokach.

Muzycy grają kolejną piosenkę, która przypomina trochę marsz. Tadeusz Chrowski nieświadomie porusza nogą w rytm muzyki. To go rozluźnia, to dopieszcza jego duszę, jego zmysły.

Gitarzysta zaczyna chodzić nogami jak żołnierz. Krok do przodu, krok do tyłu. Jasne światło lampy oświetla jego twarz. Jest szczęśliwy. Jest tu, gdzie powinien zawsze być. Jest w muzyce, jest poza nią. Nogi maszerują, palce grają, głowa lekko opada na dół, w kierunku gitary...

Jan zmienia bieg na wyższy. Prędkość go zniewala, prawie zabija. Chce być w tej prędkości, chce w niej uczestniczyć cały czas. Drzewa się coraz bardziej rozmazują i stają się jednym szerokim prawie niewidzialnym obrazem. Obrazem nieskończonym.

Nagle zza drzewa, z lasu wychodzi duży jelen. Duże poroże, duża głowa, duży cień na drodze. Jan zaczyna hamować. Wie, że na pewno już go nie ominie. Wie, że w jego śnie jakieś zwierzę chciało zmienić jego życie, chciało zmienić jego kształt, znaczenie...

Muzycy grają na bis. Ludzie wstali z miejsc, klaszczą przez cały czas. Tadeusz Chrowski też klaszcze. Ludzie na niego patrzą, patrzą się z uwagą na Prezydenta Miasta. Jest jednym z nich, to ludziom się podoba.

Gitarzysta znów rusza lewą nogą na bok, potem nogi się łączą i znów lewa noga na bok. To takie inne, myśli Tadeusz Chrowski, to takie odmienne.

Potem są oklaski, jeszcze jeden bis, ukłony muzyków i ludzie wychodzą.

Tadeusz Chrowski jest zadowolony, ale gdy wychodzi z kina, bardziej z teatru muzycznego niż kina, czuje nagły ból w sercu. Jakieś dziwne ukłucie w okolicach serca niszczy jego równy, uporządkowany już teraz, oddech na kilka sekund. A potem pojawia się strach, a potem pojawia się dziwny smutek. Smutek nieuzasadniony, smutek niezrozumiały. Tadeusz Chrowski zaczyna się bać. Jeszcze nie wie czego, ale wie, że ten smutek ma jakieś znaczenie, że ten smutek ma jakąś treść...

Motor przewraca się na bok. Jan wraz z motorem uderza o nogi jelenia. Potem motor się kręci przez kilka sekund wraz z Janem i lecą w kierunku lasu. To koniec, myśli Jan nieświadomie, tak więc wygląda koniec. Pęd powietrza, pęd myśli, pęd zmierzający nieubłaganie w kierunku strachu, który za chwilę się pojawi, musi się pojawić. Zanim motor uderza w drzewo, Jan widzi jelenia na drodze. Jeszcze się rusza, jeszcze walczy, ale leży jak on na ziemi.

Zanim motor, drzewo, Jan staną się jednością, zanim to wszystko nastąpi, Jan zamyka oczy, ucieka. Myśli o matce, która jest, a zarazem jej nie ma, myśli o ojcu, o jego pracy, złej pracy, myśli o przyszłości, która już nigdy nie nastąpi, a na końcu zaczyna myśleć o sobie. Kim był, dokąd zmierzał, co czuł. I wtedy sobie uzmysławia, jak mało czuł przez całe życie. Zbyt mało. I to go przeraża, lecz po chwili następuje uderzenie o drzewo i Jan traci przytomność.

Już nic nie wie, nic nie czuje, nic nie rozumie. Po prostu jest, po prostu go nie ma. Był niczym, stał się niczym. Na pewno stał się nie sobą. Nie sobą takim, jakim chciał być, nie sobą takim, jakim mógłby być, gdyby los okazał się inny. Bardziej wyrozumiały dla niego, bardziej wyrozumiały dla ludzi, którzy go cały czas otaczali.

Cmentarz Rakowicki, najpierw msza w małej kaplicy, potem cichy marsz w kierunku grobu, mijają miejsce pochówku Matejki, skręcają w lewo, idą dalej, pojedyncze drzewo, stare, ciche, lekko połamane przez czas, lekko ruszają się liście, a potem pochód żałobników staje w milczeniu.

Ksiądz coś mówi, Tadeusz Chrowski mu nie wierzy. Teraz nie wierzy już nikomu, nawet sobie.

Wszyscy odchodzą, myśli Tadeusz Chrowski. Pojawia się pierwszy gniew. Gdy byłem sam bardziej krzywdziłem ludzi, niż gdy byłem z kimś. Pojawia się drugi gniew. Ten jest silniejszy, ma w sobie nienawiść, zbyt duże pokłady nienawiści ma w sobie. Zaraz po nim pojawia się strach. Są jak bracia, połączeni ze sobą cichą zмовą milczenia. Strach jest coraz mocniejszy, silniejszy w nim. Rodzi się, umiera i znów się na nowo rodzi. Co będzie, gdy przestanie mi zależeć na wszystkim? Jaki będę dla siebie, dla innych?

Tadeusz Chrowski klęka, płacze. Jego drżące ręce dotykają zimnej ziemi.

- Janie, synku – mówi cicho połamanym głosem. – Nie odchodź. Nie teraz. Nie zostawiaj mnie tutaj samemu. Byłeś jedyną osobą, która sprawiała, że chciałem być kimś innym, lepszym. Teraz boję się siebie. Nie wiem, kim będę. Nie wiem, co zrobię. Nie wiem, czy na końcu będę potrafił z godnością spojrzeć sobie w oczy.

Ciało Jana znika pod ziemią. Potem są kondolencje, uściski, jakieś dalekie słowa. Słowa, które nie pomagają, nie mogą pomóc. Niekiedy słowa nic nie znaczą, niekiedy znaczą wiele. Dzisiaj słowa są puste, bezimienne, nie noszą żadnych owoców w sobie.

Wieczorem, przy kominku, Tadeusz Chrowski wraz z Kaplicą prawie nic nie mówią. Więcej piją, niż nie piją. Więcej milczą, niż krzyczą.

- Co teraz ze mną będzie? – pyta się sam siebie Chrowski. – Gdzie mam iść? Gdzie skierować wzrok? Wszędzie jest ciemność, wszędzie jest pustka. Pustka wymieszana z mrokiem.

- Czas – mówi cicho Kaplica. – Teraz czas ma największe znaczenie. Czas cię uzdrowi, czas oczyści twoją duszę.

Piją w milczeniu, w ciszy. Alkohol coraz bardziej otępia twarz Tadeusza Chrowskiego. Jest mu trochę lepiej, niewiele lepiej, ale lepiej.

Chrowski ucieka od wspomnień. Od dobrych wspomnień. Chce się dzisiaj upić, zapomnieć. I to mu się udaje. Zasypia przy kominku, na dywanie. Kaplica śpi obok, jak wierny pies. Jak przyjaciel. Razem uciekli w ciszę poprzez alkohol.

Gdy zadzwonił telefon, Iwona Zakrzewska siedziała na ławce, nad Wisłą, tuż przy Wawelu. Patrzyła się na łabędzie, na statki, na ludzi. Na ludzi najmniej.

- Teraz – Iwona była zdziwiona, zaskoczona. – Natychmiast. Rozumiem. Będę za godzinę.

Iwona szybko wstała. Poszła do domu. Była zdenerwowana. Wciąż była słaba, coraz słabsza. Powoli przyzwyczajała się do myśli, że czas już nie ma dla niej żadnego znaczenia. Czas długi, czas nieokreślony. Jest tutaj, jest teraz, jest w tym miejscu tylko na chwilę. A ta chwila może się za moment skończyć, zniknąć. I tego zniknięcia się Iwona obawiała. Zniknięcia natychmiastowego.

Wszyscy już na nią czekali. Pielęgniarka spytała się cicho:

- Kiedy ostatnio pani jadła?

- Dzisiaj nic nie jadłam. Tylko piłam wodę mineralną. Ostatnio jem coraz mniej. Nie mam sił na jedzenie, nie mam sił na życie.

- To dobrze – uśmiechnęła się pielęgniarka. – Musimy panią przygotować. Ma pani szczęście.

- Wiem.

- To kiedyś musiało nastąpić, jeśli miało w ogóle nastąpić. Nie każdy ma tyle szczęścia.

- Rozumiem.

- Proszę ze mną iść.

Potem Iwona tylko pamiętała białe ściany, jakieś twarze obok, twarze nieznajome, jakieś ciche rozmowy, rozmowy rozmazane, zniekształcone i czas, czas pamiętała najbardziej. Czas był w jej głowie, czas był gdzieś obok niej. Czekał jak wierny pies tuż obok. Nie wiedział, czy będzie z nią nadal, dalej, czy będzie musiał sobie znaleźć nowego właściciela.

A potem była ciemność, cisza. Coś się działo w jej głowie, w myślach, ale Iwona nie mogła tego jednoznacznie określić. To coś mogło być wszystkim, to coś mogło być niczym. Strzępki jakiś obrazów, czasami kolorowych, czasami czarno-białych, raczej czarnych niż białych. Strzępki myśli, myśli pozrywanych, popękanych, prawie niewidocznych. I jakieś wspomnienia z dzieciństwa. Chyba jej dzie-

ciństwa, tego nie była pewna. I ogrody, widziała w ciemności koło siebie ogrody, dużo ogrodów. Była w nich, była poza nimi.

Na końcu pojawiło się światło, nie tunel, światło. Ciche głosy zbliżały się do jej twarzy, do jej myśli.

- Budzi się.

- Otwiera oczy.

- Znow jest z nami.

To znow wzbudziło w niej jakąś ulgę. Poczula się z tym znow lepiej. Znow widziała świat swoimi oczami, znow widziała świat swoimi myślami.

Liście przylepiały się do parapetu, do okna, przez wiatr, przez jego siłę, przez cichy, prawie bezszelestny deszcz, który niczym malarz łączył kolory na oknie, jak na jeszcze niedokończonym obrazie. I ten cichy szept za oknem, w rozjaśnionym powietrzu, szept, który wyzwała, szept, który pozwala zapomnieć. Zapomnieć o wszystkim, zapomnieć o niczym.

Tadeusz Chrowski siedzi przy kominku. Patrzy się w ogień, poza ogień, jest sam ogniem. Ogień skacze w przestrzeni, ciepło odbija się od ścian, łączy, niszczy.

Chrowski zamyka oczy. Chce uciec od wspomnień, lecz wspomnienia wciąż w nim są. Rosną niczym kwiaty w ogrodzie, na łące. To wszystko jest świeże, zbyt świeże. Zbyt wilgotne. W końcu zmęczenie go dopada, osacza niczym stado kruków. Zasypia.

Nie pamięta, jak ta książka pojawiła się w jego rękach. Nie pamięta, kiedy ta książka pojawiła się w jego oczach, w głowie, w myślach. Była jak światło, była jak słońce po nocy, pojawiła się i nie mogła zniknąć.

Czytał ją całymi dniami, nocami. Każde słowo niesło radość, nadzieję. Światło, które z niej biło dawało jakąś szansę, może złudzenie, że jest gdzieś inny świat, świat lepszy, doskonalszy od tego, w którym teraz żył, trwał. I to jego życie jest złym życiem, jest życiem nieprawdziwym. I to co robił teraz, w tym życiu, to jakaś iluzja. To fałsz, obłuda w której są nieprawdziwi ludzie, nieprawdziwe uczucia. Pragnienia.

Książka mówiła, idź, zmień swoje życie. Wyzwól się z tego, co jest koło ciebie, znajdź to, co chcesz żeby było koło ciebie.

I ruszył w drogę. Przemieszczał się autobusami, pociągami, takśówkami. Ciągłe był w drodze. Droga była nim, on był drogą. Wciąż czytał książkę, wciąż nasyczał się światłem, które z niej biło.

Czasami na swojej drodze napotykał ludzi, takich jak on. Też czytali tę książkę. Też szukali. Wierzyli, że są blisko tego lepszego świata, na tyle blisko, że nie mogą już teraz zwątpić, że nie mogą już teraz się poddać.

Dawali sobie nawzajem wskazówki, gdzie iść, gdzie szukać. A potem odchodzili od siebie. Każdy szukał inaczej, każdy chciał żyć inaczej. Inne pragnienia, inne drogi. Inne nadzieje, inne złudzenia.

Wiedział, że dzięki książce powoli zapomina, że odlatuje gdzieś wysoko niczym światło, niczym blask. Szybował w nieskończoność, szybował w nieznane.

Hotele, tyle hoteli miał za sobą, tyle przed sobą. I te twarze po drodze. Twarze z tego świata, nie z tamtego.

Teraz powoli zaczął zauważać, że te dwa światy się łączą, są tuż koło siebie. Dzieli je delikatna nić, jakaś niewidzialna linia, jakieś lustro, które oddziela jeden świat od drugiego. Trzeba je tylko jakoś stłuc, jakoś zrozumieć.

Gdy jechał autobusem widział wypadek. Rozbity samochód leżał na poboczu, w rowie. Próbowali z kierowcą autobusu ratować osobę w środku. Wyciągnęli nieprzytomnego mężczyznę przez okno. Samochód wybuchnął za ich plecami. Kierowca był młody, zakrwawiony. Był w skórze, czarnej, zniszczonej skórze, ze srebrnymi zamkami. Próbowali go reanimować. I wtedy, podczas ratowania tego człowieka, poczuł, że jest już prawie w tym drugim świecie. Zrozumiał, że te dwa światy, to tak naprawdę jeden świat, który się łączy z tym drugim, zespala, przenika. Zrozumiał, że może żyć w jednym i drugim świecie równocześnie. I tylko od niego zależy, gdzie będzie przebywał częściej.

Mężczyzna umarł. Nie oddychał. Nie chciał już być tutaj, między nimi.

I wtedy, gdy już się poddali, gdy już nie walczyli o jego życie, i wtedy, gdy ich ręce zamarły w bezruchu, w rezygnacji, zobaczył

twarz tego mężczyzny, zobaczył ją, gdy lekkim, delikatnym ruchem przetarł jego policzki, gdy chciał zamknąć mu oczy na zawsze.

To była twarz jego syna, to były jego zielone oczy, teraz martwe, teraz nieobecne.

W środku skóry, którą miał na sobie, była kieszeń. Z kieszeni wystawała książka, fragment książki, mały, kanciasty róg książki. Wyciągnął ją z jakąś dziwną miłością.

To była książka, którą on też miał, którą on też czytał. To było światło, do którego oboje jak ćmy zmierzali. Prawie już do niego dolatywali. Prawie czuli obecność tego światła w sobie.

- Ty też szukałeś – cicho powiedział Chrowski. – Może już znalazłeś to, do czego ja nigdy się nawet nie zbliżę...

Tadeusz Chrowski obudził się. Ogień w kominku zaczął powoli zanikać, umierać. Liście powoli zsuwały się z szyby. Deszcz przestał padać.

Tadeusz Chrowski wstał z fotela. Wciąż pamiętał sen. Sen był w nim, sen był poza nim.

Wspomnienia są jak stado gołębi, które leci gdzieś wysoko, a potem gołębie się nagle rozpraszają. Uciekają, każde wspomnienie w innym kierunku, pomyślał Chrowski.

- Tak będzie ze mną, tak musi być ze mną – powiedział Chrowski, gdy patrzył się za okno, gdy patrzył się dalej, o wiele dalej, gdy patrzył się tam, gdzie wzrok nie sięga, gdzie nie sięgają nawet myśli, bo nie mogą tam dotrzeć, bo jest to za daleko, za głęboko, za wysoko, bo tam, w tej nieosiągalnej odległości jest tylko niewyraźna linia, linia, która łączy dobro ze złem, linia, która łączy los człowieka z przeznaczeniem, linia, która nic nie określa, a zarazem określa wszystko. Bo los to jest tylko rozmazana linia, która niewidzialnie łączy nas z tym co jest nam dane, co jest nam przeznaczone.

Zbliżał się trzeci miesiąc. Trzeci, jakże odległy miesiąc. Te trzy miesiące, te dni, godziny, minuty, te sekundy rozpaczliwe, nieznośne, niecierpliwe, te noce, te dni, te wschody słońca i zachody, to wszystko, to nic, i ten czas, czas trzymiesięczny, to było prawdziwe życie Iwony Zakrzewskiej.

Po operacji, po wymianie tego, co kiedyś dla niej było niewymienne, stałe, wręcz monumentalne niczym pomnik, Iwona była słaba. Ciągłe czuła się zmęczona. Ale powoli pojawiła się radość w niej, euforia, że coś zaczyna być dla niej świeże, nowe.

Zaczęła się rehabilitacja. Wysilek fizyczny. Najpierw ćwiczyła powoli, statecznie niczym jakaś dama z meksykańskiej telenoweli. Robiła sobie krótkie, częste przerwy. A potem było lepiej, coraz lepiej.

Pomijając początkowy niepokój, jakieś napięcie w środku, w głowie, pomijając lekką depresję, co będzie? co może być? pomijając to wszystko, to nic, Iwona czuła się coraz lepiej.

Iwona musiała zmienić swoje życie, swoje nawyki. Iwona musiała zmienić siebie. Pojawiła się dieta w jej codziennym życiu. Owoce, warzywa, zawsze dobrze umyte, sprawdzone, chude mięso, świeże mięso, ryby, mleko z niską zawartością tłuszczu i takie tam rzeczy, które zaczynały dawać jej nadzieję, że czas może jeszcze coś więcej dla niej znaczyć. Więcej niż wcześniej.

Kwiaty z domu powynosiła na klatkę schodową. Nie mogła już z nimi żyć, nie mogła patrzeć jak zasypiają wraz z nią, jak budzą się tuż koło niej w promieniach ciepłego słońca za oknem. Musiała uważać, bardzo uważać. Nie mogła się niczym zarazić; zakażenie mogło oznaczać wszystko, mogło oznaczać nic. I tego nic Iwona się teraz najbardziej bała. Nic mogło określać jasność, lecz równie dobrze mogło określać mrok.

Gdy widziała zwierzęta w pobliżu siebie odchodziła na bok. Czuła lęk przed nimi. Czuła lęk przed samą sobą.

Iwona siedziała na Plantach, tuż przy Wawelu. Obok jechały samochody, obok spacerowali ludzie, obok kwitły drzewa, liście na drzewach.

- Trzy miesiące – powiedziała cicho do siebie, powiedziała to prawie w myślach, ale słowa cicho wypłynęły szeptem z niej w kierunku nieba. – Trzy miesiące wyrzeczeń, żeby jeszcze mocniej oddychać. Trzy miesiące wyrzeczeń, żeby jeszcze chcieć oddychać.

Iwona wstała, ruszyła wzdłuż ulicy przed siebie. Spacer, teraz tak dużo spacerowała. Już miała więcej sił w sobie, rehabilitacja, wchodzenie po schodach, jej upór, jej chęć przebywania tutaj, nie

tam, te rzeczy, te złudzenia, powoli zaczynały przynosić jakieś rezultaty.

Już nawet lepiej spała. Zaraz po operacji bała się nocy, bała się snów. Obawiała się powrotów porannych po nocy. Nie wiedziała, nie miała pewności, czy się obudzi, czy otworzy oczy rano. Bała się, że sny zostaną z nią na zawsze, że ją pochłoną, przenikną, porwą, a potem nie będzie mogła od nich uciec, nie będzie mogła się z nich wydostać. I tak już zostanie, pomiędzy tym co jest ważne, a tym co jest nieważne.

Ale to minęło, musiało kiedyś minąć. Nawet lęki kiedyś mijają, gdy czują się zmęczone obojętnością załęknionego.

Wróciła do domu. Schody, tak dużo teraz miała schodów przed sobą, więcej niż kiedyś. I tapczan, bardziej łóżko niż tapczan, jej miejsce odpoczynku, jej przystań, jej los.

Lekka kolacja i sen. Lekka kolacja i ciemność. W oczach, nie w duszy.

Lekki hałas miasta za oknem, nie przeszkadzał, lekkie kroki na klatce, nie przeszkadzały, lekki ruch skrzydeł ptaków na niebie, nie przeszkadzał, lekki stukot kopyt konia w dorożce, nie przeszkadzał, lekkie piski tramwajów na szynach, nie przeszkadzały.

Zasnęła pomimo tej lekkości miasta, zasnęła pomimo tej nieokreślonej lekkości rzeczy istotnych i nieistotnych w tym mieście.

Coś dziwnego działo się w jej głowie, w jej myślach, może w jej snach, a może po prostu w sercu. Wyłączyła głowę, potem odłączyła myśli niczym wtyczkę od źle funkcjonującego teraz ciała, sny pominęła stanowczo i zostało jej tylko serce.

Serce było nowe, było świeże, pozornie wypoczęte, trochę nieznane, w zasadzie całkiem nieznane niczym odległy ląd, który widzimy na morzu, ale nie możemy go dotknąć rękami, całym naszym ciałem. Tak, serce, to ono teraz więcej czuło, tak, serce, to ono teraz więcej widziało.

Iwona Zakrzewska zaczęła coraz mocniej czuć zapachy koło siebie. Zapachy sprawiały, że czuła się dobrze, zapachy sprawiały, że czuła się źle, zapachy poprawiały jej nastrój, niszczyły jej nastrój.

Gdy rano wychodziła na balkon, gdy patrzyła się na dachy kamienic, jeszcze uśpione, jeszcze nieobecne, gdy przeciągała ręce na

bok, gdy krew powoli budziła ją do życia, do nowego życia, czuła dym z kominów, dym, który docierał do niej z dziwną, nostalgiczną melancholią. Czuła mocno ten dym, jak krąży intensywnie po całym jej ciele, dociera tam, gdzie ona by nigdy nie dotarła – do uśpionego w niej teraz mroku.

Po śniadaniu schodziła skrzypiącymi schodami na dół. Kwiaty, ich przenikliwy zapach, sprawiały, że czuła się jakaś szczęśliwa, bezbronna.

Na dole, na parterze, spod dużych, lekko niedomalowanych drzwi, wykradał się zapach jajecznic. Ten zapach sprawiał, że i ona czuła się częścią tego śniadania. Częścią do końca niezaspokojoną, częścią do końca niepoznaną.

I te ulice, ten zapach kurzu, zapach, którego powinna unikać, z obawy przed nocą, ciemnością w środku, i ten zapach, ten lekko rozgrzany cień murów kamienic, i te chodniki, zawsze przybrudzone, zawsze umęczone ciężarem ludzkich ciał, to wszystko ją jakoś przytłaczało, przygniatało do ziemi poprzez zapach umęczonego miasta – strudzonego miasta.

Kleparz, tam jej zmysły odradzały się na nowo, budziły się do życia jak dopiero co narodzone dziecko. Świeże warzywa, owoce zawsze błyszczące, sery, białe, żółte, uwędzone, przyprawy, te bliskie, te dalekie, te prawie zapomniane przez świat, przez ludzi, to wszystko, to nic, to było coś wyjątkowego, coś co docierało do Iwony Zakrzewskiej właśnie poprzez zapach, poprzez skutki tego zapachu w jej ciele, w jej myślach.

Jestem niewolnikiem wszystkich zapachów tego miasta, zapachów, które mnie niszczą, zapachów, które mnie kochają, wyzwala ją, myślała wtedy Iwona Zakrzewska.

Gdy przechodziła koło cukierni, gdy po nitce, po jakiejś dziwnej niewidzialnej linii wchodziła do cukierni, do środka, to co czuła było niczym symfonia w operze. Skrzypce, wiolonczele, puzon, trąby, kontrabas, fortepian i bębny, tak, bębny czuła najbardziej. Chciała coś tam kupić, zawsze, ciągle, nieustannie, ale nie mogła, była na diecie. Musiała jeszcze uważać, uważać z jedzeniem, uważać z życiem.

Wtedy się wycofywała, czuła w sobie smutek, rozpacz. Bardziej rozpacz niż smutek. Czy moje życie to ciągle odrzucanie tego, co

pragnę, czy moje życie to ciągle udawanie, że to co jest najlepsze, należy się innym, nie mnie, wtedy tak rozpaczliwie myślała, myślała poprzez zapach, nie poprzez myśli.

I piekarnia, piekarnia na rogu. Jej zapach rozciągał się już kilka przecznic dalej. Nie niszczył go ruch samochodów, nie niszczył go pisk szyn tramwajów, nie niszczyły go wciąż ruchome ciała przemieszczające się bez ładu i składu i co ważne, nie niszczyło go życie. Zapach chleba, bułek, pączków, mąki, zapach tak naprawdę życia i skutków tego życia w codziennym wstawaniu po coś, co jest nam niezbędne, co jest nam potrzebne, by rano poczuć się lepiej, choć odrobinę, to wszystko, to nic, było dla Iwony nieustającym wyzwaniem.

Piekarnię zawsze omijała szerokim łukiem. Przechodziła na drugą stronę, patrzyła się tylko na jej lekko szafirową barwę, barwę szklanej szyby z napisami tak zachęcającymi, że aż zakazanymi i szła dalej.

Kochała ten zapach. Był to zapach niepewności, był to zapach niebezpieczny. Wiedziała, że jak się w nim zatraci, może stracić wszystko, nawet życie, nawet siebie. Była na diecie, żyła dietą, na razie jej życie to była ciągła, nieustająca dieta. Kiedyś miało to się zmienić, ale nie teraz. Jeden błąd i cała ta układanka mogła runąć. Jeden błąd i wszystko niczym lawina mogło zmienić się w coś złego, w coś niebezpiecznego.

Zapachy, tyle zapachów miała koło siebie. Czula je, była nimi, one były nią. Czasami myślała, że sama jest jednym, wielkim, nieokreślonym do końca zapachem. Zapachy były w niej, ona była w zapachach, w ich barwie, w ich nasyceniu.

To przez serce, przez coś, co zmienia mnie nieustannie, myślała, coś, co mnie uczy na nowo żyć, istnieć. I zapach z pewnością jest jakąś częścią tej układanki. Częścią poznawczą, częścią nieokreśloną, częścią, na którą składa się życie. Życie przepełnione zapachem, życie przepełnione smakiem tego zapachu w rzeczach, przedmiotach.

Najpierw pojawił się deszcz, rano. Był krótki, intensywny. Oczyszczył całe miasto z kurzu, z napięć. Potem pojawiły się chmury, gęste, duże, wisiały nad miastem, nad samymi dachami, kominami. Prawie

dotykały ulic, chodników, ławek, drzew. Na końcu pojawił się wiatr. Wiatr silny, mocny, mający w sobie zapach wolności, ostatecznego rozrachunku przyrody ze światem. I ten wiatr, ta jego siła, to jego nieustające napięcie wiszące w powietrzu, oczyściło całe miasto z trosk, z niedomówień, z lęków. Chmury rozpruwane na pół przez kominy kamienic szybko zniknęły w oddali, w niewidzialności.

Iwona zjadła lekkie śniadanie. Była jakaś szczęśliwa, inna. Od dłuższego czasu tak się nie czuła. Myślała, że szczęście już ją nie dotyczy, nie będzie nigdy dotyczyć. A dzisiaj jakoś było inaczej. Wyszła cicho, bezszelestnie z domu. Gdy była przy małym rynku, gdy zbliżała się do ulicy Szpitalnej zobaczyła Kamienicę Hipolitów. Dawno tam nie byłam, pomyślała leniwie, prawie sennie, dawno nie czułam tak blisko czasu zatrzymanego w jednym miejscu, schowanego w teraźniejszości tak ściśle, tak dokładnie.

Weszła do szeroko otwartej bramy. Krętymi, brązowymi schodami weszła na pierwsze piętro. Znała ten dom, tę kamienicę, to miejsce. Była tutaj kilka razy, wcześniej. W przeszłości mieszkali w tej kamienicy bogaci kupcy, kolekcjonerzy sztuki. Teraz było tutaj Muzeum Narodowe. Każdy pokój, każdy mebel, każdy zegar, dywan, obraz, nawet każdy szelest, szmer to ślad jaki pozostawili po sobie dawni właściciele. Ślad wieczny, ślad bezkresny.

Salon, te meble masywne, stare, bogato zdobione, fortepian, obrazy, jakie obrazy, dobre obrazy znanych malarzy, zegary, tyle zegarów w jednym miejscu, dywan, stara podłoga drewniana i sufit z bali drewnianych, sufit zdobiony malowidłami.

Pokój babci, pokój rodziców, pokój dzieci. Drugie piętro, szerokie, ogromne okna. Widok na Kościół Mariacki, na rynek. I ci ludzie na dole, na ulicy, nieświadomi, bezbronni, zagubieni w sobie, tak bardzo obcy innym ludziom.

I wtedy coś Iwona Zakrzewska poczuła. Coś, co ją dotknęło nagle, niespodziewanie. Coś nieokreślonego, lecz jak to było teraz zauważalne w niej, w jej myślach.

Za sobą, za swoimi plecami poczuła przedmioty. Wiedziała, że tam są, lecz tak mocno, tak intensywnie nie czuła ich obecności nigdy.

Odwróciła się. Zamknęła oczy. Poczuła, że te zegary, meble, obrazy, mury, podłogi, sufit mają jakąś pamięć. Czuła tę pamięć w

sobie tak intensywnie. Poczuła, że przedmioty noszą w sobie wspomnienia, uczucia tego, co było, tego, co teraz jest prawie niewidoczne, nieobecne.

Dotknęła komody, palcami, delikatnie. Poczuła dziwny dreszcz w sobie; za oknem pojawiło się światło. Przedarło się przez szybę, dotknęło swoim ciepłem komodę. Znów coś innego poczuła Iwona.

I wtedy zrozumiała, że przedmioty rozmawiają ze sobą poprzez światło. Wspominają to, co było, czują to, co będzie, co może być.

Iwona podeszła do fortepianu, dotknęła go opuszkami palców. Poczuła czas zatrzymany w fortepianie. Słyszała gwar ludzi w salonie, muzykę wydobywającą się z palców muzyka, słyszała te walce, sonaty, słyszała nawet ciszę, gdy muzyk grał, a inni z zachwytem słuchali. Słyszała filizanki z kawą, z herbatą, ciche rozmowy pomiędzy kolejnymi sonatami i te ubrania, te suknie, też czuła ich obecność koło siebie. Otworzyła oczy. Zrozumiała, że czas śpi w przedmiotach, czuwa.

Wyszła z kamienicy. Coś się zmieniło. Cały czas czuła obecność przedmiotów tuż koło siebie. Kamienica Hipolitów poprzez światło dała znak innym kamienicom na ulicy. Czas z przeszłości cały czas za nią podążał. Na ulicy Szpitalnej weszła do małego kościoła. Uklękła, modliła się żarliwie, patrzyła się rozpaczliwie na ołtarz. Czas czekał na nią przed kościołem, na ulicy. Wyszła z kościoła, weszła do antykwariatu. Tyle tam książek, tyle wspomnień. Gdy przeglądała kolejne strony, w palcach, w dotyku czuła treść tego, co było kiedyś, treść zapomnianą. Słyszała pióro piszące coś na papierze, czuła atrament, czuła oddech osoby, która pisała tę książkę.

Książki tuż koło niej zaczęły ze sobą rozmawiać. Mówiły coś o niej, o jej sercu, o przyszłości, o smutku, o zagubieniu, o bezsennych, nerwowych, pełnych napięcia nocach. Nawet o jej snach coś książki mówiły, o snach niezrozumiałych, poplątanych, o snach nigdy do końca nieoczywistych.

Wyszła z antykwariatu. Światło na ulicy było jakieś inne. Przemieszczało się niewidzialnie, dotykało kamienic, ulic, przechodniów.

Gdy szła wzdłuż murów obronnych miasta, gdy stanęła koło Bramy Floriańskiej, gdy patrzyła się na wiszące obrazy na murach, czuła jak obrazy ze sobą rozmawiają. O niej, o jej chorobie, o szan-

sach na przyszłość; światło wciąż szło za nią i przekazywało informacje innym przedmiotom.

Iwona nie czuła w sobie strachu, wręcz przeciwnie, czuła się bezpieczna, ktoś chciał jej pomóc, ktoś chciał ją zrozumieć, komuś zależało na tym, by była szczęśliwa. Może nie ktoś, ale coś.

Czasami coś, może więcej znaczyć, niż ktoś. Jednak zdarza się to rzadko, bardzo rzadko.

Szła wzdłuż ulicy Floriańskiej. Tutaj zawsze jest tłum, tutaj zawsze jest pęd. To nawet nie jest pęd, to jest jakaś dzika, niebezpieczna ucieczka przed przeszłością. Złudzenie, że przyszłość nas wyzwoli, że przyszłość da nam jakieś inne złudzenia, chociaż jedno złudzenie, może więcej.

Weszła do Domu Jana Matejki. Kolejne piętra, kolejne pokoje. I ten sufit z gwiazdami, miejsce, gdzie umarł Jan Matejko.

I znów to poczuła Iwona. Cały dom o niej rozmawiał. Obrazy, meble, kolekcja narzędzi tortur, schody, obrusy, zestawy obiadowe, rysunki, szkice, kominki.

Iwona zamknęła oczy. Zobaczyła Matejkę, jego żonę. On znany, sławny, dostoyny, ona niecierpliwa, zmienna, kapryśna. I ta jej twarz w obrazach Matejki. Malował ją wszędzie, na każdym obrazie. Była królową, była kimś z dworu, zawsze gdzieś była ukryta.

Matejko ją kochał, choć nie kochał jej kaprysów, jej nieustających zmian nastrojów.

Iwona Zakrzewska wyszła z kamienicy. Była jakaś inna, odmieniona. Odwróciła się w kierunku wejścia do muzeum i powiedziała:

- Chcę odpocząć.

I wtedy światło ją opuściło. Znów była sama. Przedmioty wokół niej były martwe, nieobecne, zimne. Koło niej była cisza, spokój. Znów była sama ze sobą. Ale myśl, że przedmioty mają duszę, zakłęty czas w sobie, że przechowują wspomnienia, że potrafią ze sobą rozmawiać poprzez światło, była dla niej jakimś znakiem, wyzwoleniem.

Człowiek, gdy jest sam, otoczony tylko przedmiotami, tak naprawdę nigdy nie jest sam. Przedmioty przenoszą życie tego człowieka, jego wspomnienia w przeszłość. Przenoszą poprzez światło.

Gdy ją spotkał pierwszy raz, chciał po prostu tylko być z kimś. Być z kimś choćby przez chwilę, choćby momentami, okresami, choćby krótkimi falami czasu przebywać z nią, przebywać koło niej. Chciał jej trochę pomóc, chciał trochę pomóc sobie. Teraz już nie musiał nikomu się tłumaczyć. Ani żonie, ani synowi, ani sobie. Sobie najmniej. Ich już nie było, a on czuł się od pewnego czasu tak, jakby go prawie nie było. Był martwy i nie wiedział co z tym stanem ma dokładnie zrobić. I wtedy pojawiła się ona...

Tadeusz Chrowski musiał pojawić się w Mocaku na otwarciu wystawy. Był prezydentem tego miasta, to zobowiązywało go do wielu rzeczy, które musiał robić, nawet wtedy gdy tego nie chciał.

„Sztuka współczesna oczami Żydów” tak brzmiała wystawa. Duże sale, przestrzenne, tłum ludzi, jakiś poczęstunek na dużych, zbyt podłużnych stołach i jego przemowa.

Przemówienie przygotował mu jego pracownik. Nauczył się go na pamięć. Czytał je z głowy jak dobry aktor. Ludzie słuchali, milczeli, kiwali głowami. Potem były oklaski. Ludzie rozeszli się po salach.

I wtedy ją zobaczył. Stała przed wielkim obrazem. Jej długie blond włosy, te mocne usta umalowane na czerwono, uszy przylegające prawie do skóry, ta kobieta, jej postać, jej zaduma i bezruch, taki bezruch który obezwładnia, onieśmiela, to wszystko, to nic, tak bardzo przypominało Chrowskiemu Ilonę.

Podszedł do niej, stanął tuż obok. Spojrzała na niego, uśmiechnęła się. Miała dwadzieścia sześć lat, wszystko przed sobą.

- Natalia to piękne imię – powiedział Chrowski, gdy już się sobie przedstawili.

- Mnie też się podoba – uśmiechnęła się ona.

- Jak wystawa?

- Dziwna. Sztuka współczesna zawsze ociera się o jakiś absurd, o jakąś ironię. Sztuka współczesna uwypukla obłęd w człowieku. Daje złudzenie, że to co mamy w głowie ma jakiś sens, jakieś znaczenie. A my to znaczenie musimy pokazać innym. Czasami niepotrzebnie.

Chodzili razem po ogromnych salach. Czasami przystanęli, coś skomentowali i szli dalej.

Jest tak bardzo podobna do Ilony, myślał Chrowski gdy na nią patrzył. Nie tylko wygląd, ale te ruchy rąk, to zaczesywanie włosów ręką na bok, ten uśmiech, ten grymas, to mrużenie rzęs. To niemożliwe, to niewiarygodne. Natalia była kopią Ilony z młodości.

Była aktorką, chciała zostać aktorką. Właśnie skończyła szkołę teatralną i szukała etatu w teatrze. Podania złożyła w Krakowie i w Warszawie. Czekala na odpowiedzi. Na razie była cisza, głucha cisza, martwa cisza, tak powiedziała. Cisza przepełniona niepewnością.

Po wystawie zaprosił ją na kawę. Siedzieli w Sukiennicach na tarasie, w kawiarni, patrzyli się na noc, na gwiazdy, na ludzi na rynku, tuż koło kwiaciarek. Kościół Mariacki mienił się w blasku księżyca. Tak dobrze rozmawiało mu się z nią. Jej z nim. Czuł się w końcu odprężony, jakoś dziwnie pobudzony. Nie, nie myślał, żeby się z nią przespać, chciał tylko z nią rozmawiać, chciał tylko przebywać w jej świecie, choćby tylko czasami. Pragnął połączyć to, co zaczynał czuć do niej, z tym, co mogła ona czuć do niego, kiedyś, w przyszłości.

Pili czerwone, słodkie wino. Gwiazdy odbijały się od lampek z winem, poprzez lekko zamglone światła na tarasie.

- Czujesz się czasami samotny? – nagle spytała Natalia.

- A ty? – cicho opóźnił odpowiedź Chrowski.

- Dobrze – uśmiechnęła się tajemniczo Natalia – dobrze – powtórzyła to dobrze jeszcze raz, ale brzmiało to dobrze jakoś inaczej w jej ustach niż mogłoby to zabrzmieć w ustach Chrowskiego – odpowiedź pierwsza. Niby mam znajomych, przyjaciół, kolegów, niby mam dużo do zrobienia, i te rzeczy zajmują mi dużo czasu, dużo energii wydobywają ze mnie, niby mam cel, grać w teatrze, w kinie, niby jestem ładna, atrakcyjna, i jest we mnie tego niby tak dużo, że aż za dużo, ale nie czuję się z tym wszystkim szczęśliwa. Często dopada mnie samotność w takich momentach, gdy jestem najsłabsza. Gdy już nie mogę nic zrobić z tą samotnością. Bo już jest we mnie, rozchodzi się w całym moim ciele powoli, a ja jestem wobec niej taka bezbronna. Wiem, że to minie, bo zawsze mija, ale ta moja bezbronność wobec niej jest taka przerażająca. Tak obca mnie i moim uczuciom wobec tego świata. A ty, jak sobie radzisz z samotnością? – spojrzała na niego uważnie. – Tylko nie kłam, proszę. Nie

dzisiaj. Nie w taką noc, gdy gwiazdy prawie zaglądają nam do duszy.

- Najpierw umarła mi żona, co nie powinno się nigdy wydarzyć, bo ona wydobywała ze mnie najlepsze cechy, najlepsze cechy ze złych cech. Dzięki niej chciałem być lepszym człowiekiem, musiałem być lepszym człowiekiem dla niej, potem dla syna. Potem zmarł mi syn. Co było okrutne. Tracić coś, co dawało mi nadzieję, że wyrwę się z tej pierwszej rozpacz. Tego już nie potrafiłem znieść w sobie. Pojawiły się we mnie dawne nałogi. Zacząłem się zanurzać w ciemności, wynurzać z ciemności, żeby przetrwać, żeby ujarzmić tą przerażającą, tak otępiającą samotność w sobie. Poprzez nałogi lepiej ogląda się przeszłość, całe nasze życie. Wtedy zrozumiałem, że niektóre rzeczy lepiej ogląda się po czasie – Chrowski spojrzał na ulicę Sienną, zobaczył tam mężczyznę, który grał na saksofonie jakąś balladę, ta melodia coś mu przypomniała, w jego oczach pojawiła się pierwsza łza. – Samotność, tak jak wojna, wydobywa z człowieka najgorsze cechy. Stajemy się bezkarni, wobec siebie, wobec innych. Stajemy się bezmyślni, bezsilni. Czynimy to, co w normalnym życiu byłoby niemożliwe. Z obawy przed tłumem, z obawy przed sobą.

Natalia dotknęła jego ręki i wtedy Tadeusz Chrowski coś poczuł, coś, co sprawiło, że w jego oczach pojawiła się druga łza.

- Cieszę się, że cię spotkałem – powiedział cicho, z jakimś dziwnym wstydem i lękiem.

- To przeznaczenie, może cud, może przypadek, a może te wszystkie rzeczy razem, te wszystkie rzeczy osobno. Nieważne. Ważne, że coś, może ktoś doprowadził nas tutaj, do punktu, w którym wszystko może się zacząć, wszystko może się skończyć.

Nie oczekiwał zbyt wiele od życia, teraz, a tu nagle pojawiła się ona. Zaczął się z nią spotykać. Bardziej przebywał z nią, niż się spotykał. Na wszystko dla niego było za wcześnie. Za wcześnie na miłość, za wcześnie na drugie życie. Dziwne było to, że nie chciał, nawet o tym nie myślał, na razie, żeby z nią iść do łóżka. Nie potrzebował tego. Sama świadomość, że ona gdzieś jest, gdzieś jest w obrębie jego myśli, czasu, sama świadomość, że ją zobaczy, dotknie

jej ręki, może nogi, mu wystarczała. Chciał być z kimś, chciał być z nią. Przebywać.

Załatwił jej etat w Bagateli. Znał dyrektora. Spotykali się często na bankietach. Dyrektor lubił pić, on lubił pić. Polubili się. Taka przyjaźń, przyjaźń nasączona mocnym alkoholem. Nie ma problemu, rzekł dyrektor, damy jej szansę. Ucieszyła się. Tak naprawdę nie chciała wyjeżdżać z tego miasta, przyzwyczaiła się. Przyzwyczaiła się do tych kamienic, murów, ludzi, do tego wiecznego hałasu i pędu, do kawiarni, klubów, koncertów – to były jej wspomnienia, na razie bliskie, bała się, że przez ucieczkę z tego miasta staną się dalekie, odległe, może nieobecne w przeszłości.

- Będę pracować w Bagateli – objęła go rękami za szyję. – Tak bardzo cieszę się, że zostanę tutaj, z tobą.

- Poradzisz sobie. To dobry teatr. Musiałem cię jakoś zmusić, żebyś została w tym mieście. Bez ciebie znów poczułbym pustkę w sercu. W całym swoim ciele.

Natalia pocałowała go lekko w szyję. I wtedy Tadeusz Chrowski coś poczuł. Poczuł jej dotyk w swoim ciele. Na początku nie wiedział co to jest, nie był pewny, ale gdy go dotykała rękami po włosach, po szyi, gdy patrzyła się głęboko w oczy, w jego oczy, a potem lekko kładła rękę na jego kolanie, tak swobodnie to robiła, z taką lekkością ocierała się o najskrytsze części jego duszy, gdy te pierwsze dotyki dotarły w końcu do jego ciała, potem do serca, a na końcu do głowy, do jego myśli, wtedy Chrowski zrozumiał, że te dotyki zaczynają w nim wzbudzać wspomnienia. Było to miłe, przyjemne. Wracać do rzeczy, które były dla niego ważne, wręcz niezbędne, kiedyś.

Kelnerka przyniosła gorącą czekoladę w białych filizankach. Czekolada miała różne kolory – brązowy, czarny, kremowy, miała różne zapachy. Siedzieli w Pijalni Czekolady Wedla, na Rynku. Natalia spróbowała białą czekoladę, uśmiechnęła się.

- Dobra, bardzo dobra – potem dotknęła jego rękę. – Spróbuj.

Gdy dotknęła jego rękę Chrowski poczuł, jak jego ciało wraca do przeszłości. Był tutaj z Iloną. Pili czekoladę, byli szczęśliwi, czekali na kogoś. Teraz nie pamiętał na kogo, ale teraz to było nieważne, nieistotne. Znów zobaczył Ilonę w sobie, zobaczył ją poprzez dotyk. Teraz już był pewny, teraz już wiedział, że każde ciało przechowuje

wspomnienia, które wzbudzone są poprzez dotyk, poprzez setki dotyków i te dotyki docierają tam, gdzie myśli nie mogą dotrzeć. Im głębiej dotyk dociera do skóry, poprzez skórę, im bardziej dotyk zaprzyjaźni się z ciałem, z jego skórą, z drzeniem, tym wspomnienia są starsze. Jest tylko jeden problem, myślał, bardziej zastanawiał się niż myślał Chrowski, żeby trafić na osobę, która potrafi te wspomnienia rozbudzić w innym człowieku. Żeby taka osoba pragnęła dotyku innego człowieka, żeby trwała w tym dotyku ciągle, nieustannie, żeby dotyk był dla niej ważny, żeby dotyk, kiedyś, z upływem czasu, nie zmienił się w przyzwyczajenie.

- Lubisz mnie – rzekła nagle Natalia, a jej usta lekko lepiły się od brązowej czekolady. – Lubisz mnie, to widać. Pomagasz mi z pracą, z życiem, z sobą. Dzięki tobie bardziej poukładałam w sobie to, co od dłuższego czasu miałam niepoukładane w sobie. Uspokajasz mnie, uspokajasz we mnie to, co ciągle było wzburzone we mnie, przez czas, przez ludzi.

- Tak, lubię cię. Lubię z tobą rozmawiać. Lubię gdy mnie dotykasz. Sprawiasz, że coś we mnie się budzi poprzez te dotyki. Coś, co jest dla mnie ważne, coś, co sprawia, że jeszcze chcę walczyć o siebie, że jeszcze chcę próbować walczyć o siebie.

- Czasami widzę coś złego w tobie. To zły błysk w twoich oczach. Trwa to sekundę. Szybko to mija. Myślisz, że tego nie zauważam, ale nie jesteś pewny i czujesz się wtedy zakłopotany. I to cię przeraża, to zakłopotanie w tobie. Gubisz się wtedy, coś mówisz do mnie bez sensu. Chcesz uciec jak najdalej od tego złego błysku w oczach. Wiesz – Natalia przysunęła się do niego bliżej, prawie ocierała się swoim ciałem o jego ciało – wiesz – powtórzyła to wiesz jeszcze raz, jakby to wiesz miało jakieś ważne znaczenie w zdaniu, które za chwilę wypowie, które za chwilę chce wypowiedzieć – myślę, że masz zło w sobie, takie zło, którego sam się boisz. I to zło cię kiedyś jakoś ukształtowało. Chcesz o tym źle zapomnieć, ale nie możesz, złe wspomnienia nieustannie wracają. Są zawsze z nami. Aż do końca. Ale wiem, że walczysz z tym złem w sobie. Starasz się od tego zła uciec, na jak najdalszą odległość. Na odległość taką, na którą pozwoli ci dobro, które też masz w sobie – Natalia przysunęła się do jego ucha, jej usta prawie dotykały jego prawego ucha, a potem z jej ust wydobył się cichy, aksamitny szept. – Nie bój się do-

bra, które masz w sobie. Ono tam jest i zawsze tam będzie. Tak jak zło, które też nosisz w sobie. Nie możesz tego zmienić. Człowiek składa się z dobra, człowiek składa się ze zła. Postaraj się, żeby dobro choć trochę było lepsze od zła. Żeby dobro przeważało. I to już będzie twój sukces. Przewaga dobra nad złem – Natalia odsunęła się od twarzy Chrowskiego. – Nie bój się, nie odejdę od ciebie. Dla mnie jest ważne, jaki jesteś dla mnie, nie dla innych. Dla mnie jest ważne, jak traktujesz mnie, a nie jak traktujesz innych. Dla mnie jest ważne, że gdy cię dotykam, to coś w środku ciebie się budzi. Coś dobrego. I to dobro właśnie ja wydobywam z ciebie. Nie ktoś inny. Dla mnie jest ważne, że się starasz. A prawdę mówiąc, jesteś jedynym mężczyzną w moim otoczeniu, który tak bardzo stara się o mnie. Bardziej niż ja sama staram się o siebie. I to mnie w tobie uwiodło. Ta chęć, to pragnienie, żeby mnie chronić przed złymi rzeczami tego świata, ta chęć, to pragnienie, żebym choć trochę lepiej się czuła na tym świecie niż inni. I to mi ty właśnie dajesz – Natalia dotknęła prawą ręką jego szyi. – I to mi ty właśnie gwarantujesz, pomimo zła, które widzę czasami w twoich oczach. Ale nie martw się – Natalia spojrzała mu głębiej w oczy, a jej granatowe oczy zwęziły się na chwilę. – Ale nie martw się – powtórzyła to nie martw się jeszcze raz – razem będziemy walczyć ze złymi nawykami w tobie. Oczywiście jeśli mi pozwolisz, oczywiście jeśli sam tego będziesz chciał.

- Dobra czekolada – rzekł Chrowski, tylko to teraz mu przyszło do głowy. – Dobra ta czekolada, musimy tutaj częściej przychodzić.

Oczy Kaplicy intensywnie błyszczały. Były zwężone, niebezpieczne, niebezpiecznie skupione.

- To dobre pieniądze. Czyste pieniądze. Bez żadnego ryzyka.

- Tak bardzo mu zależy na tym miejscu? – spytał Tadeusz Chrowski.

- Bardzo. Chce tam wybudować bloki. To prawie centrum. A w centrum, wiadomo, mieszkania są drogie. Dobrze płaci, zarówno nam, jak i miastu.

- Czy inni deweloperzy są zainteresowani tym gruntem?

- Tak. Inni inwestorzy też chcą go kupić. Ale to od nas zależy komu go sprzedamy. On nie chce zapłacić mniej. On chce tylko wygrać ten przetarg.

- Dobra – Chrowski podjął szybką decyzję, według niego dobrą decyzję. – Załatw to. W końcu my rządzymy tym miastem.

- Już to załatwiłem – zaśmiał się Kaplica. – Pieniądze są u ciebie w domu. Wiedziałem, że się zgodzisz.

- On coś wie o mnie?

- Nie wie, kto decyduje o tych gruntach. Wie, że ktoś w urzędzie. Ale kto, tego nie wie. Nie domyśla się, że ktoś na szczycie.

- Ja mam być zawsze czysty.

- Jak zawsze. Od ciemnych stron, spraw zawsze jestem ja.

- Załatw to do końca. A ja zajmę się zgodą na sprzedaż tych gruntów.

Kaplica wyszedł z pokoju, raczej z gabinetu niż z pokoju. Już mam dość pieniędzy, pomyślał Chrowski, mam władzę, mam szacunek ludzi na mieście, szacunek tych, którzy mnie nie znają, ale wiedzą, że jest ktoś, kto wiele może, kto wiele chce. Jednak wciąż mam ciągly niedosyt, i ten niedosyt sprawia, że wciąż więcej chcę niż potrzebuję. Po co mi to? Po co walczyć o rzeczy, które zawsze są daleko, nigdy blisko? Po co walczyć samemu ze sobą, przecież wiemy, że tak naprawdę tej walki nie można wygrać? Po co rozbudzać strach w ludziach, skoro ci ludzie i tak niewiele mogą mi zrobić? Po co być kimś innym, jeśli tak naprawdę chcemy być tylko sobą? Nieważne co to sobą może w nas oznaczać, co to sobą może z nami w przyszłości zrobić.

Chrowski spojrzał na zegarek. Jestem spóźniony, pomyślał, i szybko wyszedł z gabinetu.

Natalia stała przed Muzeum Mehoffera. Chrowski zauważył ją z daleka. Była zdenerwowana, piękna i zdenerwowana. Podeszedł do niej.

- Za pięć minut zaczyna się koncert – powiedziała z wyrzutem. – Jak wyglądam?

- Dobrze. Doskonale – Chrowski spojrzał na jej czarną, obcisłą sukienkę, na jej czarne buty na obcasach, ze złotymi sprzączkami, na jej czerwone kolczyki z pięknymi kamieniami, na jej usta czerwone,

na jej oczy granatowe, podmalowane delikatnie tuszem, to wszystko, to nic, sprawiło, że poczuł się z nią szczęśliwy.

- Wchodzimy – Natalia stanowczym krokiem weszła do bramy, a potem skręciła w lewo do Muzeum Mehoffera.

Usiedli w salonie na drewnianych krzesłach. Na środku salonu, prawie pod oknem stał czarny fortepian. Na sali było dużo ludzi. Wszyscy spięci, wszyscy elegancko ubrani, wszyscy niecierpliwi. Niecierpliwość była widoczna na ich twarzach, w każdym geście ich rąk.

Rozpoczął się koncert. Szymanowski, on dzisiaj był bohaterem tego popołudnia. Muzyka ludowa wypełniła wnętrze domu Mehoffera. Mehoffer tu żył, pracował, tworzył, spotykał się z innymi artystami. Pianista zręcznie oddawał ducha podhala, muzyka ludowa, z gór, z dolin, z nizin docierała coraz głębiej do duszy Chrowskiego. Była w nim, była poza nim.

Nagle Natalia delikatnie dotknęła Chrowskiego swoją ręką. Dotyk sprawił, że Chrowski zamknął oczy. Wspomnienia, jeszcze tyle wspomnień miał w sobie, tyle pragnień, tyle obrazów było w nim, obrazów jeszcze do końca nierozbudzonych.

Przypomniawszy sobie Paryż, upalne lato, Ilona opalona jak nigdy wcześniej, właśnie wrócili z Turcji i tak spontanicznie polecili do Paryża. Wtedy, gdy coś chcieli, to od razu to robili. Bez względu na przeciwności losu, przeciwności czasu. Czuli, że to jest ich czas, może najlepszy w życiu. Nie chcieli go marnować.

Opera Paryska. Chrowski czuje mocniejszy uścisk dłoni Natalii. Wspomnienia stają się głębsze, mocniejsze, bardziej wyraźne. Treściwe. Jak piękna wydawała im się wtedy Opera Paryska. Grali jakiś nostalgiczny koncert Chopina. Dobrze trafili. Była jakaś rocznica jego urodzin, może śmierci. Tego Chrowski nie pamięta. Kolejny uścisk dłoni Natalii. Uścisk intensywny. Chrowski widzi Ogrody Luksemburskie, tuż koło Panteonu. Pięć, może dziesięć minut na piechotę od Panteonu. Tyle tam było kwiatów, tyle drzew. I ten staw, taki piękny, taki inny, i ten pałac, może dworek, i te krzesła na których siedzieli i całowali się tak namiętnie jak nigdy wcześniej. Ta noc, ta muzyka z Opery Paryskiej, ten czas, te chwile, ten brak napięć między nimi, brak złych napięć, które później czasami się po-

jawiały, przez jego pracę, przez jego złe nawyki. Przez jego złe życie. To był dobry czas dla nich, może najlepszy.

A potem kochali się w hotelu, czuli wilgoć rzeki tuż koło siebie, przecież mieszkali przy samej Sekwanie. I ta noc, ona w samym prześcieradle na sobie, na balkonie. Statki pływające wśród gwiazd, na nich ludzie lekko pijani, zakochani, i ten jej uśmiech, taki niebezpieczny, ale spokojny, inny, i to drżenie jej skóry, gdy ją całował tuż koło ucha, a ona się tylko uśmiechała, mrużyła oczy, nic nie mówiła, drżała. Słowa nic nie mogły zmienić w nich, wtedy. Nie mogły nic więcej podkreślić, nie mogły nic więcej zaznaczyć. Były puste i w tej pustce był jakiś szczególny wyraz. Wyraz szczęścia, szacunku, miłości. Wyraz tego co ma zapach nadziei, rozkoszy. Tak, rozkoszy. Paryż wtedy, i teraz, we wspomnieniach, kojarzy mu się z jakąś dziwną rozkoszą. Rozkoszą do końca niezaspokojoną. Bo miłość zawsze ociera się o rozkosz, a rozkosz zazwyczaj ociera się o niespełnienie. Bo prawdziwej miłości nigdy nie da się wypełnić do końca jakimś spełnieniem, jakąś rozkoszą. Więc rozkosz wtedy była w nich, wtedy była poza nimi. Tak, Paryż wtedy, i Paryż teraz zawsze będzie mu się kojarzył z jakąś dziwną rozkoszą.

Natalia puściła jego rękę. Chrowski otworzył oczy. Pianista wciąż grał podhalańskie rytmy. Ludzie milczeli, słuchali, byli nieobecni, trochę jak on przed chwilą.

Muzyka to krótkie chwile nieobecności, które dotyczą ciała, dotyczą duszy. I gdy ta nieobecność się nagle pogłębia, to wtedy, z całą pewnością, ocieramy się o sztukę. O wpływ tej sztuki na nasze życie. O wpływ tej sztuki na naszą przyszłość, na nasze sny, marzenia, lęki. O wpływ tej sztuki na to, co jest widzialne w nas, na to, co jest niewidzialne w nas.

Pianista zakończył koncert dynamicznie, z jakimś podhalańskim przytupem. Stał przy fortepianie, uklonił się nisko. Brawa, wszyscy stali i klaskali.

- Cieszę się, że tutaj ze mną byłeś – cicho szepnęła Natalia. – Cieszę się, że czułeś to, co ja czułam.

Wyszli na zewnątrz. Zbliżała się noc. Usiedli w kawiarni, w ogródku Muzeum Mehoffera. Kiedyś artysta tutaj malował, tworzył, teraz oni, przy metalowym stoliku we wzory francuskie siedzieli i

patrzyli się na jego ogród, na jasne światła pośród kwiatów, na gwiazdy, dopiero co rozbudzone ze snu. Pili kawę, kawę z dodatkiem koniaku.

Natalia znów go dotknęła ręką. Chrowski poczuł coś w sobie, coś ważnego, coś istotnego, coś co kiedyś w nim było i wydawało się, że już umarło, zatarło się na zawsze, ale teraz pod wpływem dotyku Natalii wróciło, obudziło się ze snu.

Paryż, znów ten Paryż. Moulin Rouge, na dachu dawnego młyna czerwony wiatrak, tyle światel wokół, zbliża się noc, tłum ludzi przed wejściem do kabaretu. To podniecenie, ten dreszcz w oczach ludzi. Dużo małych stolików w środku, na nich czerwone lampki, szampan. A potem kobiety, piękne kobiety z cekinami, piórami, kryształami, kobiety tańczące, śpiewające, kobiety z innego świata, z innej epoki. Tak szybko mijał im wtedy czas z Iloną. Prawie nie oddychali pijąc szampana. Ilona zamarła, on zamarł, gdy kobieta pływała w dużym szklanym basenie z węzami. Pływała tańcząc, a węże oplatały jej ciało, jej duszę. I te pióra na głowach kobiet, i te pióra na plecach kobiet, i te pióra w rękach kobiet. A potem koniec, cisza, oklaski.

Wyszli w ciemność Paryża. Wyszli w ruchome święto Paryża. Bo Paryż to zawsze ruchome święto, bo Paryż to nieuchronność tego co za chwilę się wydarzy, tego co nigdy później się nie wydarzy.

Poszli w kierunku Montmartre. Usiedli w małej stylowej kawiarni. Podniecenie kazało im znowu pić szampana. Coś z nich powoli zaczynało uchodzić, uciekać, ale była to ucieczka powolna, zbyt powolna.

Zobaczyli kobietę w rogu kawiarni. Przyszła przed chwilą, siedziała tuż za nimi. Siedziała zamyślona. Była jakaś zmęczona, nieobecna. I ten makijaż na twarzy. Oczy Chrowskiego się rozszerzyły.

- To ona? – spytał Chrowski Ilonę.

- Tak, to na pewno ona. Zaproś ją do nas. Jest taka samotna. Taka piękna i samotna. Tam, wśród światel była gwiazdą, teraz to wszystko w niej zgasło, rozplynęło się niepotrzebnie.

Chrowski podszedł do kobiety, przedstawił się, podziękował za taniec w Moulin Rouge, kobieta się do niego uśmiechnęła. Poszła wraz z nim do Ilony.

Chrowski zamówił kolejną butelkę szampana.

- Byłaś taka samotna, tam, przy tamtym stoliku – rzekła Ilona.

- Gdy tańczę, zawsze jestem w centrum świata, w centrum Paryża, w centrum nocy. Gdy kończę tańczyć wszystko ze mnie ucieka i zostaję sama, sama ze sobą. Po występie zawsze tutaj przychodzę. Czuję wtedy smutek, coś się skończyło, i coś nowego dopiero jutro się narodzi, wieczorem, na kolejnym przedstawieniu.

- Każda z was tak się czuje po występie?

- Tak. Większość z nas nie lubi tej przerażającej ciszy zaraz po przedstawieniu. Emocje opadają, ale ciało wciąż jeszcze drży. I wtedy dopada nas samotność. Taka samotność, która przeraża, taka samotność, która niszczy. I nie można tej samotności niczym pokonać. Ani miłością, ani ucieczką, ani nałogiem.

I kolejna butelka szampana.

Vanessa opowiedziała im, jak trudno jest dostać się do tego kabaretu. Ile mają prób, prób wyczerpujących, takich prób, które niszczą ciało, doprowadzają je do całkowitego wyczerpania. Ale gdy przychodzi wieczór, gdy pojawia się znów na scenie, całe zło z niej znika. Jest wolna, jest niebezpiecznie piękna, jest nieświadomie wyuzdana. Sprawia, że poprzez jej ciało, poprzez ruch tego ciała, oczy mężczyzn błyszczą z pożądania. Mężczyźni kochają się z nią poprzez światło, które bije ze sceny wprost na ich twarze.

Dochodziła druga w nocy. Ilona była pijana, Chrowski był pijany, Vanessa była pijana. Cały Paryż był pijany wraz z nimi. Poszli razem do hotelu. Tak dobrze czuli się ze sobą. Zamówili kolejne dwie butelki szampana do pokoju.

- Przy was samotność mnie opuściła – rzekła cicho, lekko łamiącym się głosem Vanessa.

Chrowski nalał szampana do lampek. Włączył muzykę. Ilona zaczęła tańczyć. Vanessa podeszła do niej, zaczęły się razem dotykać, najpierw oczami, potem swoimi ciałami. Dochodziły do siebie, odchodziły od siebie. Ilona dotknęła dłonią włosów Vanessy.

- Są takie piękne – wyszeptała. – Jeszcze pachną tańcem, kabaretem, pożądaniem.

Vanessa nagle pocałowała Ilonę w usta. Ilona się nie broniła. Oddała jej pocałunek, jej ręce dotykały cały czas włosów Vanessy. Potem Ilona odwróciła się do Tadeusza Chrowskiego.

- Chodź do nas – wyszeptała miękkim głosem.

Chrowski wstał z krzesła, lekko się zachwiał. Wszyscy byli pijani, on, jego żona, Vanessa. Podszedł do nich. Obie kobiety zaczęły go całować. Był pomiędzy nimi. One były pomiędzy nim. Ich ręce zaczynały się łączyć wzajemnie. Ich ciała zaczęły drżeć, zaczęły coś czuć innego niż zazwyczaj.

- Nigdy tego nie robiłam w ten sposób – cicho szepnęła Vanessa.

- My też – dodała Ilona i zaczęła rozbierać Vanessę.

Vanessa się nie broniła, wciąż całowała Chrowskiego w szyję. A potem byli nadzy na dywanie, a potem ich ciała stworzyły jedną całość, a potem była tylko jedna przyjemność, jeden dotyk, drżenie jednego ciała, nie trzech. Stali się jednością. Jednym ciałem, jedną duszą. Poczuli się wolni i w tej wolności chcieli trwać jak najdłużej.

Rano obudzili się nadzy na dywanie. Chrowski był nagi, Ilona była naga, Vanessa zniknęła. Ich ubrania leżały rozrzucone po całym pokoju. Puste butelki cicho spały tuż przy łóżku.

- To było piękne, choć niebezpieczne – zawstydzonym głosem powiedziała Ilona. – Jednak nigdy więcej tego nie zrobimy. Nie chcę się dzielić z tobą z innymi kobietami, choć wiem, że wczoraj, razem, z nią, byliśmy tak blisko siebie. Najbliżej siebie jak to jest tylko możliwe. Jednak boję się takiej bliskości, bo wiem, że cię wtedy na moment tracę, poprzez inne ręce, inne pocałunki, inne pieszczoty. Jesteś wtedy mój, jesteś wtedy kogoś innego. Nie martwi mnie to mój, bardziej martwi mnie to kogoś innego. Nic nie jest warta bliskość, jeśli tracimy podczas tej bliskości część duszy kogoś bliższego.

Później nigdy do tej nocy nie wracali. Była to noc piękna, była to noc niebezpieczna. Podczas tej nocy, z Vanessą, tak dużo się o sobie dowiedzieli, tak dużo się o miłości nauczyli. Przez tę jedną noc. Żadna z ich kolejnych, przyszłych, wspólnych nocy, tak dużo ich nie nauczyła o ich pragnieniach.

Później tylko milczeli, gdy ktoś przy nich mówił o Paryżu. Bo Paryż to Moulin Rouge, bo Paryż to Vanessa, bo Paryż to ta noc, która wszystko zmieniła w ich życiu, odwróciła ich ciała na drugą stronę, przyjrzała się im dokładnie, dała im to, co miała dać, a potem kazała im żyć z tym wszystkim na nowo. Żyć w innym kształcie i wymiarze.

A Vanessa, cóż, była, albo jej nigdy nie było. Może była snem, ich wspólnym snem, może była ich wspólnym pragnieniem, które poprzez sen się spełniło, a może była tylko pożądaniem, które wybuchło poprzez sen. Takim pożądaniem, które zostaje w człowieku aż do końca. Takim pożądaniem, które później zawsze kojarzy się z uśmiechem, takim pożądaniem, które później zawsze kojarzy się z grzechem. Słodkim grzechem nasączonym ciemnością.

Wyszli z kawiarni, Natalia lekko trzymała jego rękę tuż przy łokciu. Poszli w kierunku Plant, a potem spacerowali po Rynku.

Ciemność, miasto w ciemności, ludzie w ciemności, kształty kamienic w ciemności, zarysy cieni schowane w ciemności.

Natalia przytuliła się do jego ramienia. Jej twarz dotknęła jego szyi. I ten dreszcz, pierwszy, i ten dreszcz, drugi, głębszy, dreszcz niosący wspomnienia, wspomnienia dobre, ciche, bezpieczne.

Szli z Iloną w górę, w kierunku Montmartre. Te kamienice, ta ciemność Paryża, ta muzyka, cicha, ciepła, wymykająca się prawie bezszelestnie z kawiarni. Doszli do Montmartre. Duży plac, kawiarnie, malarze sprzedający swoje obrazy.

Jeden z nich był inny. Te jego oczy, pełne zadumy, ta sylwetka, lekko pochylona do przodu, nie zgarbiona, tylko lekko pochylona, przez czas, przez życie, przez skutki tego życia w innym czasie. Jego czasie. Czasie jego sztuki. Bezskutecznych prób ucieczek od tej sztuki.

Nosił długi, czarny, lekko pomarszczony płaszcz, spodnie z bawełny, też czarne, koszula czerwona i kapelusz, cały zmięty, skąpany w mroku miasta.

Chrowski zaprosił go na kawę, do kawiarni tuż obok. Skończyło się na winie. Ilona była zachwycona, rozmawiali z prawdziwym malarzem w Paryżu. Paul, bo tak miał na imię ten malarz, rozgadał się, wino rozwiązało mu język, przywróciło wspomnienia w jego głowie.

Jego dziadek też malował obrazy, i to on zaszczepił w nim tę pasję. Kiedyś z dziadkiem rozmawiał, gdy jeszcze pamięć mu służyła, o dziadka ojcu, o pradziadku Paula. Pradziadek był malarzem z prawdziwego zdarzenia. Znał prawie wszystkich impresjonistów w

Paryżu. Razem malowali, razem pili absynt, razem biedowali, a potem pradziadek założył własną kawiarnię i oni wszyscy do niego przychodzili. Pradziadek potrafił malować, ale nie miał takiego talentu jak oni, więc zrezygnował. Zaczął pracować, założył rodzinę i żył marzeniami innych malarzy. Pomagał im, żywił ich, gdy nie mieli co jeść, oni w zamian dawali mu swoje obrazy. Potem te obrazy zginęły podczas wojny. Pozostały mu wspomnienia, rozmowy, obrazy z przeszłości.

- Znał ich wszystkich? – oczy Ilony błyszczały z podniecenia.

- Tak. Malarze to dziwni ludzie. Wierzą, że to co robią ma jakiś sens. Jednak ten sens niszczy ich codzienne życie. Potrafią żyć tylko poprzez sztukę, nic poza sztuką nie ma dla nich sensu. I to wieczne niezrozumienie u innych, ta wieczna pogarda społeczeństwa i ten żar, który tak uparcie niesie ich do przodu, i ten żar, który tak konsekwentnie niszczy wszystko wokół nich.

- Jacy oni byli? – spytał Chrowski.

- Byli inni. Żyli w swoim świecie. Jeździli nad Sekwanę, malowali pejzaże, szukali miejsc, ludzi, szukali natchnienia w nocy, w dzień, w rzece, w deszczu, w słońcu. Słońce było ich największym natchnieniem. Dawało im kolory, a kolory dla impresjonistów to szaleństwo, to skutki tego szaleństwa w realnym życiu.

- Vincent Van Gogh, jaki był? – granatowe oczy Ilony były rozszerzone do granic wytrzymałości.

- Ruda broda, melancholijne spojrzenie, zmęczone oczy, tak mówił pradziadek. Kiedyś był kaznodzieją wśród górników. Tam zaczął malować, tam zaczął dostrzegać ludzi, dostrzegać tak, że było w nich widać zmęczenie, trud, że było w nich widać prawdziwe życie, nawet strach przed tym prawdziwym życiem. Jego brat Theo bardzo mu pomagał, starał się być jego mecenasem, razem mieszkali w Paryżu. To on poznał go z innymi malarzami: z Monetem, z Pissarrem, z Degasem, z Gauguinem. Z Gauguinem najbardziej się przyjaźnił, choć byli tacy inni. Gauguin był maklerem giełdowym zanim zaczął malować. Sztuka w nim zwyciężyła. W życiu był brutalny, w malarstwie był wrażliwy. Vincent był jednym wielkim chaosem, nieuporządkowaniem. Gauguin był przyzwyczajony do porządku, żona zarządzała całym domem, dbała o niego, zanim porzucił ją i dzieci.

- Przyjaźnili się – zamyśliła się Ilona.

- Nawet razem mieszkali przez pewien czas. Ale wciąż się kłócili. I ten epizod z uchem. Jedni mówią, że Vincent sam sobie je odciął w swoim szaleństwie, inni, że zrobił to Gauguin.

- To takie niezwykle, że twój pradziadek uczestniczył w życiu tak wielkich malarzy.

- Co to było za życie, mówił. Życie biedne, smutne, przepełnione sztuką. Jednak on z nimi zawsze był, z ich marzeniami, z ich porażkami. On zrezygnował, a oni trwali w tym aż do śmierci. Aż w końcu wygrali, ale dopiero po śmierci. Stali się nieśmiertelni, ale tę nieśmiertelność przypłacili swoim życiem. Złym życiem. Biednym życiem. Sztuka, żeby stać się nieśmiertelną, musi całkowicie zrezygnować z życia, musi całkowicie zrezygnować z pragnień. Z życia łatwo jest zrezygnować, z pragnieniami jest gorzej, dużo gorzej.

Paul napił się wina, jego broda, gęsta broda mieniła się cicho w blasku świec. Noc zaczynała coraz bardziej pochłaniać wzgórze Montmartre.

- To takie niezwykle, ty, ta noc, ten Paryż, twoje wspomnienia – Ilona się rozmarzyła.

- Solą życia są ludzie. Rozmowy z nimi, spotkania z nimi. Ważne, żeby na swojej drodze spotykać ludzi ciekawych, takich ludzi, którzy zmieniają nasze życie na lepsze.

- Ty należysz do tych ludzi. Sprawiasz, że to, co teraz się dzieje na zawsze zostanie w naszej pamięci.

- Pamięć – uśmiechnął się Paul. – Na końcu pozostaje w człowieku tylko pamięć, tylko wspomnienia. Wspomnienia ocierające się coraz częściej o niepamięć.

Paul popatrzył się na niebo. Było tak intensywne dzisiaj, tak mocno zawierało w sobie różne odcienie granatu.

- Dzisiaj niebo ma kolor twoich oczu – zauważył Paul, gdy patrzył się na Ilonę. – Kolor jest bardzo ważny dla malarza.

- Dlaczego?

- Gdy Van Gogh wyjechał do Arles zaczął inaczej malować. Słońce, dużo słońca i żółty kolor wszędzie, który bił tak intensywnie od tego słońca. Wtedy zaczął się w jego malarstwie żółty epizod. Od tego czasu żółty kolor był zawsze obecny w jego obrazach. I to ten kolor uczynił go nieśmiertelnym. Słoneczniki były tylko dodatkiem do tego koloru. I to, że wszystko się w jego obrazach ruszało, to też

był jakiś dodatek, ale do stylu, nie do barwy, nie do nasycenia w jego obrazach. Jego obrazy zawierały niepokój, wieczny niepokój nasączony słońcem.

- A jego przyjaciel Gauguin?

- On też wyjechał, ale na wyspy. Mieszkał na różnych wyspach. Jednak dopiero gdy zamieszkał na Tahiti coś się w nim na nowo narodziło, coś, co dało mu nieśmiertelność. Te kolory, te barwy, ta prostota. Potem wrócił do Paryża, ale nikt tam go nie docenił. Pradziadek mówił, że był załamany. Pocieszał go, ale smutek zabijał go każdego dnia, więc wrócił ponownie na Tahiti. Ciężko się żyje, gdy nikt cię nie rozumie, gdy twój świat nie jest światem innych.

- Twój pradziadek miał ciekawe życie – stwierdził Chrowski.

- Życie miał szare, jednak ludzie których znał, uczynili to życie szczęśliwym.

Tadeusz Chrowski otworzył oczy, stali tuż koło Kościoła Mariackiego. Ktoś grał na gitarze, na ulicy Siennej.

- Wracajmy do domu – rzekła cicho Natalia. – Jestem zmęczona.

I wrócili, każdy do swojego domu. Gdy Chrowski siedział na łóżku u siebie, gdy patrzył się w telewizor, gdy w rękę trzymał szklankę z whisky, pomyślał, Natalia jest jakąś szansą dla mnie. Może mnie wyrwać od złych myśli, czarnych myśli, od złych wspomnień, od lęków zaczynających się w nocy, a kończących się dopiero nad ranem. Nie mogę tego zepsuć, przez zbyt nagle, gwałtowne ruchy. Miłość czasami rodzi się poprzez ból, poprzez zrozumienie tego bólu przez innego człowieka. Czas, czas ma znaczenie, gdy zaczynamy ocierać się o bliskość. Potrzebuję czasu, tak dużo potrzebuję czasu, żeby zrozumieć zło, które wciąż mam w sobie. Żeby to zło zniszczyć poprzez czas, wypalić na zawsze w sobie, wypalić tak, żeby nie zabić dobrych wspomnień.

Stado ptaków uciekło, gdy zbliżyli się zbyt gwałtownie do bramy. Czarne cienie powoli rozmazywały się na tle połamanych chmur.

Komisarz Rawicz spojrział na bramę, nawet nie na bramę, spojrział dalej, o wiele dalej. Dojrzał coś, czego Walczak nie mógł dojrzeć, nawet nie mógł zrozumieć, a co dopiero dojrzeć.

- Budowa, jeszcze nie narodzone szkielety budynków. Kręgosłup miasta, które na nowo się rodzi – rzekł Walczak.

- Widzisz tylko domy? – spytał nagle Komisarz Rawicz. Nie oczekiwał żadnej odpowiedzi, więc zaczął mówić dalej. – Nic poza nimi nie widzisz? Twój wzrok ociera się o coś co jest, a czego tak naprawdę nie ma. Nie zauważasz szczegółów, widzisz tylko to, co chcesz widzieć.

- Ktoś za kilka miesięcy tu zamieszka. Ktoś będzie tu żył, cierpiał, kochał, umierał.

- Ktoś, dzięki komuś innemu.

- Nie rozumiem.

- Nikt nie rozumie tak naprawdę tego, co się w tym mieście dzieje – prawa powieka Komisarza Rawicza lekko zadrgała. – Coś co było kiedyś, coś co miało złe znaczenie dla tego miasta znikło, a pojawiło się coś nowego, świeżego i to zło wcześniejsze stało się rozmazane, nieistotne, prawie zapomniane. To prawda, że pierwotne zło jest zawsze wypierane przez zło doczesne.

- Mówisz o Chrowskim.

- Tak. Zawsze o nim mówię, gdy myślę złe o tym mieście. Miasto jest dobre – szybko poprawił się Komisarz Rawicz. – Ale ludzie, którzy w nim żyją są źli, choć większość uważa, że są dobrzy. Dobrzy poprzez władzę, poprzez sukces. Poprzez wpływ tej władzy na doczesny sukces.

- Ładny teren na budowę – stwierdził Walczak.

- Zbyt ładny – zamyślił się Komisarz Rawicz. – Tyle firm się kręciło koło tych terenów. A wygrała ta, która jest najmniej wiarygodna.

- Szczęście?

- Nie szczęście, nie doświadczenie, nie dobra cena. Po prostu wiedza, wiara, kontakty, upór i znajomość z Kaplicą. Sam powiedziałeś, że widziałeś Kaplicę z prezesem firmy budowlanej.

- Raz ich widziałem. Na Rynku w małej kawiarni. Przypadek. Kaplicę jest bardzo trudno śledzić. On wie, że jest obserwowany, czuje to, i to go nawet jakoś napędza, daje mu jakiś zastrzyk energii, żeby działać, żeby trwać.

- Źli ludzie nie mogą żyć bez adrenaliny. Dlatego później wpadają w nasze ręce. Brakuje im czegoś w normalnym życiu. Normalne

życie rzadko ociera się o niebezpieczeństwo, zło, nienawiść. Normalne życie nie daje złym ludziom złudzeń, złych złudzeń.

- Chrowski z pewnością coś dostał w zamian za decyzję w sprawie tej budowy.

- Na pewno dostał – grymas pojawił się na twarzy Komisarza Rawicza. – Który Prezydent Miasta jest uczciwy, albo biedny? Żaden. Miasto to możliwości, miasto to przywileje.

- Co zrobimy?

- Nic. Będziemy czekać.

- Czekać.

- Czas – znów oczy Komisarza Rawicza stały się odległe, zagubione. – Czas ma dla nas ogromne znaczenie. Czas sprawia, że sobie za bardzo ufamy, czas sprawia, że tracimy kontrolę nad rzeczywistością. Czas sprawi, że coś w przyszłości, może duma, może wiara, nadmierna wiara w siebie, zgubi go. Czas, miłość, pragnienia, nałogi, to wszystko, to nic, zaprowadzi nas w końcu do niego. Kiedyś na pewno się pomyli, i ta pomyłka sprawi, że zbliżymy się do niego na niebezpieczną odległość, zbyt bliską odległość, zarówno dla niego, jak i dla nas. A potem będziemy razem tkwić w tej pomyłce, tylko miejsca tej pomyłki będą miały inne punkty odniesienia, inne punkty zaczepienia. Na razie niech kocha, niech rządzi, niech walczy. Z miastem, ze sobą, z przeszłością – Komisarz Rawicz podniósł kołnierz swojej skórzanej kurtki, zaczynało wiać coraz bardziej, bardziej niż wczoraj. – Przeszłość z pewnością kiedyś go dopadnie. Przeszłość zawsze nas dopada, zawsze wtedy, gdy jesteśmy najsłabsi.

Czarne ptaki wciąż latały na niebie. Były jakieś zdenerwowane. Może przez wiatr, może przez chmury, a może przez deszcz, który powoli zaczął przenikać całe miasto.

Iwona Zakrzewska stoi przed lustrem, stoi za lustrem, może nawet momentami jest w lustrze, jest w jego przestrzeni, w nieokreślonej szklanej przestrzeni życia. Widzi kręcone, czarne włosy, widzi swoje oczy, teraz żółte, wie, że za chwilę zmienią się w pomarańczowe, staną się inne gdy zacznie znów myśleć o swoim zdrowiu.

Ostatnio jej serce, nawet do końca nie jej serce, lecz serce kogoś innego, kogoś nieznanego, zaczyna inaczej pracować. Drga, zatrzy-

muje się, znów drga, idzie do przodu i znów zatrzymuje się. I ten krótki oddech, nawet przy zbędnym wysiłku, zbyt krótki oddech. Lekarz mówi, że wszystko jest w porządku. Serce przyzwyczaja się do niej, do nowego życia z kimś innym.

Iwona Zakrzewska wie, czuje, że coś jest nie tak. Lekarze do końca grają, nawet wtedy gdy sztuka ma zbyt duże napięcia dramatyczne. To dobrzy aktorzy, może najlepsi.

Iwona Zakrzewska spogląda na obraz. Leży na podłodze, oparty o ścianę, bardziej stoi niż leży. Odkrywa go, przykryty był zielonym materiałem, żeby kurz go nie zniszczył, żeby kurz nie zasłonił całej jego przeszłości, zasłonił poprzez czas.

Widzi dzieciństwo, widzi tego mężczyznę, klęczącego, widzi strach, przerażenie, rozpacz, widzi też tego drugiego mężczyznę, on się nie boi, ma w sobie gniew, nienawiść, władzę, taką władzę która może wszystko i to wszystko może także ocierać się o śmierć.

Teraz, gdy czuję się źle, i to źle może oznaczać wszystko, może oznaczać nic, może oznaczać nawet śmierć, muszę pewne sprawy wyprostować. Nie chodzi nawet o sprawiedliwość, chodzi o niepokój, który muszę zasiać w oczach Chrowskiego, myśli Iwona. Niech wie, że ja wiem. Czasami strach jest najgorszy, gdy ktoś coś wie, czego się obawiamy, gdy ktoś coś wie, co może zniszczyć całe nasze życie. I nie robi z tą wiedzą nic. Absolutnie nic.

- Nie boję się go – Iwona Zakrzewska powiedziała to na głos do obrazu. – Nie boję się go – powtórzyła to jeszcze raz. – Zabije mnie, cóż, być może już jestem martwa, choć jeszcze tego nie wiem.

Iwona Zakrzewska wyszła na balkon. Słońce wtuliło się w jej twarz jak mały piesek, który po nocy wciska się pod kołdrę swojego właściciela. Spojrzała na niebo, teraz jasne, takie ciepłe, takie bezpieczne dzisiaj, spojrzała na Szkołę Muzyczną, na jej ciche tony muzyki, które lekko i z taką swobodą wydobywały się z niej przez otwarte, niedomknięte, lekko uchylone okna, spojrzała na Planty, na ludzi cicho spacerujących wzdłuż drzew, byli tacy spokojni dzisiaj, tacy bezpieczni w swoich troskach, nadziejach, lękach.

- Jutro do niego pójde – powiedziała do siebie i wróciła do kuchni, żeby zająć się obiadem.

Stała przed magistratem już dwie godziny. Serce jej biło jak oszalałe. Pod pachą trzymała obraz, trzymała go tak mocno jakby za chwilę miał jej uciec, odlecieć w jakąś niewidzialną przestrzeń.

Widziała go jak wchodził, widziała go jak wysiadł ze swojego samochodu, jak patrzył się leniwie na kamienice, na okno swojego gabinetu, widziała jak zniknął w ciemnej przestrzeni drzwi.

Nie mogła się zdecydować na wejście. Rano była zdenerwowana, teraz mniej. Coś z niej uciekało teraz, uciekało powoli, dokładnie, jak strumyk ucieka ze stawu w górach. Może to był strach, może obawa, może ulga, że coś się w końcu zmieni, po tylu latach, zmieni na gorsze, może na lepsze, i ta ulga, może strach, może obawa, nie pozwalały jej teraz wejść do tego budynku.

W końcu się zdecydowała. Ruszyła śmiało przed siebie. Serce jej biło, ręce jej drżały, całe ciało pociło się od niepewności. I wtedy pojawiła się myśl, może umrę zanim tam dojdę, może serce ze strachu przestanie bić i wszystko się skończy, i czas się zatrzyma, i życie się zatrzyma, i dzieciństwo się zatrzyma, i ja się w końcu gdzieś na stałe zatrzymam. Myśl nie przyniosła jej ulgi, przyniosła nadzieję, że może nie zobaczy już nigdy jego twarzy, jego zimnych oczu, jego szerokich brwi i lekko odstających uszu.

- Pani do kogo? – spytał się strażnik w recepcji, w granatowym lekko pomarszczonym mundurze.

- Do Prezydenta Miasta.

- Była pani umówiona?

- Proszę powiedzieć, że przyszła dziewczynka, którą tak uparcie kiedyś szukał nad morzem.

- Dziewczynka – zdziwił się strażnik i zmierzył ją jeszcze raz wzrokiem.

- Tak, dziewczynka, o której z pewnością nie raz myślał.

Strażnik wykręcił numer telefonu, chwilę czekał, powiedział co miał powiedzieć, potem nastąpiła cisza w słuchawce, coś się poprzez tę ciszę tam pojawiło, Iwona wyczuła wahanie, jakieś napięcie, lekką niepewność, a potem padły słowa, słowa, które mogły zmienić wszystko, słowa, które mogły zmienić nic.

- Proszę wejść – rzekł cicho strażnik. – Drugie piętro. Ostatni pokój po lewej stronie. Prezydent Miasta czeka na panią.

Iwona Zakrzewska spojrzała na drzwi. Na ulicę, na dorożkę widoczną w oddali. Mogę jeszcze uciec, zapomnieć, wyjechać z tego miasta, pomyślała. Mogę to wszystko jeszcze zmienić, zmienić w niewidzialność, zmienić w nieokreśloność, zmienić w źle ułożone na półce wspomnienia.

Iwona Zakrzewska ruszyła do przodu. Wsiadła do windy. Niech to się wszystko w końcu skończy, pomyślała. Nacisnęła guzik, winda lekko ruszyła do góry.

Zapukała w te czarne drzwi – czarne drzwi, czarne myśli, czarna klamka, czarny zgrzyt otwieranych zawiasów.

Tadeusz Chrowski stał przy oknie. Jego oczy były skupione, nawet nie zimne, skupione. Weszła do środka, w rękach trzymała obraz. Pokazała mu obraz, nic nie mówiła. On podszedł do niej, wziął obraz, odwrócił się i poszedł ponownie do okna. Postawił obraz na parapecie. Tam światło było jasne, zbyt jaskrawe dla tej ciemnej sytuacji.

I ta cisza, ta krępująca cisza, brak słów, brak jakichkolwiek oddechów, oddechów jego, oddechów jej. I to natężenie tej ciszy w świetle, natężenie paraliżujące, obezwładniające. I te myśli, w zasadzie brak jakichkolwiek myśli. Tylko obrazy, resztki obrazów w głowie, strzępki małych niteczek, które składają się na rozum, na to co jest w jej głowie, w jej głowie.

Tadeusz Chrowski chwilę patrzył na obraz, jego oczy miały w sobie napięcie, natężenie, złe natężenie, złe napięcie. Odwrócił się do niej i powiedział:

- Wiedziałem, że cię kiedyś spotkam. Czułem to, rozum podpowiadał mi, że to jest niemożliwe, ale ja to czułem. Sam nie wiem dlaczego – Chrowski zamyślił się na chwilę, jego ręce lekko się trzęsły, starał się to zamaskować poprzez uśmiech, krzywy uśmiech. – Czułem wieczny niepokój, i ten niepokój sprawił, że czekałem na to spotkanie. Byłem ciekawy, kim się staniesz, mając ten sam niepokój w sobie co ja.

- Szukałeś mnie wtedy.

- Tak, szukałem. Byłaś sprytniejsza. Przechytrzyłaś mnie. Może to dobrze. Nie wiem, co mógłbym wtedy zrobić z tobą, z twoją rodziną. Byłem wzburzony i mógłbym zrobić coś złego, coś, czego bym później żałował przez całe życie.

- Zabiłeś człowieka.
- Tak, zabiłem. Ale musiałem to zrobić. To był zły człowiek, jeszcze gorszy niż ja. Miałem powód. Dobry powód.
- Jaki powód usprawiedliwia śmierć?
- Chciał porwać mi dziecko. Syna, który wtedy miał zaledwie roczek. W ostatnim momencie się dowiedziałem, dowiedziałem się wtedy, gdy prawie już było za późno. Ale zdążyłem. Chciał okupu. Tak powiedział. Czy pieniądze pozwalają porywać małe dzieci ludziom bogatym? Myślę, że nie. Gdybym go wtedy nie zabił, ktoś inny, później, porwałby mi dziecko. Żyłem wtedy w złym świecie, groźnym świecie. Zabijając go, zabiłem złe myśli innych złych ludzi. Potem już nikt nie odważył się zagrozić mojej rodzinie.
- Jesteś mordercą, ale nie martw się, nikomu nie powiem. Nie jestem Bogiem, nie zmieniam przyszłości poprzez słowa. Chciałam, żebyś wiedział, że jest ktoś, kto ci może zagrozić.
- Nie boisz się mnie? – krzywo uśmiechnął się Tadeusz Chrowski.
- Teraz już nie. Kiedyś się bałam, ale teraz, gdy cię zobaczyłam, nie boję się niczego. Mam swoje przeznaczenie, mam swój los, co ma być to będzie. Poddaję się temu, co określa moją przyszłość, poddaję się temu, co określa moje przeznaczenie.
- Znam cię – trochę cieplejszym tonem powiedział Chrowski. – Znam twoją twarz, twoje spojrzenie.
- Nie możesz mnie znać.
- Nosisz serce mojego syna w sobie.
- Skąd wiesz o sercu? – oczy Iwony się nagle rozszerzyły. – Nikt nie wie jakie serce we mnie bije, jakie serce sprawia, że wciąż oddycham.
- Ktoś taki jak ja, może wszystko. Nic nie jest niemożliwe, gdy jesteś kimś takim jak ja.
- Kłamiesz! – krzyknęła Iwona Zakrzewska.
- Nie. Niestety nie kłamię. Mój syn zginął, gdy jechał na motorze. Jego serce bije w twoim ciele.
- To niemożliwe – Iwona Zakrzewska podparła się ręką o krzesło, nagle zrobiło się jej słabo. – To niemożliwe.
- A jednak – skrzywił się Tadeusz Chrowski. – A jednak życie pisze najgorsze scenariusze.

- To niemożliwe! – krzyknęła Iwona Zakrzewska i wybiegła z gabinetu.

Wybiegając zobaczyła cień mężczyzny, który stał w kącie, tuż przy drzwiach. Zobaczyła zły błysk w jego oczach.

- Co teraz zrobimy? – spytał Kaplica, gdy Iwona Zakrzewska wybiegła.

- Nic.

- Jak to, nic. Jest zagrożeniem. Musimy ją zabić.

- Nie, nie zrobimy tego. Ważne jest tylko to, że mój syn żyje w jej ciele. Żyje wraz z nią.

- Może nas kiedyś zniszczyć.

- Nie robi tego. Gdyby chciała kiedyś komuś o przeszłości opowiedzieć, już dawno by to zrobiła. Chciała tylko, żebym ja wiedział, że ona wie, że ona wciąż żyje, żebym nie czuł się pewnie aż do końca swoich dni. Żebym poczuł się zagrożony.

- I czujesz się zagrożony?

- Nie – Tadeusz Chrowski skrzywił się trochę. – Nie, nie czuję się zagrożony w żaden sposób. Ani przez nią, ani przez Komisarza Rawicza. Tak naprawdę czuję się zagrożony tylko przez samego siebie. Sam dla siebie jestem największym niebezpieczeństwem.

- Więc, niech żyje dalej – Kaplica usiadł przy biurku, nalał sobie wódki.

- Nosi serce mojego syna w sobie, więc musi żyć jak najdłużej. Bez względu, co to najdłużej dla nas znaczy. Co musi dla nas znaczyć.

Iwona Zakrzewska biegła Plantami. Biegła, twarze ludzi rozmazywały się, były jakimiś maskami, mury, kamienice rozmazywały się, były jakimiś kształtami, zarysami kształtów w jej oczach.

Jej oddech był zbyt gwałtowny, więc zwolniła, potem stanęła, lekko pochyliła się do przodu jak maratończyk, który pokonał właśnie metę i teraz musi o wszystkim zapomnieć, o bólu, o zmęczeniu, o przeszłości, który musi tylko uporządkować swój oddech, swoje wspomnienia.

I wtedy pojawiła się pierwsza myśl, muszę wyjechać z tego miasta. I wtedy pojawiła się druga myśl, morze, babcia, jej dom. I wtedy pojawiła się trzecia myśl, ta myśl była najbardziej uporządkowana w

niej, w jej głowie, w jej duszy, nigdy już nie wrócę do tego miasta, nigdy.

Poszła w kierunku domu. Jej kroki były teraz stanowcze, pewne, miały w sobie odwagę i chęć, żeby coś z tą odwagą teraz zrobić.

Nie chcę już niczego szukać w tym mieście, pomyślała, gdy wchodziła do kamienicy, gdzie mieszkała. Miasto mnie zdradziło, ludzie mnie zdradzili, nawet ja sama zdradziłam siebie nieświadomie, nawet tego nie wiedząc, nie czując tego dokładnie w sobie. Nie czując zbyt mocno, nie czując zbyt boleśnie. Zdradziłam się sama przez zbyt duże zaufanie jakie miałam do ludzi, jakie miałam do siebie, do tego miasta. Nie chcę już niczego, zarówno od tego miasta, jak i od ludzi, którzy żyją w tym mieście. Może nawet nie żyją, błędzą.

Iwona Zakrzewska stała przy drzwiach. Otworzyła je kluczem, weszła do środka. A tam cisza, a tam spokój. A tam lekkie zagubienie poprzez wiatr, który dostał się do środka przez otwarte okna.

Chcę uciec, zapomnieć, odnaleźć się na nowo. Chcę żyć na swoich zasadach, nie na zasadach innych.

Iwona Zakrzewska wyszła na balkon, spojrzała ostatni raz na miasto z góry, spojrzała na kamienice, ich dachy, ich kominy, ich wieczny niepokój jaki noszą w sobie. Niepokój nasączony przeszłością, historią; każda kamienica to jakaś niedokończona historia, każda kamienica to jakiś bezimienny, niedokończony ból, cierpienie. Niedokończone zdanie.

Gdy tak stała na balkonie, gdy patrzyła się na szkołę muzyczną, na Kościół Mariacki, na Wieżę Ratuszową, na Rynek, zrozumiała, że już nie chce być dłużej samotna.

Samotność ogranicza, samotność zabija. Sekunda po sekundzie, minuta po minucie, samotność zabija nas każdego dnia. Tak sobie myślała Iwona Zakrzewska, gdy tak stała w bezruchu na balkonie, gdy jej oczy powoli przyzwyczajały się do niepamięci tego miasta.

Wyjadę do babci, spędzę z nią końcówkę jej życia. Morze, plaża, wiatr i resztki tego, co mogę dać babci, zanim umrze. A potem znajdę kogoś w kim się zakocham, z kim spędzę resztę życia, aż do śmierci. Znajdę kogoś z kim będę cierpieć, kochać się, marzyć. Znajdę kogoś, kto będzie mną, ale w innym ciele.

Iwona Zakrzewska jeszcze raz spojrzała na miasto z góry. Trochę będzie mi ciebie brakować, uśmiechnęła się poprzez myśli, trochę życia zostawiłam w tych murach, w tych ulicach, w tych parkach. Coś się musi skończyć, żeby coś innego narodziło się na nowo.

- Żegnaj! – krzyknęła Iwona Zakrzewska, i to żegnaj poleciało wysoko, bardzo wysoko do góry. Iwona Zakrzewska była zdumiona, że to żegnaj ma w sobie tyle siły, tyle walki, tyle odwagi. Tyle nadziei.

Iwona Zakrzewska wróciła do pokoju. Zaczęła się powoli pakować. Już wiedziała, że dzisiaj wieczorem, że dzisiaj pociągiem, że dzisiaj w przedziale zacznie nowe życie, inne życie. Wiedziała też, że już nigdy nie wejdzie na ten balkon, żeby popatrzeć na miasto z góry. Bała się, że jeśli jeszcze raz spojrzy na to miasto z góry, to wszystko z niej ucieknie, że się zawaha, że zostanie, a ona nie chciała już tutaj zostać, nie chciała też trochę wyjeżdżać, nie chciała też trochę spojrzeć na swoje życie poprzez przeszłość.

Przeszłość zawsze zostawia ślady w przedmiotach, w ludziach. I tego się bała, odbicia swojego życia poprzez przedmioty, poprzez ludzi, poprzez przeszłość.

Podeszła do balkonu, zamknęła drzwi, popatrzyła się na torbę.

- Całe moje życie, schowane, bardziej ukryte niż schowane w jednej torbie – powiedziała i zaczęła się pakować dalej.

Jednak teraz robiła to dokładniej, ściślej, mocniej, jakby bała się, że to co tutaj zostawi, w domu, w tych murach, na zawsze już zostanie w tym mieście. A później nie będzie już miała siły, odwagi, żeby po to coś wrócić, jeszcze raz, do tego miasta.

Miasto to coś, do czego się wraca, gdy się musi, miasto to coś, do czego się wraca, gdy się może. Miasto to wspomnienia, które prawie nigdy nie pozwalają nam wrócić do przeszłości w tym samym kształcie, w tym samym zarysie.

DO CÓRKI

Piszę do Ciebie w czasie, gdy czas tak naprawdę się zatrzymał. Ludzie się zatrzymali, świat się zatrzymał. Ludzie zaczynają walczyć ze sobą, ze swoim strachem. Ludzie się jednoczą, wydobywają z siebie to, co mają najlepsze. Teraz wiem, że czas może zmienić wszystko, teraz wiem, że czas, zły czas, może zmieniać ludzi.

Gdy patrzę się na Ciebie, gdy widzę jak dorastasz, jak stajesz się osobą dorosłą, widzę jak czas zmienia ludzi. Niby jesteśmy tacy sami, a jednak stajemy się inni. Coś z nas ucieka, coś w nas zostaje. Coś się w nas kształtuje, coś się w nas zmienia.

Widzę jak szukasz odpowiedzi, szukasz jej poprzez filmy, poprzez muzykę, poprzez czas, który przebiega tuż koło Ciebie, a czasami jest z Tobą, tak naprawdę, tak dosłownie, w dzień, w nocy.

Zaczynasz słuchać to, co jest dla Ciebie ważne, w muzyce odnajdujesz to, czego nie może nam dać świat, nie mogą nam dać ludzie. Muzyka sprawia, że zaczynamy wierzyć, że jest w nas coś, co doprowadzi nas do kogoś innego, do kogoś bliskiego, że jest ktoś, kto nas zrozumie, że ten ktoś jest tuż obok i wystarczy go tylko dostrzec, zauważyć, że ten ktoś gdzieś na nas czeka i wie, że to czekanie ma sens, to czekanie ma znaczenie.

Musisz uwierzyć, że czas ma znaczenie. Czas doprowadzi Cię tam, gdzie chcesz dojść. Musisz być cierpliwa, bo czas może zmieniać wszystko, może zmieniać ludzi.

Jestem dumny z Ciebie, że Jesteś osobą, która szuka odpowiedzi na to coś, co nazywa się życiem. Wiem, że ją znajdziesz. Potrzebujesz tylko czasu i odwagi, żeby zmierzyć się z tym czasem.

Jestem dumny, że mam taką Córkę. Jesteś wrażliwa, mądra, piękna, i wiem, że te wszystkie przeszkody, które teraz pokonujesz z takim trudem, kiedyś będą Twoją siłą, odwagą, nadzieją. Wiem, że te przeszkody sprawią, że kiedyś wszystko będzie lepsze, inne. Inne poprzez czas. Czas przeszedł. Czas niedokończony.

Ludzie silni kształtują się poprzez przeszkody, które rzuca im los pod nogi. A Ty jesteś silna, i ta siła powoli w Tobie rośnie, dojrzewa wraz z czasem, który cierpliwie idzie tuż obok.

Życzę Ci, żebyś nigdy nie zwątpiła w rzeczy dobre, które wciąż masz przed sobą. Życzę Ci, żeby rzeczy dobre dały ci siłę, aby dalej iść do przodu i wciąż sięgać po kolejne dobre chwile w Twoim życiu.

Bo tak naprawdę żyje się dla tych kilku chwil, które wciąż są przed nami, bo tak naprawdę żyje się dla tych kilku wspomnień, które są już za nami.